

THRILLER HISTORYCZNY



KRZYSZTOF GOLUCH

# W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ

TOM IV  
FORTEL



NOVAE RES

KRZYSZTOF GOLUCH

# **W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ**

---

**TOM IV  
FORTEL**



**NOVAE RES**



# Rozdział I

Zofia stała przed dużą dwudrzwiową gdańską szafą i patrzyła na schowane w niej wieszaki. Na pierwszy rzut oka dostrzegła, że wiele z nich jest już tutaj zbędnych, bo nie ma co na nich zawiesić. Czasy, kiedy stać ją było na dzieła, które wychodziły z pracowni najlepszych projektantów, dawno odeszły bowiem w zapomnienie. Teraz nie miała dość środków, by zapewnić sobie i dziecku godne warunki bytowania. Bo za takie nie mogła uznać tych, w jakich żyła obecnie.

Rozejrzała się po pokoiku swojego synka i łza zakręciła jej się w oku. Z precyzją doświadczonego rzeczoznawcy dostrzegła braki w umeblowaniu. Patrzyła na ściany, na których brakowało dzieł Kossaka, Matejki i tego młodego ulicznika Picassa. Musiała je sprzedać, by zapełnić luki w domowym budżecie. To samo spotkało fotele z orzecha włoskiego, które sporym nakładem kosztów sprowadziła aż z Mediolanu.

I co najdziwniejsze, nie pamiętała nawet, komu odsprzedała te bezcenne skarby, bez których dawniej nie umiałaby wyobrazić sobie życia. Za to dobrze pamiętała, co kupiła za pozyskane tą drogą pieniądze. Jedzenie, ubrania, węgiel i leki dla synka. Zofia ze zdumieniem odkrywała, jak niedola i nędza przewartościowała jej priorytety i zmieniła ją samą. Dawniej nie wyobrażała sobie prowadzenia domu bez służby. To ona zajmowała się praniem, sprzątaniem, gotowaniem i zapewne setkami innych czynności. Rola Zofii jako pani domu ograniczała się do pozostawienia

w widocznym miejscu rozpiski z pracami domowymi, które należało wykonać w najbliższym czasie, i ustalenia terminu wychodnego.

Dopiero nowe realia wyrzuciły wszystko. Musiała zmienić swój wygodny krakowski dom na ten mały dwupokojowy lokal z kuchnią w Warszawie. Ze starego domu zabrała tylko najcenniejsze meble i obrazy, resztę pozostawiając w rękach nowych właścicieli, wojennych dorobkiewiczów, którym silnie rozwinięty instynkt przetrwania pozwolił dojść do niemałej fortuny. W tej sytuacji o zatrzymaniu służby nie mogło być mowy. Jej nowe wywiadowcze pobory nie pozwalały na to, by zatrudnić choćby wieśniaczkę spod Warszawy, która za skromne pieniądze i kąć do spania prowadziłyby jej dom.

To zadanie spadło więc na barki niedoświadczonej Zofii. Ileż trudu i cierpliwości kosztowała ją nauka nowych obowiązków. Głupie mycie okien, które wydawało jej się niewymagającą wysiłku czynnością, gdy widziała, jak robią to inni, sprawiało, że jej niedoświadczone ręce omdlewały z wysiłku. Niemal wszystkie domowe prace wykonywała z kłopotami. Żaden posiłek, który ugotowała, nie nadawał się do zjedzenia. Nie umiała sobie poradzić z odczytywaniem książek kucharskich. Skróty typu „dag” były dla niej nic niemówiącym zbitkiem liter. Nic też dziwnego, że większość przygotowanych przez nią dań miała konsystencję gumy. Zofia musiała uczyć się wszystkiego od podstaw, by z każdym krokiem odkrywać nieznaną sobie świat przeciętnej gospodyni domowej.

Nie liczyła, ile razy obudziła się zbyt późno, by móc pójść po świeże pieczywo i warzywa. Walczyła, by przełamać własną dumę, która podnosiła się w niej z oburzenia, że ona, żona inżyniera, staje w kolejkach, które wiły się przy straganach, wraz ze służkami innych możliwych rodzin. Pamiętała, jak na początku patrzyły na nią bykiem, a nawet z odcieniem pewnej mściwej satysfakcji, że

oto ona, jedna z ich chlebobawczyń, została zepchnięta przez los ze świecznika i w ich świetle jest równie słaba i bezbronna, jak one były w jej.

Starła się to ignorować. Nie zwracać uwagi na drobne zaczepki czy złośliwości, jakich nie szczędziła jej żadna z nich. Wiedziała bowiem, że jeśli w którymkolwiek momencie pozwoli sobie na najmniejszą dozę słabości, to przegra. Znosiła więc ich docinki ze stoickim spokojem, biorąc je na przetrzymanie, a jednocześnie nie ukazując w niczym swojej materialnej i intelektualnej wyższości. Przez pierwsze tygodnie strategia ta zdawała się nie przynosić żadnych wymiernych korzyści. Lecz po upływie pewnego czasu dostrzegła, że docinki zdają się tracić na intensywności, aż w końcu definitywnie ustały. Zofia nie została wprawdzie zaakceptowana, do tego była jeszcze daleka droga, ale zdołała uzyskać w środowisku status osoby milcząco tolerowanej.

Ale i to miało się niedługo zmienić. Uśmiechnęła się do wspomnień. Pewnego dnia, będąc na targu, przypadkiem podsłuchiwała rozmowę dwóch służek, które prowadziły ją zbyt głośno. Jedna z nich żaliła się drugiej, że jej państwo oskarżyli ją o kradzież, by mieć pretekst do niewypłacenia jej należnych za lata pracy zasług. Z całej rozmowy wynikało, że intryga była szyta więcej niż grubymi nićmi, ale to nie odbierało jej szans na powodzenie. Aparat sprawiedliwości taką już bowiem miał przywarę, że zwykle stawał po stronie silnych i możnych, a słabych odsyłał z kwitkiem, choćby ich racje były niepodważalne. Jak bowiem stawiać na równi słowo biednej wieśniaczki i dwójga powszechnie szanowanych i poważanych w środowisku ludzi? Toteż zwykle takie sztuczki kończyły się pełnym powodzeniem.

Ale tym razem w sprawę wmieszała się Zofia i uruchamiając swoje stare kontakty, doprowadziła do tego, że przez chwilę Temida naprawdę stała się ślepa na blask złota, pozycję społeczną i wydała sprawiedliwy wyrok. Okazało się to korzystne nie jedynie

dla owej służki, ale również dla Zofii. Nie tylko bowiem pozyskała życzliwość tych kobiet i nie musiała obawiać się już z ich strony żadnych niedogodności, lecz nawet zdobyła w nich sojuszniczki. To dzięki nim wiedziała, co i gdzie można taniej kupić. Poznała wszystkie triki sprzedawców, które miały na celu ukrycie przed klientem nieświeżości towaru. Dzięki temu zaczęła wydawać na żywność wyraźnie mniej pieniędzy, co stanowiło znaczną ulgę dla jej napiętego do granic budżetu.

Lecz przyjaźń z wieloma domowymi służkami była korzystna nie tylko dla jej finansów, ale także w ramach pracy wywiadowczej dla bolszewików. Czasem gryzło ją sumienie, bo miała pełną świadomość wyrachowania, z jakim wyzyskuje łatwowierność tych prostych i naiwnych kobiet, które umiały jej sercem za przysługę odplacić. Lecz wyrzuty sumienia brutalnie zagłuszała świadomość, że życie jej męża zależy tylko i wyłącznie od zmarszczenia brwi Dzierżyńskiego. Wiedziała przecież, jaki to człowiek. Dlatego robiła wszystko, by zasłużyć na uznanie tego potwora i jednocześnie odsunąć skutki jego gniewu od głowy swego męża. Właśnie dlatego dyskretnie wypytywała nowe koleżanki, o czym się mówi przy stołach, gdy one obsługują. A były to przecież wszystko domy prominentów: przemysłowców, oficerów, polityków, którzy mieli silne związki z kręgami rządowymi, a reputacja chroniła ich od wszelkich podejrzeń. Jednocześnie żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na tak naturalny element krajobrazu jak domowa służba, przed którą nie tajono się z poglądami.

Były to wymarzone informatorki, ponieważ przed ich oczami i uszami nic się nie ukryło. Bolszewikom zaś wystarczał czasem ledwie strzępek informacji, by byli zadowoleni z jakości jej usług i wyrażali owo zadowolenie w formie dużych pieniężnych gratyfikacji. Ryzyko wpadki tych dziewczyn było minimalne, gdyż działały one jako ślepe narzędzie w jej ręku i nie zdawały sobie

sprawy, że to, co jej mówią, nie zostaje tylko między nimi, lecz przez sklep Vavet trafia wprost do Moskwy. Dzięki temu nie okazywały żadnego niepokoju, który mógłby skupić na nich podejrzenia, czy to ze strony ich państwa, czy polskiego wywiadu.

Zagłuszała sumienie, wręczając im niewielkie kwoty, które dla nich stanowiły jednak ogromną wartość. Wszystkie były zdumione tym, z jaką lekkością Zofia pozbywa się pieniędzy, ale nie zadawały żadnych pytań. Dla nich był to czysty zysk za powtarzanie bezwartościowych w ich mniemaniu rozmów, które dla Zofii oznaczały możliwość utrzymania się na finansowej powierzchni, a jednocześnie utrzymanie przy życiu męża. Tym dwóm celom podporządkowała swą egzystencję oraz wszelkie dążenia.

Potrząsnęła głową i na palcach podeszła do stojącego pośrodku pokoju łóżeczka. Za nic nie chciała obudzić śpiącego w nim malca. Pochyliła się lekko do środka i spojrzała w lekko puciołowatą dziecienną twarzyczkę, która w tej właśnie chwili rozciągała się w uśmiechu. Delikatnym ruchem poprawiła cynowy smoczek, który nieco się przekrzywił. Widocznie mały zdołał dosięgnąć do niego rączkami i go ruszyć. Delikatnie wsunęła dłonie pod poduszkę, zręcznie omijając wiszącą nad główką dziecka karuzelę. Tym się nie bawi, a smoczek zawsze usiłuje wydobyć – pomyślała i jednocześnie ostrożnie przesuwiała dłońią pod poduszką, aż wreszcie poczuła, że objęła palcami przedmiot, którego szukała.

Wstrzymała oddech, pomodliła się do patronki matek, by Stefanek się nie obudził, i jednym płynnym ruchem wyjęła kluczyk – dzieło praskiego złodziejaszka. Od dawna miała go już u siebie, ale aż dotychczas nie mogła użyć, gdyż istniała obawa, że zostanie zdemaskowana przez Wiktora. Zawsze jednak chodziła z nim do pracy, gdyż w każdej chwili mógł nadejść sygnał, że zagrożenie minęło, Adamczewski został zneutralizowany, a ona może przystąpić do działania. Czekwała na tę chwilę w ogromnym napięciu, gdyż zdawała sobie sprawę, jaką wagę sowiecka centrala



wywiadowcza przywiązuje do pomyślnego załatwienia tej sprawy. W jej sercu nieśmiało tliła się nadzieja, że to zadanie będzie już ostatnim, a jednocześnie stanowić będzie bilet do wolności dla jej męża.

Jedynie czasem odzywały się wyrzuty sumienia. W nocy przekręcała się z boku na bok, sycząc, jakby ktoś przypiekał ją rozpalonym do białości żelazem. To nocne koszmary nawiedzały jej podświadomość, czyniąc życie nieznośnym. Sny zawsze były do siebie tak podobne, jakby odbito je przez kalkę. Zawsze siedzi w nich na sali sądowej, w miejscu przeznaczonym dla oskarżonych, a ławy dla publiczności są przepełnione. Widzi przedstawicieli prasy warszawskiej z ogromnymi aparatami uwieszonymi u szyi. Ale to nie ich widok sprawia jej najbardziej rozdzierający ból, choć to oni najbardziej wpłyną na opinię publiczną.

Najgorszą dla niej torturą są twarze jej najbliższych współpracowników. Ten wyraz ich oczu. Ten wyrzut w nich zawarty. Oczami komunikują jej to, czego nie mogą wypowiedzieć ich usta: zdradziłaś nas, nasze zaufanie i swój kraj. Przecież to my wyciągnęliśmy do ciebie pomocną dłoń i wyrwaliśmy cię z toni. A ty czym się odpłaciłaś? Nie mogła patrzeć na ich ściągnięte bólem i współczuciem twarze, więc odwracała wzrok na bok.

Lecz to, na co teraz z kolei patrzyła, ukojenia nie przynosiło. Obok siebie bowiem dostrzegła wówczas owe pokojówki, które jako jej mimowolne współpracowniczki sądzono wraz z nią, a na ich twarzach nie oglądała współczucia, tylko zimną nienawiść. Nie dziwiło jej to. Wciągnęła je w świat intryg, szpiegostwa i zdrady. Wykorzystała braki intelektualne, by uczynić z nich bezwolne narzędzia w swoich rękach. Zniszczyła ich uporządkowany świat. To prawda, że los służki w bogatych rodzinach zwykle nie był godny pozazdroszczenia, ale ten, kto nigdy nie był kimś, nie cierpi, będąc nikim. Kto nigdy nie był poza swoją wioską, gminą, ten nie

tęskni do innego świata, bo go nie zna. Więc tym dziewczętom nie było źle, bo nigdy nie otworzyły się przed nimi żadne lepsze perspektywy, a to, co robiły, i tak było lepsze od złodziejskiego fachu czy prostytutce. Płacono im przecież, dzięki czemu mogły wyżywić własne rodziny, jeśli już je założyły, lub wspomóc gotowym groszem krewnych, którzy pozostali na wsi.

Zofia im to wszystko odebrała, ale przynajmniej miała w sobie dostateczną dozę uczciwości, by nie osłaniać swego postępuku szlachetnymi pobudkami. Działała z czystego wyrachowania. Skoro nie mogła pomóc wszystkim, to powinna pomagać ludziom sobie najbliższym. A komu powinna pomóc żona, jeśli nie mężowi? Kogo będzie chronić matka, jeśli nie syna? – myślała i usprawiedliwiała się tak przed sobą, gdy sumienie szarpało ją silniej niż zwykle.

Uśmiechnęła się do synka.

– Zaznałeś wojny, która na razie odebrała ci ojca, ale nigdy nie zaznasz nędzy, przysięgam ci to. Kiedyś wynagrodzisz mi wszystkie moje poświęcenia, które poniosłam, byś ty mógł dorastać w godnych warunkach. Ty jeden znasz moją tajemnicę. Ty jeden wiesz, jakie sny mnie nawiedzają, ale ty mamusi nie wydasz.

To rzekłszy, poprawiła ubranie, zostawiła instrukcje dla opiekunki i wyszła. Na ulicy wmieszała się w tłum i zaczęła się zastanawiać, dokąd właściwie powinna skierować teraz swoje kroki. Do pory, gdy powinna stawić się w siedzibie wywiadu na placu Saskim, by rozpocząć swoją zmianę, brakowało jeszcze całkiem sporo czasu. Przez chwilę myślała, czy nie powinna sprawdzić swojej skrzynki kontaktowej, by przekonać się, czy może wreszcie przystąpić do wykonywania powierzonego jej przez tych drugich zwierzchników zadania. Po namyśle jednak uznała, że byłoby to zupełnie bezcelowe. Gdyby bowiem próba usunięcia Wiktora Adamczewskiego doszła do skutku i zakończyła się

sukcesem, to jego likwidacja z pewnością odbije się głośnym echem w całym budynku. Więc na pewno zdoła coś usłyszeć lub dostrzec.

Nie było więc potrzeby, by udawać się do skrzynki kontaktowej. Zresztą Zofia dobrze pamiętała, że powinna używać jej tylko w wypadku zaistnienia okoliczności specjalnych lub w celu umówienia spotkania bezpośredniego z oficerem prowadzącym. Były to procedury zabezpieczające, które miały zminimalizować ryzyko wpadki. Czuła więc, że sama nie powinna używać jej lekkomyślnie, do tak błahych celów. Nie chodziło jej nawet o gniew bolszewików, tylko o własne bezpieczeństwo. Po cóż miała wystawiać się na ryzyko wpadki, jeśli nie było ku temu absolutnie naglącej potrzeby?

Raz już bowiem naraziła się na niebezpieczeństwo, gdy zlecała dorobienie klucza do sejfu, ale wtedy do podjęcia ryzyka zmuszała ją konieczność. Nie mogła przecież zdać się w tak ważnej i niebezpiecznej sprawie na kogoś innego. A samo niebezpieczeństwo nie wydawało jej się wówczas tak wielkie. Jakaż była naiwna! Nie przewidziała zwykłego, głupiego przypadku, który w takich sprawach zwykł odgrywać decydującą rolę. Diabli nadali tego szczeniaka – pomyślała, sunąc za tłumem i przyglądając się wystawom sklepowym. Widziałam go przecież ledwie raz w życiu i to tylko przez krótką chwilę.

Tu jej myśli mimo woli popłynęły ku osobie Wiktora. Zastanawiała się, dlaczego ten młodzieniec, którego widziała ledwie przez kilka sekund, stał się jej wrogiem. Sekunda! Sekunda! Przecież ona nawet nie pamiętała rysów jego twarzy (za co w skrytości ducha była wdzięczna losowi). A mimo to wydała na tego człowieka wyrok śmierci. Tak – ona. Splamiła ręce jego krwią, a sumienie zbrodnią, choć nie będzie wiedziała, jak się wszystko odbędzie. Ale to nie zmieniało w niczym faktu, że właśnie ona posłała go na śmierć. Młodego chłopca, przed którym dopiero

otwierało się życie. Mógł się zakochać, ożenić z piękną kobietą i żyć – ponad wszystko żyć! Ale to nigdy się nie wydarzy, ponieważ na jego drodze los postawił ją.

Zofia otarła łzę, która pojawiła się w kącikach oczu i cienką, srebrną strużką spływała wzdłuż policzka.

Wszystko to stanie się dlatego, że oboje wmieszali się w świat ludzi, którzy kierują ich losem zza kunsztownie zdobionych biurków. Ona też nie robiła tego, co chciała, nie szła tam, dokąd pragnęła dotrzeć. Mój Boże! Czy jeszcze kilka miesięcy temu ona, Zofia Jakimowicz, potrafiłaby w ogóle wyobrazić sobie siebie w takiej roli jak obecnie? Przecież wtedy była jeszcze tylko jedną z miliona kobiet, które wojna uczyniła samotnymi i zmusiła do walki o przetrwanie. I walczyła. Szło jej raz lepiej, raz gorzej. Gdy Dobrowolski złożył jej ofertę, której odrzucenie w tych czasach byłoby aktem wysoce lekkomyślnym, nie wahała się ani chwili i natychmiast ją przyjęła. Wówczas wydawało jej się, że wszystkie troski i kłopoty, które stały się jej udziałem, będą już tylko złym wspomnieniem, zepchniętym z czasem na dno świadomości.

Zofia omal się nie roześmiała. Powstrzymała ją przed tym tylko świadomość, że kobieta śmiejąca się na środku ulicy bez widocznego powodu mogłaby wzbudzić niezdrową sensację i trafić do szpitala dla obłąkanych. Nie mogła jednak powstrzymać lekkiego drżenia warg, gdy zastanawiała się nad własną ówczesną naiwnością. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że dla ratowania męża i wychowania syna we względnie dostatku stanie się bolszewicką agentką. Czy Penelopa zdobyła się na coś takiego?! Nie! Ona tylko za dnia szyla, a nocami pruć. I to ma być poświęcenie? Zofia sprzedała duszę diabłu. Za pieniądze i za szansę dla męża. I cóż z tego, że te pieniądze lepiły się od brudu i krwi, skoro tylko ona miała tego świadomość. A żyło się za nie i płaciło nimi równie dobrze, jak zwykłym, uczciwie zarobionym groszem.

Pogrążona w myślach Zofia nawet nie zauważyła, kiedy nogi same zawiiodły ją na plac Saski. Zorientowała się, gdzie się znajduje, dopiero wtedy, gdy stanęła przed budką wartowniczą i szlabanem, który blokował dalsze przejście. Wzdłuż niego chodził zaś wartownik, wystukując butami równy rytm i ciągle pokonując tę samą odległość.

Usłyszawszy, że ktoś nadchodzi, odwrócił się lekko z chrzęstem oficerek. Poznawszy Zofię, uśmiechnął się i rzekł:

– No, no. Takiej punktualności to życzyłyby sobie każdy pracodawca. Do pani zmiany jeszcze przecież zostało troszkę czasu. – Pokręcił głową i wyciągnął rękę po przepustkę.

Zofia uniosła brwi w geście wyrażającym zdziwienie, gdyż zwykle nie przestrzegano tego rytuału z tak dużą skrupulatnością. A przynajmniej nie wobec stałych pracowników budynku. I nie raz bywało, że wchodziła do służbowych pomieszczeń nienagabywana przez wartowników, a cała procedura bezpieczeństwa sprowadzała się do podniesienia szlabanu.

Tym razem, widać, było inaczej. Tak nagle odejście od rutyny musiało być czymś spowodowane. Zofia postanowiła mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Niedbałym ruchem podała wartownikowi stałą przepustkę, którą wyrobiono na jej nazwisko. Obojętnie obserwowała, jak mężczyzna pochyla się głęboko nad dokumentem, przyglądając się zdjęciu. Przez chwilę miała wrażenie, że przebije je nosem. Z trudem powściągała uśmiech.

– Gdyby nasi zwierzchnicy mogli widzieć, z jaką powagą podchodzi pan dziś do sprawdzania przepustek, to byłiby pełni podziwu.

– To tylko dzisiaj tak, bo jest odprawa kierownictwa – wyjaśnił, oddając jej przepustkę i podnosząc szlaban.

Zofia robiła wszystko, by nie dać po sobie poznać zdumienia, jakie ją ogarnęło na wieść o odprawie.

Idąc do wejścia, starała się nie przyśpieszać kroku, choć ogarniający ją niepokój ponaglił ją do pośpiechu. Chciała jak najszybciej się dowiedzieć, jakie przyczyny stały za zwołaniem narady ścisłego kierownictwa wywiadu. Zaczynała się obawiać, że być może wpadli na jej ślad. Może jednak Wiktor zdołał przekazać swoje informacje w inny sposób? Albo bolszewicy nie zdołali go zneutralizować, zanim spotkał się z pułkownikiem? Pojawiała się u niej momentami nieprzewyciężona chęć, by natychmiast stąd uciec, zabrać małego i zniknąć w szerokim świecie. Przez chwilę rozważała ten pomysł na poważnie, a nawet odwróciła się w stronę szlabanu, jakby podjęła decyzję i miała zamiar wprowadzić ją w życie.

Lecz trzeźwy rozsądek przypomniał jej, że pieniędzy ma niewiele. Dość wprawdzie, by normalny człowiek mógł się za nie urządzić w dowolnym miejscu na ziemi, ale jej sytuacja byłaby o wiele gorsza. Ucieczką przyznałaby się do winy, a ścigaliby ją wszyscy: zarówno Polacy, jak i Ruscy, którzy pomyślą, że urwała się ze smyczy. Na pewno nie będzie mogła żyć spokojnie w świetle dnia. Będzie musiała się ukrywać. A ten, kto się ukrywa, musi za wszystko drożej płacić, bo każdy może szantażować go wydaniem. Będzie musiała płacić za kwatery, żywność, przewodników. A przecież nie będzie uciekać sama, tylko z dzieckiem, które potrzebuje jeszcze wygod i starannej opieki. Tego jej oszczędności nie pokryją, a bez dziecka uciekać nie chciała i nie mogła.

Może nic jednak na mnie nie mają – pomyślała z nadzieją. Bo gdyby mieli, to zgarnęliby mnie prosto z mieszkania, nie czekając, aż ucieknę. Mogłabym przecież porzucić Stefcia, jak pewnie niejedna zrobiłaby na moim miejscu, chcąc własny kark przed katem osłonić. Oni nie mogą przecież wiedzieć, że wszystko, co robiłam i robię, dzieje się z troski o przyszłość i byt mojego chłopca. Tak. Nie mogą nic wiedzieć. Pewnie na froncie zaszło coś, co wymaga głębokich i długich narad.

To pomyślawszy, rozchmurzyła się i śmiało weszła do budynku. W środku utonęła zaraz w zwykłym rozgardiaszu, jaki panował w tym miejscu. Człowiekowi, który wkroczyłby tu prosto z ulicy, mogłoby się wydać, że ci wszyscy ludzie biegną bez określonego celu. Ale Zofia orientowała się już we wszystkim. Wiedziała, gdzie znajdują się pomieszczenia referatu technicznego. Znała ludzi odpowiedzialnych za łączność, których zadaniem było odbieranie meldunków spływających tutaj zarówno ze wschodu, jak i z zachodu. Podobnie było z ludźmi pracującymi w komórce legalizacyjnej, która zajmowała się tworzeniem wszelkiej maści lewych papierów, niezbędnych dla setek agentów rozsianych po całym świecie. Rozliczali ich ludzie z finansowego, których także znała.

Słowem, czuła się tu jak u siebie w domu. Dlatego sunęła pewnie korytarzami. Zofia w biegu pozdrawiała bliższych znajomych, tych, z którymi stykała się często podczas pełnienia swojej służby. Rozpoznawała też te twarze, których właściciele widywała niezwykle rzadko. Mijała pomieszczenia, których przeznaczenie znała, i takie, w których jej stopa nigdy nie postąpiła. Aż wreszcie weszła do pokoju, który znała najlepiej, albowiem spędzała tu większość czasu.

Kobieta stanęła w drzwiach, wsparła się dłońmi o futrynę i wytrzeszczyła oczy, tak dziwnym było to, co zobaczyła. Dziwnym i śmiesznym zarazem.

Oto nieznany jej dość otyły mężczyzna w skupieniu wpatrywał się w drabinę, na której szczeblach stała Gośka Jarzębowska. Kobieta z gracją przesuwiała zegar z kukułką, usiłując ustawić go prosto. Mężczyzna udzielał jej instrukcji.

– W prawo – mruczał. – Wyżej.

Jarzębowska za każdym razem precyzyjnie wykonywała instrukcję, aż wreszcie mężczyzna klasnął w rękę z ukontentowania i rzekł:

– No, teraz wisi prosto.

– Pewien jesteś? Nie będę drugi raz na drabinę wchodzić – zastrzegła Gosia.

– Prosto wisi – zapewnił Andrzej. – I nie ma piękniejszego widoku dla męskiego oka niż kobieta stojąca na drabinie. No, gdybyście jeszcze tych długich sukni się wyzbyły, to mogłybyście ukazać światu piękny widok. Ja tam stary, oczu nie wypatrzę. I dość czasu tu zmarnowałem, by jeszcze go więcej błędami marnować. Wam kobietom to się zdaje, że każdy może pazury piłować, a ozorem młócić. Nie każdy tylko meblowaniu pokoi może myśli poświęcać.

– Prawdę mówi – rzekła Zofia, wchodząc. – Choć nie w kwestii tego, co na nas szczeka. Prosto wisi, Gosiu.

Oboje obrócili głowy ku wchodzącej, a Gośka lekko zeskoczyła z drabiny. Nie przywitawszy się jeszcze z koleżanką, rzuciła okiem na położenie zegara i widocznie była z niego zadowolona, bo z uśmiechem pokiwała głową. Dopiero wtedy skoczyła witać Zofię. Przez dłuższą chwilę ścisnęły się wylewnie.

Andrzej przesunął się ku drzwiom, powłócząc nogami, i mruknął:

– Nastąpcie się!

Kobiety odskoczyły od siebie, zaskoczone jego słowami, a on przeszedł przez drzwi, mrugnawszy okiem do Gośki, co jednak umknęło uwadze Zofii. Ta bowiem patrzyła w tym momencie na lampę, której podwójne przeznaczenie jej tylko było znane. Z ulgą stwierdziła, że wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku. Przecież gdyby było inaczej, nie trzymano by jej wciąż tutaj. A i ona z pewnością przebywałaby w znacznie mniej przyjemnym miejscu, czekając na proces.

– Co to za człowiek? – zapytała Zofia, z której twarzy nie zszedł jeszcze rumieniec, objaw gniewu i oburzenia. – Tak sobie z nami



poczyna, jakby z gorszymi od siebie miał do czynienia. A przecież mamy równie poważne obowiązki jak wszyscy, którzy tu pracują.

– Nowy szef referatu technicznego – odparła Gośka, starając się, by jej głos brzmiał zupełnie naturalnie. – Złapałam go, jak wychodził z gabinetu pułkownika, żeby pomógł mi zawiesić ten przekłety zegar. Dostałam od państwa młodych, bo oni otrzymali nowy. Nie wypadalo nie przyjąć – skwitowała.

Zofia zasiadła za swoim biurkiem i zabrała się za porządkowanie rozłożonych na nim papierów. Jednocześnie cały czas dyskretnie przyglądała się lampie, która nadal wzbudzała w niej instynktowną nieufność, choć pobieżne oględziny, jakim poddała sprzęt, nie pozwoliły jej niczym uzasadnić. O uruchomieniu jej przy Goście nawet pomyśleć nie mogła.

– No, no, Zosiu, nie rozsiadaj się – skarciła ją żartobliwie koleżanka. – Ty nawet nie wiesz, jaki tu mamy dzisiaj sajgon. Dobrze, że przyjechałaś wcześniej, bo ja nie mam już siły skakać koło nich wszystkich. Dość się na weselu naskakałam. À propos, nie zdążyłam ci jeszcze za wszystko podziękować, a to przecież dzięki tobie mogłam w ogóle pojechać na to wesele.

Zofia czuła, że nie ma siły kłamać. Nie mogła ot tak sobie przyjmować wyrazów wdzięczności, jeśli wiedziała, że od jakiegoś czasu nie wykonywała rozkazów swoich zwierzchników ściśle i dokładnie. Gośka myliła się, sądząc, że to ona oddała jej wielką przysługę. To raczej Zofia była jej winna wdzięczność, bo gdyby sama nie przejęła wówczas tego listu, to dziś rozmawiałaby z prokuratorem. Ryzyko towarzyszyło jej bezustannie, ale nie miała już wyboru. To wszystko zaszło za daleko. Zdrajca nawet w czasie pokoju miałby spory problem z ocaleniem głowy, a cóż dopiero w czasie wojny. Zofia świetnie to rozumiała i wiedziała, że nie może się już wycofać. Swojej jedynej szansy upatrywała w uwolnieniu od służby u Dzierżyńskiego. Czekala tej chwili jak zbawienia. Lecz by nadeszła, musiała wykonać ostatnie zadanie.

Dlatego czujnie nadstawiała ucha i postanowiła nieco pociągnąć Gosię za język.

– A cóż to za ważne osoby nas dzisiaj odwiedziły, że we dwie wokół nich skakać musimy?

Teraz ostrożnie – pomyślała Gośka, nakazując sobie opanowanie. Wiedziała, że właśnie zaczyna grę i miała świadomość, iż jeśli chce ją wygrać, nie może sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Zbyt wiele bowiem od niej zależało. A chodziło przecież nie tylko o bezpieczeństwo państwa, ale – a może przede wszystkim – o jej własną przyszłość. Przeklinała teraz Zofię i własną nierozwagę, która kazała jej przedłożyć wesele nad odpowiedzialną, a zarazem dobrze płatną pracę. Nie powinna wyręczać się Zofią w niczym, ale obecnie nie miało to już najmniejszego znaczenia.

Jedyne, co mogła teraz zrobić, to dobrze zagrać swoją rolę, którą wyznaczył jej pułkownik Dobrowolski, i modlić się, by ten zechciał jej wybaczyć zlekceważenie obowiązków służbowych. Dlatego robiła wszystko, by nie pokazać Zofii, że jej uczucia wobec niej zmieniły się w ostatnim czasie diametralnie. Zofia nie mogła się zorientować, że najchętniej rozszarpałaby ją pazurami.

I jak na razie wszystko szło po jej myśli. Razem z Andrzejem zawiesili zegar, który bynajmniej nie spełniał tu tylko funkcji czasomierza. Ale ją niezbyt to obchodziło, bo się na tych sprawach nie znała i wolała pozostawić je w rękach Andrzeja. Ona miała wspomóc osaczenie Zofii i niby mimochodem przekazać jej kilka ważnych informacji. Jej drugim współnikiem był strażnik, który również otrzymał dokładną instrukcję, jasno mówiącą, co ma robić, a zwłaszcza mówić.

Goškę dziwiło nawet trochę, że sam Dobrowolski nadzoruje tę sprawę, pilnując z pietyzmem każdego szczegółu, jakby wystawiał przedstawienie teatralne. Gdyby to ona była na jego miejscu, to na pewno nie bawiłaby się w tak długą rozgrywkę, która wymagała

angażowania usług kilkudziesięciu ludzi. W tym kilku nieświadomie. Nie umiała sobie tego racjonalnie wytłumaczyć. Po co cała ta zabawa? Sztuczki, fortele, potrzaski. Przecież wystarczyło zapiąć Zofii kajdanki na przegubach dłoni, po czym należało odesłać ją do pierwszego lepszego więzienia, gdzie odpokutuje swoje winy.

Lecz nie miała czasu się nad tym zastanawiać, drzwi bowiem się otworzyły i ukazała się w nich głowa jednego z oficerów, który nienaganną polszczyzną zażyczył sobie kawy z mlekiem.

Skinęła na Zofię i z wyrazem napięcia na twarzy obserwowała, jak przygotowuje trunk. Modliła się, by wszystko poszło zgodnie z wcześniej przyjętym planem i Jakimowicz w niczym się nie zorientowała. Wydawało jej się, że jak do tej pory osiągała swój cel. A przynajmniej nie zauważyła niczego, co mogłoby świadczyć o czymś przeciwnym.

Zofia zakrzętnęła się szybko wokół przygotowania kawy. Starala się robić to w swoim zwykłym tempie. Nie chciała się zbyt szybko, by nie sprawiać wrażenia, że bardzo chce znaleźć się szybko w gabinecie Dobrowolskiego. Starala się zwalczyć drżenie dłoni, które udzieliło im się pod wpływem emocjonalnego rozchwiania, jakie stało się teraz jej udziałem. Modliła się, by Gośka niczego nie zauważyła. Bo niby jak miałyby wytłumaczyć się przed nią z objawów zdenerwowania, które przecież nie miało żadnego racjonalnego uzasadnienia?

Nie mogła jej wszak powiedzieć, że wejście do tego gabinetu było od dobrych kilku minut jej największym pragnieniem. Miała dziwne wrażenie, że za tymi drzwiami dzieje się coś ważnego. Ważnego na tyle, że z pewnością zainteresuje to bolszewików i przybliży dzień, w którym wreszcie zdoła się od nich uwolnić. Dlatego ucieszyła się, że los dał jej tak dogodny pretekst, który odsuwał od niej wszelkie podejrzenie, gdyż to nie ona wyszła z inicjatywą.

Kawę przygotowała szybko i sprawnie. Już po kilku minutach kunsztownie zdobiona filiżanka wypełniona była po brzegi parującym płynem. Szybkim ruchem zamieszała w nim kilkakrotnie, chcąc doprowadzić do zniknięcia białej zawiesiny, która unosiła się na powierzchni filiżanki. Ostrożnie postawiła ją na tacy i ruszyła w kierunku gabinetu Dobrowolskiego, przesłonięta oparem, który unosił się znad filiżanki.

Po chwili znalazła się w pomieszczeniu, które również dobrze znała, ponieważ często w nim przebywała, dostarczając kawę lub to, czego od niej zażądano. Zaraz po wejściu dostrzegła jednak, że zaszły tu pewne niewielkie, ale istotne zmiany.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy niemal natychmiast po wejściu, był brak biurka, przy którym zwykle pracował pułkownik Dobrowolski. Miejsce tego mebla nie pozostało jednak puste, zajął je bowiem ogromny stół konferencyjny. Zofia dostrzegła też, że drzwi obito tkaniną, której jedyną funkcją musiało być pochłanianie dźwięku. To upewniło ją w przekonaniu, że dzieje się tu coś, co władze polskiego wywiadu bardzo chcą ukryć i utrzymać w tajemnicy. Dlatego tym bardziej należało się dowiedzieć, co to takiego.

O tym, że działo się tu coś bardzo ważnego, świadczyły nie tylko niewielkie zmiany w umeblowaniu, ale i to, kto siedział za stołem konferencyjnym. Zofia od jednego rzutu oka rozpoznała szefów wszystkich referatów i Krzysztofa Kossowskiego, mającego organizować nową ekspozyturę, która wedle ambitnych planów snutych przez Dobrowolskiego miała mieć swoją siedzibę w Poznaniu. Lecz Zofię najbardziej zainteresował nieco otyły jegomość w czarnym garniturze z tegoż samego koloru muszką zawiązaną pod szyją. Jego nalana, okrągła twarz sprawiała wrażenie poczciwca. Kogoś, kto pohušta dziecko i przeprowadzi staruszkę przez jezdnię. Zofia poczuła jednak na sobie jego wzrok, którym przesuwał wzdłuż linii jej ciała, i natychmiast odgadła, że

ma do czynienia z jednym z tych lubieżnych satyrów, którzy sprawowanej przez siebie władzy używają jako afrodyzjaku.

Ale kim był ten człowiek? I dlaczego siedział u szczytu stołu? Na pewno nie był oficerem wywiadu. O to mogła zakładać się w ciemno, gdyż tym zawodzie nie widywało się ludzi otyłych, dobra kondycja była bowiem jednym z warunków umożliwiających przetrwanie. Dlaczego więc sprawiał wrażenie pewnego siebie i zachowywał się tak, jakby miał prawo rozkazywać tu wszystkim, nie wyłączając pułkownika?

Dostrzegła, jak skinął na nią ręką. Jego napuchnięte palce przypominały Zofii serdelki. Starala się nie pokazać po sobie grymasu obrzydzenia. Dobrze wiedziała, co siedzi w tej głowie. Znała ten typ ludzki. Zresztą czuła, jak rozbiera ją wzrokiem. Przemogła się jednak i postawiła przed nim tacę, starając się nie wychylać przy tym za bardzo do przodu, by nie mógł zajrzeć w jej dekolt.

Przez twarz mężczyzny przeszedł grymas niezadowolenia, ponieważ odgadł jej intencje. Nie tając więc złęgo humoru, przyjrzał się zawartości filiżanki i uśmiechając się wzgardliwie, rzucił do pułkownika:

– Niezbyt sprawną macie tu obsługę. Mówiłem przecież wyraźnie, że chcę dostać czarną kawę z cukrem, a tu widzę mleko. Czyżby pańska sekretarka nie umiała pojąć i wykonywać prostych poleceń? A może trzyma ją tu pan ze względu na jej niezaprzeczalne walory pozaintelektualne?

Dobrowolski poruszył się lekko na krześle, ale nic nie odpowiedział. Na twarzy Zofii pojawiło się zmieszanie, a wszyscy inni spuścili oczy, jakby zawstydzeni zuchwałością wywodu tajemniczego mężczyzny. Ten jednak, czy to nie spostrzegł się na niczym, czy nie chciał się spostrzec, bo kontynuował z całą swobodą:

– No nie dziwię się, bo ta panna mogłaby zawrócić w głowie świętemu. Ale jest to jednocześnie najlepszym dowodem mądrości naszych posłów, którzy postanowili poddać działalność pańskich ludzi kontroli parlamentarnej i to mnie powierzyli nad nią nadzór. Podobnie rzecz ma się ze sprawą śmierci niejakiego Wiktora Adamczewskiego, którego zabójstwo stanowi ciemną plamę w jakże krótkich dziejach naszego wywiadu.

Zofia poczuła, jak uginają się pod nią nogi, dlatego szybko wsparła się o ścianę, by nie upaść. Przez chwilę niepokoila się, czy ktoś nie zauważył jej nagłego osłabienia, dlatego pośpiesznie przyjrzała się wszystkim. Z ulgą stwierdziła, że nikt nie zwrócił na jej zachowanie najmniejszej uwagi. Wszystkie oczy skupione były na Dobrowolskim, który zmrużył brwi i rzekł:

– Panie pośle, cywilna kontrola nad służbami specjalnymi jest czymś zgoła naturalnym w każdym państwie demokratycznym. I ani ja, ani żaden z moich ludzi nie przeciwstawiamy się temu. Wręcz przeciwnie. Przyjmujemy pana godnie, z szacunkiem należnym osobie, która sprawuje mandat poselski w najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Przewodniczy pan naszym pracom, choć jako cywil ma pan niewielkie pojęcie o funkcjonowaniu, technikach pracy i działaniu wywiadu.

Przez twarze obecnych na odprawie oficerów przemknęły nieznaczące uśmiešky, które zapewne miały wyrażać pełną aprobatę dla słów pułkownika. Niechęć względem siebie, jaka od niepamiętnych czasów charakteryzuje relacje cywili i wojskowych, była bowiem wśród obecnych jeszcze silniejsza, gdyż każdy z nich zdawał sobie sprawę, że człowiek, który ma im przewodniczyć, nie ma żadnych predyspozycji w tym kierunku. Dlatego właśnie zgromadzeni tu mundurowi w sposób tak dotkliwy odczuwali konieczność posłuszeństwa względem posła.

Być może łatwiej byłoby im pogodzić się z nową sytuacją, gdyby sam poseł był człowiekiem zacnego charakteru. Niestety,

mężczyzna ten kompletnie nie zdawał sobie sprawy ze swoich braków i w dodatku ciągle pchał się na piedestał. I dobrze mu się wiodło, gdy był tylko szeregowym posłem, bo język, za pomocą którego wygłaszał sążniste i pełne patosu przemówienia, stał się dlań trampoliną do szerszej kariery. Ale na nowym stanowisku stał się tylko zawadą, która utrudniała harmonijną współpracę z kierownictwem wywiadu.

Uczestnicząc w naradach, zabierał głos w niemal każdej sprawie. Zapewne w przekonaniu, że jego opinia wnosi coś wartościowego do dyskusji. W rzeczywistości poseł nie znał się po prostu na niczym. A w jego przemówieniach więcej było kwiecistej retoryki i wyszukanych zwrotów niż dobrych rad, których zresztą nikt od niego nie oczekiwał. On jednak nie zdawał sobie z tego sprawy i w niczym nie zmienił swoich zwyczajów, przyczyniając się jeszcze do wzrostu niechęci do siebie. Na dodatek zaczął się wprost wtrącać w sprawy operacyjne.

A to było już bardzo niebezpieczne. Jego dyletanctwo, połączone z ogromną dumą, jaka go cechowała, mogło bowiem stać się przyczyną strat w ludziach i klęsk, których skutki mogły być dalekosiężne. Wszyscy światli ludzie pracujący na szczeblu kierowniczym zdawali sobie sprawę z możliwości zaistnienia takiego niebezpieczeństwa. Nikt otwarcie nie chciał jednak wystąpić przeciwko Zbigniewowi – bo tak miał ów nieszczęśnik na imię – którego kompetencje i zakres władzy były na tyle niejasne, że w praktyce dawały mu prawo do wtrącania się w niemal wszystkie aspekty działalności wywiadowczej. Szemrano więc tylko po cichu i słano skargi do Belwederu z nadzieją, że naczelnik zajmie się sprawą.

Piłsudski i bez przypominania pamiętał, jak ważną rolę miały do spełnienia wywiad i kontrwywiad, zwłaszcza w czasie konfliktu zbrojnego toczącego się od pewnego czasu na wschodnich rubieżach państwa. Rozumiał też rangę niebezpieczeństwa, jakie

mogło wynikać z nadmiernego wtrącania się kierownictwa cywilnego w sprawy tej na wskroś wojskowej instytucji. Miał jednak ważne powody natury politycznej, które utrudniały mu podjęcie interwencji w tej sprawie. Wiedział przecież dobrze, że panowie posłowie złym okiem patrzą na jego szerokie kompetencje, dzięki którym mógł wedle własnej woli kreować politykę państwa. To nie mogło podobać się przedstawicielom obu izb parlamentarnych, którzy woleli, by pełnia władzy spoczywała w ich rękach. Nie było więc rzeczą dziwną, że z przedstawicielami tych instytucji łączyła go raczej starannie maskowana niechęć, która nie zmieniła się w otwartą wrogość jedynie dzięki racjonalnemu zachowaniu obu stron. Strony tego konfliktu kompetencyjnego zdawały sobie bowiem świetnie sprawę, że otwarta walka dałaby korzyść jedynie postronnym wrogom. Nie było więc rzeczą dziwną, że naczelnik nie szukał nowych pól konfliktu i unikał ich, jeśli tylko miał ku temu możliwość. Sprawa Zbigniewa tkwiła więc w zawieszeniu, stając się dla wszystkich utrapieniem.

– Chwalicie się czymś, co jest waszym obowiązkiem – odrzekł zimno Zbigniew. – Naród ma prawo wiedzieć, w jaki sposób są wydawane ofiarowywane przezeń pieniądze.

– Z tym pełna zgoda – rzucił Kossowski, pochylając się nad stołem. – Dobrze pamiętamy, czyje pieniądze wydajemy, dlatego każdą markę trzy razy w palcach obracamy. A kto mym słowom nie wierzy, ten niech rozliczenia finansowe sprawdzi, których bynajmniej nie ukrywamy. Ale społeczeństwo ani pan nie zacie się na grach operacyjnych i nic o nich wiedzieć nie powinniście. Choćby po to, by w razie fiaska danej gry można było zaprzeczyć, że w ogóle się toczyła. – Skłonił się. – A wy nie tylko mówicie o nich otwarcie, ale i życie nasze współpracownicy.

– Nikt nikogo nie łży. A to już najniewinniejszego komplementu powiedzieć nie można, bo się zaraz boczycie? A w moje



kompetencje nikt z was wchodził nie będzie i nie przed wami się z moich działań będą spowiadał. O tym, że wasz pułkownik źle sprawami kieruje, nie tylko ja świadczę, lecz i wypadki. Sowietcy agenci hulają po kraju i mordują waszych ludzi, jak zamordowali tego szczeniaka, za którego przyczyną się spotkaliśmy. Na szczęście nieznaczną to persona, po której tylko najbliżsi płakać będą. Lecz co będzie, jeśli Sowietci na naczelnika albo na marszałków obu izb zasadać się zaczną? Kto ich osłoni i tamtych powściągnie?

– Albo i na posłów – rzucił drwiąco Kossowski, patrząc kpiąco w oczy Zbigniewa.

Tamten dostrzegł, że mu rzucają wyzwanie, i zmarszczył brwi. Gniew poruszał mu serce, ale jeszcze pamiętał, że oficer ten nie jest oficerem Armii Polskiej, lecz Wielkopolskiej i skutkiem tego żadnym sposobem jego władzy nie podlega. I może właśnie dlatego poczynał z nim sobie Kossowski tak zuchwale. Z nim, posłem Rzeczypospolitej, który wraz z innymi prawo w niej stanowił i władzę sprawował.

– Tanie wam życie posłów, a miłsze tego szczeniaka? Sam słyszałem, jak pułkownikowi Dobrowolskiemu, tu przy tym stole powiedzieliście z żalem, że was spod żony wyciąga. I może dlatego zgodziliście się nową ekspozyturę pokierować, by jej ramion nie opuszczać. Ale ja ci w oczy powiem, że przeciw temu ja będę.

Kossowski poczerwieniał, zęby obnażył i dłonie w pięści ścisnął. I nie wiadomo, do czego by doszło, bo choć był to człowiek spokojny, to do żony tak przywiązany, że kto ją przy nim obraził, ten głowę śmierci pod kosę podstawiał, lecz Dobrowolski, który zręcznie wypadkami sterował, prowadząc je do z góry zaplanowanego przez siebie końca, teraz spostrzegłszy, że mu się aktorzy z ram fabuły wymykają, wmieszał się szybko i rzekł:

– Każde łyzy jednakowe. A i w tym pan poseł ma rację, że nie przede mną odpowiada. Do klęsk także się przynaję. I jeśli

jakikolwiek sąd zechce mnie w stan oskarżenia postawić, to się przed jego obliczem pojawię. A przed panem teraz się usprawiedliwię, przekazując wszelkie tajne materiały do waszej dyspozycji, byście mogli dzięki nim wyrobić sobie wiarygodny osąd na temat podjętych przeze mnie działań.

To rzekłszy, odwrócił się do Zofii, która wciąż stała wsparta o ścianę, nie gubiąc ani jednego słowa z prowadzonej w jej obecności rozmowy.

– Pani Zosiu – rzekł uprzejmie – proszę, aby opuściła pani to pomieszczenie, bo nie ma pani certyfikatu dostępu do informacji niejawnych. Zapomnij o tym, co tu usłyszałaś. A teraz idź i przekaz Gosi, żeby zrobiła naszemu gościowi czarną kawę z cukrem, którą wypije po spotkaniu.

Zofia omal nie przegryzła sobie wargi, tak bardzo chciała tu zostać. Ale nie miała wyjścia.

Jerzy odprowadził ją wzrokiem. Począł, aż zamkną się za nią drzwi, po czym rzekł:

– Przekażę panu tajne dane, a zacznę od świeżo otrzymanego planu działań wywiadowczych, który dostaliśmy niedawno ze Sztabu Generalnego.

Zignorował zdumione spojrzenia własnych ludzi, którzy dobrze wiedzieli, z jaką niechęcią patrzył dotychczas na wszędobylstwo Zbigniewa. Dlatego nie umieli wytłumaczyć sobie jego obecnej uległości, jaką okazywał względem posła. On zaś nie miał zamiaru im niczego wyjaśniać. Zawsze bowiem trzymał się zasady, że o grze powinni wiedzieć tylko ci, którzy byli niezbędni dla jej sprawnego przeprowadzenia.

Jerzy wstał, podszedł do sejfu, wprowadził szyfr i wyjął z niego dużą taczkę, która zawierała plan stworzony przez Andrzeja. Gdyby mógł, pomodliłby się, by ten dobrze wykonał swoją robotę. Wiedział, że nawet jeśli jego kombinacja się powiedzie i Sowietci odbiorą te materiały, to nim uwierzą w ich autentyczność,

poddadzą je intensywnemu sprawdzeniu. Uśmiechnął się, nie mógł przecież wymagać od nich niedbalstwa. Podał teczkę uśmiechniętemu od ucha do ucha Zbigniewowi. Jerzy czuł, że zaczyna ogarniać go gniew. Lecz zaraz przypomniał sobie, że poseł nie będzie się uśmiechał, gdy on doprowadzi swój zamiar do końca. Postanowił bowiem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Ciekawe, ile byłoby z niego tłuszczu – pomyślał.

Skarcił się za tę myśl. Zwłaszcza że sam zaniedbał się mocno pod tym względem – z niechęcią spojrział na lekko odstający brzuch i po raz kolejny obiecał sobie, że znajdzie te dwie godziny na systematyczne treningi.

Jerzy usiadł na swoim miejscu i dla pozorów przeciągnął jeszcze odprawę o kilkanaście minut, choć najchętniej już by ją zakończył, by wreszcie przejść do decydującego fragmentu opracowanej przez siebie gry. Wreszcie jednak zabrakło mu materii do omówienia, stąd zakończył naradę. Przez chwilę nasłuchiwał szurania krzeseł i kroków wychodzących.

– Zaczekaj – mruknął do Kossowskiego, który jako ostatni zabierał się do wyjścia. – Zobaczysz coś ciekawego. – To rzekłszy, podszedł do sejfu, odsunął go, odsłaniając ukryte za nim drzwiczki. Uśmiechnął się do zdumionego pułkownika i otworzył je.

Za drzwiczkami umieszczony był niewielki otwór, przez który widać było wahadło zegara, a zarazem to, co dzieje się w pomieszczeniu obok. Obaj pochylili głowy i wbili oczy w okrągły otwór. Teraz mogli zobaczyć, jak Gośka jednym niezręcznym ruchem łokcia rozlewa kawę prosto na spódnie Zbigniewa. Krzysiek chciał parsknąć śmiechem, ale Jerzy zapobiegł temu, łapiąc go mocno za rękę i kładąc przy tym znacząco palec na ustach.

Obaj więc obserwowali w milczeniu, jak kobiety próbują uspokoić rozhisteryzowanego posła, który z zaangażowaniem macha dłońmi i krzyczy, pomstując. Wreszcie Gośka wyprowadziła

go z pomieszczenia. Została w nim tylko Zofia. I teczka. Kobieta rozejrzała się czujnie dokoła. Obaj odskoczyli, kiedy przez chwilę jej oko zawisło na zegarze. Szanse na to, by ich dostrzegła, były wprawdzie minimalne, ale woleli nie ryzykować. Wrócili na stanowiska, gdy tylko ona podeszła do teczki.

Otworzyła ją i wyjęła plan, po czym schowała go w szafce swojego biurka. Następnie zapięła teczkę na wszystkie zatrzaski i jakby nigdy nic, usiadła na swoim miejscu.

Jerzy odsunął oko od otworu, po czym zamknął drzwiczki i zadbał o to, by ich położenie osłaniał sejf. Następnie spojrzął na Kossowskiego, który patrzył na niego z niekłamanym podziwem.

– A co? Fachowa robota.

– Ty to zaplanowałaś? Od kiedy wiesz, że twoja sekretarka sypie? Zgaduję, że treść tego planu, który ona nam wykradła, nie ma nic wspólnego z jego rzeczywistą treścią?

– Wiem od niedawna – przyznał. – I tylko dzięki szczęśliwemu splotowi pewnych okoliczności. – Uśmiechnął się, bo przed oczami stanęła mu Beata i to bynajmniej nie obciążona ubraniami. – Pomógł mi też Wiktor. Chłopak żyje, ale to zachowaj dla siebie. Uff, kamień spadł mi z serca.

– Myślisz, że ich technicy nie zauważą fałszerstwa? – powątpiewał Krzysiek.

– Nie wiem, ale za to wiem, że nie mogłem pominąć takiej okazji, która sama wpadła nam w ręce. Jeśli nam się uda, to oni uwierzą, że nasze działania wywiadowcze mają służyć tylko przygotowaniom do obrony, a nie do ataku. Zresztą to moja rzecz. Ty pilnuj spraw poznańskich.

Kossowski uśmiechnął się lekko, bo zrobił już w tym kierunku pewne kroki. Znalazł między innymi lokalizację posterunków oficerskich i zaczął rozglądać się za wartościowymi ludźmi, których warto by pozyskać do współpracy.

– Wszystko dobrze. A i żona blisko. Cieszę się, że mogę być blisko niej, dziękuję. – Wyciągnął rękę na pożegnanie.

Jerzy uściśnął ją krótko, po męsku.

– To fantastyczna kobieta – odparł. – Ucałuj ją ode mnie, tu i ówdzie.

Krzysiek parsknął śmiechem i wybiegł z gabinetu. Jerzy patrzył za nim przez chwilę i nagle poczuł się bardzo samotny. Uświadomił to sobie teraz w całej rozciągłości. Patrząc na szczęście człowieka, które mogła i umiała zapewnić tylko kobieta.

A ja bronię ich szczęścia – pomyślał, zasiadając u szczytu pustego stołu.

## Rozdział II

Kłęska projektu polityczno-wojskowego Wiosennego Słońca sprawiła, że jego ojcowie wyrzekli się dziecięcia, które zamiast obiecanych korzyści dało tylko troski i szkody, które należało naprawiać pod międzynarodową presją. Polityczna burza zachwiała kilkoma większymi karierami i zrujnowała kilka mniejszych. A ludzie najbardziej zaangażowani musieli na chwilę usunąć się w cień, by ująć spod pręgierza opinii publicznej. Lecz czas pozwolił im zapomnieć o upokorzeniu i wylizać się z ran, jakie Polacy zadali ich dumie.

Niemiecki wywiad nie mógł pójść śladem polityków, choć zapewne czuł się nie mniej upokorzonym. Lecz miał pilniejsze sprawy niż rozpamiętywanie własnej kłęski. Niepowodzenie Wiosennego Słońca lepiej niż cokolwiek innego przekonało niemieckie koła wojskowe, że na wschodzie rodzi się nowy, groźny przeciwnik, którego poczynania należy obserwować z uwagą. Polska bowiem dowiodła, że z każdym wrogiem z osobna potrafi sobie poradzić. I to nie tylko orężnie zwalczając jego zakusy, lecz torpedując i te, które powstawały w zaciszu gabinetów polityków.

Drugi wniosek był znacznie gorszy od pierwszego – nawet dla najgłupszej głowy w Berlinie oczywistym było, że Polacy mają pod ich bokiem swoją siatkę wywiadowczą. Wszyscy zdawali sobie sprawę ze znaczenia tego faktu, który potwierdzały wypadki. A przecież nikt nie wątpił, że podstawowym warunkiem

zapewniającym powodzenie każdym dalekosiężnym państwowym planom jest zachowanie ich w tajemnicy.

Właśnie dlatego niemiecki kontrwywiad rozpoczął niemal od razu intensywne śledztwo, które miało dać odpowiedź na pytanie, gdzie nastąpił przeciek, który doprowadził do polityczno-dyplomatycznej kompromitacji na arenie międzynarodowej. Dlatego nie szczędzono sił i środków, by sprawę naświetlić, i postawiono na nogi cały wywiad i kontrwywiad. Presja i ponaglenia przybierały na sile wraz z upływającym czasem.

Johann Wolf przesunął z niechęcią wzrokiem po siedzących przy stole ludziach. Od tygodni widział wciąż te same twarze. I nic się w tej kwestii nie zmieniło. Jedynie objawy zmęczenia, widoczne u wszystkich, stały się jeszcze bardziej dostrzegalne. Przyglądał się tym pozółkłym licom i mimo woli zaczynał się zastanawiać, czy sam nie wygląda podobnie. Doszedł do wniosku, że nie zdziwiłby się, gdyby tak właśnie było. Od tygodni przecież sypiał ledwie po kilka godzin dziennie. Sprawdzał każdy trop, każdą nawet najbardziej nieprawdopodobną hipotezę i jak dotąd zawsze natrafiał na ślepią uliczkę. Zaczynał dostrzegać, że przydzielonych do jego dyspozycji ludzi ogarnia zniechęcenie i zaczynają tracić wiarę w jego umiejętności przywódcze.

Johann ich rozumiał. Sam powoli tracił nadzieję na wyrwanie się z obecnego marazmu. Czuł się, jakby zamknięto go w małej wąskiej celi i zmuszono do miotania się od jednej ściany do drugiej, a on nie widział wyjścia. A przecież nie miał sobie nic do zarzucenia. Zrobił wszystko, co powinien był zrobić oficer wywiadu, by rozwiązać sprawę. Szukał kogoś, kto funkcjonował na styku polskiego i niemieckiego środowiska. Po prostu jak na razie zabiegi te nie dawały zadowalających rezultatów.

Cierpliwość jego zwierzchników się wyczerpywała. Czuł się tak, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Wszyscy żądali wyników,

a pułkownik Nicolai raportów. On zaś nie miał do zameldowania niczego, co miałyby większą wartość niż makulatura.

Wiedział, że pułkownik nie będzie go wiecznie osłaniał i w końcu zażąda wyników, a jeśli ich nie dostanie, to nie będzie się dłużej wahał, tylko odda jego głowę Hindenburgowi. Tylko tak będzie mógł ułagodzić jego gniew.

Ponownie potoczył przekrwionymi oczami po obecnych. Tak naprawdę nie wiedział, na którym z nich może polegać jak na Zawiszy ani kto z nim pozostanie. Nie znał ich zbyt dobrze. Przydzielono mu ich tylko do tej sprawy, bo miała najwyższy priorytet. Poza tym nie miał pojęcia, jaki wpływ na kształt jego grupy śledczej będą miały uchwały podjęte w Wersalu. Wiedział tylko, że znaczna część tych ludzi zostanie zmuszona do odejścia, gdyż wywiad czeka reorganizacja, która zostanie przeprowadzona pod francuskim nadzorem. Pamiętał przecież, o czym jego szef rozmawiał z Hindenburgiem.

Mieli mnie ratować, ale jeśli zawiodę, wywalą mnie bez sentymentów – pomyślał. I co ja wtedy będę robił? Niemal całe dorosłe życie zmarnowałem na szkolenia, które w cywilnym życiu będą mniej warte niż ukończony kurs stolarski... Ale jeszcze nie przegrałem. Na rozpamiętywanie i wyciąganie wniosków z porażki przyjdzie jeszcze czas, a na razie trzeba dołożyć wszelkich starań, by mimo przeciwności losu odnieść zwycięstwo.

– Panowie – zaczął – przez ostatnie tygodnie przyglądaliśmy się wszystkim politykom i oficerom, którzy mieli choćby minimalną wiedzę o przygotowaniach do realizacji Wiosennego Słońca. Szukaliśmy jakiegokolwiek związku między nimi a środowiskiem polskim. Każdy z was dostał do przejrzania jednego człowieka. Czy macie im cokolwiek do zarzucenia?

– Panie poruczniku, ja chyba coś mam – stwierdził jeden z oficerów. – Przyglądałem się generałowi von Seecktowi. Obserwacja, którą zleciłem, pozwoliła stwierdzić ponad wszelką



wątpliwość, że często odwiedza on pewną kamienicę. Znika w niej czasem nawet na kilka godzin.

– Poszedłeś tym tropem? – spytał Johann, w którym odżyła nadzieja, że jego pierwsze w pełni samodzielne śledztwo nie zakończy się jednak zupełną klęską.

– Tak. Jeden z naszych ludzi wypytał o wszystko stróża i dowiedział się ciekawych rzeczy. Mianowicie z jego relacji wynika, że nasz generał bywał częstym gościem u niejakiej Gerdy Leszke.

Oficer przerwał i zaczął przeszukiwać rozłożone przed nim papiery. Przez chwilę w całym pomieszczeniu słychać było wyłącznie szelest przekładanych kartek. W końcu jednak znalazł najwidoczniej tę, której szukał, bo uniósł się ze swego miejsca i podał Johannowi papier.

Ten trzymał go przez chwilę w rękach i przebiegał przezeń oczami. Był to życiorys panny Gerdy wraz z dokładnym opisem jej kariery prasowej.

– Koncern medialny starego Alfreda – mruknął Johann, odkładając papier na bok. – Nieźle jak na tak młodą osobkę. Naturalnie możemy zakładać, że różańca to oni przez te godziny nie odmawiają. Ale to nie nasza rzecz. Chyba że pan von Seeckt przekazuje naszej dziennikarce ściśle tajne informacje, na podstawie których ta pisze swoje artykuły. Jeśli ma jakieś związki z Polakami, to my jesteśmy w domu, a pan generał drogo zapłaci za szukanie pozamałżeńskich przyjemności. – Mówiąc to, Johann wbił pytające spojrzenie w oficera, lecz bynajmniej nie usłyszał niczego pocieszającego.

– Ta kobieta jest największym polakożercą w całym koncernie. I do naszych niewdzięcznych poddanych z byłej prowincji poznańskiej żywi tylko negatywne uczucia. W czym zresztą nie różni się zbyt od pana generała.

Przez twarze obecnych przebiegły ledwie dostrzegalne uśmieški. Wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, czyjemu poparciu zawdzięczał Hindenburg fakt, że jego śmiały plan w ogóle został zaakceptowany. Jedynie Johann zachował zupełną powagę. Wiedział bowiem, że to na niego spadną zarówno zaszczyty, jeśli się uda, jak i pełna odpowiedzialność za klęskę, gdyby cała sprawa zakończyła się niepowodzeniem.

– Nieprzyjazne uczucia generała dla Polaków znamy wszyscy – rzekł ze źle maskowanym zniecierpliwieniem. – Ale ja chcę wiedzieć, co jest ich powodem w przypadku panny Gerdy. Bo nie wiem, czy panowie zdajecie sobie z tego sprawę, ale Polacy wiedzieli o tym, że szykujemy coś w Wielkopolsce znacznie wcześniej, niż nam się wydaje. Tu ja sam mogę służyć za świadka, bo wszystko tam działo się niemal na moich oczach, gdyż tam wtedy byłem.

Johann patrzył z pewnym zniecierpliwieniem, jak oficer przegląda zgromadzone przez siebie materiały. Starał się nie ulegać emocjom, ale mimo tych usiłowań czuł, jak powoli ogarnia go coraz większa złość. Sięgnął po szklanę z wodą, by zająć czymkolwiek ręce. Dziwił się, że woda wciąż znajduje jakiś sposób, by przecisnąć się przez jego gardło. On sam miał wrażenie, jakby miał w nim gigantyczną kulę. Wiedział, że tak objawia się stres i strach. Ale teraz rozpoznawał jego nowy rodzaj. Dotychczas bowiem te uczucia towarzyszyły mu tylko w walce. Nigdy zaś za stołem konferencyjnym, w pozornie bezpiecznej siedzibie wywiadu.

Teraz miał wrażenie, że na polu walki był bardziej bezpieczny niż tutaj. Tamten świat bowiem znał. Wiedział, jak postępować, by nie dać się zabić. Ale tu – pośród intryg, spisków, zdrad i zmiennych sojuszy, których pełna była siedziba wywiadu – czuł się bezbronnym. Ileż by dał, żeby znowu rzucili go na jakąś

placówkę, żeby mógł znowu pograć się w zwykłej wywiadowczej robocie. Choćby nawet do Poznania.

Uśmiechnął się do wspomnień. To były jego szczenięce lata. To właśnie tam przez cztery lata uczył się rzemiosła i poznawał fach. Tam rozgrywały się jego pierwsze kombinacje wywiadowcze. Szły je własnymi rękoma, spędzając nieraz długie godziny nad szczegółowym doprecyzowaniem każdego pociągnięcia. Tam werbował swoich pierwszych – i jak na razie ostatnich – agentów operacyjnych. Tam wreszcie przeżywał swoje pierwsze przygody.

Ciekawe, jak radzą sobie moje miłe panie – pomyślał z rozrzewnieniem. Wiktoria pewnie zabiera się za siew. Czy powiedziała o mnie mężowi? A Alicja?

– Ona obwinia Polaków za śmierć ojca – głos oficera wyrwał Wolfa ze szponów wspomnień. – Musiałem trochę pogrzebać w archiwum wojskowym, ale wreszcie znalazłem wielce interesujący raport, który rzuca trochę światła na te sprawy. Ojciec panny Leszke był znakomitym żołnierzem, wielokrotnie chwalonym za męstwo i odwagę okazane w boju. Dostał nawet Krzyż Żelazny.

Johann słuchał jednym uchem dalszego ciągu tej historii, bo był już pewien, że nie doprowadzi go ona do szczęśliwego rozwiązania tej sprawy. Okazało się, że ojciec Gerdy dowodził oddziałem złożonym w większości z Polaków. Walczyli oni za sprawę cesarską dość wiernie, dopóki nie zamajaczyła im na horyzoncie ich własna. Wtedy zdezerterowali z pozycji, pozostawiając ojca Gerdy i ledwie kilkunastu Niemców. Pech albo dobre rozpoznanie sprawiły, że tej samej nocy na niemal ogołoconą z obrońców pozycję uderzyli Rosjanie. Obrona nie miała więc sensu, ale stary Leszke wolał zginąć niż splamić swój honor ucieczką. Nie miał jednak tyle szczęścia. Rosjanie pozostawili go bowiem ciężko rannego na polu walki, gdzie przeleżał całą noc. Dopiero nad ranem zabrali go stamtąd niemieccy sanitariusze.

– Przeżył, ale hańby klęski i kalectwa znieść nie umiał. Kula uszkodziła mu coś w kręgosłupie, skutkiem czego nie mógł chodzić. Gerda opiekowała się nim troskliwie i najlepiej, jak potrafiła, zapewniając mu wszelkie możliwe wygody, a jednocześnie rozwijając swoją karierę. Hans nie umiał widać znieść świadomości, że jest dla niej ciężarem, bo rok temu popełnił samobójstwo, połykając rozżarzony węgiel.

Możemy ją skreślić – pomyślał Johann. To, że pan generał sprzedał tajemnice państwowe w zamian za miejsce w jej łóżku, jest możliwe. Ale ona na pewno nie sprzedała Polakom tajemnicy, którą być może posiadała. Zbyt poważne były powody jej nienawiści ku nim. A nienawiść jest uczuciem silniejszym od każdej innej żądzy.

Johann pokręcił głową. Tę drogę mógł skreślić. Tędy ta informacja na pewno nie przeniknęła do wroga. Więc którą? Jak?! Czuł, że nie był nawet o krok bliższy rozwiązania tej zagadki niż kilka tygodni temu, gdy zaczynał nad nią pracować. A teraz dostawał nowe pytania, na które nie miał w duszy odpowiedzi. Co powinien zrobić w sprawie generała? Sprzedaż tajemnic państwowych była zdradą stanu, za którą złoczyńca mógł pobratać się z katem. Ale czy to aby na pewno była jego sprawa? Czy powinien się nią zajmować? Cała grupa specjalna została przecież sformowana tylko po to, by znaleźć źródło przecieku, który doprowadził do zniweczenia ważnej operacji. To było jej jedynym zadaniem. Czy nie lepiej byłoby zignorować wszelkie odpryski, jakie ujawniły się przy tej sprawie?

Sprawa dotyczyła wysokiego rangą oficera sztabu generalnego. Takiego trudno skazać, choćby wina jego była bezsporną. Bo zawsze znajdzie się ktoś, kto się za nim ujmie. A za zwykłym oficerem wywiadu nie opowie się nikt. Jeszcze może żal do niego będą mieć, że nową burzę na kraj sprowadza, gdy po ostatniej nadal widać zniszczenia. W każdym razie muszę to pułkownikowi

Nicolai zameldować, choćby po to, bym w razie czego papier miał, że ostrzegalem. A co dalej z tym robić, to już samego pułkownika głowa – pomyślał.

Johann postanowił pójść z tym do pułkownika w pierwszej wolnej chwili. Odetchnął jak człowiek, który po długich i ciężkich rozterkach podjął wreszcie ostateczną i rozstrzygającą wszystko decyzję. Dzięki temu zrobiło mu się lżej na sercu i myśl miał swobodniejszą. Mógł więc wrócić do metodycznego prowadzenia odprawy.

– Pannę Gerde możemy skreślić jako źródło przecieku. Ona nie mogła sprzedać tych informacji, nawet jeśli znalazły się w jej ręku – powiedział z przekonaniem. – Nienawiść do wroga to najlepsza i najtrwalsza gwarancja lojalności, jaką tylko można sobie wyobrazić. Sprawę twoich podejrzeń względem jej cnoty przekażę wyżej.

Johann uśmiechnął się lekko do oficera, który od kwadransa referował mu wykonaną przez siebie robotę. Tym uśmiechem mówił mu to, czego ustami nie mógł. Poczul jednak, że tamten go rozumie. W końcu wszyscy z nim pracujący byli ludźmi doświadczonymi, którym pewnych niuansów nie trzeba było tłumaczyć. Bez udzielania pouczeń sami wiedzieli to, co im było potrzebne.

Bębnił przez chwilę palcami w blat stołu, jakby zastanawiając się, czy poruszać jeszcze jedno przewidziane na dziś do rozpatrzenia zagadnienie. Ale krótkie to było zastanowienie, bo służbistość, którą wpajano mu przez lata, przemogła zniecierpliwienie i lenistwo.

– Teraz jeszcze jedną sprawę należy omówić – zaczął. – Zleciłem wam wszystkim sprawdzenie, czy przeciek nie nastąpił gdzieś na niższym szczeblu dowodzenia. O Wiosennym Słońcu wiedział przecież nie tylko sztab generalny i tych kilkunastu polityków, których poddaliśmy zbadaniu. Czy wykryto jakiegokolwiek

nieprawidłowości w tych firmach, które otrzymały zadanie budowy węzłów łączności? Bo o ile mnie pamięć nie myli, oni także dostali dokładne plany całej operacji.

– To było konieczne – stwierdził obronnie jeden z oficerów. – Bez planów ludzie w okręgach nie mogliby zrealizować robót budowlanych zgodnie z naszym zapotrzebowaniem operacyjnym. Zresztą przekazaliśmy im dokładną instrukcję, która zawierała dokładne wytyczne dotyczące zapewnienia planom maksymalnego bezpieczeństwa.

Johann uśmiechnął się lekko na te słowa. Zbyt dobrze wiedział, jak dowolnie doły interpretowały rozkazy centrali. On sam, siedząc w Poznaniu, często nie wykonywał ściśle rozkazów dowództwa. Często bowiem żądano od niego rzeczy, których osiągnięcie przy użyciu środków, jakimi tam dysponował, było niemożliwie. Przecież sam pamiętał, jak naciskali na niego, by dokładnie informował o przebiegu powstania. I nikt nie chciał pamiętać o tym, że wcześniej odebrano mu niemal wszystkich ludzi i środki, bo były potrzebne gdzie indziej.

Ale co mogli o tym wiedzieć ludzie, którzy dawno zapomnieli, jak naprawdę wygląda praca na placówce wywiadowczej? Ich instynkt stępiał pośród luksusu, intryg i berlińskich rozrywek. Johann patrzył na ich twarze i na niemal każdej dostrzegał oznaki zbliżającej się starości. Wszyscy szpakowaci, pomarszczeni. Nie widział w ich oczach tego błysku, tej energii, która rozpiera ludzi żądnych czynu. To byli wszystko ludzie, którzy swoje już zrobili. A jedynym ich pragnieniem zapewne było przejście do cywila bez burzliwych przeżyć.

– Panowie – rzekł ostrożnie, ważąc każde słowo, bo pamiętał, że każdy z tych ludzi był od niego wyższy stopniem i gdy tylko skończy pracować nad tą sprawą, wróci pod ich rozkazy. – Instrukcja z pewnością została opracowana w sposób prawidłowy. Lecz jaką mamy pewność, że została w taki sam sposób

wykonana? Mogły pojawić się jakieś niedociągnięcia, wynikające z różnorakich przyczyn. Niedbałości kierownictwa na danym terenie. Braku kadr. Czy wreszcie z powodu niemożliwości wprowadzenia ich w życie. Moim zdaniem tą drogą mogli pójść Polacy i dojść do celu.

Johann dostrzegł, że ci ludzie, jego niedawni zwierzchnicy, do których niegdyś natarczywie kołatał, prosząc o siły ludzkie i środki pieniężne, by mógł zapobiec buntowi, teraz słuchają go uważnie. I nie mógł się oprzeć poczuciu satysfakcji.

– Wykonaliśmy ściśle pańskie polecenie i przyjrzeliliśmy się zarówno strukturze własnościowej, jak i organizacji firm cywilnych, zatrudnionych do budowy infrastruktury wojskowej, która miała być użyta przy realizacji Wiosennego Słońca. Znaleźliśmy naturalnie kilka niedociągnięć w księgowości, które są nieodzowne przy prowadzeniu tak dużego biznesu, ale nie interesują nas one w najmniejszym stopniu.

Johann skinął głową.

– Czy w ostatnim czasie w jakiegokolwiek brygadzie, w którejkolwiek z firm pojawił się ktoś nowy? – spytał.

Johann uśmiechnął się, widząc, że pułkownik Oskar Lange skinął mu głową. Uprzednio nie był bowiem pewien, czy nawet jego mądre rozkazy będą skrupulatnie wykonywane. Dobrze rozumiał, jak współpracownikom trudno było przełknąć jego nadzwyczajne pełnomocnictwa. A przecież to właśnie na ich podstawie kierował pracami grupy. Teraz jednak był pewien, że jego rozkazy są nie tylko wykonywane, ale i aprobowane. Zdanie starego Oskara liczyło się bowiem między nimi i pochwała z jego ust była wyżej ceniona niż najwyższe nawet odznaczenie.

– Myślisz, chłopcze, że to do którejś z tych firm przeniknął polski wywiadowca? – Cichy szept Oskara był ledwie słyszalny, bo Lange całe życie kopcił jak smok, nic sobie nie robiąc z napomnień lekarzy, więc teraz gardło nie służyło mu tak dobrze jak dawniej.

– Ja nic nie myślę, panie pułkowniku. Wiem tylko, że należy rozważyć każdą ewentualność. Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, żebym nigdy nie karmił się fałszywymi wyobrażeniami o przeciwniku. A Polacy udowodnili już chyba nam wszystkim, że ich wywiadu lekceważyć nie należy.

– Sprawdziłem i to i ręczę moją zawodową reputacją, że nic takiego nie miało miejsca.

Johann nie odrzekł nic, bo nie było co rzec. Wiedział, że słowo Oskara złotu było równe. Bo nikt tak jak on nie znał się na pracy wywiadowczej ani nie miał tak bogatego doświadczenia. On przecież był jednym z inicjatorów powołania do istnienia służby wywiadowczej w jej nowoczesnym rozumieniu i obecnym kształcie. Uczestniczył we wszystkich grach i operacjach wywiadowczych, jakie przeprowadzono od tamtego czasu. I jeśli on ręczył swoją reputacją za cokolwiek, to należało na tym poprzestać.

Johann więc nie drążył tego tematu. Poprzydzielał nowe zadania, wyznaczył termin następnego spotkania, po czym zakończył naradę grupy.

Gdy został sam, spojrzął na kieszonkowy zegarek i przekonał się ze zdumieniem, że jest już dwunasta w południe. A więc spędził w tym pomieszczeniu bite pięć godzin. Uprzednio nerwy miał napięte do granic wytrzymałości, więc nie dostrzegał upływu czasu. Jego myśli bowiem były skupione na zadaniu i na rozmowie z tymczasowymi podwładnymi. Dopiero teraz poczuł, jak schodzi z niego adrenalina.

Wstał, przegładził mundur i spojrzął nań z niejakim zdumieniem. Jeszcze nie zdołał się bowiem przyzwyczać. Wcześniej przyzwyczajony był do chodzenia w najnormalniejszych cywilnych ubraniach, by niczym nie wyróżniać się z tłumu zwykłych ludzi. Przebywając pomiędzy nimi, stał się bardziej



cywilem niż żołnierzem. I dlatego teraz, patrząc na mundur i oficerki, czuł się dziwnie.

Natychmiast jednak otrząsnął się z tego wrażenia. Przyzwyczai się w końcu. I będzie nosił mundur niczym drugą skórę. Ale to stanie się samo przez się i zapewne nawet nie zauważy, kiedy to się zmieni. A tymczasem należało robić swoje.

Po namyśle Johann skierował swoje kroki do gabinetu pułkownika Nicolai. Chciał rozproszyć nurtujące go wątpliwości i udać się do mieszkania, by nareszcie złapać chwilę oddechu. Idąc przez szerokie korytarze siedziby wywiadu, mimo woli porównywał jej wspaniałość z marazmem i małością placówki poznańskiej. I czuł, jak wypełnia go poczucie dumy. Osiągnął przecież diablo dużo jak na syna prostego karczmarza z Frankfurtu. A mógł przecież skończyć albo między stolikami, roznosząc piwo niezbyt wyszukanej ojcowej klienteli, albo jak tyłu chłopaków z jego kamienicy zaciągnąć się do wojska i w najlepszym razie zostać obwieszonym orderami bohaterem wojennym. W najgorszym zaś kaleką, który nie mógłby żyć bez pomocy innych.

Wzrok Johanna obojętnie ślizgał się po płótnach renesansowych mistrzów. Nie wiedział, czy ma przed swoimi oczami oryginały i szczerze mówiąc, niewiele go to obchodziło. Myślami był bowiem bardzo daleko od tego miejsca. Wciąż przy kolegach ze szkolnej ławy. Ciekawe, ilu z nich miało na tyle szczęścia, by wynieść z tej zawieruchy obie nogi i ręce – myślał. Jak będą na mnie patrzeć? Pewnie z pogardą, bo nigdy nie byłem w okopach. A mojej roboty na tyłach nie uznają za ważną, bo i ja sam nie potrafię tego zrobić.

Czy ja w ogóle jestem żołnierzem? Nie chodzę po trupach, tylko po błyszczących marmurowych płytkach. Nigdy nie słyszałem dźwięku dzwonka, który jest rychłym zwiastunem ataku gazowego. Nie wiem, jak to jest w pośpiechu składać maskę

przeciwgazową i naciągać ją na twarz. Nigdy nie słyszałem świstu kul, okrzyków zwycięstwa, trwogi, przerażenia, które zlewają się w jeden wielki rozgardiasz. A wokół tylko śmierć, która pracuje bez wytchnienia.

Ciekawe, ilu moich kumpli gryzie piach. Nie chciał do nich pisać, by przypadkiem nie odebrać odpowiedzi, której się bał. Nie widział nikogo z paczki od czasu, gdy pięć lat temu uczcili rocznicę złożenia egzaminu dojrzałości niezłą popijawą. Wtedy akurat odbywał swoje szkolenia, o których nie mógł pisać kumplom nawet słówka. Wówczas jeszcze nie przypuszczał, że oni także wkrótce zamienią uniwersyteckie aule na koszarowy dziedziniec, a studenckie czapki na szare mundury.

Z trudem powrócił do rzeczywistości i zaczął przypominać sobie drogę do gabinetu szefa. Był tu zbyt krótko, by móc poruszać się po tak wielkim budynku z zamkniętymi oczami. Ciągłe więc przystawał na zakrętach i przypominał sobie szczegóły, które uprzednio zapamiętał. Przy portrecie Fryderyka Wielkiego w prawo. Przy wejściu do skrzydła referatu technicznego prosto.

Johann nie miał tu jeszcze żadnych bliższych znajomych, więc szedł szybko, bo nikt go nie nagabywał. Czasem dostrzegał tylko ciekawskie spojrzenia tych, którzy byli zorientowani w jego nowej roli lub po prostu ciekawi, jak tu trafił. Wiedział, że wyróżnia się pośród nich dość niskim stopniem. Czuł się z tym dziwnie, dlatego podświadomie ucieszył się, gdy znalazł się przed drzwiami, które wiodły wprost do przedpokoju.

Johann wszedł do środka i stanął przed biurkiem, za którym siedział wyższy rangą oficer. Przy jego prawej ręce spoczywał aparat telefoniczny, a on sam tkwił z nosem w papierach. Uniósł głowę dopiero wtedy, gdy Johann strzelił obcasami, wyprężając się w postawie na bacność.

– Porucznik Johann Wolf do pułkownika Waltera Nicolai – zameldował.

Oficer zamrugał powiekami, jakby chciał tym sposobem wrócić do rzeczywistości. Utracił bowiem kontakt z nią, gdy zakopał się w papierach. Spojrzał na Johanna ze zdziwieniem.

– Pułkownik jest zajęty i kazał sobie nie przeszkadzać pod żadnym pozorem – stwierdził, obracając w palcach wieczne pióro.

Johann skwitował to uśmiechem. Wiedział, że jego widok budzi zdumienie i niechęć już w ogóle i w centrali wywiadu, a cóż dopiero w przedpokoju szefa, gdzie nawet kierownicy referatów musieli się umawiać. A on tak po prostu sobie tu przychodzi i żąda spotkania. To było sprzeczne z przyjętymi tu regułami i mogło budzić zdziwienie u wszystkich. Zwłaszcza wśród dyżurujących oficerów, którzy ciągle się zmieniali.

– Mam prawo wchodzić do tego gabinetu o każdej porze dnia i nocy. Jeśli pan nie wierzy, to proszę przekonać się u źródła.

– Sam pan będzie sobie winien – odrzekł oficer. – Ja z życzliwości radziłem, by nie łamał pan reguł tego miejsca i umówił się na spotkanie zgodnie z przyjętymi procedurami.

Johann jedynie pokiwał głową, bo do mówienia nie czuł już w sobie ani siły, ani chęci. Działał na oparach i wiedział o tym. A tymczasem czekała go jeszcze rozmowa z pułkownikiem, na którą należało zachować siły witalne. Musiał mu przecież wszystko klarownie i jasno wyłożyć, by wiedzieć, co ma robić ze sprawą generała. Pułkownik potrzebował zrozumieć całe skomplikowanie położenia, by wydać mu rozkazy w oparciu o całościowy obraz. Najlepiej rozkazy pisemne, bez nich bowiem nie było po co iść tym tropem, bo można było tylko narobić sobie wrogów i to nie byle jakich.

Ze spokojem przyglądał się więc, jak oficer prowadził rozmowę przez telefon, bo był zupełnie pewien jej wyniku. Żołnierz mocno trzymał słuchawkę przy uchu i tylko potakiwał rozmówcy chrząknięciami, błędąc przy tym coraz bardziej. Wreszcie jednak zakończył rozmowę i zawiesił słuchawkę na widełkach.

Johann bez słowa zaczął odpinać pas główny, co oficer skwitował uśmiechem i rzekł:

– Mam rozumieć, że ta procedura obowiązuje pana jak każdego normalnego człowieka? Pułkownik mnie ochrzanił i kazał natychmiast puszczać.

W jego twarzy Johann dostrzegł szacunek, zmieszany z niepokojem. Zrozumiał, że po prostu nagle urósł w jego oczach. Ten człowiek zapewne brał go teraz za znamienitą osobę, którą nawet Walter Nicolai musi darzyć specjalnymi względami. I zapewne nie przypuszczał, że jest on tylko zwykłym porucznikiem, którego nagle wyniesienie może być równie krótkotrwałe jak błysk spadającej gwiazdy. A sprawa, która stała się tego przyczyną, zapewne przyprawi go o wrzody żołądka.

W każdym razie sam zdawał sobie sprawę z kruchości fundamentów, na jakich było oparte jego wyniesienie, i nie miał zamiaru się nad kogokolwiek wywyższać. Uśmiechnął się więc, gdy odkładał pas na biurko, i rzekł:

– Próbowałem uprzedzić. I nie dziwię się, że mi pan kapitan nie uwierzył, bo mnie samemu czasem trudno uwierzyć we wszystko, co się dzieje wokół mnie. Ale to już długo nie potrwa. – Zasalutował i skinąwszy uprzejmie kapitanowi, wszedł do gabinetu szefa niemieckiego wywiadu.

Mimo że w ostatnim czasie bywał w nim dość częstym gościem, to nadal nie zdołał się przyzwyczaić do jego wielkości i przepychu. Ściany w całym pomieszczeniu wyłożone były złoconą polichromią. Podłoga została wykonana z czarnego hebanowego drzewa i okryta puszystym dywanem. Biurko i sekretarzyk wykonano z weneckiego szkła. Na ścianach wisiały zamknięte w złoconych ramach portrety szefów tajnej służby. Wszystkie znajdowały się za wysokim krzesłem, na którym siedział Nicolai. Ten łokiec trzymał wsparte na szklanym blacie i coś zapisywał.

Wreszcie jednak uśmiechnął się, widząc, z jakim zachwytem Johann przygląda się złoconemu wnętrzu.

– Ciebie też omamiło złoto? Zawsze pamiętaj, że ono przyciąga nieszczęście. To ono przywiodło do zagłady Inków i Azteków. Gdy masz bogactwo, to zawsze pojawi się ktoś silniejszy od ciebie, kto zechce ci je odebrać.

Wolf zarumienił się i uciekł wzrokiem.

– Nie przejmuj się, chłopcze. Dowiodłeś tylko słuszności założeń, z jakimi nasi poprzednicy projektowali to miejsce. Każdy, kto tu wejdzie, musi czuć respekt wobec państwa, które stworzyło to miejsce, i urzędnika, którego zastanie za tym biurkiem. A ludzie czują respekt przed bogactwem, bo widzą w nim siłę i moc. Dlatego to miejsce nim epatuje. Ale to miraż.

Podniósł do góry wieczne pióro i wskazując na nie, mówił:

– W tym tkwi siła i moc, bo ono, pióro, jest pośrednim wyrazicielem woli człowieka. Za jego pomocą wydałem rozkaz sprowadzenia Lenina do Niemiec i w konsekwencji doprowadziłem do upadku dynastii, która rządziła Rosją przez czterysta lat.

Ale jego podróż i działalność sfinansowałeś za złoto – pomyślał Johann, ale znał już swojego szefa na tyle, by wiedzieć, że Walter lubi się puszyć. I po prostu trzeba mu na to pozwolić, wysłuchując jego uwag z taką miną, jakby pochodziły od samego Boga. Za chwilę bowiem pułkownik przechodził do rzeczy i z filozofa amatora z powrotem przeistaczał się w szefa wywiadu. Tak było i tym razem.

– Zgaduję, że masz dla mnie coś ciekawego?

Johann potraktował te słowa jako przejście do właściwej rozmowy i zaczął referować wszystko to, czego dowiedział się w ostatnim czasie. Mówił więc o ustaleniach, jakie przyniosło obserwowanie von Seeckta. Wspomnił o jego prawdopodobnym związku z Gerdą Leszke i tym, że ta, pisząc artykuły, najpewniej

posługuje się danymi, które otrzymuje od generała. Z pewnym żalem mówił o swoich kolejnych hipotezach, które wiodły donikąd.

– Sprawa Gerdy i generała to tylko odprysk od mojego śledztwa i nie wiem, czy powinienem się nią zajmować. Jest bowiem bardzo mało prawdopodobne, by Leszke miała cokolwiek wspólnego ze sprawą przecieku informacji. Pozostałych polityków i żołnierzy, którzy wiedzieli o sprawie, także wykluczam. Ich obserwacja i przeświadczenie życia nie przyniosły rezultatów.

Ostatnie słowa Johann wymówił z wyraźnym żalem i rozgoryczeniem. Walter spojrział na niego i dostrzegł u podopiecznego wyraźne objawy przemęczenia. Zrozumiał, że chłopak dał z siebie wszystko. I nawet sporo osiągnął. Co więcej, potrafił w porę dostrzec granicę, poza którą najzdolniejszy nawet oficer nie powinien się przesuwac. Generała nie należało ruszac. Był zbyt ważną kartą w pasjansie, a w dodatku bliskim współpracownikiem Hindenburga, który zapewne nie omieszkałby się silnie o niego upomniec. Walka frakcyjna nie była nikomu potrzebna. Chociaż haki na generała, a pośrednio na Hindenburga, z pewnością tak. Uśmiechnął się.

Tak, warto by przypomniec panom oficerom, że nie są od kreowania polityki zagranicznej, tylko od przygotowywania i toczenia wojen. I nie powinni zajmować się niczym innym. Intrygi polityczne nie były ich domeną. Narobili tylko wszystkim kłopotu, którego z trudem i olbrzymim wysiłkiem pozbywać się trzeba – pomyślał.

– Dobrze, dobrze – rzekł Nicolai uspokajająco. – Ale ty, chłopcze, musisz więcej wypoczywać, bo przez tę sprawę zapadniesz na zdrowiu. Działania, które podjąłeś, były przemyślane i mądre. Ale ja nie chcę, byś się zamęczył. Powiedz mi lepiej, czy dobrze ci się pracuje z tymi ludźmi. Chciałbym, żeby ta grupa stanowiła trzon przyszłego wydziału naszego wywiadu do spraw polskich.

Chciałbym, żeby to oni objęli kiedyś kierownictwo placówek, które będą wchodzić w jego skład.

– Nie mam im nic do zarzucenia – zapewnił Johann. – Ale nie sądziłem, że to ja mam kiedyś objąć kierownictwo prac na całym kierunku polskim.

Nicolai uśmiechnął się lekko. Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad tym, co zdoła osiągnąć ten, kto zdoła zapewnić sobie przychyłność i wierność Johanna. Wolf był jego cichym protegowanym od lat. To była naczelną zasadą polityki kadrowej, jaką starał się prowadzić: zawsze stawiał na ludzi młodych, którzy wywodzili się spoza kręgów arystokratycznych i nie mieli oparcia w możnych rodach – tylko w nim. To gwarantowało mu pełną lojalność tych ludzi, albowiem zawdzięczali swoje wyniesienie tylko jego protekcji.

Sprawa Wiosennego Słońca nie była dla Waltera aż tak ważna, jak okazywał to na zewnątrz. Co więcej, podświadomie cieszył się, że Hindenburg i jego ludzie dostali prztyczka w nos. Już od dawna bowiem szukał sposobu na utemperowanie kół wojskowych rozgoryczonych klęską i niektórych polityków, którym ich własna pycha nie pozwalała dostrzec obecnej słabości Niemiec. Dlatego ta klęska okazała się pożyteczna w tym względzie, że wylała kubek zimnej wody na rozpalone głowy. A polską siatkę wywiadowczą zawsze mógł zdjąć kiedy indziej, bo ona na pewno działać nie przestanie.

Kwestia Wiosennego Słońca okazała się także dobrą okazją do zorganizowania testu dla Johanna. Pozwalała dowodnie się przekonać, czy człowiek ten posiada odpowiednie zdolności do kierowania dużą grupą ludzi, co było niezbędne, by mógł objąć stanowisko, na którym on widział go w bliskiej przyszłości. Dlatego starał się dokładnie obserwować jego poczynania i z zadowoleniem przekonał się, że człowiek ten spełnia pokładane w nim nadzieje. A swoją dzisiejszą wizytą udowodnił mu, że nie

tylko zna się na pracy ściśle wywiadowczej, ale bystro orientuje się też w realiach i powiązaniach politycznych. A to będzie niezbędna umiejętność na stanowisku, które mu przeznaczył.

– I podtrzymuję to, co powiedziałem. Wiesz, jaki był klucz, według którego formowałem podlegającą ci grupę? To są przyszli kierownicy placówek, z którymi będziesz współpracował. Na razie szefem będzie Oskar, a ty będziesz się uczył i dojrzewał pod jego zarządem. Ale musiałem sprawdzić, jak będziesz sobie radził w kierowaniu większą grupą ludzi. I z radością stwierdzam, że się względem ciebie nie pomyliłem.

Johann wytrzeszczył oczy. To było więcej, niż mógł spodziewać się w najśmielszych snach. Starał się nie uzewnętrzniać targających nim emocji. Ale nie potrafił do końca dać sobie z nimi rady. Pamiętał przecież, od czego zaczynał. Jak trudno mu było zdać kursy i egzaminy na stopień oficerski. I to nie ze względu na ograniczenia intelektu, lecz przez pewien elitaryzm korpusu oficerskiego. Tam od wieków służyli tylko potomkowie rodów szlacheckich, z milionami rocznego dochodu. I nie było tam miejsca dla takich jak on, synów prostych mieszczan. Musiał więc umieć dwa razy więcej i pracować ciężiej od swoich rówieśników, którzy mogli poszczycić się szlacheckim pochodzeniem. I przetrwał, pokonał wszystkie przeciwności losu. Dzisiejszy dzień był jego wielkim triumfem.

Ale Johann rozumiał, że aby cieszyć się nim w pełni, będzie miał dość czasu, gdy znajdzie się sam. Teraz z powrotem przybrał na twarz maskę profesjonalizmu, pod którą ukrywał radość. Wszystko to, co mówił pułkownik, cieszyło go, bo uprzednio się obawiał, czy karą za brak postępów w śledztwie nie będzie popadnięcie w niełaszkę. Tego zaś chciał za wszelką cenę uniknąć, bo wiedział, że tylko opieka Waltera może mu zapewnić miejsce w zredukowanym wywiadzie. Poza tym w tej sprawie kąsała go



własna ambicja i gryzła myśl, że mimo pełnego zaangażowania w tę sprawę nie zdołał uwieńczyć jej powodzeniem.

– Panie pułkowniku, gdzie ja robię błąd? – zapytał, bo nie potrafił się powstrzymać. – Jak pańskim zdaniem Polacy natrafili na Wiosenne Słońce?

Walter omal nie parsknął śmiechem. Zadziorny i uparty – pomyślał z uznaniem. Jeszcze kilkanaście lat temu był taki sam. Był jak pies, który dotąd szukał tropu, dopóki go znalazł. Ale taki musiał być, by dojść do czegoś w świecie, w którym się obracał. Tu sukcesy nie przychodziły łatwo. Na wszystkie trzeba było długo i solidnie pracować. A nagrodą często była tylko własna satysfakcja, bo te sukcesy prawie nigdy nie przedostawały się do wiadomości opinii publicznej.

– Nie jestem wyrocznią delficką – rzucił autentycznie rozbawiony. – Możliwości, jak zapewne zdążyłeś się już przekonać, jest bardzo wiele. Tym bardziej że Marszałek nie był na tyle uprzejmy, by poinformować nas o swoich planach, gdy te znajdowały się jeszcze na wczesnym etapie przygotowań. Co dałoby nam możliwość zapewnienia jego planom lepszej osłony kontrwywiadowczej niż ta, którą dysponował w rzeczywistości. Dlatego Polacy mogli wejść na tę sprawę prawie na każdym etapie przygotowań, co stawia nas w nieciekawej sytuacji, bo my tę kwestię wyjaśnić przecież musimy.

Johann nieznacznie spuścił głowę. Nie tego bowiem oczekiwał. To, że sprawa będzie trudna do rozwikłania, wiedział przed przystąpieniem do niej i miał okazję skonfrontować swoje wyobrażenia z rzeczywistością. Niestety, jego przypuszczenia okazały się prawdziwe. I teraz, gdy wydawało mu się, że wyczerpał już możliwości, wykonał już wszystkie ruchy, jakie mógł wykonać, słyszał tylko proste komunały. I to z ust człowieka, od którego mógł oczekiwać zarówno rady, jak i pomocy. Nie znał przecież nikogo,

kto dysponowałby większym zasobem wiedzy i doświadczenia w pracy operacyjnej.

– Spróbuj postawić się na ich miejscu – rzekł Nicolai, gdy zauważył rozczarowanie podwładnego. – Patrz na nasze zabezpieczenia tak, jakbyś to ty był Polakiem, który ma je złamać. To pierwsza rada, która da ci sukces, jeśli wiernie za nią podążysz. A skoro prosisz mnie o radę, to zapewne nie pogardzisz i drugą.

Johann uniósł oczy i zaczął intensywnie wpatrywać się w twarz pułkownika, gdy ten mówił:

– Powinieneś udać się do domu, położyć do łóżka i porządnie wyspać. Tylko Syzyf może pracować bez wytchnienia, bez jakiegokolwiek szkody dla sił i zdrowia.

Zrozumiał, że posłuchanie jest już skończone; pożegnał się więc, obrócił się i wyszedł. W pośpiechu pozalał swoje ostatnie sprawy i dopełnił wszelkich procedur związanych z opuszczeniem budynku wywiadu. Dopiero wtedy wyszedł na skąpane w popołudniowym słońcu ulice Berlina. Dopiero tam wyjął z kieszeni kieszonkowy zegarek i przekonał się, że jest już grubo po szesnastej.

Tak to jest, jak człowiek zasiedzi się w pracy – pomyślał. Później to ni co wypić, ni co zjeść.

Myśl tę nasunęło mu wściekłe ssanie w żołądku, które w sposób brutalny przypomniało mu, że ostatni posiłek zjadł kilkanaście godzin temu. Hektolitrów kawy i marnych zapychaczy, które pochłonął na obradach, nie liczył. I tak cieszył się, że głód przypominał o sobie dopiero teraz, bo dzięki temu mógł wcześniej skupić się tylko na analizowaniu problemów z podwładnymi, a nie mógłby tego robić, gdyby obsesyjnie myślał o jedzeniu.

To był jego zwyczajny tryb funkcjonowania. Kiedy był w pracy, nie potrafił myśleć o niczym innym. Czas zdawał się płynąć wówczas obok niego. Nawet najnaturalniejsze potrzeby organizmu: picie i jedzenie – schodziły na dalszy plan i były

zaspokajane tylko w stopniu dającym mu gwarancję możliwości dalszego funkcjonowania. Teraz jednak przyśpieszył kroku, niczym zapracowany koń, który sobie tylko znanym sposobem wyczuwa bliskość stajni. W biegu rozpiął mundur, jednocześnie pozwalając, by jego poły rozchyliły się, dopuszczając do ciała promienie słoneczne.

Szedł przez berlińskie ulice, stając się częścią tego rojowiska ludzkiego, które przez czas swego pobytu w mieście zdążył polubić i poznać. Berlin był miastem kosmopolitycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Niemiecki żywioł mieszał się tu z całym tłumem innych europejskich nacji. Słysząc więc tutaj było wszystkie europejskie słowniki. Johann wyłapywał czasem nawet szeleszczącą mowę polską, którą sam posługiwał się dość biegle. Dostrzegał też jasnowłosych Szwedów i Norwegów i tę całą trzódkę słowiańską, do której arystokracja berlińska odnosiła się tak pogardliwie.

Teraz, wczesnym popołudniem, na ulice wypłynęła cała warstwa próżniacza. To jest ludzie, którzy posiadali dostateczne zasoby, by nie mieli potrzeby kalać rąk pracą. Oni to przesuwali się bez celu po ulicach, czytając dzieła filozofów, przypatrując się znanym osobom, które chodziły po centrum miasta, by być widzianymi. Nimi właśnie zaludniały się uliczne knajpy i sklepy, których okna wystawowe kusiły przechodniów szerokim i droгим asortymentem towarów.

Johann jednak zarówno knajpy, jak i sklepy omijał z obojętnością. W ostatnim czasie niemal w ogóle zaprzestał odwiedzania takich miejsc. Obiady wolał jadać w domu, a bez luksusowych towarów potrafił się obyć. I jak mógł teraz spostrzec, wielu zaczęło postępować podobnie. Całe bowiem społeczeństwo zaczynało cierpieć na nadmiar gotówki w kieszeni, za którą coraz mniej było można kupić. I nierzadki wcale był widok, gdy pracownik nie mógł pomieścić wypłaty w worku. Nastąpiła zapaść

ekonomiczna, którą spowodowała nieszczęsna wojna, co to bogatych uczyniła jeszcze bardziej bogatymi, a z biednych uczyniła nędzarzy.

Johann omal nie parsknął śmiechem, gdy na szybie jednej z restauracji dostrzegł ogromny napis, zapewne wykonany ręką właściciela: *Opłaty za obiad prosimy uiszczać dopiero po zjedzeniu.*

Takie napisy rzucały się w oczy coraz częściej i nie były domeną tylko podrzędnych restauracji, gdzie stołowali się zwykli zjadacze chleba. Pojedyncze kwiatki tego typu trafiały się już nawet w tych dzielnicach miasta, których mieszkańcy nie mieli dotychczas powodu do narzekań na swój status materialny. Ale nędza stopniowo, acz nieubłaganie zajmowała kolejne dzielnice miasta. Hiperinflacja, która rozszalała się w stopniu niesłychanym, utrudniała życie nawet tym, którzy dotychczas nie zwykli zauważać tak drobnych wydatków jak te ponoszone na obiady w restauracjach. Do tych wszystkich ludzi docierały przecież jeszcze echa niewygasłej do końca rewolucji, która jeszcze w styczniu wydawała się być poważnym zagrożeniem dla ładu i bezpieczeństwa w państwie.

Johann wiedział o tych sprawach więcej niż inni berlińczycy. Był świadomy wszystkich kłopotów, jakie piętrzą się w zastraszającym tempie przed nową władzą. W końcu to jego służba intensywnie neutralizowała większość z nich. Oni rozbili ostatnie rewolucyjne komórki, starając się przywrócić w mieście normalność. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że do jej osiągnięcia jest jeszcze bardzo daleko. A najlepszym tego dowodem było utrzymanie godzin pracy, które rząd uchwalił, by zapobiec szerszeniu i umacnianiu sił rewolucyjnych. Wolf starał się o tym nie myśleć. To w końcu była rzecz kanclerza, rządu i polityków, których władza upadnie pod wpływem wściekłości ludu, jeśli jego sytuacja ekonomiczna nie ulegnie zmianie.

On nie miał najmniejszego powodu do tego, żeby zamartwiać się tymi sprawami. W końcu i tak nie miał żadnego wpływu na ich bieg. Za to mógł się zająć swoim śledztwem, którego kierunek zależał tylko od niego. W głowie Johanna utkwiły szczególnie słowa, którymi pożegnał go jego szef. Ma się postawić na miejscu Polaków. Stać się nimi. Co on by zrobił na ich miejscu?

Na pewno zjadłbym schabowego z pyrami i ogórkami – pomyślał, bo właśnie poczuł silniejszy skurcz żołądka. Uśmiechnął się do tej myśli, lecz zaraz wrócił do sprawy, która męczyła go od wielu dni.

Dowiaduję się o sprawie. Mniejsza z tym, w jaki sposób. Pewnie jakaś pogłoska. Mały śwąd dymu. I co dalej? Muszę zweryfikować dane. Ale jak? Założmy, że mam siatkę, którą mogę uruchomić. Ale co, jeśli sprawa okaże się niewarta zachodu? Jeśli jest tylko kolejną pogłoską, powstałą ze splotu domysłów i przypuszczeń, które w ostatecznym rozrachunku okażą się niewarte funta kłaków? A przecież do celów operacji będę musiał narazić na zdekonspirowanie sieć, której plecenie zajęło miesiące, jeśli nie lata.

Wolf zwolnił kroku. Od zawsze najlepiej myślało mu się w ruchu. Odgłos własnych kroków uspokajał go i pozwalał się skupić. Poza tym cała ta odwrócona zabawa zaczynała go nęcić, choć nie sądził, by mogła doprowadzić do satysfakcjonującego rozwiązania sprawy, nad którą pracował ze swoimi ludźmi. To była przecież tylko ciekawa zabawa, ćwiczenie intelektualne. No bo co mógłby zrobić? Siatki nie będzie narażał. Za wiele wysiłku kosztowało go jej zbudowanie, by ryzykować jej wykrycie w tak niepewnej sprawie. Więc co bym zrobił?

Johann znał odpowiedź na to pytanie. On posłałby do Niemiec jakiegoś nieopierzonego szczeniaka. Kogoś, kogo można w razie wpadki bez większego problemu poświęcić na ołtarzu ojczyzny. Szpiega widmo pod fałszywą tożsamością, którego siatka miałaby

tylko częściowo przygotować, co nie wymuszało na niej nadmiernego zaangażowania w sprawę i nie powodowało ryzyka dekonspiracji. Taka operacja napotkałaby dwie trudności: po pierwsze kwestia znalezienia odpowiedniego kandydata. Polacy nie mogli przecież tak po prostu wyjść na ulicę, zaczepić młokosa i zaproponować mu kariery szpiegowskiej. To musiał być ktoś, kto posiadał ich zaufanie w na tyle znaczącym stopniu, by mogli mieć pewność, że nie zdradzi ani planów operacji, ani – co ważniejsze – siatki. Tacy ludzie nie chodzą przecież setkami po ulicach.

A on właśnie kogoś takiego poszukiwał. Dlatego kazał swoim ludziom szukać w firmach budowlanych kogoś, kto pojawił się w nich stosunkowo niedawno. I jego ludzie nie znaleźli nic. Oskar nie mógł się przecież mylić. On potrafił wydłubać szpiega nawet ze szpary od podłogi. Był asem nad asami. To jego operacje Johann analizował na szkoleniach, ucząc się z nich wywiadowczej roboty. Tak, takiemu człowiekowi można było wierzyć bez zastrzeżeń.

Niemal biegiem dotarł przed bramę swojej kamienicy. W takim samym tempie dostał się na drugie piętro i otworzył drzwi. Prawie bez tchu dopadł do drzwi kuchni, licząc na to, że jego gospodyni pamiętała o nim i coś mu w niej zostawiła.

W jego kuchni nie czekał jednak na niego wyłącznie obiad, lecz i ktoś, kogo się tam zastać nie spodziewał. Za stołem siedziała mianowicie jego siostra i właśnie wsuwała łyżkę w talerz z zupą, którą jego gospodyni pozostawiła... specjalnie dla niego.

Patrzył wytrzeszczonymi oczami na długie włosy Inez, które miały kolor dojrzalego kasztana. Dostrzegł jej zielone oczęta, skryte pod rzadkimi, ciemnymi brwiami. Twarz miała szczupłą, trójkątną, pokrytą ledwie widocznymi piegami. Urocze dołeczki w policzkach dodawały jej uroku, ale pięknnością nigdy by jej nie nazwał. Choć o urodzie trudno było mówić w przypadku takiego podlotka, który dziś ledwie piętnaście wiosen sobie liczył. Jeszcze miała czas, by rozkwitnąć, a żadnych widocznych skaz nie miała.

Żywa i niespokojna jak ogień stanowiła zarówno największą radość, jak i utrapienie ojca i matki. Przytrafiła im się już w jesiennych latach, gdy Johann miał lat dwanaście. Niemal od razu więc stała się ukochaną pieścioską starszego brata, który ją rozpieszczał i się nią opiekował. To na jego nogach Inez odbywała swoje pierwsze spacerunki. To on się z nią bawił, odciążając wiekowych już rodziców. Stał się przyjacielem, opiekunem i powiernikiem wszystkich sekretów znacznie młodszej siostrzyczki. Wytworzyła się między nimi bardzo silna więź emocjonalna. Podobna nawet nieco do ojcowsko-córczynej.

Naturalnie uległa ona pewnego rodzaju rozluźnieniu, gdy Johann wyjechał do szkół wojskowych. Musiał dodatkowo pracować, aby się utrzymać, gdyż nie chciał wszystkich środków, jakie potrzebował na swe utrzymanie, pobierać z rodzicielskiej kasy. Do tego dochodziła jeszcze wytężona nauka i egzaminy. Żyjąc w takim pośpiechu, nie miał zbyt wiele czasu na odpisywanie na korespondencję i Inez musiała się zadowolić jednym listem miesięcznie. Nie wiedział więc, co u „małej”. Ale ponieważ nigdy nie donoszono mu z domu o żadnych niepokojących zmianach w jej życiu, myślał więc, że wszystko jest w porządku i życie dziewczyny toczy się zwykłym, właściwym dla jej wieku rytmem. Dlatego nie mógł dojść do siebie, patrząc na jej nagłe zmaterializowanie się w jego kuchni.

– Ojciec?! Matka?! – krzyknął, przypadając do niej.

Bo tylko chorobą lub śmiercią rodziców potrafił sobie wytłumaczyć jej nagłą wizytę tutaj. Wpatrywał się w siostrę z wyraźnym napięciem na twarzy.

Inez zadrżała, jak smagnięta batem. Łyżka zatrzęsła jej się w dłoni. Obrzuciła go więc piorunującym spojrzeniem i rzekła:

– Na ojcowe kości drzewo się zwali i jeszcze ich nie złamie. Matka zdrowa i przesyła ci przeze mnie trochę wiktuałów, bo boi się, że cię tu źle karmią.

Obrzuciła brata krytycznym spojrzeniem i wyduła usta. Dostrzegła jego zaczerwienione oczy i bladość twarzy. Jej uwadze nie umknął także rozpięty mundur.

– Czemuż jestem twoją siostrą? – westchnęła teatralnie.

Johann, uspokojony co do rodziców, zasiadł przy stole naprzeciw Inez. Następnie jednym ruchem przesunął stojący dotąd przed nią talerz w swoją stronę i zaczął jeść z łatwo zrozumiałą skwapliwością. Dopiero gdy zaspokoił pierwszy głód, starannie wypytał dziewczynę o wszystko. Na początku Inez nie była zbyt wdzięczną rozmówczynią. On oczywiście znał pewne sztuczki, które pozwalały wydobyć prawdę z każdego rozmówcy, nawet podczas trwania zwykłej rozmowy. Człowiek, gdy kłamie, zachowuje się nieco inaczej. Wykonuje pewne ruchy, gesty, które fachowe oko potrafi nie tylko dostrzec, ale należyście zinterpretować ich znaczenie. Jednak nie chciał tych sztuczek używać wobec członka najbliższej rodziny. Wydawało mu się to niezbyt uczciwe. Poza tym taka rozmowa była pojedynkiem intelektów. Inez była jak na swój wiek piekielnie inteligentna, a jego intelekt, o czym sam dobrze wiedział, nie był teraz w najlepszej kondycji. Po prostu był zbyt zmęczony. Teraz szczyt jego marzeń stanowiły wygodne łóżko i talerz z zupą.

– Mam nadzieję, że nie przyjechałaś tu bez przyzwoitki? – zaczął po chwili przerwy na przełknięcie kolejnego łyka zupy. – Rozprężony okresem przejściowym kraj nie jest bezpiecznym miejscem dla nikogo, a cóż dopiero dla młodej panny.

– Bez obaw. Ojciec dał mi przyzwoitkę, która doprowadziła mnie aż pod drzwi twojego mieszkania. Zostałam pod opieką twojej gospodyni, która wręczyła mi gazetę do poczytania i zostawiła tutaj, bym na ciebie czekała. Okropnie wyglądasz, braciszku. – To mówiąc, zdjęła z kolan gazetę, której Johann poprzednio nie zauważył, i otworzyła ją na stronie z rubryką towarzyską, zaslaniając się nią jak tarczą.



– Miła jesteś – odparł. – Ale chyba już dość tych podchodów, siostrzyczko. Powiesz mi, jakiemu kapryswi losu zawdzięczam zaszczyt goszczenia cię w moich progach? Jeśli nie powiesz mi sama, to zrobi to ojciec, gdy do niego zatelegrafuję – zaznaczył. – O ile już nie przesłał listu przez twoją przyzwoitkę. Zastanów się więc, czy nie chcesz go uprzedzić i naświetlić mi sprawę własnymi słowami.

Odpowiedziało mu milczenie. Widać siostra analizowała jego słowa. Jej milczenie drażniło go. Był bardzo zmęczony i ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, było rozwiązywanie problemów dziewczyn. Ileż by dał za ciepłe łóżko i miękką pościel... Rozmarzył się i wtedy z tych marzeń wyrwał go chichot Inez. Mężczyzna uniósł oczy, zaskoczony jej wesołością. Z tego, co zdołał dotychczas wysondować z przebiegu ich dotychczasowej rozmowy, wynikało, że jego młodsza siostra nie miała powodów do okazywania wesołości. Ale to, że się śmiała, było czymś pomyślnym, bo świadczyło o tym, że sprawa nie mogła być groźna. Gdyby taką była, to Inez nic nie byłoby w stanie wprawić w dobry humor. Johann uspokoił się tym mocno. Uprzednio bowiem zmęczony umysł stawiał mu przed oczami najgorsze scenariusze, a jego praca sprawiała, że miał ich całkiem sporo.

– Przeczytaj i mnie – poprosił. – Nie miałem dziś zbyt wielu okazji do wesołości, to chociaż teraz się pośmieję.

Dziewczyna nie dała się długo prosić i zaczęła czytać.

– „Wyposzczony generał von Seeckt”. – Zachichotała. – „Na dzisiejszym balu dla dziennikarzy i całej śmietanki politycznej Berlina doszło do nie lada secesji. Pewien wyposzczony generał wodził oczami i pewną częścią ciała, która w pewnych sytuacjach zmienia rozmiar...”

– Co to jest? Po pierwsze bal odbył się chyba u zarania roku. Czyli trzy miesiące temu – rzucił zdziwiony Johann. – Po drugie panny w twoim wieku nie powinny czytywać tego typu rzeczy.

I nikt nie odważyłby się podać prawdziwego nazwiska tego generała.

Inez pokazała mu język i kontynuowała:

– „Dziennikarką bowiem i drugą jeszcze panną zajął się niejaki Hans Werner, który przybył na to spotkanie w swym ostatnim fraku”.

Nagle Johann poczuł się tak, jakby piorun trafił prosto w niego i rozjaśnił mu umysł.

– Cisza! – warknął.

Siostra spojrzała na niego urażona, ale posłusznie zamilkła. I tylko patrzyła ze zdumieniem, jak Johann chodzi pośpiesznie wokół stołu. Tymczasem w jego głowie szalała burza myśli. Jeśli polski wywiad podstawił kogoś Gerdzie... Ale kogo? Czuł, że coś mu umyka. Coś z przeszłości. Był zbyt przemęczony, by to dostrzec. Przez ostatnie tygodnie pracował bez wytchnienia i mózg zaczynał odmawiać mu posłuszeństwa. Ale podświadomość biła na alarm. Coś mu najwyraźniej umykało. Ale co? Co?!!

Wyjął gazetę z rąk oniemiałej Inez i spostrzegł, że siostra nie zmieniła tekstu. Ale postacie już tak. Całość satyry została przygotowana jak sztuka teatralna. A występowali w niej generał, Hans Werner i Gertruda. Szybko przebiegł oczami tekst i kilkakrotnie musiał się powstrzymywać, by nie parsknąć śmiechem. Zwłaszcza przy oracji, którą młokos wygłosił na kolanach, a która znakomicie parodiowała styl znanego mu oficera.

Dziwne – pomyślał. Nie zmienili nazwiska szczeniaka. Dlaczego?

– Bo nikt go nie znał – rzucił głośno i stanął zaszokowany. W pośpiechu przekręcił kartki i zaczął czytać relację z balu opatrzoną fotografiami. Jego wzrok błędził po tekście. Autor dostrzegł z przekąsem, że Gerda tańczyła tylko z jakimś młodym dziennikarzem, z którym potem opuściła lokal.

Z szybko bijącym serce poszukał w relacji nazwiska generała. Okazało się, że musiał tańczyć z jedną kobietą, którą niechcący znieważył podczas jej tańca z tym samym Hansem Wernerem, z którym tańczyła Gerda.

Zwykły przypadek czy zaplanowany? – pomyślał. Szkoda, że są tylko fotografie pomieszczenia, a nie uchwycono par w tańcu.

Poczuł, jak ogarnia go znajoma gorączka. Miał przeczucie, że wraca na trop. Tego Hansa Wenera należało sprawdzić. Bo jeśli polski wywiad poznał tajemnice alkowy Gerdy, to mógł zaplanować wstawienie jej tam podsłuchu. Jezu! Przecież ona mogła wiedzieć o Wiosennym Słońcu!

Niemal biegiem podbiegł do telefonu. Z szybko bijącym sercem czekał na połączenie z Walterem. Widział, jak bieleją mu palce, tak silnie zaciskał je na słuchawce. Miarowy dźwięk sygnału, na który zwykle nie zwracał uwagi, teraz go drażnił. Tak bardzo chciał zlecić obserwację i zbieranie informacji o tym dziennikarzu, że każda sekunda opóźnienia doprowadzała go do desperacji.

– Halo. – Głos szefa napełnił go niewypowiedzianą ulgą, jakby od uzyskania tego połączenia zależało jego życie.

– Porucznik Johann Wolf melduje się – rzucił do słuchawki.

– Jezu, chłopcze! Co ja ci mówiłem o wypoczynku? Czy ty nawet w grobie będziesz myślał o pracy? Nawet żołnierze robią sobie przerwę w zabijaniu, by przypadkiem nie umrzeć śmiercią naturalną.

Johann zadrżał na słowo grób. To jedno słówko otworzyło jakąś ukrytą przegrodę w jego umyśle, która blokowała kluczową informację. To ona dopominała się cały czas o jego uwagę. Ale w natłoku innych spraw nie zauważał jej krzyku. Ostatnim razem zabił przecież kogoś. Nawet nie znał jego imienia. Ale wiedział coś o jego bracie. Co powiedział mu wtedy ten szpicel? Obaj bracia spotkali się tam z jakimś oficerem wywiadu. A jeśli posłali tam właśnie tego młodzika? – pomyślał.

Spełniał wszystkie kryteria. Młody, nikomu nieznany. I nie zdradzi, bo mnie nienawidzi, gdyż zabiłem mu brata. Na pewno będzie chciał na mnie zapolować. A jeśli Hans Werner i on to jedna i ta sama osoba? Ale jak to sprawdzić?

– Halo!

Krzyk, jaki rozległ się w słuchawce, przypomniał mu o tym, że cały czas trzyma ją w ręku. Drgnął, ale błyskawicznie opanował drżenie. Teraz musiał się skupić i dokładnie wyjaśnić, z czym dzwoni.

– Oficer wywiadu nigdy nie powinien być pewien tego, co będzie robił jutro – stwierdził. – Szeffie, przypadkiem chyba coś mam. Choć lojalnie muszę przyznać, że to pan naprowadził mnie na trop, dzięki dzisiejszej radzie. Potrzebuję dwóch rzeczy. Musimy natychmiast sprawdzić niejakiego Hansa Wenera, dziennikarza, który był na balu dziennikarzy i tańczył tam tylko z...

– Z Gerdą Leszke – padła krótka odpowiedź. – Jest trzeci do trójkąta. No dobrze, to już coś. A druga rzecz?

Johann namyślał się przez chwilę nad odpowiedzią. W końcu jednak twarz mu się rozjaśniła.

– Potrzebuję polskich gazet z nekrologami. Interesują mnie szczególnie pochówki Polaków, którzy polegli w walkach, jakie w styczniu tego roku toczyli z nami o lotnisko na Ławicy. Zabrali nam wtedy mnóstwo sprzętu.

Jeśli Nicolai był zdziwiony tym osobliwym bądź co bądź żądaniem, to w żaden sposób tego nie okazał.

– Na szczęście prenumerowanie polskich gazet nie jest rzeczą skomplikowaną – odparł szef niemieckiego wywiadu. – Mamy wszystkie polskie pisma, jakie są wydawane na obszarze całej Wielkopolski. Prenumerujemy je przez nasze firmy słupy. Powiedz nam, czego szukasz, a my cię wyręczymy.

– Szukajcie pogrzebu, na którym nie będzie jednego z braci – rzekł po namyśle Johann. – To nie będzie zwykły pogrzeb, bo

człowiek, o którego mi chodzi, nie był zwykłym żołnierzem. Miał kontakty ze sztabem powstańczym. Jeśli znajdziecie zdjęcia, to również poproszę.

– Dobrze – rzucił Nicolai. – To potrwa kilka godzin, więc idź wreszcie spać i daj pracować innym.

Johann w pierwszej chwili nie potrafił pójść za tą radą. Jego nerwy były zbyt napięte. Wiedział, że jest blisko, ale bronił się jeszcze przed uczuciem euforii. Bał się rozczarowania. Przecież mógł się mylić, a to byłoby ogromnym ciosem. Zwłaszcza że teraz nie stać go było nawet na najmniejszą pomyłkę. Właściwie to na niewiele mnie stać – kontestował w myślach, rozglądając się po małym pokoiku, który od kilku tygodni służył mu za kwaterę.

Rzeczywiście. Nawet najprzychylniejsze oko nie dostrzegłoby w tym małym pomieszczeniu znamion luksusu. Stało tu jedynie proste drewniane łóżko, po jego prawej stronie niewielki stolczyk z lampą naftową, którą okrywał zielony abażur. Na białych ścianach widać było plamy i zacieki spowodowane wilgocią, która zdawała się być w tym miejscu wszechobecna. Szczególnie widoczne było to na rogach ścian, bo resztę zasłaniała półka z książkami i szafa.

Johann podszedł właśnie do niej i zabrał się za wyjmowanie pościeli, by przygotować sobie wygodne posłanie. Postanowił bowiem mimo wszystko spróbować pójść za radą zwierzchników i porządnie się wyspać. I choć nie raz miał za posłanie gołą ziemię, a niewygody i trud go nie przerażały, to jednak cieszył się, że tym razem będzie mógł spocząć na wygodnym łożu. Lecz jak się okazało, cieszył się przedwcześnie.

Siostra bowiem wpadła jak pocisk do pokoju i ujrawszy go poprawiającego poduszki u wezłowania, parsknęła śmiechem. Spojrzał na nią i dostrzegł, że przyszła tu z wyraźnym i gotowym już zapewne postanowieniem. Z trudem powstrzymał

westchnienie. Nie chciał jej odrzucić. Jeśli dziewczyna sama zechce mu powiedzieć, jakie wiatry ją tu przygnały, to tym lepiej.

Jeszcze chwilę wytrzymam – pomyślał. Przysiadł na rogu łóżka, jednocześnie wskazując siostrze miejsce obok siebie.

Inez jednak nadal stała między futrynami i wodziła wzrokiem od ściany do ściany. Jej wzrok zatrzymał się na dłuższą chwilę na okładkach kilku brukowych powieści, które stały w karnym szyku na półkach. Wszystkie dokładnie wsunięte na swoje miejsce i żadna niewysunięta, nawet o milimetr. Po tym poznałaby swojego brata na krańcu świata. Odkąd pamiętała, zawsze był bowiem pedantem.

– Ojciec mnie do ciebie przysłał, bo chce mnie rozdzielić z jednym takim chłopcem, którego poznałam, jak byłam na pensji. My nic... – zastrzegła, widząc, że twarz Johanna szarzeje z wściekłości. – Tylko że on jest Żydem i ma na imię Szmul.

Johann ledwie się powstrzymał, by nie zakląć. Nie, nie był antysemitą. Zbyt długo żył na świecie i pracował w wywiadzie, by nie znać tej prostej prawdy, że świat jest wielki, a ludzie na nim rozmaici. Dobro, jak również zło, nie było przypisane ani do konkretnej rasy, ani do religii. Ale wiedział też, że choć nienawiść do Żydów znacznie była przygasła na skutek wojny, której prowadzenie wymagało zjednoczenia społeczeństwa, to nadal tliła się niczym iskry, które wciąż żarzą się pod warstwą popiołu w pozornie wygasłym i ostygłym ognisku.

Ojciec zapewne to wie – myślał. I jeśli się da, to trzeba mu w zabiciu tego uczucia dopomóc. Ale jak wyjaśnić to tej sroce? Nie mógł jej przecież powiedzieć niczego autorytarnie, bo to rodzi gniew i bunt. Z drugiej strony rozmawiać z Inez jak z osobą dorosłą? Tłumaczyć zasady religii mojżeszowej? Przecież oni jej nie zaakceptują. Zapewne mają taką samą biedę jak my – pomyślał kwaśno.

– Ty też? – warknęła siostra. – Czy wam wszystkim się w głowach poprzestawiało? My się tylko znamy i przyjaźnimy. Co w tym złego, do diabła!?

Podniósł się i prawie przemocą posadził ją na łóżku. Przez chwilę patrzył w jej nacechowane powagą oczy, jakby myśli zbierając. Szło mu to dość opieszale, bo przemęczony umysł reagował wolno i ospale. Wreszcie jednak zebrał się w sobie i rzekł:

– Ojciec po to od ust sobie odejmował, żebyś poszła na pensję i została nauczycielką. Miałaś się tam uczyć, a nie miłostkami zajmować. Ty jeszcze nie wiesz, przy kim ci serce przyspiesza ani co to jest miłość.

– A ty wiesz? – zaatakowała. – Chyba nie, skoro sam sobie łóżko ścielisz?

Johann uśmiechnął się lekko i usiadł obok niej.

– To, co mówisz, dowodzi, że niczego nie wiesz o miłości. Prawdziwy mężczyzna nie szuka tylko służki, kochanki i kucharki na cały etat. Podobnie kobieta nie szuka tylko kogoś, kto naprawi włącznik, półkę przykręci i tak dalej. Kiedy naprawdę kogoś kochamy, to dbamy o dobro tej osoby bardziej niż o swoje własne. Rozumiesz? Chcę z tobą rozmawiać jak z osobą dorosłą, gdy wysłuchasz mnie do końca, powiesz swoje słowo.

Dziewczyna nie odpowiedziała, bo nie była pewna, co powinna w tej sytuacji zrobić. Wobec brata czuła się zawsze swobodniej. Mimo dość sporej różnicy wieku traktował ją zawsze jak równą sobie. Nigdy się nie wywyższał i nad każdym kłopotem, z którym do niego przybiegła, pochylał się z jednakową troską. Nigdy jej nie lekceważył. Dlatego chętniej zwierzała się jemu niż rodzonej matce, która od świtu do zmierzchu stała za barem, pilnując knajpy i zysku, na którym oparty był byt całej ich rodziny. Ale praca ta zabierała jej czas, którego nie mogła poświęcić córce. Do ojca nie zbliżała się prawie wcale, bo ten mówił tylko jedno słowo

i na tym poprzestawał. A będąc surowego charakteru, karał ją surowo za przewiny, których było niemało, bo Inez zasłynęła na całą okolicę ze swoich psot.

– Tylko mów mądrze i nie marudź.

– Młodzi, nie mając doświadczenia, do starszych idą – odparł. – Żydzi to zamknięta grupa. Różnią się od nas wiarą, mową i obyczajem. Oni nie lubią się łączyć z nami, a my z nimi. Skąd się to bierze, orzec trudno. Po części z odmiennych sposobów na życie. Jego odmienność budzi zarazem ciekawość i strach. Stąd się biorą owe legendy o porywanych przez nich dzieciach, z których składają ofiary. To głupstwa i kalumnie, które wzięły się z pogłosek i gadania złośliwców im zazdroszczących. I tu masz drugą przyczynę: bogactwo.

– Niech sami zarobią.

Moja siostrzyczka i jej proste sposoby na wszystko – pomyślał. Ojciec słusznie zrobił, że mnie ją odesłał. Nie na jego wiek opieka nad tym dzieckiem, które wyrwa się na świat, a jeszcze nie rozumie reguł, które nim od lat rządzą.

– Pewnie, że lepiej by było, gdyby tak postąpili. Ale łatwiej jest pomstować, pięściami wygrażać, zwłaszcza że i za boską krzywdą można się ująć, dług sobie umorzyć. – Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie. – Potomstwo Mojżesza trudni się lichwą od wieków. I nie ma na tym polu żadnej konkurencji, bo Kościół uznaje tego typu pożyczki za grzech. Teraz to się zmienia, ale kiedyś nie do pomyslenia było, by katolik udzielał pożyczek na wysoki procent. A pieniądze wyzwalały w ludziach najdziksze instynkty i pokłady okrucieństwa. Stąd właśnie bierze się owa łatwość, z jaką można podburzyć ludzi przeciwko Żydom i pogrom wywołać. Spali się i złupi kilka sklepów, to człowiek sobie dorobi. Lichwiarzowi łeb się ukreśli, to o dług nie trzeba będzie się martwić. Tak zawsze jest.

– I władze na to pozwalają? – zapytała Inez z niedowierzaniem.



Johann przypomniał sobie, co mówił Hindenburg, i nie po raz pierwszy poczuł, że coś złego wykluwa się na niemieckiej ziemi. Jedno zło odeszło, pozostawiając nędzę, głód i zgliszcza. A drugie już czało się w mroku. I coś mu mówiło, że to Żydzi staną się kozłami ofiarnymi. To ich obwini się za klęskę, sytuację gospodarczą. Czy nie to zapowiadał Hindenburg? Nie byłby to pierwszy ani ostatni raz, gdy znajdująca się w kłopotach władza szczyła naród na Żydów. A generałowie i rząd są właśnie w kłopotcie. Kto, jak nie oni, zapewniał społeczeństwo o niezwyciężoności naszej armii? – myślał Johann. Przecież nie obwinia za klęskę i jej wszystkie następstwa żołnierzy ani siebie samych. Wówczas niedługo cieszyliby się i owocami władzy, i życiem. Lepiej będzie stworzyć mit o zdrajcach wewnątrz, którzy w chwili, gdy zwycięstwo było już na wyciągnięcie ręki, zadali walczącej armii cios w plecy.

Pewnie tak postąpią. Bo tak im własna korzyść i zimne wyrachowanie nakazuje. I lepiej dla mnie i dla całej mojej rodziny nie mieć ani jednej nitki, która wiązałaby nas z Żydami – pomyślał.

Spojrzał na siostrę i przez chwilę żał mu się jej zrobiło. Powinna móc przyjaźnić się, z kim zechce. Ale nie w świecie rządzonym przez brutalnych polityków, którzy dla utrzymania się przy władzy, gotowi są obudzić najstraszniejsze demony. Johann nie łudził się, by potrafili je okiełznać. Nikt, kto ciska żagiew pod ubezpieczony przez siebie dom, nie wie, do jakiego stopnia pożar się rozpęta. Ale gdy tak się stanie, to jeden wiatr nad nim panuje i gdzie zechce, poprowadzi.

– Dla władzy wszelkie konflikty społeczne są zawsze korzystne. Bo wówczas społeczeństwo zajęte jest jałowymi sporami lub wzajemnym mordowaniem i przestaje ją kontrolować. A Żydzi i ci, co się z nimi zadają, są idealnym celem. W tej chwili jest to tylko teoretyczne rozważanie. Ale gdy coś naprawdę zacznie się dziać, to nikt nie będzie pytał, czy wy tylko ze sobą chodzicie, czy się razem

kładziecie. Ja jestem żołnierzem i niezbyt mi to zaszkodzi, bo władze muszą dbać o pozory. Ale ojciec musi się starać o sympatie ludzi, bo prowadzi knajpę i nie stać go na straty. Proszę cię, nie podcinaj bytu rodziny, nie niszczyć owocu pracy i życia naszych rodziców. Okaż dorosłość.

– Czyli?

– Zerwij tę przyjaźń – rzekł z mocą. – A zrobisz to, co najlepsze dla ciebie i dla niego. Jego nie będą bili za chodzenie z tobą, a ciebie za przebywanie z nim. To dorosłość, mała. – Wziął ją za rękę. – Sztuka dokonywania trudnych, czasem bolesnych wyborów.

– A co ja mam mu powiedzieć?

Odetchnął, bo z tonu jej głosu poznał, że Inez zaczyna się naginać do jego woli. Czuł, że dopływa do brzegu, ale nie potrafił wykrzesać z siebie nawet odrobiny entuzjazmu. Wiedział, że robi to, co nakazywały mu rozum i doświadczenie, ale nie czuł się z tym dobrze. Wchodził z buciorami w życie własnej siostry. Niszczył jej pierwszą niewinną fascynację chłopcem, bo obawiał się o jej bezpieczeństwo. Błogosławił teraz ojca, że przysłał ją do niego na tak wczesnym etapie. Miał nadzieję, że dzięki temu jego siostra nie poczuje bólu i nie znienawidzi go za to.

Przecież nie mogę jej powiedzieć wszystkiego, co wiem lub czego się tylko domyślam. Zresztą są to tylko moje przypuszczenia, które mogą się nie sprawdzić i pewnie się nie sprawdzą. Ale kto żyje w takich czasach jak obecne, ten nie może postępować nierozważnie i musi przecinać nawet takie sprawy, które tylko mogą, choć nie muszą skończyć się ciężkimi kłopotami dla niego i dla ich najbliższych. Muszę ich chronić. I nie wolno mi dać wrogom najmniejszego punktu zaczepienia.

Przez chwilę zastanawiał się, jak powinien odpowiedzieć na ostatnie pytanie Inez. Zastanawiał się nad tym długo, bo zdawał sobie sprawę, ile od tej odpowiedzi mogło zależeć. Być może nawet przyszłość ich rodziny. I coś mu mówiło, że w obecnym kontekście

relacji społecznych nie byłaby to zbyt odważna teza. Wreszcie zrozumiał jednak, że nie powinien dłużej przeciągać milczenia, i rzekł:

– Jeśli jest mądry, sam zrozumie, w czym rzecz. Zresztą wytłumaczy mu to jego rodzina, która zapewne też prowadzi z nim taką rozmowę jak ja z tobą. Oni mu wszystko wytłumaczą. Choć zapewne będzie to dla niego tak samo trudne do zaakceptowania jak dla ciebie. Ale jeśli zapyta, to powiedz mu, co zechcesz. Albo tak: rowu, który kopią dwa narody, ani przeskoczyć, ani przezeń przejść. O podaniu sobie rąk też można zapomnieć. Ale w sercu jedno o drugim wdzięczną pamięć zachować może. A nie pociągnie to za sobą żadnych tragicznych konsekwencji, bo nikt nie wie, co kto ma na serca dnie.

Inez bez słowa wpadła mu w ramiona. Johann tulił ją i głaskał po puszystych włosach. I tak trwali przez długą chwilę. Wreszcie jednak jej uroczysty nastrój zmaćcił natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Ostrożnie uwolnił się z objęć siostry i poszedł otworzyć. Skinąwszy głową kurierowi, przyjął od niego tylko dwa zdjęcia.

Idąc z powrotem do pokoju, rzucił na nie okiem. Krzykliwy podpis głosił: *Ostatnia droga Mikołaja Adamczewskiego, który zasłużył sobie na wdzięczną pamięć narodu*. Dostrzegł trumnę, za którą posuwał się wielotysięczny kondukt żałobny. Ciżba ludzka była tak gęsta, że nie mógł znaleźć nawet skrawka wolnej przestrzeni. Ale to go nie interesowało. Przesunął fotografię pod spód i spojrzął na drugą.

Tę wykonano w kościele. Trumna była otwarta i stała na katafalku, otoczona morzem płonących świec. Widać było tylko pierwsze ławki. Tuż za trumną siedział siwy, przygarbiony starzec, o twarzy wykrzywionej bólem i gniewem. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzeże ślady łez. Ale oczy starca pozostały suche. Johannowi rzuciło się w oczy jeszcze jedno. Ten człowiek spoglądał

w stronę drzwi kościelnych, zupełnie jakby do ostatniej chwili na kogoś czekał.

Potwierdzenie swoich przypuszczeń znalazł na odwrocie zdjęcia, gdzie czyjaś ręka zanotowała: *Pogrzeb opóźniono – na prośbę ojca. Przyczyna jest nieznana, choć gazeta przypuszcza, że ojcu trudno było przetrwać tak wielki ból. Ceremonię przeprowadzono dopiero po przyjeździe odznaczeń. Gazeta nie wspomniała nawet słówkiem o tym, kto je przywiózł. Dziwne.*

Nie dziwne, a oczywiste – pomyślał Johann. Mógłbym powiedzieć ojcu, gdzie był jego drugi syn. Ale zdaje mi się, że pułkownik Kossowski zrobił to za mnie.

## Rozdział III

Bernard boleśnie przeżywał owe ciągi, jakie otrzymał w karczmie u Starego Jozka. Nie przywykł do czegoś takiego. Jako syn ministra sprawiedliwości posiadał rzeszę fałszywych przyjaciół i pochlebców, którzy wieszali się przy nim dla własnej korzyści. Bernard wiedział o tym, ale niewiele go to obchodziło. W końcu na ich utrzymanie łożył z ojcowej kasy, a nie z własnych funduszy. Koneksje ojca okazały się przydatne nie tylko przy pozyskiwaniu popleczników. To one sprawiły, że bójka Bernarda nie trafiła na pierwsze strony porannych i popołudniowych dzienników. O sprawie więc nie dowiedziały się szerokie kręgi społeczne.

Co wcale nie oznacza, że sprawa Bernarda nie stała się tematem ploteczek, rozmów na wszystkich balach i rautach odbywających się w państwie. W zamkniętym kręgu, jaki tworzyła arystokracja, wszelkie tego typu zdarzenia rozchodziły się niczym kręgi na wodzie, gdyż wszyscy wszystkich znali. Plotek o Bernardzie słuchano zaś bardzo chętnie, bo powszechnie go nie lubiano. Był bowiem człowiekiem, który nic sobie nie robił z zasad i reguł rządzących jego środowiskiem od setek lat. Żył pełnią życia. O jego hedonistycznych wyczynach i rozpuszcie krążyły legendy. Gdy jakaś kobieta mu się podobała, to nie zwykł przejmować się jej stanem cywilnym. Doprowadzało to do wielu pojedynków i zwad, w których zwykle to on bywał górą, bo wzorem wszystkich szlachetnie urodzonych był znakomitym fechtmistrem. Jego szpada pozostawiła więc wiele ran i wiele mogił.

W zasadzie większość elity państwa stanowili ludzie takiego właśnie pokroju. Ale tylko Bernard odczuwał ostracyzm i niechęć środowiska. Znał je dobrze i wiedział, jak bardzo jest zakłamanie. Większość małżeństw, które w oczach ludzi uchodziły za wzorowe, była w rzeczywistości starannie utrzymywaną fikcją. Korzystną dla każdej ze stron. Mężowie zdradzali żony, marnotrawili majątki przy stolikach do gier. Bernard często się uśmiechał, gdy tacy jak oni potępiali go w dzień, by w nocy stawać się jego kompanami. Ale oni starannie ukrywali swoje skłonności pod warstwą kindersztuby i obłudy. To samo robiły ich żony. Wszyscy mrużyli oczy, by nie widzieć tego bagna, w którym sami tkwili po uszy.

Jedyną więc winą Bernarda było to, że niczego nie udawał i niczego nie ukrywał. To, co robił, robił na oczach ludzi, bynajmniej nie przejmując się ich opiniami. Stać go na to było. Wiedział, że ludzie między sobą mówią o nim różne rzeczy, ale nikt nigdy nie powie mu tego w oczy. Bo oni wszyscy potrzebują jego pieniędzy. On zaś był w pełni niezależny i z niczym zdaniem liczyć się nie musiał. Wiedział bowiem, że ojciec nigdy nie zawaha się go ratować. Wyciągnął go już przecież z niejednego kłopotu, w który na skutek takiego, a nie innego stylu życia się wpakował. Zawsze wiedział, że ma starego za plecami. Wszakże tak było i teraz. Z tą tylko różnicą, że w tym momencie nie potrafił przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Czuł się upokorzonym w miłości własnej i pobitym.

A wszystko przecież zaczęło się tak niewinnie. Od jednej głupiej kelnereczki. Zwykle nic podobnego mu się nie przytrafiało. Takie kobiety chętnie rozkładały przed nim nogi, bo liczyły na suty datek. Ale ta żmija postąpiła inaczej. Walczyła jak lwica. I jeszcze na dodatek w sprawę wmieszał się ten nieznajomy... Teraz wiedział, że go nie docenił. Bernard był zanadto pijany, by racjonalnie myśleć. Sądził, że jego umiejętności pozwolą z łatwością pokonać zwykłego oficera, który postanowił zostać

obroncą honoru i czci niewieściej. Kiedy się zorientował, że ma do czynienia z graczem pierwszej wody, było już zdecydowanie za późno, aby mógł cokolwiek zmienić. Został publicznie upokorzony i ośmieszony. I choć dzięki wpływom ojca o tej porażce wiedziało stosunkowo niewiele osób z jego sfery, to jej wspomnienie paliło go żywym ogniem.

To właśnie ono sprawiało, że od tygodni nie wychodził z domu, nikogo prócz służby nie widując. Zrezygnował nawet z wieczornych pijatyk, w których zwykle stale uczestniczył. Nikt więc nie widywał go ani w klubach, ani w zamtużach stolicy. Bernard nie potrafił, tak jak dawniej, bawić się tysiącami marek, trwoniąc je w kasynach do gry. Nie interesowały go nawet kobiety. Zupełnie jakby wszystkie żądze się w nim wypaliły. Zachowywał się jak eremita. Stronił od ludzi, a czas schodził mu na rozmyślaniach. Lecz jego myśli ani nie tyczyły się zbawienia duszy, ani nie były pobożne. Jego umysł ogarnęła teraz tylko jedna żądza – żądza zemsty. Podporządkował jej wszystkie swoje myśli i uczucia.

Poprawił się w głębokim fotelu, na którym siedział, zwrócony twarzą do wygasłego w tej chwili kominka. Obojętnie rozglądał się po swoim pokoju. Było to ogromne pomieszczenie umeblowane kunsztownie i ze smakiem, znamionującym dobry gust. Wszystkie meble sprawiały wrażenie ciężkich i ogromnych. Biegli w stolarstwie rzemieślnicy zbudowali je z wiśniowego i hebanowego drzewa. Z nich właśnie stworzono kunsztownie zdobiony sekretarzyk, którego gospodarz używał zamiast biurka. Bernard nigdy go nie lubił, ale jego ojciec z pasją kolekcjonował wszelkiego rodzaju starzyska, trwoniąc na nie rodzinny majątek.

Pod ścianą stała ogromna gdańska szafa, ze zwierciadłem umieszczonym w dwuskrzydłowych drzwiach. Wzrok mężczyzny zatrzymał się właśnie na nim, a w lustrze odbiło się jego oblicze. Przez chwilę patrzył w swoją wybladłą, wychudzoną twarz.

Widział otoczone ciemnymi obwódkami oczy, które wyglądały tak, jakby niedawno stoczył ciężką walkę na pięści. Był to jednak tylko efekt nawarstwiającego się bezustannie przez kilka dni zmęczenia. Ostatnio bowiem spał po ledwie kilka godzin dziennie. Przy tym był to sen niespokojny, taki, który w najmniejszym stopniu nie redukowało zmęczenia ciała i umysłu. A Bernard czuł, że właśnie teraz jasność myślenia jest mu potrzebna jak nigdy dotąd. Przez całe życie nie stanął wszak przed ani jednym trudnym problemem, który musiałby sam rozwiązać. To ojciec myślał za niego i usuwał mu spod nóg każdą przeszkodę. Było mu z tym więcej niż wygodnie i dlatego nie miał zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy.

Teraz jednak nie mógł liczyć na pomoc ojca. Znał go i wiedział, że ten do szpiku kości prawy człowiek nie przystąpiłby za nic w świecie do realizacji jego zamysłów. Bernard zresztą wcale tego nie oczekiwał. Nie przez cudze ręce chciał się dobrać do gardła nieznajomego, który go ośmieszył i zmusił do tego, by krył się po kątach jak szczur. Tę sprawę chciał załatwić sam. Dobrze pamiętał, co rzekł mu nieznajomy, bo grot palący utkwiał w jego duszy głęboko i zaczął się jątrzyć straszliwie. Dlatego chciał go dostać, by udowodnić, że i bez ojca potrafi czegoś dokonać. Korzystał wszak z ojcowskich pieniędzy, ponieważ własnych nie posiadał.

Za nie właśnie rozpoczął energiczne poszukiwania nieznajomego i dziewczyny. Cała masa cichych ludzi wszelkiej maści bez dachu i domu, którzy tylko z takich zleceń żyli, zleciała się do niego niczym kruki na żer gotowe. Opłacił ich sownie i porozsyłał na wszystkie strony. Chciał znaleźć przede wszystkim tajemniczego przeciwnika z karczmy, bo to on nadwyrężył jego reputację i ośmieszył w oczach ludzkich. Ale dziewczyną też by nie pogardził. Już on by jej pokazał, co to znaczy odrzucać jego zaloty, gdyby ją tylko w swe ręce dostał. Lecz na razie jedynie w myślach napawał się sukcesem, bo jak dotąd intensywne poszukiwania nie dały rezultatu. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna pod ziemię się



zapadli. O ile w przypadku kobiety spodziewał się ewentualnego braku rezultatów i ścigał ją raczej pro forma, o tyle brak wieści o mężczyźnie zaskoczył go i zupełnie zbił z tropu. Był niemal pewien, że ktoś, kto pokonał go z taką łatwością, musiał być kimś, kto zostawia za sobą ślady. Lecz jak do tej pory jedynym takim śladem był Tuwim.

Bernard wyduł usta w grymasie niechęci.

Nie lubił tego sługi muz, choć obaj byli do siebie dość podobni. Zarówno on, jak i Julian lubili się dobrze zabawić. Nie gardzili więc kompanią karczemnych dziewczek i wszelkiej maści łotrów spod ciemnej gwiazdy. Krążyli po szynkach, szukając alkoholowego upojenia i mocnych wrażeń. I nie raz jeden się ze sobą zetknęli. Lecz Julian umiał zachować pewną miarę w zepsuciu. Wzorem wszystkich estetów, nigdy nie demontował hamulców. Za to właśnie nie znosił go Bernard. Poeta zniknął z imprez wtedy, gdy uczestnicy porzucali konwenanse, a zabawa zmieniała się w typową orgię pijacką.

Poeta nic mi nie powie – pomyślał Bernard, poprawiając rękaw nocnej koszuli. Z obojętnością przyglądał się śladom po wkluciacz, jakie uwidoczniły się na jego żyłach.

Tędy właśnie do jego krwi od kilku już lat dostawała się morfina. Na początku powodem jej wstrzykiwania była zwykła ciekawość. Chciał sprawdzić, jak to jest. Potrzebował ucieczki przed ludźmi, przed światem, przed ojcem. Oni wszyscy czegoś od niego chcieli i wymagali. Chcieli, by był kontynuatorem rodu i przysporzył rodzinie i herbowej tarczy splendoru i znaczenia. A on tego nie chciał. Nie chciał być prawdziwym Polakiem. Patriotą, który myśli, czuje i pieprzy się dla ojczyzny, by spłodzić potomstwo. Był młody i chciał po prostu żyć. Żyć tak, jak jego rówieśnicy w tych szczęśliwszych zagranicznych krajach, gdzie wszyscy są weseli. Gdzie nikt nie karmi ich legendami o bohaterskich powstańcach, którzy byli zwykłymi szaleńcami.

Szaleńcami, którzy w imię mrzonek zmarnowali rodowe majątki, a powinny one wszak przypaść ich synom i wnukom.

Potoczył wzrokiem po wiszących na ścianie portretach: Jasińskiego, Kościuszki i Traugutta. Jakby chciał im te swoje myśli wykrzyzczyć. Nienawidził tych portretów. Zawsze miał wrażenie, że w surowych oczach tych ludzi, którzy wpatrywali się w niego z ram, widzi tylko potępienie. Dawno by się ich pozbył, gdyby nie obawiał się ojca, który każdego z tych ludzi wielbił i czcił. Bernard nigdy nie rozumiał jego uwielbienia dla tych, którzy na kraj sprowadzali jedynie nieszczęścia i klęski. Często zastanawiał się nad tym, czy jego rodacy nie mają w sobie jakiegoś fatalistycznego upodobania do klęsk i cierpienia.

Jeśli nie moi rodacy, to w każdym razie przynajmniej rodzina na pewno – pomyślał kwaśno.

Rodzina jego była przez stulecia zwykłym szlacheckim rodem, który swój los sprzągł z dziejami kraju. Gdy kraj był u szczytów powodzenia, ród potężniał i obrastał w bogactwa, gospodarząc na kilku folwarkach, które bardziej przypominały klucze. Do godności i urzędów Walewicze nigdy nie doszli, sprawując co najwyżej tytularne urzędy; więc łatwo było znaleźć między nimi: mieczników, cześników, podczaszych i chorążych. Natomiast na polach bitewnych nieocenione krajowi oddawali usługi. Nawykli przy tym żywić się z wojny, z której często przywozili obfite łupy. Czasem tam któryś z rodowców poległ, ale inni nic sobie z tego nie robili i dalej prowadzili wojenne rzemiosło. W tych stronach mawiano bowiem, że szlachcicowi nie wolno w łóżku umierać. Kolejne pokolenia Walewiczów żyły tak, jak ich ojcowie i dziadowie przed nimi.

Dopiero pod koniec osiemnastego wieku upadek państwa, a z nim rodu, zmienił położenie. Kraj spustoszony, zubożony i wyludniony przez serię nieszczęśliwych wojen stał się igraszką w rękach sąsiadów. Oni to stopniowo, acz nieubłaganie zagarniali

dla siebie coraz większe połacie terytorium kraju, wykorzystując do tego wady ustrojowe, które od wieków były w nim obecne. Wrogie złoto starczyło, by kupować posłów, zrywać sejmy, paraliżować wszystkie rozsądne działania, które miały zmierzać do reformy państwa. Aż wreszcie trzy ościenne mocarstwa doszły do porozumienia i w niwecz obróciły twór, który swój początek miał w czasie Unii Lubelskiej. Kraj został rozerwany i zniewolony. Trzy mocarstwa złożyły przysięgę nad pergaminami, że Polska nigdy już nie wróci do życia.

Walewiczowie podzielili los innych. Brali udział we wszystkich zrywach niepodległościowych, jakie były udziałem narodu polskiego w epoce zaborów. Ich krew wsiąkała we wszystkie pola bitewne, na których grały działa. Ich przedstawiciele zapełniali kibitki, które wlokły ich na syberyjską poniewierkę. Niejeden tam grób po nich pozostał. I groby owe były jedynym owocem walk, jakie niemal co pokolenie przetaczały się przez polską ziemię. Były one zacięte i krwawe, lecz w niczym nie mogły zmienić położenia narodu. Doprowadziły zaś do konfiskat majątków i jeszcze większej utraty znaczenia przez polskie ziemiaństwo, które było duszą i sercem wszystkich zrywów niepodległościowych. Walewicze również utracili znaczną część rodowych posiadłości, stając się szlachtą na zagrodzie, która jedynie w przysłowiu była równą wojewodzie.

Stało się to udziałem dziadka Bernarda. Bo już jego ojciec był człowiekiem zupełnie innej epoki. Epoki pracy organicznej. Wczepił się w tę ziemię pazurami i trzymał się jej. Unowocześniał metody gospodarowania, krzewił oświatę pośród chłopstwa. Słowem wziął się do solidnej pracy, a swą podporę znalazł w żonie. Ona i on byli do siebie podobni jak dwie strony tej samej monety. Jednakowo patrzyli na świat i ludzi i tak samo dobro ojczyzny pojmowali. Dlatego właśnie dobrze im było ze sobą i z takiego to związku przyszedł na świat Bernard. Przez jakiś czas rodzina żyła

spokojnie, ciesząc się życiem prowincjonalnym, wypełnionym troskami i radościami dnia codziennego. Aż nadeszło nowe stulecie, które zastało na ziemiach polskich nowe wrzenie rewolucyjne. Wtedy we Władysławie obudziła się krew jego ojców i dziadów, którzy od dawien dawna szablą gospodarzyć nawykli.

Nowe czasy przyniosły wraz ze sobą nowe ideologie: socjalizm i komunizm, które za cel postawiły sobie obronę praw robotników i chłopów. Zwalczały zaś fabrykantów i ludzi określanych przez siebie mianem wyzyskiwaczy. Wszyscy oni stali się więc wrogiem carskiego aparatu, który to właśnie w nich widział główne zagrożenie dla tronu Romanowów. Walewicz przystąpił więc do zwalczania nowych ruchów, nie szczędząc sił i środków. Na terror oba ruchy odpowiedziały walką. Na ulicach znowu zrobiło się niebezpiecznie, wybuchały bomby, pękały granaty, a leżące na ulicach trupy carskich żandarmów nie były rzeczą nadzwyczajną.

Bernard dobrze pamiętał już ten czas, bo był wtedy wyrostkiem. Widział więc i rozumiał położenie matki, która pracowała jak wół, by w przyzwoitej kondycji utrzymać te resztki majątku, które rodzinie pozostały. Nie raz chodził z nią na pola i widział, jak własnymi, dostojnymi rękami chwytala za sierp, pracując ramię w ramię z chłopami. Nadzorowała wszystko i radziła sobie ze wszystkim, uśmiechając się do niego. Ale on wiedział, jak trud nad siły osłabia jej organizm. Jak często przystaje, gdy chwytal ją ten dziwny kaszel, z którego ona żartowała, a który okazał się gruźlicą. Może to właśnie wtedy zaczął oddalać się od ojca. Przestał go rozumieć. To on i matka powinni być dla niego najważniejsi, a nie ojczyzna, która istniała przecież tylko w jego snach. To oni byli realni, więc to o nich powinien dbać. Ale ojciec ich zostawił. Wydał własną krew na poniewierkę. A matka tak go kochała – głupia. Nie zamknęła wieczorem oczu, zanim się za niego nie pomodliła. Bernarda też zmuszała do klęczenia przed Czarną Madonną. On jednak tylko

udawał zatopienie w modlitwie. Nie chciał, nie umiał modlić się za niego.

Tymczasem ojciec związał już swój los z Piłsudskim, którego poznał w Organizacji Bojowej PPS. Od tej pory losy jego ojca i przyszłego naczelnika były ze sobą nierozdzielnie powiązane. Razem odbyli całą epopeję legionową. Wszędzie tam, gdzie krwawiły legiony, był też jego ojciec. Wszyscy też podawali go sobie za wzór męstwa, honoru i odwagi. Nie było takiego zadania, którego by nie wykonał, ani takiego medalu, którego by nie dostał. Wszystko, czego dokonał, opisywał im w listach, które czasem sposobną porą posyłał do rodzinnego gniazda. Bernard nie potrafił zrozumieć matki, która każdy z tych listów odczytywała po kilkanaście razy, oblewając rzewnymi łzami każde zawarte w nich słowo i chowając je na sercu. Tak mijały lata. Losy wojny i samych legionów zmierzały do końcowego rozstrzygnięcia.

Władze austriackie postanowiły odebrać legionom dotychczasową autonomię i trwalej związać ze sobą niepewnego sojusznika. Nakazano więc legionistom złożyć przysięgę na wierność cesarzowi Franciszkowi. W tym czasie losy wojny były już rozstrzygnięte i klęska państw centralnych była jedynie kwestią czasu. W tej sytuacji wiązanie się z nimi silniejszymi więzami byłoby błędem kardynalnym. A do jego popełnienia nie było pilno nikomu w dowództwie, a już najmniej samemu Piłsudskiemu. Odmówił więc złożenia przysięgi. Wraz z nim to samo uczyniła niemal cała Pierwsza Brygada. W tym Władysław.

Na początku wydawać się mogło, że komendant tym razem przelicytował, by spektakularnie przegrać to, o co z tak wielkim trudem walczył przez całe swoje dotychczasowe życie. Władze cesarskie nie miały bowiem zamiaru tolerować jawnego buntu wobec swoich zarządzeń i postanowiły zdusić opór buntowników w zarodku. Użyto siły. Piłsudskiego umieszczono w twierdzy w Magdeburgu, a tych, którzy szli za nim, umieszczono pod strażą

w kilku obozach internowania. Czyżby oto sprawa legionowa miała zostać definitywnie pogrzebana wraz z ich twórcą? Jednak czas przyznał rację rozumowaniu Piłsudskiego. Monarchia austro-węgierska dogorywała. Nowy więzień trafił pod zarząd niemiecki. Tam przenoszono go przez jakiś czas z miejsca na miejsce, póki nie trafił w mury Twierdzy Magdeburgskiej. Uwolnienie przyszło wraz z rewolucją listopadową, która wstrząsnęła posadami państwa cesarza Wilhelma, zmuszając go do abdykacji i pośpiesznej ucieczki.

Piłsudski zaś odjechał samochodem prosto na Berlin, skąd pociągiem wrócił do Warszawy. Przyjazd ten przerodził się w prawdziwy triumf. Na fali powszechnego uniesienia został naczelnikiem państwa z pełnią władzy nad dopiero co odtworzonym wojskiem. Gwiazda komendanta znowu wzbija się wysoko i świeciła jasnym blaskiem. W chwili triumfu Piłsudski nie zapomniał o tych, którzy zaryzykowali wszystko i poszli za nim. Nie zapomniał też o ojcu Bernarda, któremu, korzystając ze swoich obecnych wpływów, oddał tekę ministra sprawiedliwości w rządzie Jędrzeja Moraczewskiego. Lecz nie zrobił tego z czystego kumoterstwa. Wiedział bowiem, że lepszego człowieka do pełnienia tej funkcji trudno byłoby mu znaleźć w całym kraju. Władysław był to człowiek jak łąza czysty, a niedostatki w wiedzy nadrabiał szybko.

W krótkim czasie stał się jednym z ważniejszych ogniw rządu Jędrzeja Moraczewskiego, aktywnie uczestnicząc we wszelkich podejmowanych przezeń działaniach. A pracy było dużo. Świeżo powołany rząd odrodzonego państwa musiał uporządkować niemal wszystkie kwestie, które są państwu niezbędne do sprawnego funkcjonowania. Przy czym największy nacisk położono na sprawy społeczne. Uchwalono reformy, które miały ulżyć doli włościan i robotników, a przede wszystkim odciąć tlen ideologii komunistycznej, której głosiciele stali się wrogami

niepodległości Polski. Władysław pracował na tyle dobrze, że Paderewski, który zastąpił Moraczewskiego na skutek przetarasowań politycznych mających wytworzyć w kraju stan równowagi, nie odebrał mu stanowiska. Paderewski miał swoim autorytetem i sławą pogodzić dwa zwalczające się wzajemnie stronnictwa polityczne, które szarpały państwu wewnętrza.

Bernard poczuł drżenie mięśni, a oczy zaszły mu łzami. Aż za dobrze wiedział, co to oznacza. Nie wziął dziś jeszcze swojej działki morfiny. Uzależnienie to kierowało jego życiem i poczynaniami. Wszystkie swoje dążenia podporządkował tylko jednemu celowi: zdobyciu środków na kolejną dawkę. Zdawał sobie sprawę ze swojego uzależnienia i bynajmniej nie miał zamiaru oszukiwać sam siebie ani udawać, że jeszcze kontroluje swoje życie. Nie miał zamiaru z tym walczyć. Wiedział, że jest uzależniony zarówno na poziomie psychicznym, jak i fizycznym. Przede wszystkim morfina odcinała jego mózg od świata, który go nie akceptował. Narkotyk wprowadzał jego psychikę w świat fascynujących rojeń i marzeń, których nie umiał się wyrzec. Bo tylko dzięki nim mógł żyć życiem zastępczym.

Rozejrzał się czujnie po pokoju, który przez ostatnie kilka dni stał się miejscem dobrowolnego uwięzienia. Jego oczy przez dłuższą chwilę zatrzymały się na sekretarzyku. Tam trzymał morfinę w płynie i strzykawkę. Oczy błyszcząły mu gorączkowym blaskiem, a ręce wykonywały konwulsyjne ruchy, niczym u topielca albo u konającego. Ale Bernard jeszcze nad sobą panował. Pamiętał, że nie mógł zamknąć drzwi na klucz. Taka była wola jego ojca, który ze wszystkich sił starał się odseparować go od narkotyku. Często też kazał, by służba przeszukiwała jego rzeczy. Ale działania te nigdy nie dawały zadowalających rezultatów. Bernard zawsze potrafił sobie poradzić, a i służba miała dość rozumu, by nie przesadzać z gorliwością. Młody panicz dał się bowiem poznać jako ktoś, w kim lepiej nie mieć wroga.

Niemniej teraz skupił się w sobie i czujnie nasłuchiwał. Za drzwiami panowała niczym niezmacona, uroczysta cisza. Do jego uszu nie docierały żadne dźwięki. Zupełnie jakby cały dom był wymarły. Zdziwiło go to trochę. Lecz teraz nie chciał się nad tym zastanawiać. Myślał bowiem już tylko o jednym. Za chwilę zaspokoi swój głód; popadnie w stan euforii. Choć przez kilka chwil będzie szczęśliwy. Bez ojca, którego wielkich planów i ambicji nigdy nie umiał spełnić. Bez zmumifikowanej arystokracji, która hołdowała dawno zbutwiełej tradycji, dla której był napiętowanym pariasem i czarną owcą.

Wstał z fotela i kocim krokiem zbliżył się do sekretarzyka. Stare meble mają przynajmniej tę zaletę, że czasem posiadają wiele skrytek, w których można ukryć niejedno – pomyślał. Gdyby mój staruszek wiedział, jaki prezent mi robi, kupując ten starość, to zapewne dziesięć razy by się zastanowił.

Pochylił się nad sekretarzykiem, chcąc uruchomić mechanizm, który odsłoni kryjówkę, gdy nagle drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem. Bernard pośpiesznie zaczął udawać, że pilnie studiuje rozłożone na szklanym blacie papiery. Lecz nawet nie przyjrzał się, co się na nich znajduje. Kątem oka obserwował bowiem swego ojca, który stał w drzwiach i wpatrywał się w niego tak zbolałym wzrokiem, iż miał wrażenie, że kłuje go igłami.

Nie znosił tego spojrzenia. Niemal czuł, jak wzbiera w nim fizyczna wprost nienawiść do niego. Chwilami sam obawiał się własnych myśli. Czasem wyobrażał sobie, że morduje go z zimną krwią. Ojcem nazywał Władysława tylko, gdy rozmawiali. Ale nigdy nie w myślach. Jego myśli były jego sprawą. W nich mógł być zupełnie szczery i otwarty. W końcu żył w sferze, w której znakiem rozpoznawczym było wszechobecne zakłamanie. Tu wszyscy byli uprzejmi dla wszystkich, a pod fasadą wyszukanych, wpajanych latami gestów uprzejmości kryły się zwykłe ludzkie uczucia: zawiść, nienawiść i zazdrość. Brzydził się tym i wyrывał z tych



wieżów, kiedy tylko mógł. Z rozmysłem łamał konwenanse i wszelkie możliwe tabu, sprawdzając, do czego może się posunąć. Znajdował dziką rozkosz w szokowaniu tych faryzeuszy. Jedynie wobec ojca dbał o pozory, bo nie stać go było na zupełne zerwanie z nim.

Jednak mimo całej niechęci, jaką żywił do ojca od czasów wczesnej młodości, patrząc nań, nie mógł się oprzeć pewnego rodzaju podziwowi. Władysław był człowiekiem w średnim wieku. Ale mimo blisko czterdziestu pięciu lat na karku i przebytych trudów wojennych trzymał się jeszcze dobrze. Miał kwadratową twarz o silnie zarysowanej szczęce, która odznaczała się regularnością i twardością rysów. Na świat patrzył jasnymi, głęboko osadzonymi oczami. Miał czarne, długie, proste włosy, na których nawet najbystrzejsze oko nie znalazłoby najmniejszej oznaki siwizny. Przez jego prawy policzek ciągnęła się cienka blizna, która była pamiątką, jaką przywiózł ze sobą z licznych pól bitewnych. Wzrostu średniego, wąski w pasie, z pszennym wąsem nad górną wargą – mógłby podobać się kobietom, gdyby tylko tego chciał.

Władysław nie przedsięwziął jednak żadnych kroków w tym kierunku. Po śmierci żony wyciszył się, przestał bywać w towarzystwie, z wyjątkiem oficjalnych uroczystości, w których musiał uczestniczyć, jako członek rady ministrów. Nie odwiedzał nawet sąsiadów, ignorując liczne zaproszenia, które otrzymywał, a które w końcu nadsyłać zaprzestano. Całą swą energię skupił na dwóch rzeczach: na pracy i synu. Ten ostatni budził jego szczególną troskę. Dla niego bowiem już tylko pracował. Chciał, by on spełnił to, o czym jego własne pokolenie mogło tylko marzyć. Był godnym kontynuatorem ich dzieła. Z czasem nadzieje owe zaczęły w nim gasnąć, aż została z nich maleńka, ledwie uchwytna iskierka, którą troskliwie hołubił w zakamarkach duszy. Zaczynał bowiem coraz wyraźniej dostrzegać, że Bernard nie dorósł nie

tylko do wzięcia odpowiedzialności za państwo, które z tak wielkim trudem mu restaurował, ale nawet za własne życie. Inni jego rówieśnicy już pozakładali rodziny i żyli na własny rachunek. A on? Wieształ się przy nim jak latem bąki przy koniu. Inni ojcowie mogli być dumni z dzieci, cieszyć się ich radościami, rozpraszać smutki, żyjąc ich życiem. Czuł, że zdołałby to przetrwać, gdyby Bernard odpłacał mu synowskim uczuciem za ojcowskie. Lecz wiedział, że tak nie jest, i to bolało go najbardziej. Wyczuwał, że coś legło między nimi i niby morzem ich rozdzieliło. A przecież nie miał sobie nic do zarzucenia.

Niech mi pokażą lepszego ojca ode mnie – myślał. Takiego, co by wiecznie przymykał oko na synowskie wybryki i wyciągał go z kłopotów. Boże, ileż to razy musiałem go ratować przed każącą dłonią Temidy, wiedząc, że źle robię! Ale przecież to mój syn, moja krew, jak go na poniewierkę wydać, choćby i zły był?

Spojrzał na jego lekko przygarbione plecy, gdy syn pochylał się nad rozłożonymi na blacie sekretarzyka dokumentami. Natychmiast dostrzegł widoczną w jego ruchach nerwowość i zrozumiał, że jeszcze nie wziął dziś swojej działki. Z trudem powstrzymał westchnienie. Nie wiedział, do jakich drzwi jeszcze nie pukał i nie kołatał w tej sprawie. Był u wszystkich lekarzy i specjalistów, jakich tylko potrafił znaleźć. Nie szczędził kosztów. One nie grały roli, bo na szczęście syna nie miał zamiaru oszczędzać. Lecz od wszystkich taką samą odebrał odpowiedź. To sam Bernard musi chcieć wyjść z uzależnienia. Inaczej wszelka terapia okaże się bezproduktywnym marnowaniem czasu. Bo pacjent zawsze znajdzie sposób, by zwieść czujność lekarzy i wziąć kolejną dawkę. Wtedy im nie uwierzył. Sądził, wierzył, że miłość, jaką go darzył, jest w stanie góry przenosić. A co dopiero wyciągnąć go z uzależnienia, w którego szpony popadł. Dziś już w to nie wierzył, a co gorsza stracił też na to wszelką nadzieję. Sam już nie potrafił wykrzesać z siebie tej energii, jaką miał na

początku. Ale gdy patrzył, że wszelkie jego usiłowania nie dają rezultatu, to ogarniało go coraz większe zniechęcenie i rozpacz. Niemal codziennie Bernard wstrzykiwał sobie truciznę, która docierała do niego nieznaną Władysławowi drogą.

Miał pełną świadomość, że jest permanentnie okłamany. Nawet służba gra przeciwko niemu. Nic dziwnego. Każdemu miłsze wschodzące słońce od zachodzącego. Wszyscy przecież sądzą, że to Bernard odziedziczy po nim cały majątek, i nie chcą mu się narazić. Głupcy! Nie wiedzą, czym jest morfina, jak szybko zabija. Tyle jego szczęścia, ile mojego życia – pomyślał.

– Porzuć na chwilę swą pilną robotę – poprosił z wyczuwalną drwiną w głosie. – Mam z tobą do porozmawiania i nie będzie to miła rozmowa.

Jakbyśmy kiedykolwiek toczyli miłe rozmowy – pomyślał Bernard, obracając się twarzą do ojca.

– Jestem do twojej dyspozycji, ojczu. – Skłonił się lekko i zastępył na moment w postawie pełnej szacunku.

Władysław jednak zbyt dobrze znał swojego syna, by móc choć przez chwilę uwierzyć w tę sztucznie wykreowaną pozę. Wiedział, że jego syn drwi sobie w ten sposób z arystokratycznych form i zwyczajów. Wszystko, co robił, podszyte było jawną lub ledwie skrywaną kpina. Nie mógł powiedzieć, że jego syn był nieuprzejmy, bo nie był. Nie był też grubianinem. Była to tego rodzaju uprzejmość, którą posługują się ludzie dobrze urodzeni, nawet wtedy, gdy nie mają na to najmniejszej ochoty. Był to swego rodzaju automatyzm przyzwoitych form, który wpajano każdemu, kto wychował się pośród szlachty. Lecz Bernard nie grał tej komedii na serio, by oszukać widza. On w sposób jawny pokazywał, że gra. Zachowywał się jak aktor, który pokazał widzowi palcem suflera.

– Chcę z tobą pomówić szczerze i otwarcie – zaczął ojciec, jednocześnie przysiadając na rogu łóżka. – Przez całe lata

próbowałem cię zrozumieć. Pojąć, gdzie odeszło to dziecko, które tak uwielbiało bawić się na moich kolanach. Gdzie popełniłem błąd? Co sprawiło, że stałeś się narkomanem, który pozwala, by twoim życiem kierował nędzny narkotyk? Dlaczego tak oddaliłeś się od ideałów, które razem z matką staraliśmy się ci wpoić? Ja wiem, że to wszystko jest moją winą, że poniosłem klęskę jako ojciec. Czasu nie mogę cofnąć, niczego zmienić, naprawić. Ale chcę wiedzieć. Mam prawo do tego.

Bernard przez chwilę patrzył na swego ojca ze zdumieniem. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że ta rozmowa nie będzie podobna do toczonych zwykle. Tu nie będzie miejsca na zdawkowe uprzejmości, pod którymi skrywali swe prawdziwe uczucia. Nie wiedział jeszcze, co było powodem tej zmiany ani do czego to może doprowadzić. Postanowił więc na razie mieć się na baczności i dać ojcu mówić dalej. Bo że zaszło coś istotnego, nie wątpił ani przez chwilę. Ojciec zachowywał się zupełnie inaczej. Po raz pierwszy w jego głosie słyszał twardą nutę, którą Władysław posługiwał się czasem dla skarcenia podwładnych, ale której nigdy nie używał wobec niego.

– Przychodzisz do mnie, ojcze, w konkretnej sprawie, czy dalej zamierzasz zadawać mi pytania, na które nie znam odpowiedzi? Powiedz mi jasno, o co chodzi. Czym znowu zawiniłem? Wiesz, że od kilku dni nie ruszam się z tego pokoju. Nie widuję przyjaciół, krewnych i znajomych.

Władysław poderwał się z miejsca, oczy wyszły mu na wierzch, a twarz nabiegła krwią, z powodu czego blizna na policzku jeszcze bardziej się uwidoczniła, co nadało jej straszny wygląd. Przez chwilę rozglądał się błędnym wzrokiem po pomieszczeniu. Na koniec podbiegł do sekretarzyka i pięścią uderzył w szklany blat. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, którego odłamki wpadły nie tylko do środka mebla, ale i na dywan. Na ręce Władysława pojawiła się krew, która spływała cienkimi strużkami wzdłuż

zewnątrznej powierzchni dłoni. Niewielkie odłamki szkła wbiły mu się pionowo w skórę, tworząc lustro, w którym odbijała się krew.

Bernard stał przez chwilę, jakby go zamurowało. Tak mało nawykł do impulsywnych zachowań ojca. Odkąd pamiętał, zawsze był on oazą spokoju i opanowania. Nic i nikt nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Teraz pierwszy raz stracił nad sobą panowanie. Było to dla Bernarda szokiem tak wielkim, że zapomniał nawet o swej niechęci do ojca i po otrząśnięciu się z odrętwienia przypadł do jego ręki, jakby jakąś tajemniczą siłą popchnięty. Ostrożnie ujął jego dłoń w swoją i chciał zabrać się za wyciąganie odłamków, by ulżyć cierpiącemu. Lecz ojciec przytrzymał jego rękę i rzekł cicho i miękko:

– Nic to taka rana dla wojaka, co kilka lat spędził pośród krwi rozlewu. Ja bym ostatnią kroplę krwi poświęcił, byle dostrzec w twoich oczach to, co widzę teraz.

Lecz spostrzegł, że wzmianka o wojnie nie zbliżyła go do syna, bo owa isierka współczucia, którą uprzednio widział w jego oczach, zgasła, a twarz mu posmutniała. Następnie młodzieniec wyrwał rękę z jego uścisku i się wycofał. Obaj stali naprzeciw siebie, a żaden mówić nie chciał. Władysław szukał odpowiednich słów. Przez chwilę bowiem wydawało mu się, że zdołał jeśli nie wyjąć, to obluzować jeden kamień w murze, który od lat wznosił się między nimi. A teraz czuł, że znowu popełnił błąd, który z powrotem cofnął go do punktu wyjścia albo i dalej. Czuł się jak wędrowiec, który o zmroku zabłądził na bagnach i by się z nich wydostać, musi pilnie zważać na każdy krok. Szedł po omacku i bez przewodnika, więc nie wiedział, czy droga, którą podąża, jest tą właściwą. Przynajmniej teraz wiedział, że jeśli zdoła znaleźć tę odpowiednią, to dotrze do obranego przez siebie celu. Uprzednio nie miał bowiem nawet i tej pociechy. Sądził, że jego syn jest zupełnie zepsutym młodzieńcem, w którym zbytki zagłuszyły

wszelką uczciwość i głos sumienia. A oto otrzymał niepodważalny dowód, że tak nie było.

Dzięki ci, Boże, i za to – pomyślał.

Bernard zaś robił samemu sobie gorzkie wyrzuty, że dał się porwać uczuciu, z którego istnienia nie do końca zdawał sobie sprawę. Próbował zrozumieć, co sprawiło, że błyskawicznie ruszył ojcu z pomocą. I gdyby nie wspomniał o wojaczce... gdyby się nią nie chwalił... wtedy może by się przed nim otworzył. Powiedziałyby o wszystkim, czego był świadkiem jako podłotek, który miał dość siły, by jeść, a za mało, by efektywnie pracować. A on, jego ojciec, który powinien być ich opoką, tak po prostu poszedł sobie na wojenkę. Śmiał mu jeszcze prawić morały i o utracjuszostwie napomykać. A chyba lepiej być utracjuszem, co je, pije i kocha te, które chcą być kochane, niż ojcem, który dla uczestnictwa w krwawej łaźni porzucił żonę i syna.

– Żołnierz z ciebie dobry, ojczu. Masz medale – stwierdził, byle coś powiedzieć, byle mu dopiec. – One są martwe i zawsze milczą, choć błyszczą się w słońcu i przydają chwały w oczach ludzkich.

– Cóż wiesz o wojnie, że tak lekceważąco mówisz o jej uczestnikach? Ty, chłystek, który obmacuje kelnerki po knajpach, trzęsącą się ręką wbija sobie w żyłę strzykawkę, by zażyć morfinę? Ty właśnie tak lekceważąco mówisz o obrońcach tego kraju? Należysz do pokolenia, którego życie ledwie zahaczyło o czasy zaborów. Nie wiesz, co czuła matka, która oddawała swego syna na ćwierć wieku w carską służbę. To my, legioniści, krwawiliśmy, by Polska wróciła na mapy. To dzięki naszej sile i mocy twoje dzieci, a moje wnuki nie będą służyć pod obcym sztandarem i krwawić w obcych wojnach. Może przynajmniej za nie nie będę się musiał wstydzić – dodał gorzko. – Był u mnie pułkownik Wieniawa i mówił mi, że zwałę z tobą miał i tylko jego łasce zawdzięczasz swoje życie.

Bernard omal nie zaklaskał w dłonie z radości i jedynie obecność ojca wstrzymywała go przed tym. Teraz już wiedział, dlaczego głos tego człowieka wydał mu się skądś znajomy. Widzieli się bowiem niejednym razem i choć Długoszowski nie był przyjacielem, to przecież znali się dobrze. Bo nie było takiego salonu, który nie byłby rad, mając pośród swoich gości przesławnego pułkownika. Jego obecność gwarantowała rozgłos i klientów, których nęciła chęć spotkania tak sławnej osoby. W całej Polsce nie było bowiem nikogo, kto nie słyszałby o pułkowniku. Bernard znał go także. Ale wzorem innych nie umiał wyrobić sobie o nim opinii. Podobni byli do siebie jak wierzch z podszewką. Obaj aż nadto lubili huczne zabawy, kobiety, zwady i inne rozrywki. One wypełniały całe życie Bernarda. Wieniawa był pod tym względem inny. Miał bowiem inny cel, ku któremu dążył z uporem i przemyślnie. On teraz wypełniał jego myśli i duszę. On także odmienił go wyraźnie, bo Bolesław przestał bywać między ludźmi. Nie widywano go na przyjęciach, rautach i wydarzeniach sportowych. Często znikał na całe tygodnie i miesiące, nie dając nikomu znać o sobie. Dlatego nikt nie wiedział, co w tym czasie robił i gdzie przebywał.

Bernard nie raz słyszał, jak przy nim o Wieniawie rozmawiano. Po salonach Warszawy krążyły o przesławnym pułkowniku najwymyślniejsze plotki i tyle ich było, ilu plotkarzy liczyło sobie miasto. Jego osobiście niezbyt interesowały prywatne sprawy pułkownika, bo mimo wszystkich wad, których miał w swym charakterze bez liku, nie mieszał się do cudzego życia. Było mu najzupełniej obojętnym, co kto robi, gdy myśli, że go nikt nie widzi. A gdy przypadkiem poznał czyjś wstydlivy sekret, co miało miejsce wcale nierzadko, to zachowywał go dla siebie, nie puszczając między ludzi dla zyskania w ich oczach znaczenia. Teraz jednak usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o tym człowieku. Bo zdawał sobie sprawę, że na jego drodze stanął

niebezpieczny przeciwnik, którego pokonanie wielkiego będzie wymagało wysiłku. Nie lekcewał go. O nie. Teraz dopiero zaczynał rozumieć, dlaczego jego ludziom nie udało się odnaleźć dziewczyny; to Wieniawa musiał ją przed nim ukryć. Ale przecież czapką niewidką jej nie nakrył ani pod ziemią nie schował, jeno pod niebem, a skoro tak – znajdę – rozważał.

Z zamyślenia wybudził go głośniejszy oddech ojca. Ze zdumieniem przekonał się, że pogrążony we własnych myślach i kalkulacjach zupełnie zapomniał o jego obecności. Uniósł nań oczy i niemal zaraz poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Starał się nad nim zapanować, bo wiedział, że na zadzierkę z ojcem nie pora. Walcząc na dwa fronty, jeszcze nikt nie wygrał. A całkowite zerwanie z ojcem mogło w ogóle walkę uniemożliwić. Bo w jednym Wieniawa miał z pewnością rację: Bernard sam nic nie znaczył. Wszyscy liczyli się z nim tylko ze względu na ojca. Gdyby tę podporę utracił, runąłby na samo dno przepaści. Dlatego ze wszystkich sił starał się nad sobą zapanować. Zgasić w oczach iskry, nie rumienić się z gniewu. Ale czuł, że to na nic. Słowa same pchały mu się na język, jakby poza jego kontrolą i wolą.

– A pewnie – mówił. – Wielbimy tych, którzy własne rodziny pozostawiali, by zdobywać chwałę i wawrzyny. Bohaterzy, którzy odbudowywali Polskę, gdy ich dzieci i żony zaharowywały się w samotności. I ta wasza Polska. Co to jest? Co to za kraj? Ja tego zrozumieć ani ogarnąć nie mogę. Jak bardzo chciałbym wyjechać do Francji, Anglii czy Niemiec. Do tych szczęśliwych lepszych krain, gdzie ludzie są szczęśliwi, bo tam nikt nie żyje przeszłością. Nikt nikogo nie wspomina. Nie wielbi przegranych zrywów, które tylko zmarnowały tysiące ludzkich istnień i dobytku. A nasz ród? O ileż bylibyśmy bogatsi, gdyby nasz dziad nie wyprawił się wraz z ludem na armaty. I cóż nam z tego przyszło? Gdzie korzyść, gdzie zysk? Tylko mogli po lasach przybyło, a my straciliśmy znaczną część rodowego majątku. Tak, ojcze. Tak to jest naprawdę. I cóż



wam wyszło? Macie tę Polskę. Na jak długo, pytam. Tyle jej żywota, ile słabości Niemiec i czerwonej Rosji? A potem co? Znowu to samo? Znowu praca organiczna, szalone zrywy i skowyt do Boga, by nam Polskę przywrócić raczył. – Wskazał palcem na portrety. – Nową przypowieść Polak sobie kupi, że był, jest i będzie głupi.

Władysław pochylił głowę, jakby przygnieciony ciężkimi i rzucanymi w gniewie słowami syna. Wiedział, że zawierają w sobie fałsz, ale nie mógł ich zignorować ani zbyć moralistyczną gadką o potrzebie poświęcenia wszystkiego dla dobra ojczyzny. Czuł, że przez gniew tego chłopca przebija się jego własna prawda – taka, w którą on wierzył. Bo mówiąc o innych, mówił tak naprawdę o nim. To do niego miał żal. Bo nie było go przy nim i przy żonie. Jak przekonać, jak sprawić, by zrozumiał? – myślał. Boże, daj mi siłę, daj mi słowa, żebym mógł jego serce i umysł poruszyć.

Unióśł głowę i przez chwilę patrzył na rozwieszone ponad głową syna portrety dawnych wodzów tego narodu, jakby i ich prosił o wsparcie. Wiedział, ile od tej rozmowy zależy. Po raz pierwszy Bernard naprawdę otworzył się przed nim. Lękał się więc każdego nierozważnego słowa, które mogło zamknąć raz na zawsze te ledwie uchylone drzwi do serca syna. Dopiero więc po upływie dłuższej chwili mówić zaczął:

– Nie wielbimy ich, tylko wspominamy. Bo wspomnienie przypomina nam o zadaniu, jakie nam pozostawili, o ich testamencie. Ich kości, ich krew są w tej ziemi. One wołają do nas, byśmy pamiętali. Udział w powstaniu pozbawił nas części majątku, to prawda, ale pokazał też, gdzie jest droga, która wiedzie do celu. Jedność, siła. Powstanie pokazało, co można osiągnąć, gdy serce i rozum pragną tego samego. Tak lekceważąco mówisz o kosach, które ruszyły przeciwko armatom. A jednak car, władca potężnego imperium, nie lekcewał ich ani przez moment. Przysłał tu trzystutysięczną armię, której stłumienie tego zrywu zajęło ponad

półtora roku. Tyle zajęło im pokonanie partii powstańczych uzbrojonych w kosy, broń myśliwską i drągi. Czy wiesz dlaczego? Bo naród się zjednoczył. Bo walczył jak jeden człowiek, dążąc do wspólnego celu. I trochę osiągnął. Car wydał dekret uwłaszczeniowy na warunkach podyktowanych przez rząd narodowy, który nigdy się nie ujawnił – warunkach korzystniejszych niż gdziekolwiek indziej w Europie. Uderzył tym w naszą jedność, bo chłopci zaczęli odpływać od powstania i od tej chwili jego los był przesądzony.

– Bronisz tego ludu. Tego samego ludu, który pod koniec powstania sprzedawał was za kilka rubli, przejmował majątki skonfiskowane powstańcom. Bronisz tej hołoty, której wszystko jedno, kto trzyma bat. Nie rozumiem cię. Przecież głupimi łatwiej rządzić.

– Słusznie. Głupimi łatwiej rządzić. Ale ty nie pojmujesz, nie rozumiesz. To nie my mamy rządzić. Szlachta to relikwiarz przeszłości, który odchodzi w niebyt. To do Ślimaków, Grzybów należy przyszłość. To oni zdecydują, jaka Polska będzie w przyszłości, czy w ogóle będzie. Dlatego dziś już uczyć ich trzeba. Najpierw podstaw, a potem dalej. Oni nie znają przeszłości, nie wiedzą, jakie były przyczyny upadku państwa. Ale my wiemy. Dlatego musimy zrobić wszystko, by nie powtórzyli naszych błędów. Chcesz dopuścić się zdrady, opuścić tę ziemię, w którą wsiąkały pot i krew twoich przodków. Kto nie zechce dzielić się z nami gorzkim chlebem cierpienia, ten w radości nie ma prawa uczestniczyć. Ten biedny kraj potrzebuje każdej głowy, każdej ręki, aby go podnieść z położenia, w jakie popadł. Zwłaszcza że, jak sam powiedziałaś, nasza przyszłość nie rysuje się zbyt jasno. Ale tu tak było od zawsze. Polska bowiem leży w strefie zgniotu. Na tych terenach rodziły się i upadały imperia. Jeden Bóg wie, jakie wojska nie nawiedzały tych krain, by łupić, palić i mordować. Ziemia i woda

zawsze się ostatecznie, a kobiety będą rodziły. A kto nie posieje, ten się plonu nigdy nie doczeka.

Bernard zaczął chodzić po pokoju i przemierzać go wzdłuż długimi krokami. Zdawał się namyślać. Brev miał namarszczoną, a na twarzy niezwykle dlań powagę. Zdawał sobie bowiem sprawę, że słowa, które zamierzał wreszcie wyrzec, mogą doprowadzić do całkowitego zerwania z rodzicem. Ale on i tak tłamsił je w sobie zdecydowanie za długo. Może gdy wypowie wszystko, co ma na duszy, to i na sercu lżej mu się zrobi. Miał już bowiem dość udawania, noszenia w sobie gniewu, gdyż czuł, że ten go niszczy. Dlatego zatrzymał się w pół kroku, obrócił i rzekł z przekąsem:

– Ile razy można zaczynać od początku? Wielcy polscy patrioci się znaleźli. Pozostawiliście własne rodziny, by tę Polskę budować, stawiając ją ponad najbliższymi ludźmi. Ty sam tak postąpiłeś. – Skierował oskarżycielsko palec w stronę piersi ojca. – Pozostawiłeś mnie i matkę na pastwę losu, nie zabezpieczywszy naszego bytu. Na barki słabej kobiety zrzuciłeś cały ciężar prowadzenia gospodarstwa, a mnie pozostawiłeś, bym na to wszystko bezradnie patrzył. Ona modliła się za ciebie, a ty ją porzuciłeś, by podkładać bomby, brać udział w zamachach i zbierać chwałę z legionowych pól bitewnych. Moja matka była idiotką. Powinna była wyjść za kogoś, kto potrafiłby się nad nią uzalić, przyhołubić ją i docenić.

Władysław, który zachowywał się dość spokojnie, póki tylko o nim była mowa, i jedynie mięśnie twarzy drżały mu nieznacznie, teraz zbladł i przyskoczywszy do syna, wymierzył mu siarczysty policzek. Następnie stanął przed Bernardem blady i roztrzęsiony. Ręce mu drżały, a oczy ciskały błyskawice. Zacisnął szczęki, obnażając uzębienie, i rzekł przyduszonym od gniewu głosem:

– O mnie mów, co ci się żywnie podoba. Może to i prawda, coś rzekł, wytłumaczę się przed tobą w swoim czasie, ale nigdy w mojej obecności nie obrażaj Barbary. Nigdy! Rozumiesz!? Ona

cię wychowywała. Ona ci same mądre i uczciwe rzeczy do głowy kładła. Nie jej wina, że się nie przyjęły...

Słowa ojca docierały do Bernarda, jakby słuchał ich przez ścianę. Ojciec nigdy dotychczas nie podniósł na niego ręki ani nawet głosu. Dlatego był w szoku. Prawą ręką trzymał się za policzek, który błyskawicznie zmieniał swój naturalny kolor na czerwony i piekł straszliwie. Rozmasowywał dłonią obolałe miejsce i jednocześnie patrzył na ojca rozszerzonymi ze strachu oczami. Po raz pierwszy nie przewidział jego reakcji, choć zwykle potrafił czytać w nim jak w otwartej księdze. To właśnie dzięki tej umiejętności wszystkie wybryki i swawole, jakich się dopuszczał, uchodziły mu płazem. Teraz jednak najwidoczniej przekroczył niewidzialną linię, której nie powinien był przekraczać. Musiał poruszyć coś w ojcu. Uczucie silniejsze niż słabość lub miłość do niego, które zawsze bez skrępowania wykorzystywał, by ująć przed sądem i karą.

Pokręcił głową, bo nie potrafił sobie tego w żaden logiczny sposób wytłumaczyć.

Do diabła! – pomyślał. Jeśli on aż tak kochał moją matkę, że nawet jednego przykrego słowa o niej spokojnie wysłuchać nie może, to dlaczego ją opuścił? Dlaczego naraził ją na stokroć gorsze niebezpieczeństwo, na dźwiganie trudu i ciężaru, który byłby za duży dla niejednego męskiego ramienia?

Czuł, że musi poznać odpowiedź na te pytania. Teraz, zaraz, bo od tego jego dalsze życie zależy. Przecież on nigdy szczerze z ojcem nie rozmawiał. Nigdy nie zapytał go, co tak naprawdę nim kierowało. Czy rozmawiał z matką o swojej decyzji. Był za mały, by pytać, by wiedzieć...

– Może teraz mi wyjaśnisz, jak to się stało, że trafiłeś do legionów, a matka musiała radzić sobie sama? – spytał.

Władysław nie odpowiedział od razu. Przysiadł na skraju niestaranie zasłanego łóżka i ukrył twarz w dłoniach. Przez

chwile w pomieszczeniu zaległo ciężkie milczenie. Władysław namyślał się, a na twarzy pojawiły mu się głębokie zmarszczki, jakby w jednej chwili postarzał się o kilka lat. Wyrzucał sobie, że nigdy nie zdołał zdobyć się wobec własnego syna na szczerłość. Nie powiedział mu tego, co czuł. Nie lubił rozmawiać o Barbarze, bo takie wspominki otwierały w nim stare rany. Budziły do życia ból, który pragnął głęboko pogrzebać. A teraz te rany otwierał jego własny syn. Jeśli mój ból może go uleczyć, to trudno – pomyślał.

Zebrał się w sobie i zwracając się twarzą do Bernarda, tak mówić zaczął:

– Twoja matka, Panie, świeć nad jej duszą, była szaleńcem niepodległości. Głowa jej płonęła szalonymi pomysłami. Chodziła po chłopskich weselach, by zespolić się z ludem. Uczyla ich kopania studni, zasad stosowania płodozmianu. Wierzyła, że czas na nowo podjąć pracę, którą przerwało powstanie. Pracę, którą niegdyś wykonywała cała jej rodzina. Ona była motorem wszystkich moich działań. Zrób to, zrób tamto. Temu dziecku opłać naukę, bo zdolne i pojętne. – Uśmiechnął się do własnych wspomnień. – A ja ulegałem jej we wszystkim, choć niełatwe brzemie na me barki kładła. Bo niełatwo było utrzymać majątek w dobrej kondycji. Takie czasy były. Było trochę głodno i chłodno, ale mieliśmy siebie. Teraz zostałem sam.

– Potem o tym. Teraz daj mi odpowiedź na to, o co pytam.

Bernard usłyszał głębokie westchnienie.

– Chcę, żebyś wiedział, że nie było takiego dnia, takiej godziny i minuty, w której bym nie żałował, że jej wówczas uległem. Była w pełni sił, nie mogłem przypuszczać, nie mogłem wiedzieć, że widzimy się po raz ostatni. Człowiek nigdy nie wie, kiedy widzi swoich najbliższych ostatni raz. Nie było mnie przy niej, kiedy...

Głos mu się załamał, a łzy ciurkiem puściły się z oczu. Władysław drżał, jakby nagle przeszło go zimno. Bernardowi wydał się nagle znacznie starszy i mniejszy. Ramiona mu opadły,

a ręce drżały. W niczym nie przypominał teraz twardego, pewnego siebie człowieka, ministra, który miał duży wpływ na losy narodu i państwa. Sprawiał raczej wrażenie załamanego, steranego trudami życia starca, który patrzy na zgłiszcza swego dorobku i nie ma siły zacząć od nowa.

Młody mężczyzna poczuł, jak gniew przeciw ojcu, który z rozmysłem hodował przez lata, wyparowuje z niego. Jego ojciec pielęgnował swój ból, podobnie jak on swój żal. A plon wydał i ból, i żal, bo nie rozmawiali ze sobą szczerze. Okopali się na swoich pozycjach, niczym żołnierze z ostatniej wojny, i ranili się wzajemnie. Tak nam było wygodniej – pomyślał Bernard. On chce, żebym teraz to ja był jego podporą, żebym zastąpił matkę na miejscu, z którego przedwcześnie zabrała ją śmierć. Gdybym spróbował, oznaczałoby to kres morfiny i wygodnego życia. A matka... czy ona byłaby ze mnie dumna? Czy chciałaby, żebym podjął się tej pracy i ujął ojcu trudu, którego dźwigać nie ma już najwyraźniej sił? Wytrzeszczył oczy, bo dotychczas nigdy nie uznawał za stosowne rozmyślać nad jakąkolwiek zmianą w swoim życiu. A teraz nie tylko, że nad nią rozmyślał, ale dostrzegał cały marazm tego życia, jakie dotąd prowadził.

Może ojciec ma rację – rozważał. Może rzeczywiście to we wspomnieniach tkwi nasza największa siła. Bo to one bez ustanku motywują nas do ciężkiej pracy. Ojciec pracuje dla pamięci matki. Spełnia te marzenia, których ona nie zdążyła urzeczywistnić. Nie chce, by dzieło, któremu ona poświęciła życie, które tuliła jak najmilsze dziecko, przepadło wraz z jej śmiercią. Zawsze jest jakiś cel. A jaki cel mam ja? Po co żyję? Czy matka choć raz mogła być ze mnie dumna?

Przez twarz przeleciał mu bolesny skurcz, bo aż za dobrze wiedział, że nie. Nikt nie miał podstaw być zeń dumny. Ani ojciec, ani społeczeństwo, ani nawet on sam. Cóż takiego osiągnął? Wypił morze alkoholu, odbezpieczył niezliczoną liczbę dziewczyn. Nie,

nie kochał żadnej z nich. Brał i nie wydawał reszty. Było mu z tym dobrze. Aż do dziś. A może gdzieś tam na świecie jest ta, która jest jemu przeznaczona? Ta prawdziwa podpora? Uśmiechnął się do tej myśli, ale nagle coś mniej pozytywnego przyszło mu do głowy.

Nawet jeśli jest, to jak ja jej się przedstawię? Co powiem? Jak zaprezentuję się w jej oczach? Jako morfinista, który całe życie był na ojcowym utrzymaniu? Nigdy nie skalał rąk ani nie przemęczył umysłu ciężką pracą? Nie zrobił nic, z czego mógłby być dumny? Inni w tym czasie pracowali, zakładali rodziny, a ja? Czy pora mi zaczynać, kiedy inni są w połowie drogi? Czy mam jeszcze czas, by wrócić na tę drogę?

Nagle ruszył, jakby popchnięty jakąś tajemniczą siłą. Przykląkł obok ojca i ostrożnie złożył swoje dłonie w jego rękach. Władysław poczuł to, bo położył jego głowę na swoich kolanach. Gładził jego włosy. A Bernard czuł jego łzy, które wycierał skrycie, nie chcąc okazać słabości. Ale i on czuł, jak wzruszenie ściska go za gardło, gdy gładził już nieco pomarszczone ojcowskie dłonie. Te dłonie, które niegdyś podrzucały go do góry, nosiły i utrzymywały w pionie. Zanim jabłko niezgody padło między nich, zmieniając się szybko w ogromny sad, o który obaj pieczołowicie dbali.

Pierwszy milczenie przerwał Władysław.

– Ona mnie zmusiła. Na próżno przedstawiałem jej te same wątpliwości, które teraz ty mi wyrzucałeś. Zapewniała mnie, że wszystkiemu podoła, wszystkiemu zaradzi, a wstydzić się wobec innych kobiet nie chce.

– Wstydzić? – przerwał Bernard, nie rozumiejąc.

Władysław uśmiechnął się przez resztki łez.

– Taka właśnie była Barbara. Nie chciała wstydzić się za męża, który w wojennym czasie zasłonił się rodziną i odmówił służby narodowej sprawie. Nie wiem, czy wiesz, ale jej babka umknęła do powstańców w męskim przebraniu i brała udział w walkach, a ona strasznie chciała jej dorównać. Wychowano ją na jej legendzie.

Dobrze, że byłeś wtedy mały, bo Barbara uparłaby się ze mną jechać. Dotąd klękałaby przede mną, aż bym ustąpił. Jak zawsze. Na szczęście byłeś mały i nie mogła cię zostawić. Do dziś dokładnie pamiętam, co mi wtedy powiedziała: „Jeśli tam najszczęśliwsza polska krew strumieniem się leje, a twojej ani kropli w niej nie będzie, to jak ja w oczy spojrzę tym kobietom, które dla Polski potracą mężów, synów i będą z tego powodu dumne? Ja też chcę być dumna”. Nie chciała się wstydzić za męża. I nie będzie się wstydzić.

– Tak jak ty za syna? – spytał Bernard i utkwiał w ojcowskiej twarzy pytający wzrok.

Władysław chciał skłamać. Och, jak bardzo chciał. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie może, bo wszystko przegra. To, co zle między nimi, miało swój początek w kłamstwach i niedomówieniach. Czuł, że jeśli ich stosunki od tej pory mają być harmonijne, to muszą być oparte na prawdzie. A prawda nas wyzwoli – pomyślał. Zaraz się przekonamy, czy cnotliwe ewangeliczne zasady mają zastosowanie w realnym życiu.

– Tak. – Z trudem wydobył głos przez ściśniętą krtań, ale zaraz dodał już znacznie mocniejszym i pewniejszym głosem: – Ale tylko od ciebie zależy, czy tak będzie dalej. To nasze wybory definiują to, kim jesteśmy. Nie minął jeszcze czas, abyś nie mógł stać się godzien dawnej chwały naszych przodków.

Bernard zamyślił się głęboko, a Władysław z drżeniem i niepokojem wypisanym na twarzy czekał na ostateczny wynik tych rozmyślań.

– Ja chciałbym... – wykrztusił wreszcie Bernard z widocznym trudem. – Chciałbym, żebyście oboje byli ze mnie dumni, ale się boję. Boję się, że się potknę, upadnę i nie zdołam już zebrać sił, by znowu wstać.

– Nigdy nie upadniesz, synku – zapewnił ojciec, wypuszczając z sykiem nagromadzone w płucach powietrze. – Ja cię zawsze



podtrzymam. Razem stawimy czoło wszystkim burzom tego świata, jako ojciec i syn.

Bernard delikatnie wysunął się z ojcowskich objęć i wstał. Szybkim, nieco nerwowym krokiem podszedł do sekretarzyka. Następnie otworzył ukrytą w nim skrytkę i zaczął wyrzucać jej całą zawartość. Na dywanie lądowały strzykawki, w których była umieszczona morfina, oraz woreczki z tym samym narkotykiem. Bernard przyglądał im się przez dłuższą chwilę. Zdawał sobie bowiem doskonale sprawę, że znalazł się na rozdrożu. Oto dokonywał definitywnego rozbratu z dawnym życiem. Wkraczał na nowe, nieznane drogi, które będą od niego wymagać poniesienia ogromnych trudów i wielkiej siły woli. Nie był pewien, czy im podoła. Czy jego wielki zapal, który płonął w nim teraz, nie wygaśnie, gdy dni i godziny niepostrzeżenie przeistoczą się w lata. Ale jedno wiedział na pewno. Nie chciał żyć jak dotychczas. Dlatego jednym ruchem buta rozgniół strzykawkę i zawartość woreczków. Z rozkoszą wsłuchiwał się w odgłos miażdżenia, jaki rozszedł się po pomieszczeniu.

Jeszcze będziesz ze mnie dumna, mamó – pomyślał. Przyrzekam ci to.

Władysław patrzył na to wszystko jak urzeczony. Nie śmiał jeszcze wierzyć ani mieć zbyt wielkich nadziei. Zdawał sobie bowiem sprawę, na jak trudną i wyboistą drogę Bernard właśnie wstępował. Nie wiedział, czy znajdzie on w sobie dość sił, by kroczyć nią wytrwale aż do zwycięstwa. Ale otuchy dodawał mu fakt, że on sam zdecydował o wstąpieniu na tę drogę. Nieprzymuszony przez nikogo podjął próbę refleksji nad własnym życiem. Zrozumiał, że jest ono z góry przegrane, jeśli nie wiedzie do określonego celu. Bo życie nie może człowiekowi upływać jedynie na przyjemnościach, ponieważ one rozpuszczą to, co w nim najlepsze. Może wytrwa, a jemu los pozwoli wreszcie poczuć ojcowską dumę. Nie modlił się o nic dla siebie, bo niczego

już od życia nie pragnął i niczego nie oczekiwał. Chciał tylko, by jego syn okazał się godny tej spuścizny, którą mu trudem całego życia restaurował i pozostawiał.

– Jeśli chcesz na nową drogę wstąpić i świadomy żywot rozpocząć, to właśnie trafia się ku temu dobra sposobność. Czas cię do służby publicznej zaprawiać, byś mnie w niej zastąpić potrafił, gdy mój czas na ziemi dobiegnie swego naturalnego kresu.

Bernard chciał gorąco zaprzeczyć, ale ojciec przerwał mu szybkim ruchem ręki, dając znać, by mu nie przerywał.

– Od śmierci nikt się żadnym sposobem nie wykręci, więc słów na próżno nie trać, tylko słuchaj i ucz się. Zresztą ja śmierci w oczy patrzyłem nie raz i nie boję się jej.

– Słucham pilnie – zapewnił Bernard, zasiadając w głębokim fotelu i zarzucając nogę na nogę.

– Okna masz zasłonięte, to i nie wiesz, że już wieczór zapada. Zwykle o tej porze nie siedziałeś w domu, więc i teraz nie będziesz. Pojedziesz ze mną na raut, który odbywa się pod państwowym patronatem. Tam poznasz ludzi, a oni ciebie. Nauczysz się cenić ich nie tylko za to, jak się nadają do wybitki i wypitki. Czas wdrażać cię w dyskurs publiczny. Poznasz nasze problemy, bo kiedyś będziesz się musiał z nimi zmierzyć i poszukać rozwiązań.

– Niełatwa to rzecz – szepnął Bernard jakby do siebie. – Ja zaproszenia nie mam, bo mnie, jak wiecie, niechętnie na salonach widzą. Ale czy to dobry czas na wydawanie rautów, gdy nie masz rubieży tego państwa, na której by spokój panował? Ba, nawet jeszcze nie wiadomo, gdzie te granice będą.

– Niełatwa. Ale pomocników znajdziesz, jak i my znaleźliśmy. Niechętnie cię na salonach widzą, bo nawet nie udajesz szacunku dla nich. Okazuj im go choćby pozornie, a zaraz pomyślą, żeś się przed nimi ukorzył, i dopuszczą do konfidencji. Blef to sól życia i kto go dobrze i zręcznie stosować nie potrafi, ten nigdy do niczego nie dojdzie. A co do samego rautu: od kiedy to masz coś

przeciwko temu, by się odbywały? Nie wszystko jest tym, czym się wydaje.

To mówiąc, sięgnął do kieszeni, wydobył kunsztownie zdobione zaproszenie i wręczył je oniemiałemu synowi. Ten przez dłuższą chwilę obracał je w palcach i czytał wypisaną nienaganną kaligrafią urzędową formułkę. Zaskoczyło go to, bo nie spodziewał się takiego zaproszenia. Zwykle unikał dyplomatycznych przyjęć ze względu na sztywną atmosferę, jaka zwykła na nich panować. Zresztą i tak nigdy go na nie nie zapraszano ze względu na jego niezależny i dość ekstrawagancki sposób życia. Dlatego myślał, że otrzymał jedno z zaproszeń, które ojciec załatwił mu poprzez swoje rozliczne kontakty, które miał w sferach rządowych. Tymczasem trzymał w rękach imienne zaproszenie, które wystawiono na jego nazwisko.

Spojrzał na ojca z niedowierzaniem wypisanym w oczach. Władysław uśmiechnął się lekko, bo znakomicie odczytał to spojrzenie. Jego samego zdziwił fakt, że Aleksandra Piłsudska wystosowała specjalne zaproszenie dla jego syna. Zaskoczyło go to i zdumiało. Z tego, co wiedział, nie znali się przecież. Do Aleksandry mogły co najwyżej dojść niepochlebne opinie na temat Bernarda, gdyż w kręgach władzy cieszył się złą sławą. Najpierw nie zamierzał wcale pokazywać tego zaproszenia Bernardowi. Nie chciał, by skompromitował jego i siebie jakimś nierozważnym czynem czy słowem, bo znał go na tyle, by wiedzieć, że jest do tego zdolny.

Dzisiejszy dzień jednak zupełnie odmienił jego rozumowanie w tej kwestii. Bernard ujawnił przed nim swoją tajemniczą skrzynkę, w której trzymał swój zapas morfiny. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że za kryjówkę służył mu sekretarzyk, który on sam mu sprezentował. Musiał jednak przyznać, że chłopak zaimponował mu swą pomysłowością. On przecież także badał ten sekretarzyk, bo interesował się starymi meblami,

a jednak nie zdołał odkryć wszystkich jego sekretów. A Bernardowi się to udało. Stanowczo miał on zadatki na człowieka, którego zdolności, jeśli zostaną odpowiednio wykorzystane, mogą być przydatne dla państwa. Właśnie dlatego uznał, że niespodziewane zaproszenie jest dobrą sposobnością do tego, by zapoznać Bernarda z pracami publicznymi, i sam los wkładał mu ją w ręce.

– Nie patrz tak na mnie – rzekł Władysław. – Sam jestem zdziwiony tym zaproszeniem, które przyszło na adres ministerialny. Ale to nam daje doskonałą okazję do tego, by ukazać cię ludziom w innym świetle. Poza tym będziesz miał dobrą sposobność do przeproszenia Wieniawy za swój wybryk, który nie był godny nie tylko szlachcica, lecz przede wszystkim mężczyzny. Szacunek dla kobiety jest wpisany w nasz europejski kod kulturowy.

Twarz Bernarda zmierzchła. Naprawdę nie przypuszczał, że ojciec zdoła go jeszcze dzisiaj czymkolwiek zaskoczyć. Najpierw traci kontrolę nad własnymi emocjami, co dotychczas nigdy mu się nie zdarzało, a teraz każe mu przeproszać – i to za co! Za to, co zrobił po pijanemu. Gdyby za każdy czyn dokonany po pijanemu miano w tym kraju ludzi zamykać, toby w nim miejsc w więzieniach zabrakło – pomyślał kwaśno. Tu przed oczami stanęła mu twarz Wieniawy. Już sobie wyobrażał, jak będzie się puszył, gdy on będzie zmuszony go przeproszać. A przecież mógł się z nim zmierzyć. Niech ich szable spór rozstrzygną.

Uśmiechnął się do tej myśli. Długoszowski cieszył się zasłużoną sławą nie tylko w Warszawie, gdzie szeroko znano jego wyczyny, ale i poza jej rogatkami. Próba pokonania kogoś takiego byłaby przedsięwzięciem wartym zachodu. Bernard znał reputację Wieniawy. Ale nie odstraszało go to, lecz stanowiło jedynie dodatkową podniechęć do walki. Czuł, że ogarnia go dzika żądza stoczenia pojedynku ze sławnym pułkownikiem. Czuł się na siłach,

by mu sprostać. Przecież od lat młodzieńczych instruktorzy brutalnie wpajali mu wszelkie możliwe tajniki szermierki. Spędził w salach treningowych dziesiątki godzin, wylewając hektolitry potu.

– Po co mi go przepraszać? Nie przystoi to. Ot, lepiej wysłać mu sekundantów, udeptać trochę ziemi i szable skrzyżować.

– Lepiej od ciebie starsi wiedzą, co przystoi. Ja swoje lata mam, ale gdybym takowy występek popełnił, to nie wstydzilibym się przepraszać i o darowanie win prosić. Nie dyshonor przepraszać, gdy jest za co. Ja wiem, że wielu chętnych się do tego nie znajdzie, bo nikt się chętnie do złych czynów nie przyznaje, łatwiej jest utoczyć komuś krwi z żył. Szabla to dobry argument, ale Wieniawa umie na nie odpowiadać. Nie raz widziałem go na polu walki i ręczyłbym za niego, choćby o los całego kraju chodziło...

– Śpiewasz jego pochwały, a przecież ludzie nie mają o pułkowniku Wieniawie zbyt pochlebnej opinii. Może z wyjątkiem kobiet, które weszły z nim w bliższe stosunki. – Bernard uśmiechnął się lubieżnie, jakby nie chcąc, by rozmówca miał jakiegokolwiek wątpliwości, jakie stosunki ma na myśli.

– To, co ludzie o nim mówią, w niczym nie zmienia faktu, że przebył on wszystkie kampanie i dał w nich liczne dowody męstwa. A ty walczyłeś jedynie w honorowych pojedynkach, z takimi jak ty sam. Ręczę ci, że każdego z nich pułkownik rozłożyłby w pięciu złożeniach.

Nie miał zamiaru wyjaśniać chłopcu, że większość ludzi wyrabiała sobie opinię na temat Wieniawy na podstawie powierzchownego rozpoznania. Żaden z nich nawet nie zbliżył się do prawdy. Natomiast on miał swoje kontakty w rządzie i wiedział na temat Długoszowskiego znacznie więcej niż inni. Co więcej, cenił go i szanował. Zdawał sobie sprawę, że jest kimś w rodzaju szarej eminencji naczelnika państwa i wypełnia tylko jego rozkazy. Obraca się wokół intryg i spisków, których natury i celów szeroka

opinia publiczna nigdy nie pozna. Takich zadań nikt nie powierzyłby pijakowi i miłośnikowi spódnic, bo nikt nie zwiększałby niepotrzebnie ryzyka wiążącego się nieodmiennie z takimi praktykami. Wieniawa musiał więc cieszyć się niemal bezgranicznym zaufaniem Piłsudskiego, jeśli ten tak chętnie powierzał mu zadania specjalne. A Władysław znał już naczelnika na tyle, by wiedzieć, że w jego naturze bynajmniej nie leżało łatwe udzielenie kredytu zaufania. Więc jeśli już się na to zdecydował, oznaczało to, że Wieniawa istotnie zasługiwał na pokładane w nim nadzieje.

Przecież tak niedawno był w Moskwie – pomyślał. Wszedł w sam środek wrzącego rewolucyjnego piekła, gdzie ludzkie życie nie miało żadnej wartości. A jednak on tam poszedł bez mrugnięcia okiem. Sam Wieniawa opowiadał szeroko, jak dostał się w ręce Feliksa Dzierżyńskiego i jak się z nich wyśliznął. Bowiem utrwaląco to jego reputację łamacza serc niewieścich. Podobno skorzystał z faktu, że jego dobrą znajomą była żona adwokata Feliksa Dzierżyńskiego, który bronił go w czasie licznych procesów jeszcze za carskiej władzy. Coś tu jednak Władysławowi nie grało. Wieniawa nigdy bowiem nie wspomniał, po co, u ciężkiego diabła, pojechał do Rosji. Tak. W tej sprawie ewidentnie kryła się jakaś tajemnica. Tajemnica, do której nawet on nie miał dostępu, a którą znali zapewne tylko dwaj ludzie. I nieszczęśliwym trafem właśnie jednego z tych ludzi musiał urazić Bernard...

Tak, nie tylko wrodzona uczciwość kierowała jego poczynaniami, gdy kazał Bernardowi przeprosić pułkownika. W nie mniejszym stopniu liczyło się także zimne wyrachowanie. Bernard był tylko nieopierzonym młodzikiem i zapewne nie przypuszczał, jak niebezpiecznego wroga mógłby mieć, gdyby zdecydował się zdrzeć z pułkownikiem. Musiał go przed tym powstrzymać. Chłopak może nie spełniał wszystkich jego

oczekiwać, ale teraz rozbudził w nim nadzieję na zmianę. Nie miał zamiaru dopuścić do tego, aby Bernard wdał się w spór z jednym z najpotężniejszych i najbardziej tajemniczych ludzi w kraju.

– Przepraszam go i nie mówmy o tym więcej – nakazał. Dostrzegł, że młodzieniec zwiesił głowę, więc dodał na pociechę: – To konieczne. A teraz myśl lepiej o tym raucie. Będzie tam niemało pięknych panien, więc nie wypada, byś się przed nimi kiepsko zaprezentował. Osobiście pragnąłbym, byś zapoznał się z szefem francuskiej misji wojskowej u nas, który od dłuższego czasu przebywa na terenie Warszawy. Luis to dobry oficer i odpowiada w Warszawie nie tylko za szkolenie naszej armii. To oczy i uszy Paryża, które musimy tolerować i robić dobrą minę do złej gry. Na szczęście Luis pracuje w tym fachu dostatecznie długo, więc potrafi zachowywać się taktownie i nie daje nam do zrozumienia, że jest tu w roli nadzorca.

Zresztą nie musiał. Wszyscy w Polsce aż nadto dobrze zdawali sobie sprawę, jakie są rzeczywiste zamiary i polityka Francji względem Warszawy. Paryż wprawdzie popierał dążenia niepodległościowe państwa polskiego, chcąc, by stało się narzędziem polityki francuskiej w regionie. Ale Polska miała być państwem z wyznaczonymi granicami, a na jej rozwój miały być nałożone wędzidła, aby nigdy nie stała się dostatecznie silna, by realizować własne cele i samodzielną politykę zagraniczną. Władysław, podobnie jak wszyscy polscy dygnitarze, świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Ale podobnie jak inni, niewiele mógł z tym zrobić. Kraj zagrożony ze wszystkich stron, z niepewnymi granicami, nad którym wisiała groźba konfliktu zbrojnego, musiał mieć w kimś oparcie. Choć jednego pewnego sojusznika, który mógłby być rzecznikiem interesów młodego państwa na arenie międzynarodowej. Na tę chwilę tym kimś mogła być tylko Francja. Na to wskazywały uwarunkowania międzynarodowe i nic nie sugerowało, by miały się one prędko zmienić. Francja zresztą

dobrze reprezentowała interesy polskie tam, gdzie były one zbieżne z jej własnymi. Jak choćby w kwestii osłabienia Niemiec.

Władysław wstał i ruszył w kierunku drzwi. Na chwilę jednak przystanął i nie odwracając się, rzucił:

– Frak i wszystko, co trzeba, znajdziesz w salonie. Trzymałem go dla ciebie w nadziei, że kiedyś i ty zrozumiesz... Tylko musisz mi wybaczyć, jeśli znajdziesz na nim jakieś załamanie, bo nie mam wprawy w prasowaniu.

Młodzian nie zdążył nawet okazać ojcu własnego zdziwienia, gdyż ten zniknął za drzwiami. Odkąd pamiętał, jego sprawami zawsze zajmowała się służba. To na jej barki spadały prozaiczne sprawy, którymi on nie chciał i nie umiał się zajmować. Nie interesowało go zgoła, kto dbał o to, by miał gotowe na czas czyste ubrania i obiad na stole. Wszystko to wydawało mu się raz na zawsze ustalonym porządkiem, który jest stały jak księżyc i gwiazdy. Ani mu w myśli nie powstało, że inni ludzie własnymi rękami zapewniają sobie wszystko to, co jest im do życia potrzebne. Dlatego słowa ojca zaskoczyły go i zdumiały, ale rozumiał, że szkoda słów i czasu tracić na próżne pytania. Był pewien, że jakoś sobie ze wszystkim poradzi. Dlatego z otuchą w sercu zbiegł do salonu, gdzie zgodnie z ojcowską obietnicą znalazł ubranie i wypastowane lakierki.

Bernard włożył je szybko, zasznurował, po czym ubrał się w przygotowany frak. Zapiął wszystkie guziki i poruszył ramionami, by spojrzeć, czy dobrze na nim leży. Obrócił się kilkakrotnie wokół własnej osi i najwidoczniej był zadowolony z efektu, bo uśmiechnął się do siebie. Na głowę wsunął cylinder, po czym chwycił laskę ze srebrną gałką i wspierając się na niej, wyszedł przed willę.

Przyjemnie było wyjść na świeże powietrze po kilku dniach dobrowolnego uwięzienia. Rozkoszował się miłym kwietniowym wieczorem. Lekki wietrzyk mile muskał go po twarzy, jak gdyby



chciał się z nim przywitać. Nabrał ochoty, aby się zatrzymać, popatrzeć na warstwowe chmury, ale nie mógł. Ojciec bowiem stał już przy błotniku czarnego samochodu i machał niecierpliwie ręką. Westchnął. Ale rozumiał, że od życia nie ma już odwrotu. Pora opuścić wnętrze mydlanej bańki. Podszedł do samochodu i szybko zajął miejsce od strony kierowcy.

Po chwili nieskazitelną dotąd ciszę przerwał miarowy szum pracującego silnika diesla, a auto przejechało z piskiem między skrzydłami okutej żelazem bramy i wjechało na ulicę.

Z pewnej odległości przyglądał się temu niczym niewyróżniający się człowiek. Ktoś, kogo nie sposób zapamiętać jedynie po krótkim kontakcie wzrokowym. Dotknął ronda kapelusza, który skrywał jego twarz w półmroku. Spojrzał w kierunku pogrążonych w ciemności okien i zaczął wyliczać coś na palcach. Wedle planu budynku, który otrzymał od mocodawców i którego wyuczył się na pamięć, pokój Bernarda miał się znajdować za czwartym oknem, licząc od dużego kasztanowca, który skrywał w swym cieniu znaczny kwartał ulicy. Teraz tylko modlił się o to, by ochrona została spacyfikowana przez jego mocodawców. Obiecano mu to. Ale mało to się obiecuje? A już politycy zwłaszcza.

Wiedział przecież, z kim ma sprawę. I choć to zadanie nie było pierwszym, jakiego się podejmował w swej długoletniej zawodowej karierze, to jednak perspektywa włamania do domu ministra sprawiedliwości sprawiała, że lekko drżały mu łydki. Lecz z wolą szefa się nie dyskutuje. Ten, kto zlecił tę robotę, też ma niebyle jakie plecy. Może to kolejna rozgrywka w łonie wszechwiedzących mędrców, udających, że zawsze wszystko wiedzą – pomyślał.

Tak naprawdę nic go to nie obchodziło. Służył temu, kto dobrze zapłacił, i nigdy nie zajmował się stroną moralno-etyczną przedsięwzięć, które zwykł był podejmować. Dbał tylko

o pieniądze i o własne bezpieczeństwo, bo do mamra trafić nie miał ochoty. Choć w tym przypadku miał raczej pewność, że nie zagrzałby zbyt długo pryczy w celi. Przy robotach na styku biznesu i polityki ich wykonawcy kończyli na prowizorycznej szubienicy. Tfu – pomyślał – nie płacą mi za rozmyślania. Do roboty!

Zręcznie wskoczył na kasztanowiec i przesadził mur okalający posiadłość.

## Rozdział IV

Gdy tylko słońce zakończyło swą dzienną wędrówkę, przed bryłę pałacu belwederskiego zaczęły zajeżdżać luksusowe samochody. Zatrzymywały się na wprost głównego wejścia. Drzwi samochodów otwierali czujni i przystrojeni w odświeżone liberie służący. Z wozów wysuwała się elita kulturalna, polityczna i wojskowa odrodzonego państwa. W tłumie gości, jaki wchodził do belwederskich pomieszczeń, wprawne oko zdołałoby wyłowić między innymi Stefana Żeromskiego i wielu rządowych dygnitarzy. Wśród gości przeważali jednak przedstawiciele arystokracji, których obecność na tego typu przyjęciach była zjawiskiem zwykłym i naturalnym. Nieco większe zdziwienie mogła budzić obecność szefa francuskiej misji wojskowej i licznych polskich generałów, którzy przybyli na raut wraz z małżonkami.

Ich obecność była pewnego rodzaju zaskoczeniem dla służby, która spoglądała na nich zdumionymi oczami. Niemal tak samo reagowali dziennikarze z prasy krajowej i zagranicznej, którzy spoglądali na siebie ze zdumieniem i z zapalem notowali coś w swoich nieodłącznych breloczkach. Dla nikogo z nich nie było rzeczą tajemną, że Polska stała u progu wojny z sowieckim kolosem, który wybierał się właśnie na zachód. Czy był to odpowiedni czas na to, by najważniejsi polscy dowódcy opuszczali swe wysunięte jednostki i marnowali czas na huczne zabawy? Wprawdzie można było złożyć to na karb odwiecznego u Polaków zamięłowania do

bylejakości i wiecznego zdawania wszystkiego na Bożą opatrzność. Nawet oni nie mogli być bowiem aż tak szaleni, by nie traktować poważnie tego rodzaju zagrożenia. Nikt spośród licznie akredytowanych w Warszawie korespondentów nie wiedział zgola, co powinien o tej sprawie myśleć. Gdyby istotnie chodziło tylko o zwykłą zabawę, to po cóż przybyłby na nią szef francuskiej misji wojskowej w Polsce?

Dla nikogo spośród ludzi pióra i polityki nie było tajnym, że szef francuskiej misji wojskowej ma do wypełnienia dwa zadania. Jedno jawne i publicznie głoszone i drugie tajne, o którym nie wiedzieli tylko zupełni polityczni dyletanci. Zadania francuskiej misji wojskowej miały biec dwukierunkowo. Zwykli oficerowie, wchodzący w jej skład, mieli zajmować się szkoleniem nowo formowanych polskich jednostek wedle francuskich regulaminów i zasad sztuki wojennej. Oni także mieli dopilnować, aby w procesie dozbrajania Wojska Polskiego nie było zbyt wielkich opóźnień. Jednak ich szef miał w Warszawie do wykonania jeszcze jedno zadanie, bardziej politycznej niż wojskowej natury. Wymagało ono od niego sporych pokładów zręczności i taktu, a więc przymiotów potrzebnych raczej dyplomacie niż wojskowemu. Generał Luis Perl posiadał te cechy i umiał patrzeć swoim gospodarzom na ręce w tak uprzejmy sposób, że ci nie mieli ochoty zaciskać ich w pięści. Zresztą Polska nie mogła sobie w obecnym położeniu pozwolić na zerwanie sojuszu z Francją, pomimo że z oczywistych względów nie mogła w nim grać pierwszych skrzypiec. Rząd polski robił zaś wszystko, by Polska w ogóle grała w tym tandemie jakąkolwiek rolę, nie dając się sprowadzić do funkcji wykonawców polityki Paryża.

Beata wycofała głowę z okna, bo widziała już wszystko, co chciała zobaczyć. Spojrzała w oczy swojej córki, która stojąc za jej plecami, usiłowała dostrzec, co dzieje się za oknem. Rozumiała powód jej napięcia. Oczekiwała na spotkanie z Wiktorem, którego

ona wciąż знаła pod zupełnie innym mianem. To dla niego spędziła przed lustrem kilka godzin, zarzucając ją pytaniami, czy dobrze wygląda, poprawiając kolczyki i wszelkiej maści dodatki. Ledwie zdołała wypędzić ją sprzed lustra, by samej móc się odpowiednio przygotować. A teraz musiała jej powiedzieć, że ten, który miał ją podziwiać, nie przybył.

Jakbym mało miała kłopotów – pomyślała ze złością. Czy ja muszę o wszystkim myśleć? Czy Jerzy nie mógł załatwić tej sprawy jak należy? To takie trudne?

Przynajmniej w tym mógł jej ulżyć. I tak miała wrażenie, że nogi napuchły jej niczym słonicy. Nic dziwnego. Przecież od kilkunastu godzin nie dała im nawet chwili odpoczynku. Spadły na nią przygotowania do rautu. Tyle spraw wymagało jej uwagi. Nigdy nie przypuszczała, że sprawy organizacyjne są tak pracochłonne i wymagają tyle zachodu. Samo ułożenie listy gości, sprawdzenie, czy na każdym zaproszeniu jest tytuł i funkcja osoby zapraszanej. Ustalenie menu. I najgorsze – sprawa tego Francuza. Układanie intryg nie było jej domeną, nie znała się na tym. Aleksandra zresztą też nie. Ale przecież coś musiały wykombinować.

– Jest? – spytała Eliza, przerywając panującą między nimi ciszę.

– Nie ma – odparła i jednocześnie spojrzała błagalnie na Aleksandrę, jakby od niej oczekując wybawienia z arcykłopotliwej sytuacji.

Ta jednak uśmiechnęła się tylko dyskretnie i uciekła spojrzeniem w bok, dając tym wyraźnie do zrozumienia, że nie ma zamiaru ingerować w ich relacje. Wolą nie wtykać palców między drzwi, skupiając się na tym, by dobrze odegrać swą rolę. Rolę, której nie znosiła. Lecz życie zakpiło z niej brutalnie i napisało taki, a nie inny scenariusz. Skupiła się w sobie. Każdy gest i słowo, jakie dziś wypowie, będą kontrolowane przez sztywne ramy protokołu dyplomatycznego, którego przestrzeganie

koordynują przedstawiciele służby zagranicznej. Już konieczność podporządkowania się zasadom opracowanym setki lat temu doprowadzała ją do szewskiej pasji. Nie zamierzała więc dokładać sobie emocji i mieszać się w rysujący się coraz wyraźniej konflikt między matką a córką.

– Miał być – mówiła napastliwie Eliza. – Mówiłaś, że będzie.

– I cóż z tego, że mówiłam! A co ja jestem? Ewangelia, żeby się nie mylić? – warknęła Beata, lecz zaraz się zreflektowała, bo spostrzegła, że twarz Elizy powlekła się smutkiem i dziewczyna opuściła rzęsy. Nie mogła znieść jej smutku. Kochała to dziecko, odkąd otworzyło oczy. W momencie gdy urodziła się Eliza, jej serce zaczęło bytować poza ciałem. Dodała więc dużo łagodniejszym tonem: – On jest żołnierzem, więc nie jest panem własnego czasu. Mogły zająć nagle okoliczności, których nie przewidział.

Kluczyła niczym ścigany przez ogary szarak, jednocześnie obrzucając w myślach Jerzego najwymyślniejszymi klątwami. Zawsze cierpiała przez niego. Był jak cierń, który utkwił jej w skórze i wydobyć go nie mogła. Gdy tylko próbowała, ból atakował ją ze wszystkich stron. Ale tym razem miała szczęście, bo z kłopotliwego położenia wybawił ją pułkownik Wieniawa-Długoszowski, który wszedł do pomieszczenia. Na widok dam strzelił obcasami i skłonił się lekko.

Miał na sobie galowy mundur ze złotymi wyłogami, który leżał na nim tak samo znakomicie jak wszystkie w ogóle stroje wojskowe. Szabla, którą miał przytroczoną do pasa, kołysała się lekko przy każdym kroku, wydając charakterystyczny dźwięk. Spodnie, obszyte białymi lamпасami, opinał brązowy skórzany pas ze srebrnymi kłamrami. Zasalutował, przykładając dwa palce do czarnego daszka rogatywki, i po chwili rzekł wesoło:

– Panna Eliza tutaj? Chłopcy w mundurach szukają towarzyszek. Pozwoli im pani szukać dłużej?

Obie kobiety w lot zrozumiały, że Wieniawa przyszedł do nich ze sprawą, o której nie chce mówić przy Elizie. Obie domyślały się, że chodzi o rozwiązanie problemu, jakim stała się dla wszystkich obecność generała Luisa. Jednak brak zaproszenia dla przedstawiciela Francji mógł doprowadzić do kryzysu dyplomatycznego w relacjach dwustronnych, a na to nikt w Warszawie nie mógł sobie pozwolić. Porozumiały się szybkim spojrzeniem. Nie były pewne, czy ich projekt zostanie zaakceptowany. Nie miały doświadczenia w tego typu sprawach. A zdawały sobie sprawę, że temat jest śliski i najmniejszy błąd może mieć tragiczne konsekwencje. Chodziło przecież o przedstawiciela rządu francuskiego, którego chwilowe unieszkodliwienie miało kluczowe znaczenie, jeśli polskie dalekosiężne plany polityczne i wojskowe miały zostać utrzymane w tajemnicy. Obie zdawały sobie więc sprawę z wagi i znaczenia zadania, którego wykonanie im powierzono. To właśnie ta świadomość paraliżowała ich wolę i myśli. Przerzała je po prostu możliwość popełnienia jakiegokolwiek błędu.

Toteż obie uradowały się z przybycia Bolesława, bo dawało im to możliwość podzielenia się z nim częścią odpowiedzialności za realizację planu. Zwłaszcza Aleksandrę ten fakt uradował niepomiernie, gdyż znając pułkownika lepiej, bardziej umiała docenić wagę jego pomocy. Widziała na własne oczy, jak Piłsudski, którego jednocześnie i kochała, i podziwiała, wielokrotnie szedł za radą tego człowieka i prawie zawsze na tym wygrywał. Jeśli więc sam naczelnik korzystał z jego rady i pomocy, gdy stawał przed trudnym problemem, to czemuż one miałyby nie zrobić tego samego.

– Panie pułkowniku – zaczęła Eliza niepewnie, bo onieśmiałała ją jego osoba – czy mój ojciec też przyjedzie?

– Wszystkie znaczniejsze rodziny i osoby w państwie otrzymały zaproszenie do stawiennictwa w Belwederze. A Jerzy przybędzie

na pewno. Tylko że w jego przypadku mogła nastąpić zwłoka, która sprawę przeciągnęła i odwlekała. – To mówiąc, Wieniawa uśmiechnął się do dziewczyny.

Ona również odpowiedziała mu uśmiechem, ponieważ w jej serce wstąpiła otucha. A jeszcze przed chwilą były tam tylko ból i gorycz. Janek znowu ciężko ją zawiódł i obraził. Choć matka mówiła, że na pewno będzie na balu, a nigdy się nie zdarzyło, by nie dotrzymała danego słowa. Dlatego jej wierzyła i liczyła dni do rautu, jednocześnie starannie przygotowując się do spotkania. Dobierała odpowiednie stroje i dodatki, po które posyłała matkę. A teraz dowiedziała się, że ten, który miał ją podziwiać, któremu chciała się podobać – po prostu nie przybędzie. Ubodło ją to do żywego. Robiła jednak, co mogła, by niczego przed nimi nie pokazać. Teraz była wdzięczna pułkownikowi, że wskazał jej środek, który pozwoli na szybkie wymknięcie się stąd. W końcu nie on jeden jest na świecie – pomyślała. Niech się przekona, co stracił – postanowiła.

Martwiła ją trochę nieobecność ojca. Chciała pomówić z nim o tak wielu sprawach. Także o Janku. Przed matką nie śmiała serca i duszy otworzyć. Pamiętała bowiem swoją wcześniejszą z nią rozmowę. Bała się, że czeka ją spora porcja połajanek i wymówek. A ona nie tego teraz potrzebowała. Musiała zrozumieć samą siebie. Czuła, że ojciec pomoże jej w tym najlepiej. W końcu też był nieszczęśliwie zakochany. Uśmiechnęła się, bo nagle cała ta myśl wydała jej się najzupełniej niedorzeczna. Jak można być nieszczęśliwie zakochanym we własnej żonie?

Dygnęła z gracją przed obecnymi i wyszła. Wieniawa patrzył za nią przez dłuższy moment. Po chwili jednak obrócił się z chrzęstem butów i zwrócił się do Aleksandry:

– Jak powiedziałem: wszystkie znaczniejsze osoby już są. Jest i nasz gość specjalny, którego ugościć trzeba w sposób szczególny. Piłsudski nie chce, aby nasze plany militarne stały się



przedmiotem paryskich plotek i dywagacji. Wolimy czynem rozgłos uprzedzić – powiedział, uśmiechając się lekko. – Chętnie się dowiem, co panie w tej materii opracowały.

Obie spojrzały na siebie niepewnie, jakby zachęcając się wzajemnie do mówienia. Wieniawa dostrzegł tę wymianę spojrzeń i poczuł, jak wzbiera w nim niepokój. Jeśli nic nie wymyśliły, to mamy problem sporego kalibru – przeleciało mu przez głowę. Powinienem był to przewidzieć i spróbować samemu opracować jakieś rozwiązanie, które nie ściągnęłoby na nas ryzyka konfliktu dyplomatycznego z Francją.

Wreszcie jednak Aleksandra zabrała głos:

– Stanął przed nami problem. Jak unieszkodliwić Luisa, nie robiąc mu krzywdy i nie dając Francuzom żadnych poszlak, które wiodłyby do nas? Najpierw myślałyśmy, zgodnie z twoją sugestią, żeby podsunąć mu jakąś miłą panią, która umili mu czas, podczas gdy wy będziecie w spokoju załatwiać swoje sprawy. Niestety nie mieliśmy nikogo odpowiedniego pod ręką, a my się już nie kwalifikujemy.

– Mów za siebie – odparowała Beata. – Ja bym się podjęła, ale francuski to ja znam tak piąte przez dziesiąte. A wykształceni mężczyźni bywają wymagający. Z takim to wypada ze dwa kulturalne zdania zamienić, zanim się przejdzie do rzeczy.

Aleksandra z trudem powściągnęła uśmiech, który przemocą cisnął się jej na wargi. Znała bezpośredniość swojej przyjaciółki nie od dziś i ceniła ją za to bardziej, niż była zdolna to wyrazić. Ale czasem jej szczerość sprowadzała na nią kłopoty. Bo dobrze z tym było w czasach, gdy obie tkwiły po uszy w pracy konspiracyjnej i trzeba było rozładować napięcie, które zwykle pojawiać się przed akcją. Wtedy jedno zręcznie rzucone przez Beatę słówko odnosiło odpowiedni skutek. Ale nie teraz. Nie dziś. Zbyt wiele wody upłynęło w Wiśle od tamtego czasu. Ona się zmieniła i Beata także powinna zrozumieć, że nie wszystko powinno się mówić wszędzie.

Wprawdzie Bolesław nie należał do osób, które łatwo się gorszyły, i bynajmniej nie był zszokowany. Ale na salonach dość było purystów, którzy z pewnością nie przeszliby tak łatwo nad tymi słowami do porządku dziennego.

Muszę z nią o tym pogadać. Ale teraz mam inne sprawy na głowie – pomyślała.

Jedną z nich był sam Wieniawa. Mieli przecież wspólny projekt, w który zdecydowała się zaangażować. Nie, nie żałowała tego. Stanowił on bowiem jakąś odskocznię od belwederskiej rutyny, która dręczyła ją niczym szczygła w klatce. Dzięki temu mogła zająć się czymś innym. Latać wysoko, opracowywać wizje i strategie. Zupełnie jak za dawnych lat, kiedy takie działanie stanowiło jej chleb powszedni. Ale teraz czuła, że wraz ze zbliżaniem się decydującej chwili wzbiera w niej strach, który dawniej nie miał do niej przystępu. Tyle że dawniej ryzykowała tylko własnym życiem. Dziś kładła na szalę fortuny znacznie większy ciężar. Karierę polityczną ukochanego nad wszystko człowieka, reputację państwa, któremu oddała najlepsze lata, i bezpieczeństwo córki. Bo nie wątpiła, że jeśli cokolwiek z tej sprawy ujrzy światło dzienne, to wszystkie te rzeczy będzie mogła uważać za stracone.

Spojrzała Długoszowskiemu w oczy, jakby chciała z nich wyczytać nieznaną jej część planu. Ale nic z nich poznać nie umiała. Pułkownik wydał jej się w tej chwili tak podobny do Ziuka, że omal nie parsknęła śmiechem. Zarówno jeden, jak i drugi panowali nie tylko nad słowem i myślą, ale i nad mimiką. Nikomu nie zwierzali się z trosk i rozterek. Ziuk niegdyś nie miał komu, to i nawykł do tego, że sam z problemami potykać się musi. A Wieniawa? Czy był choć jeden człowiek w tym kraju, którego on nazwałby swoim przyjacielem? Piłsudski był raczej mentorem. Może Tomasz? Co połączyło tych dwóch ludzi? Westchnęła, bo nie czas był, aby zaprzętać sobie myśli podobnymi błahostkami.

– Twój były mąż jest szefem wywiadu. Tylko z tego powodu nie zaproponowałam ci tej funkcji. Jestem prawie pewna, że poświęciłabyś się dla ojczyzny. – Uśmiechnęła się ironicznie i zwróciła się do Wieniawy. – Zaplanowałyśmy dolanie spirytusu do ponczu, który już przygotowano dla panien z towarzystwa. Francuzi nie mają zbyt tęgich głów.

Z trudem powstrzymał westchnięcie, ale Aleksandra musiała dostrzec zmianę w jego twarzy, bo spuściła oczy. Widząc to, Wieniawa przypadł do niej i całując ją w rękę, rzekł:

– Macie wielkie serca, piękne ciała, ale na alkoholach się nie znacie. Francuzi istotnie słabsze mają od naszych głowy, że o Rosjanach i Ukraińcach nie wspomnę, bo im dalej na zachód, tym bardziej ginie męstwo. Ale poncz to słaby trunek, którym nawet młódki nie upije, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Mówisz o tym tak, jakbyś miał w tym względzie niebagatelne doświadczenie – zauważyła Beata, z której twarzy uśmiech jeszcze nie zszedł.

– Od wczesnej młodości dbam o to, żeby mój organizm miał należytą odporność na działanie alkoholu – stwierdził obojętnie, bo pamiętał, że za tę naukę zapłacił osobistym szczęściem i zagładą rodzinnego życia. – Idzie o odpowiednią ilość enzymów w wątrobie, które zajmują się rozkładaniem alkoholu. Ten Francuz musiałby zwykle pić tylko mleko, jeśli tak słaby alkohol miałby zaproszyć mu głowę.

To mówiąc, zaczął pośpiesznie przemierzać pokój. Uznał, że musi coś pilnie wymyślić. Czas działał bowiem przeciwko niemu. A doskonale zdawał sobie sprawę, jaką wagę do kwestii zachowania wszystkiego w tajemnicy przywiązywał komendant. Zresztą jako zawodowy żołnierz świetnie rozumiał, jak wielką rolę w powodzeniu każdej operacji wojskowej odgrywał element zaskoczenia. Zwykle bowiem o powodzeniu planu decydowały pierwsze godziny. Wprawdzie Paryż nie miał żadnego interesu

w tym, by sprzedawać Sowietom polskie koncepcje strategiczne, ale stanowczo lepiej było, by rząd francuski o operacji dowiedział się z gazet, gdy ta wejdzie w fazę realizacji, a oni nie będą już mogli podjąć w tej materii żadnych przeciwdziałań. Gdyby Francuzi dowiedzieli się wcześniej, mogliby spróbować zakulisowo wpłynąć na ich politykę, a mieli dość środków ku temu. Ich położenie geostrategiczne było bowiem tego rodzaju, że prawie nie mogliby im odmówić.

Rozumiał kulisy polityki, bo od kilku już lat obracał się między ludźmi, którzy ją robili. Znał więc dobrze sytuację państwa i doceniał wagę niebezpieczeństw, jakie nad nim zawisły. Były to zarówno zagrożenia zewnętrzne, jak i wewnętrzne. By przetrwać niebezpieczny okres początkowy państwo potrzebowało sojusznika, który wspomógłby go własną siłą. Francja robiła to z wyrachowania i z własnymi celami na widoku. Ale ta współpraca dawała Polsce wymierne korzyści i to na bardzo wielu płaszczyznach. Gra, którą wszczynali z Luisem, mogła doprowadzić do zerwania tych relacji. Dla Francji byłaby to porażka, a dla Polski klęska. Bolesław znakomicie zdawał sobie z tego sprawę i czuł brzemień odpowiedzialności, jakie na niego spadło. Dlatego pot uperlił mu czoło, a ręce mu drżały.

– Nie mógłbyś sam go upić? – spytała Beata.

Obrócił się, spojrział jej w oczy, po czym rzekł stanowczo:

– Ja nie piję. Dla mnie byłby to powrót do nałogu, który zniszczył to, co miałem najdroższego na ziemi.

Aleksandra rzuciła Beacie karcące spojrzenie. Alkoholizm Wieniawy był tematem tabu. O tym się nie mówiło. Z tego, co wiedziała, na razie się trzymał. Ale nie miała złudzeń. On nadal żył jak na bombie. Jeden moment, jedna chwila słabości i demony, które zdołał uspić, powrócą. One powinny wspomagać go w walce, a nie dawać sposobność do powrotu na złą drogę.

– O tym mowy być nie może – przerwała. – Tobie nie wolno. A poza tym jesteś zbyt blisko związany z kręgami władzy, by ta sprawa gładko rozeszła się po kościach. A wydaje mi się, że nikt nie powinien wiązać tego z polityką. Wszystko powinno raczej wyglądać na splot nieszczęśliwych okoliczności niż na starannie zaplanowaną intrygę.

Starannie? – pomyślał Wieniawa. Tu nic nie jest staranne. „Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiedzie. Ja z synowcem na czele i jakoś to będzie”<sup>1</sup>. Dziwne, co człowiekowi do głowy potrafi wpaść. Co tu robi Mickiewicz?

Pokręcił głową. Nie potrafił wymyślić żadnego sensownego projektu, choć jako zawodowy żołnierz przywykł do szybkiego myślenia pod presją czasu i śmierci. Może brak mi świstu kul? Tęsknił za wojaczką. Za polem bitwy, gdzie wszystko zależało od opanowywanych latami umiejętności, odwagi i siły woli. Tam nie było skomplikowanych gier, intryg i potyczek. Na polu bitwy ci, którzy chcieli go zabić, nie uśmiechali się do niego. Tam wszystko było proste.

Wydobył się z tych rozmyślań, bo wiedział, że do niczego nie prowadzi. Życie to nie zegar, nie sposób cofnąć go do tego, co było. Można tylko pogodzić się z tym, jak wygląda obecnie, albo wic się niczym postrzelony i syczeć z bólu. On pogodził się już dawno, że duszą i ciałem należał do polityki. Wyzbył się już nadziei, że kiedykolwiek zdoła się od niej uwolnić. Jeszcze do niej nie nawykł, ale zdawał sobie sprawę z wagi i znaczenia swoich obowiązków. Spojrzał na obie kobiety. Były takie bezbronne. Liczyły na niego. Nie mógł ich zawieść.

– Masz rację, Aleksandro – odparł. – To nie wchodzi w grę. Nie wątpię, że przepiłbym tego Francuza, bo nie takich jak on kładłem już pod stołem. Ale ja nie mogę się w to wikłać. W każdym razie nie martwcie się tym już. – Uśmiechnął się, aby podnieść je na duchu. – Biorę to na siebie. Ty, Aleksandro, musisz powitać gości,

bo komendant ucina sobie pogawędkę z Żeromskim. Usiłuje przekonać go do swojej polityki, odpiera zarzuty o zbyt małe zaangażowanie w kształtowanie zachodnich granic. A pani powinna dopilnować córki – dodał, zwracając się do Beaty. – Bo choć moi oficerowie to wszystko porządni ludzie i szlachetnego stanu, to jednak chłopcy, a Eliza jest piękną dziewczyną.

– Moja córka ma swój rozum i chyba pora okazać jej zaufanie. Niemniej dziękuję za troskę, bo i to prawda, że chłop to maszyna prosta. Coś jak dźwignia albo równoważnia. Niewiele na was potrzeba.

Chciała się uśmiechnąć, ale nagle jakaś niewesoła myśl musiała przyjść jej do głowy, bo zacisnęła usta w wąską kreskę, a w jej oczach pojawił się błysk gniewu.

– Aleksandro, przypomnij mi, żebym udusiła Jerzego przy najbliższej sposobności. A teraz ruszajmy do naszych obowiązków.

Wieniawa z typową dla siebie szarmancką galanterią przepuścił je w drzwiach i wydostał się z pomieszczenia, w którym dotychczas przebywali. Przez belwederskie korytarze szedł tak wolno, że obie kobiety, mimo że miały na sobie ciężkie suknie, zdołały znacznie go wyprzedzić i zniknąć mu z oczu. Lecz on bynajmniej się tym nie strapił. Znał rozkład belwederskich pokoi, może lepiej niż sam budowniczy tego pałacu, i nie prześladowała go myśl, że się zgubi. Słyszał zresztą stukot pantofelków, który dochodził do niego ze sporej odległości, więc miał wcale nie najgorszy punkt orientacyjny. A śpieszyć się nie miał do czego. Nie zliczył bowiem, ile razy bywał już na tego typu przyjęciach, więc miał absolutną pewność, że niczym go już nie zaskoczą. Były one tylko dobrą sposobnością, by się napić. Ale od czasu, gdy wziął definitywny rozbrat z alkoholem, straciły i ten powab. A za atrakcję wieczoru robić nie chciał. Znowu wszyscy otoczą go wianuszkami i będą chcieli wysłuchać anegdot, dowcipów. Znowu

będzie musiał udawać szarmanckiego i wesołego. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Szedł więc wolno, z rękoma zaplecionymi za plecami i z kłębowiskiem myśli w głowie. Lecz żadna z tych myśli nie chciała zmaterializować się w konkretny plan, a przecież wziął to na siebie – obiecał. Liczył jeszcze na jakąś myśl, jakiś przypadek, który sprawi, że spłynie ona na niego z nieba. Z tą nadzieją wszedł na salę. Było to pomieszczenie średniej wielkości. Do przyjęcia bez tańców większe nie było potrzebne. Nie było też dużych stołów, tylko niewielkie stoliki, na których stały wyłącznie lekkie potrawy. Wokół nich znajdowały się wygodne, obciążone czerwona tkaniną pufy. Po sali kręcili się kelnerzy z tacami pełnymi alkoholu i zimnych przekąsek. Nie brakło też stolików do kart. Przyjęcie było kameralne. Zorganizowano je przecież dla wąskiej elity państwa.

Znał tu wszystkich i wszyscy znali jego. Znajomi uśmiechali się do niego, proponując swoje towarzystwo. Rozpoznawał niemal każdą twarz i bez trudu łączył ją z pełnioną funkcją. Dostrzegł Belinę Prażmowskiego, który w swoim nieodłącznym polowym mundurze rozmawiał właśnie z innymi oficerami. Pewnie zastanawiają się, po co ich tutaj wezwano – pomyślał i ominął ich. Nie chciał z nimi rozmawiać, a przynajmniej nie teraz. Chciał, by wszystkiego dowiedzieli się w swoim czasie z przeznaczonych do tego ust. Dostrzegł Aleksandrę, szczebioczącą właśnie z kilkoma ambasadorami, których dla pozorów wypadało zaprosić. Oczami szukał jednak wszędzie Luisa.

Odnalazł go z łatwością już za moment, bo francuski krój munduru wyróżniał się spośród innych strojów. Generał był mężczyzną w średnim wieku. Nosił się nienagannie, z właściwą Francuzom elegancją i wyczuciem stylu. W rysach jego twarzy uwypuklała się pewna surowość. Nad górną wargą nosił ciemny wąs, który strzygł zgodnie z modą epoki edwardiańskiej. Jego

głęboko osadzone zielone oczy ukrywały się pod ciemnymi brwiami. Kościsty, sprawiał wrażenie nieco niedożywionego, co potwierdzały blade, zapadnięte policzki. Cerę miał nieco ciemniejszą, najwidoczniej miał w sobie jakąś domieszkę krwi kolonialnej. Mundur, na jego wysokim, chudym ciele, zdawał się lekko wyciągnięty.

Luis był bliskim współpracownikiem marszałka Focha i podzielał jego poglądy na sprawy polityczne i wojskowe. Należał więc do stronnictwa wojennego, które skupiało w sobie nieprzejednanych wrogów Niemiec i zwolenników ich radykalnego osłabienia. Stronnictwo owo wraz z końcem wojny zaczęło radykalnie tracić pozycję i znaczenie. Nieprzejednane poglądy ludzi z nim związanych przestały znajdować posłuch w kręgach, które odpowiadały za kształtowanie francuskiej polityki zagranicznej. Właśnie dlatego tych, których kojarzono bezpośrednio z wielkim marszałkiem, systematycznie odsuwano na boczny tor, zwolna pozbawiając wpływów i znaczenia politycznego. Właśnie dlatego Luis trafił do Polski, która leżała na peryferiach zachodniego świata.

Owo zesłanie nie było zresztą dla generała zbyt wielką karą. Cenił Polaków, bo znał ich męstwo i zadziorność w boju. A Paryż opuścił z prawdziwą ulgą, ponieważ zupełnie przestał go rozumieć. W Warszawie mógł się zająć organizacją nowej armii. Było to zadanie, w które zapragnął zaangażować całą swoją energię i umysł. Pracował więc z oddaniem i szczerze. Wiedział zresztą, że kuje miecz, który lada chwila spadnie na bolszewickie karki, a Lenina i jemu podobnych obawiał się i nienawidził z całej duszy. Niczego więc nie zaniedbywał, by polska armia była należycie przygotowana do czekających ją bojów. Spędzałby więc w Warszawie całkiem przyjemne chwile, gdyby misji wojskowej nie powiązано ściśle z polityczną. Gdyby nie zrobiono z niego szpiega ludzi, pośród których gościł. Luis dał jednak Polakom do



zrozumienia, w jakim charakterze go tu przysłano, a ci dbali o to, by nie mówić przy nim o sprawach, które należało zachować w tajemnicy. Był to pewien rodzaj honorowej ciuciubabki, w którą obie strony grały z pełną świadomością.

Wieniawa nie umiał patrzeć na Luisa bez pewnego odcienia sympatii. Lubił Francję, kochał Paryż i mniej więcej raz do roku udawał się w tamte strony, by się przewietrzyć. Nie umiał mieć do Francuza pretensji, a cenił w nim wysokiej klasy żołnierza, którego umiejętności potrafił dostrzec i należycie ocenić. Lubił z nim rozmawiać, bo bawił go ów śmieszny francuski akcent, z którym wymawiał polskie słowa. Znał go i cenił. A wiedział, że rozkaz jest rozkazem. On sam przecież do pracy sztabowej podchodził z niechęcią, ale musiał ją wykonywać, bo taki właśnie miał rozkaz. Na posłuszeństwie rozkazom stało wojsko. Rozumiał to, dlatego z taką niechęcią myślał o tym, co miał zamiar zrobić.

Przyjaźnie skinął głową generałowi, który właśnie pograżony był w rozmowie z córką. Obrzucił dziewczę przelotnym spojrzeniem i na moment stracił kontakt z rzeczywistością. W tym właśnie momencie poczuł, jak ktoś na niego wpada. Odruchowo wyciągnął ręce, obejmując kobietę w talii. Dostrzegł jeszcze, jak kieliszek wysuwa jej się z ręki, a jego zawartość trafia na mundur. Poczul zapach wódki zmieszany z zapachem damskich perfum, a kieliszek z hukiem rozprysł się im u stóp. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, oszołomieni. Na twarzy dziewczyny pojawił się rumieniec zawstydzenia, bo niemal wszyscy patrzyli w ich stronę. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że wciąż trzyma ręce na jej tali. Wycofał je i cofnął się nieco.

Oboje spojrzeli na siebie skonfundowani, a rumieńce w tym samym momencie wypełzły na ich twarze. W przypadku dziewczyny ów rumieniec tworzył fantastyczny zestaw z różową suknią z odkrytymi plecami i blond lokami. Na szyi miała srebrny szal, który teraz zawstydzona poprawiała. Długie, ciemne

rękawiczki utrudniały jej tę pracę. Jednocześnie cały czas patrzyła na Wieniawę, mrugając ciemnymi rzęsami, które co chwila odsłaniały duże ciemne oczy. Usiłowała zrobić kolejny krok, ale przytrzymał jej rękę, wskazując na rozsypane pod nogami szkło.

– Zechce pani przyjąć moje przeprosiny? – rzekł. – Nie zwróciłem uwagi.

– To ja powinnam przeprosić pana pułkownika – stwierdziła, uśmiechając się do niego.

Ona mnie zna – pomyślał. Nic dziwnego. W końcu wszyscy w tym kraju twierdzą, że mnie znają.

Z trudem powściągnął uśmiech, a jednocześnie próbował sobie przypomnieć tożsamość tej kobiety. Znał przecież wszystkie ładne rączki i twarzyczki w tym kraju. W końcu kobiety krążyły wokół niego niczym sępy. Był jedną z najbardziej pożądanых partii w kraju. Jego pozycja i dość spory majątek zręcznie równoważyły fatalną reputację towarzyską, co sprawiało, że niemal wszystkie matki i opiekunki nastroczały mu swoje podopieczne. On jednak nie potrafił się z tego cieszyć. Był do tego przyzwyczajony, ale było to dla niego kłopotliwe. Ta kobieta jednak ciekawiła go właśnie dlatego, że jej nie kojarzył. A wydawało mu się dotychczas, że znał wszystkie swoje rodaczki, które znać warto.

Jutro znów trafię na pierwsze strony prasy – pomyślał z uczuciem rezygnacji. Ha, trudno. Przecież nie mogę wyzywać na pojedynek redaktora każdej gazety w tym kraju.

– Mnie? A za co? – zapytał nieznaną.

– Zalałam pański mundur wódką. Będzie wymagał czyszczenia.

Wieniawa nie odpowiedział od razu. Zamiast tego pstryknął palcami na kelnera, który zmaterializował się przed nim z tacą pełną kieliszków. Znał pułkownika nie od dziś i wiedział z doświadczenia, że potrafił wypić całą tacę, nie troszcząc się o resztę gości. Tym razem jednak pułkownik postąpił odmiennie.

Uśmiechnął się tylko, widząc ową znajomość swoich zwyczajów, które znał przecież każdy kelner w stolicy.

– Panie Geniu, czy ta dama otrzymała od pana czystą wódkę?

– Czystą, panie pułkowniku...

– Dziękuję. – To mówiąc, sięgnął do tacy i podał pełny kieliszek kobiecie, nie roniąc z niego ani kropli.

Kelner czekał jeszcze, aż Długoszowski weźmie jeszcze jeden dla siebie, lecz po chwili spostrzegł, że ten nie ma bynajmniej takiego zamiaru. Zdumiało go to niepomierne. Jeszcze żaden kelner nie spotkał się z taką sytuacją podczas obsługiwanego słynnego pułkownika. Dlatego stał przez chwilę z dość niepewną miną, najwidoczniej nie będąc pewnym, czy czymś Wieniawy nie obraził. Ten spostrzegł jego zakłopotanie, więc rzucił z uśmiechem:

– Nic się nie stało. A teraz idź już, bo spragnieni czekają.

Począł, aż kelner oddali się na odległość, która uniemożliwi mu słyszenie rozmowy, po czym skupił wzrok na kobiecie i rzekł sztucznie poważnym tonem:

– Oddaję, co zmarnowałem. I wiedz, pani, że czysta wódka ani honoru, ani munduru nie plami. A pani chyba nie jest Polką?

Dziewczyna roześmiała się cicho, odsłaniając w uśmiechu lśniące białe zęby. Przytknęła kieliszek do warg i piła wolno, z namaszczeniem. Obserwował, jak z kieliszka ubywa płynu. Tymczasem kobieta, uporawszy się z wódką, chuchnęła w jego stronę dwa razy i rzuciła z rozbawieniem:

– Mam rozumieć, że czegoś mi brakuje? Wiem, że Polki słyną z piękności na cały świat, ale i mnie chyba niczego nie brak? Przyznam szczerze, że czuję się lekko zestresowana, kiedy stoję przed takim koneserem kobiecej urody, czekając na werdykt.

Obróciła się lekko niczym w tańcu. Suknia zawirowała tak, że mógł dostrzec fragment naprawdę zgrabnej łydki. Przez chwilę stracił koncentrację i omal nie przegapił momentu, kiedy kobieta wsunęła obutą w pantofelek stopę w resztki szkła. W ostatniej

chwili zdołał przyciągnąć ją do siebie, a następnie lekko podniósł i przeniósł bezpiecznie nad przeszkodą. Poczul zapach perfum zmieszany z wódką i ciepło jej gładkiej skóry, które był w stanie wyczuć pod palcami. Czul szmer jej lekko przyśpieszonego oddechu, który muskał go po kołnierzyku munduru. Wszystkie te bodźce trwały nie więcej niż kilka sekund, bo już po chwili miękko postawił kobietę na ziemi.

– Jest pani nieostrożna – zganił ją, patrząc na jej falującą pierś i rumieńce, które okrywały jej policzki.

– Czy te słowa wyszły aby na pewno z ust pułkownika Wieniawy-Długoszowskiego, który za swoją odwagę i brawurę jest powszechnie czczony i szanowany? Ktoś pana podmienił?

– To niesprawiedliwe – stwierdził, biorąc ją pod ramię i prowadząc do jednego ze stolików do kart. – Pani wie, kim ja jestem, ale ja nie miałem jeszcze przyjemności poznać pani.

Spojrzała na niego bystro spod na wpeł przymkniętych powiek.

– To dziwne, co pan mówi, panie pułkowniku. Bo zgola co innego pozwala pan sobie rozgłaszać wszem wobec. Ale o tym nie tutaj. Przychodzę do pana nie tylko we własnym imieniu. Lecz tożsamość tej osoby musi pozostać ukryta przed wszystkimi poza nami.

Wieniawa musiał przywołać na pomoc całe swoje ponadprzeciętne umiejętności, by zapanować nad mimiką twarzy. Wiedział, że znajduje się w miejscu publicznym, gdzie nie powinien okazywać żadnych emocji. Nie potrzebował teraz niczyjej uwagi. A trudno byłoby mu jej uniknąć, gdyby którykolwiek z obecnych na raucie gości dostrzegł u niego oznaki nerwowości. Nie pasowałaby ona do niewinnej bądź co bądź konwersacji z kobietą. Przynajmniej tak owa rozmowa wyglądała dla osób postronnych, bo on właśnie zaczynał zdawać sobie sprawę, że ani ta kobieta nie jest niewinna, ani konwersacja nie

jest zwyczajną dysputą dwojga znużonych ludzi, w jakie od zawsze obfitowały tego typu uroczyste przyjęcia.

Czuł, że znowu wdepnął w coś bardzo brzydkiego. Próbował zrozumieć słowa tej dziwnej niewiasty. Przecież w ostatnim czasie nie miał żadnych miłostek, którymi szerzej zajmowałyby się warszawskie salony. Po pierwsze wyleczył się z tego typu zachcianek definitywnie i starał się unikać kobiet, jeśli tylko był w stanie to zrobić w sposób niewłaczający w niczym ich godności. Drugim i znacznie ważniejszym powodem był fakt, że ostatnimi czasy przebywał przede wszystkim w sztabie, pracując nad projektem polskiej ofensywy. Ona właśnie zajmowała w sposób bezsporny wszystkie jego myśli i uczucia.

Dlatego spojrzął na kobietę bezbrzeżnie zdumionym wzrokiem i rzekł:

– Nie rozumiem, o czym pani mówi. Nigdy wcześniej moje oczy nie miały przyjemności widzieć pani. Poza tym imię żadnej z moich bliższych znajomych nigdy nie przedostało się do wiadomości prasy. Funkcjonują jedynie w anegdotach, w których czasem jest ziarno prawdy, a czasem nie ma jej nawet odrobiny. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała się pani wytłumaczyć z tych dziwnych słów, z których niewiele rozumiem. Bo to o wiele poważniejsza sprawa niż rozlanie alkoholu na cudzym ubraniu.

Spojrzął na nią tak, jakby chciał jej do dna duszy zajrzeć. Ona zaś odpowiedziała mu równie śmiałym wejrzeniem i przez chwilę mocowali się na spojrzenia. Chciał ją sprowokować. Zmusić do jakiegoś nierozważnego gestu, który pozwoliłby mu odgadnąć jej intencje. Czuł dziwny niepokój. To nie było przyjęcie, na które mógł wejść pierwszy lepszy człowiek z ulicy. Listę gości układał przecież osobiście szef służby zagranicznej. Żaden człowiek nie mógł się tu dostać bez wiedzy i woli czynników decyzyjnych. Podobnie zresztą rzecz się miała z dziennikarzami. Prawo wstępu otrzymali tylko korespondenci akredytowani w Warszawie przez

wielkie koncerty prasowe. Tymczasem ta kobieta nie wyglądała mu ani na dziennikarkę, ani na polityka. Gdyby była dziennikarką, przedstawiłaby się od razu i poprosiła o wywiad dla swojego pisma. Politykiem zaś nie była na pewno. Jak sama bowiem przyznała, nie była Polką. A tylko w Polsce kobiety miały zarówno czynne, jak i bierne prawo wyborcze. Stanowczo nie potrafił jej rozgryźć. Niepokoiło go to i jednocześnie w jakiś sposób nęciło, gdyż tęsknił za niebezpieczeństwami, przygodami, pragnął ich chciwie. Zawsze bowiem byłyby to jakaś forma odskoczni od nudnej i żmudnej pracy sztabowej.

– Proszę mi się tak nie przyglądać – poprosiła. – To deprymujące. Zaraz pan wszystko zrozumie. Musimy tylko znaleźć jakieś ustronne miejsce, gdzie obcy ludzie nie będą nad nami stali. Wolalabym, aby to pan podsunął pretekst do tego spotkania i je zorganizował.

Skinął głową z entuzjazmem, bo po raz kolejny wydało mu się, że jego szczęśliwa gwiazda sama prowadzi go do celu, niczym niegdyś Gwiazda Betlejemska Mędrców ze Wschodu. Mimo rozmowy z tajemniczą kobietą ani przez chwilę nie zapomniał bowiem o problemie, który zobowiązał się rozwiązać. Wcześniej wydawało mu się, że okaże się on nierozwiązywalny, ale teraz wpadł na pewien pomysł. Nie przypuszczał bowiem wcześniej, że Luis zabierze ze sobą córkę. Ona była rozwiązaniem i jednocześnie największą słabością ojca. To dlatego stracił na chwilę kontakt z rzeczywistością, bo właśnie spłynęło na niego niebiańskie olśnienie. Należało po prostu zmodyfikować plan Beaty i Aleksandry. Na generała poncz ze spirytusem na pewno nie zadziała, ale na jego córkę już tak. Tak młoda osóbką z pewnością ma bardzo słabą głowę.

Plan był genialny. Ale jak wszystkie genialne pomysły rodzące się w tempie uderzenia pioruna, posiadał wiele luk, które dopiero należało zręcznie fastrygować. W przypadku tego akurat

rozwiązania problemem było niebudzące niczyich podejrzeń dostanie się do kuchni. Trzeba było taką konieczność zρέcznie upozorować, by nie dać nikomu za wiele do myślenia. Wieniawa wiedział o tym. Dlatego ucieszył się w duszy, że kobieta to właśnie jemu pozostawiła wybór miejsca na ich dziwną schadzke. A i upozorowanie konieczności wizyty w kuchni nie powinno nastrożać zbyt wielu trudności. Gorzej rzecz się miała z szansami na zdobycie spirytusu. W kuchni co prawda alkoholu nie brakowało, bo marnuje się go do ciast, ale są to przede wszystkim zapachowe likiery o bardzo intensywnej woni, co czyniło je bezużytecznymi dla jego celów. Poncz nie mógł przecież nasiąknąć innym zapachem, gdyż to ostrzegłoby potencjalny cel, że coś jest nie tak. Był to więc problem poważny, ale Wieniawa postanowił zająć się nim dopiero wówczas, gdy już znajdzie się w kuchni. Czas bowiem nagił. Termin narady był ścisły i musiał zostać wypełniony co do sekundy. Nie było więc najmniejszej rezerwy na kręcenie nosem. Działać trzeba było natychmiast.

To potrafię – pomyślał z determinacją. Skinął na kelnera, ignorując zdumione spojrzenie kobiety i własne drżące dłonie. Nie miał zamiaru niczego jej wyjaśnić. Ona miała swoje tajemnice, a on swoje. W końcu każdy ma prawo do swoich sekretów. Kelner przedostawał się w jego kierunku, zρέcznie unikając zderzenia z kręcącymi się tu i ówdzie gośćmi, i już po chwili stał przed nim wyciągnięty niczym fortepianowa struna, oczekując na polecenia.

– Muszę trafić do kuchni – wyjaśnił. – Ta pani – wskazał na kobietę – zaplamiła mi mundur, a to jest galówka. Muszę coś z tym zrobić. Nie wypada tak między ludźmi... sami rozumiecie.

Kelner powinności służby swej rozumiał. A jedną z nich jest niezadawanie pytań, tylko spełnianie wszystkich, choćby najbardziej absurdalnych życzeń gości. Wieniawa był wszak ogólnie znanym dziwakiem, który zawsze postępował inaczej, niż robili to zwykli ludzie. Nie okazał więc najmniejszego zdziwienia,

że adiutant naczelnika państwa chce sam czyścić swój galowy mundur, i natychmiast udzielił mu odpowiednich instrukcji, które miały mu ułatwić dotarcie do kuchni belwederskiej. Następnie oddalił się równie szybko, jak się pojawił, bo miał jeszcze wiele innych obowiązków. Wieniawa, korzystając ze sposobności, objaśnił kobiecie swój plan, po czym rzucił kilka cierpkich uwag w jej stronę, tak aby wszyscy słyszeli. Należało przecież dbać o zachowanie pozorów. Nie mógł ich zaniedbać, chociaż paliła go ciekawość, by dowiedzieć się, kim właściwie ta białogłowa jest.

Nad tym właśnie rozmyślał, przedzierając się ku drzwiom, a potem idąc belwederskimi korytarzami. Ale myśl miał ciężką i leniwą. Zupełnie jakby jego mózg na własną rękę ograniczył zużycie mocy. Podejrzewał, że miało to związek z przymusową abstynencją, jaką ostatnio sobie narzucił. Organizm po prostu się odtruwał. Miało to – ma się rozumieć – pewne skutki uboczne. Ciągła nerwowość. Niewielkie drżenie rąk, które odczuwał głównie przy pisaniu długich kolumn zaopatrzeniowych. Stale czuł wściekle pulsowanie w skroniach, jakby ból miał zamiar rozsadzić mu czaszkę. Na dodatek jego mózg stawiał opór. Wyszukiwał mu ludzi spożywających alkohol. Dostrzegał ich niemal wszędzie i wówczas zalewał się potem, a w oczach mu się ćmiło. Były to więc normalne objawy odtrucia, przed którymi ostrzegali go lekarze i z których istnienia sam znakomicie zdawał sobie sprawę.

Szedł korytarzami dość szybkim, nerwowym krokiem, nie troszcząc się zbytnio o to, czy nieznajoma za nim nadąży. To ona wyszła z inicjatywą, więc powinna się starać, by ich spotkanie doszło do skutku. Ktoś ją na pewno z tego rozliczy, bo nie wątpił, że nie działała jedynie we własnym imieniu. Dostarczenie jej tu nie było rzeczą prostą i zrobił to ktoś, kto miał do dyspozycji spore środki i wiedział, jak należy je wykorzystywać. Kto i dlaczego w tak tajemniczy sposób szukał z nim kontaktu? Na pewno nie chodziło o żadnego z jego bliższych czy dalszych znajomych. Nie



był przecież osobą aż tak nieprzystępną, by kontakt z nim wymagał podejmowania tajemniczych zabiegów. Zresztą jego przygodni znajomi, by zyskać jego przychyłność i otrzymać pomoc w uzyskaniu takich czy innych kontaktów z wojskiem, używali innych metod. Mierziło go to, ale czasem załatwiał pozytywnie tego typu interesantów, bo jak bezwzględnie udowadnia życie, palenie za sobą mostów to ostateczność.

Uśmiechnął się, gdy usłyszał szybki stukot jej obcasów. Już po chwili zrównała się z nim. Spojrzał na jej zarumienioną twarz i rozchylone usta, którymi szybko łapała oddech. Oczy błyszczały jej gorączkowym blaskiem.

Musi się im w takich sukniach równie ciężko biegać, jak nam je zdejmować – pomyślał.

Jakby na potwierdzenie jego myśli kobieta sapnęła ciężej i mruknęła:

– Mógłby pan pamiętać, że te buciki i suknia nie zostały stworzone do biegania.

– Nigdy ich nie nosiłem – odparł, ale zwolnił i podsunął jej ramię. – Ma pani dość osobliwy sposób zawierania nowych znajomości, choć przyznać muszę, że jestem zaintrygowany.

Nie odpowiedziała od razu. Najpierw wsparła się na ramieniu mężczyzny, a następnie rozejrzała się dokoła. Uradowało ją to, co zobaczyła, bo korytarzyk był pusty. Przystanęła przy jego załomie, jednocześnie lekko popchnęła Wieniawę na ścianę. Teraz miał świetny widok na dekolt jej sukni, w którym piersi poruszały się w lekko przyspieszonym rytmie. Kobieta oblizła usta koniuszkiem języka i zaczęła mówić:

– Nazywam się Bronisława Berenson. Czy muszę mówić więcej?

Nie musiała. Omal nie zadrzał, gdy usłyszał jej nazwisko, i był wdzięczny losowi, że w tym momencie wspierał się plecami o ścianę, bo nie był pewny, czy zdoła utrzymać się na nogach. Natychmiast bowiem skojarzył sobie jej nazwisko z historyjką,

którą rozpuścił między ludźmi na polecenie Dzierżyńskiego. Obu im zależało na zmańczeniu obrazu wokół tej sprawy, choć z innych powodów. Nigdy nie przypuszczałyby, że spotka kiedyś kobietę, której nazwiska kazano mu użyć jako tarczy. Niemniej samo spotkanie mogło budzić niepokój, bo rodziło wiele pytań. Czego, u diabła, chciał od niego Feliks?! Czyżby sama ta zabawa miała się nie skończyć wraz z powrotem do Polski? A to spotkanie miało być dowodem długości rąk czerwonego kata?

– Niech mnie pani posłucha – zaczął, gdy zdołał otrząsnąć się z zaskoczenia. – Nigdy nie chwaliłem się podbojami na prawo i lewo, co mogą poświadczyć ludzie, którzy mnie dobrze znają. Wiem, jaki wygląd przybiera ta sprawa przy powierzchownym zbadaniu. Taki jak moje życie. Ale jeśli przyszła tu pani z zamiarem pozyskania mojej osoby do pracy na rzecz sowieckiego wywiadu, to z góry uprzedzam o bezowocności takowych usiłowań.

Uśmiechnęła się, bo spodziewała się podobnej odpowiedzi. Od zawsze była dumna ze swego daru, jakim było rozpoznawanie ludzkich typów i charakterów. Krótka rozmowa z Długoszowskim dała jej dość materiału pogładowego, by mogła ocenić, z kim ma do czynienia. Natychmiast odgadła, że to osobistość dużego formatu, która jednak niechętnie pokazywała światu swój potencjał. Berenson zdała sobie sprawę, że jego poczynań nikt nie mógł kontrolować. Wieniawa robił tylko to, co sam uważał za słuszne, lecz gdy podejmował się jakiegoś zadania, to wykonywał je nad podziw dokładnie.

– Wcale nie z tym zamiarem tu przybyłam. Zdaję sobie sprawę, że pan pułkownik jest typem ogiera, którego raczej trzeba zastrzelić, niż próbować wziąć pod siodło. Dzierżyński przekazuje przeze mnie jedynie pozdrowienia. Kazał powiedzieć, że po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski będzie musiał pana zabić. Zapytuje też o tego wieśniaka, którego na pańską prośbę wyciągnął

z więzienia. Mówił, żebyście spokojni byli, bo pierścień, co mu dał, gdyście wino pili, ustrzeże go od krzywdy.

Wieniawa wysunął się zręcznie spomiędzy jej rąk i parsknął śmiechem, ubawiony jej porównaniem. Rzeczywiście od lat najmłodszych niczyjej powagi uznawać nad sobą nie umiał. Żył jak wiatr, dmuchając tam, gdzie mu się podobało. Robił też tylko to, co chciał, ale tak się do tego przykładął, że nawet najbardziej niechętni nie mogli mu nic zarzucić. Także pracy sztabowej oddawał się teraz z zapałem, bo kochał ten ruch i wojenną krzątanię, które zwiastowały burzę. Pozwalało mu to przy tym oderwać myśli od trosk i obaw własnych. W domu nadal nie przebywał. Pusty był, więc serca ni ciała nie przyciągał. Jedna Weronika może go tam czekała, wypatrując z niecierpliwością jego przybycia. Ale on wiedział, że nie ma tam sam po co jechać. A poprzez starego włodarza otrzymywał wieści, że kobiecie dobrze jest pod jego dachem. Sprawa Tomasza też przybierała pomyślny obrót, jednak jeszcze kilka szczegółów trzeba było dopracować, aby doprowadzić ją do pomyślnego końca.

– Dziękuję, pani Bronisławo, za dobre słowo. Proszę przekazać towarzyszewi Dzierżyńskiemu, by się o moje zdrowie mniej troskał, bo mniemam, że się nasze żelazo na ruskim karku nie złamie. Nie twardsze ono niż nasze i ja także głaskać go nie będę. Co zaś tyczy się mojego przyjaciela, to ma on całkiem niezgorsze pięści, którymi się przed każdym niebezpieczeństwem ustrzec potrafi i strachu ni obawy nie zna.

Kobieta spojrzała mu w oczy, jakby się chciała przekonać, czy na ich dnie nie zobaczy strachu. Lecz dostrzegła tylko zuchwalstwo zmieszane z jakimś ledwie uchwytnym smutkiem. Świdrowała go wzrokiem, jakby chciała myśli i duszę przeniknąć. Odpowiedział jej równie zuchwałym, choć pogodnym wejrzeniem. Zlustrował ją od góry do dołu, podziwiając zgrabną i wymodelowaną linię jej ciała. Przyglądał się jej niczym rzeźbiarz,

oceniający właśnie ukończone dzieło. Z satysfakcją dostrzegł na jej twarzy wyraz pewnego zmieszania.

– Przygląda mi się pan tak, jakby chciał mnie zjeść – zauważyła Bronisława z delikatnym przekąsem. – Feliks ostrzegwał mnie, że jest pan wyjątkowo czuły na kobiecą urodę.

Unióśł brwi w zdumieniu. Nikt, kogo znał, nie nazwał nigdy Dzierżyńskiego po imieniu. W zależności od sympatii politycznych nazywano go albo Żelaznym, albo Krwawym. Nikt nigdy nie pozwalał sobie na najmniejszą dozę poufałości wobec wszechwładnego szefa policji politycznej. Był to jednocześnie przejaw strachu i szacunku, jaki Dzierżyński umiał wzbudzać pośród wrogów i ludzi, którzy żywili do niego stosunek obojętny. Bo przyjaciół chyba nie miał. A przynajmniej Bolesław o takich nie słyszał. Tymczasem teraz Berenson pozwala sobie mówić o mieczu rewolucji niemal w familiarnym tonie. Przez głowę przeszła Wieniawie myśl, że może była jego kochanką. Ale po zastanowieniu uznał tę możliwość za niezbyt prawdopodobną. Feliks bowiem nie zrobił na nim wrażenia człowieka, który byłby w stanie nawiązywać jakiegokolwiek dłuższe relacje z kobietami. Oczywiście Bronisława mogła faktycznie być jego kochanką, bo tej możliwości nie mógł całkowicie wykluczyć, ale zapewne w łóżku miała po prostu robić swoje i nie prawić Dzierżyńskiemu do ucha czułych słówek.

– Mówi pani o nim jak o najbliższym przyjacielu lub członku rodziny. A tymczasem to człowiek, którego imię wymawia z przerażeniem cała Europa.

– Pan także widzi w nim jedynie zbrodniarza? Nie sądzę. Byłoby to znaczne uproszczenie i pan o tym wie. Gdyby Dzierżyński był jedynie szatanem, czerwonym od ludzkiej krwi upiorem, to nie ratowałby pana i pańskiego znajomego. Nie narażałby władzy i wygodnego życia, by spłacić stary dług, który zaciągnął u pańskiego ojca. Ja jestem mu jedynie wdzięczna, bo

tylko dzięki niemu i towarzyszowi Stalinowi mam nadal głowę na karku. Feliks jest, jaki jest, ale zawsze spłaca swoje długi. Tak było w przypadku mojego obecnego męża, którego bronił, gdy carskie władze wytoczyły mu proces za działalność rewolucyjną. – Uśmiechnęła się, kontynuując: – Nielatwo wyrobić sobie o nim opinię, bo w nim jest zło z dobrem pomieszanе. Wiele w nim zostało jeszcze z Polaka. Podobno chce, by Lenin uczynił go panem nad Polską.

– Nieblisko mu do tego – odparł Wieniawa. – Choć to szczerą prawdą, że to człowiek fascynujący. Sam próbowałem odgadnąć, co nim powoduje, i nie mogę powiedzieć, bym zdołał cokolwiek na tym polu osiągnąć. Za wiele w nim rozumu, bym miał wierzyć w to, co mówi. Cóż, sąd ostateczny rozstrzygnie, kto cnotliwy żywot na ziemi prowadził. A na miejscu pani męża cieszyłbym się, że tam go bronić nie będę musiał. To mi tylko dziwnym się wydaje, że on ręka w rękę ze Stalinem współpracował, bo nie kochają się oni wzajemnie i jeden drugiemu chętnie pogrzeb by wyprawili.

– Ja jestem Żydówką. – Uniosła dumnie głowę. – Moja rodzina jest spokrewniona ze Stalinem. On to załatwił mi paszport, dzięki któremu mogłam opuścić pogrążoną w odmętach szaleństwa Rosję i udać się na studia do Paryża. I nie jest prawdą, że Dzierżyński dybie na życie Stalina. Bo gdyby tak było, to ten już by nie żył. Jestem tu na innym paszporcie, więc byłabym wdzięczna, gdyby zdecydował się pan pułkownik wpłynąć na polskie władze, aby mnie nie niepokoili.

– Dobrze – odparł krótko.

Bronisława się obróciła. Sądził, że po prostu odejdzie, ale ona przypadła do niego, objęła go za szyję i ucałowała w policzek. Nim otrząsnął się z szoku, już jej nie było.

Następna – pomyślał. Ale nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo właśnie docierał do kuchni. Uprzedziły go o tym zapachy różnorodnych potraw, którymi coraz intensywniej

przesiąkało powietrze. Zaczął więc iść w ich kierunku, ponownie przyśpieszając kroku, bo sam uznał, że dość już czasu zmarnował na czczą gadaninę z kobietą, która w niczym nie popychała jego spraw do przodu. Ładna była, to prawda, ale ładnych nie brak na świecie. A zresztą mężatka. Poza tym nie miał ani chęci, ani czasu, by wikłać się w romanse. W swych rękach miał bowiem sprawy, które losów wojny i kraju się tyczyły. Nimi trzeba było się zająć w pierwszej kolejności. A jeśli Bóg zechce, to jeszcze otrzyma od losu swoją kobietę, która mu serce dla siebie wydrze i przyhołubi.

Przyjdzie na te sprawy pora, gdy kraj, dla którego chciał żyć i pracować, będzie miał zapewniony spokojny byt. Wtedy będzie czas, by myśleć o ponownym założeniu rodziny.

W miarę jak zbliżał się do kuchni, zapachy podnosiły swoją intensywność, a na korytarzu mijała go coraz większa liczba kelnerów, którzy dźwigali ciężkie tace. Omijał ich zręcznie i w końcu stanął przed dwuskrzydłowymi drzwiami, które to otwierały się, to zamykały, ruch bowiem panował bezustanny. Wyczekał jednak na odpowiednią chwilę i wsunął się do ogromnej kuchni, której podłogi i ściany wyłożone były jasnymi płytkami. Wszędzie, gdzie tylko oko mogło sięgnąć, dało się dostrzec srebrne i miedziane rondle. Kilkanaście kucharek pracowało bezustannie nad gotowaniem potraw najróżniejszego gatunku. Na przytwierdzonych nad nimi wieszakach wisiały pomoce kuchenne, których przeznaczenia w większości nie znał. Uderzyło go jednak zupełnie co innego: niesłychany rozgardiasz, tak podobny do tego, co działo się w sztabach okręgów wojskowych, gdy należało przysposobić armię do wyjścia w pole. I tu ludzie biegali w sobie tylko znanym celu. Co chwila padały głośne okrzyki ponaglenia. Zdawało się, że z tego chaosu nic konstruktywnego wyniknąć nie może, a jednak kolejne potrawy trafiały w ręce kelnerów w odpowiednim czasie.

Wieniawa patrzył na to wszystko szeroko rozwartymi, zdumionymi oczami. Do kuchni, wzorem wszystkich mężczyzn owego czasu, nigdy nie zachodził. Kuchnia to było królestwo kobiety i męska noga nigdy nie powinna tam postać, gdyż często wówczas przyczyniała się do zwad i kłopotów. Dlatego przyglądał się wszystkiemu z nieskrywaną ciekawością i ze zdumieniem orientował się, że ci ludzie tak byli pochłonięci własnymi zajęciami, że w ogóle nie zauważyli, iż między nimi pojawił się człowiek w mundurze.

Grubawy kucharz o nalanej tłuszczem twarzy właśnie odłożył manierkę na stół, otarł usta językiem i mlasnął.

– Na co tyle tego? Ja bym te zamorskie straszycła psami wyszczuł zamiast im kołduny napychać specjami. Jeszcze do kieszeni nawtykają, by dzieci podkarmić – mrucał.

Jeden z kelnerów spojrzał na niego z uśmiechem i odparł głosem, w którym pobrzmiwała wesołość:

– Dobrze. Niech nam zazdroszczą. Od tego prestiż kraju urośnie, a i nam wcale niezgorzej za robotę płacą.

Kucharz potrząsnął głową, najwidoczniej nieprzekonany tą argumentacją.

– Mów tak, mów, tylko się potem nie dziw, że i z zachodu, i ze wschodu chcą tu wleźć. Niedobrze się chwalić bogactwem. Każdy chętnie tam ciągnie, gdzie można dobrze zjeść, mocną wódką siły pokrzepić i ładną babę znaleźć.

– Ruscy mają głębokie gardła i twarde łyby, a i wódkę mocną, która na cały świat słynie, a przecież nie od dziś słyhać, że nam nad głową szablą potrząsają – odrzekł kelner, jednocześnie nakładając na tacę puchary z lodami.

Kucharz wsunął rękę pod brodę, przewrócił małymi oczkami. Namyslał się przez chwilę, po czym odparł:

– Bo Ruscy to naród dziki. Nie mają umiaru. Pół mapy jest ich i jeszcze po cudze leżą. Ja tam byłem jeszcze za caratu, to nędza

wyzierała z każdego kąta. Jedna nędza, głód i mogiła. Tak żyje chłopstwo, bo ci, co na ich grzbietach siedzą, w dostatki i fortuny poobrastali. Siada taki na konia, to chłop mu grzbietu musi nadstawiać. A teraz, jako słyhać, dola prostego narodu nie lepsza. Bo gdy wielcy się wadzą o to, kto małymi rządzić będzie, to iskry się sypią, chałupy i dobytek maluczkim palą. Ale jak powiedziałem, ich samych to w znacznej części wina, bo państwa urządzić ani ulepszyć nie potrafią. Wolą tylko wódką troski i kłopoty zalewać.

Tu kucharz opamiętał się, bo spostrzegł, że na skutek politycznej dysputy nastąpiła zwłoka w robocie, więc zaczął kelnera ponaglać. Rozmowa się urwała. Obaj zajęli się swoimi zajęciami i przyłożyli się do nich solennie. Taca została szybko i sprawnie napełniona, kelner zarzucił ją sobie na ramię i minął Wieniawę tak, jakby ten był powietrzem. Zaskoczyło go to trochę, ale ani nie rozzłościło, ani też nie usposobiło do tamtego nieprzychylnie. Lubił anonimowość i uciekał od ludzkiego towarzystwa, kiedy tylko mógł. A rzadko miewał ku temu sposobność. Sprawy, którymi się zajmował, wymagały pełnego zaangażowania, nie pozostawiając zbyt wiele czasu na wypoczynek czy przyjemności. Nie mógł nawet pomyśleć o tym, by być anonimową postacią na przyjęciach czy rautach. Znakomicie zdawał sobie sprawę, że każde słowo, każdy ruch czy gest, które wykonuje, są pilnie obserwowane przez wszystkich. Na początku było to nawet przyjemne, gdy śmietanka towarzyska ustawiała go w centrum uwagi, lecz wkrótce jej zainteresowanie stało się nadto uciążliwe. Nie mógł z tym jednak nic zrobić, gdyż pewne sprawy przybrały zbyt gwałtowny obrót i nic nie mogło już zmienić obecnego stanu rzeczy. Dlatego z prawdziwą radością korzystał z każdej chwili swobody, jaką czasem ofiarowywał mu los.

Robił wszystko, by nie zwracać na siebie jakiegokolwiek uwagi. Przyglądając się działaniom kucharza, zajął się jednocześnie doprowadzeniem swojego munduru do stanu używalności. Nie



miał z tym większych kłopotów. Jako lekarz znał przecież zastosowanie wielu substancji, których znalezienie w kuchni nie było trudne. Mieszając składniki kuchenne, które posiadały pożądane dla jego celów właściwości, pracował nad odpowiednią substancją i jednocześnie w napięciu obserwował wagę do ponczu. Wiedział, że ma niewiele czasu, ale rozumiał też, że nie wolno mu wykonać jednego nieprzemyslanego kroku, który mógłby wszystko obrócić wniwecz. Trzeba było cierpliwie poczekać na odpowiedni moment. Tylko że nie mógł też czekać bez końca. Lada chwila ktoś mógł tutaj wejść, by zabrać wagę na salę, a wówczas ostatnia nadzieja pryśnie.

Idźże stąd – pomyślał nagle, kierując swoje myśli pod adresem kucharza. Potrzebował jedynie kilku chwil, nie więcej. Ale przecież nie mógł nawet śnić o tym, by spróbować przeprowadzić swój zamiar pod nosem kucharza. Wprawdzie ten nie zwracał nań najmniejszej uwagi, ale nie miał złudzeń, że to się nie zmieni, gdy zbliży się do ponczu. Czuł, jak rośnie w nim napięcie, a wszystkie zmysły się wyostają. Co chwila rzucał okiem na zegarek i z niepokojem wpatrywał się w poruszające się rytmicznie wskazówki czasomierza. Czasem łapał je dwa razy w jednym miejscu i wówczas nakazywał sobie opanowanie. Rozumiał bowiem, że stracić nerwy to skazywać siebie samego na śmierć. Tu zresztą nie chodziło o jego życie. Stawka była zdecydowanie wyższa, gdyż w pewnym sensie od jego powodzenia zależał los tych wszystkich żołnierzy, którzy już niedługo wyruszą na wschód, by rozpocząć operację wileńską.

Tymczasem kucharz zareagował wreszcie na jego niewypowiedziane myśli. Albo, mówiąc ściślej, los postanowił wreszcie się do niego uśmiechnąć i przeprosić, że na tak długo zapomniał o swoim dotychczasowym ulubieńcu. Mianowicie kucharz zaklął szpetnie, bo czegoś mu zabrakło. Z żalem odstawił manierkę na ogromny stół. Wcześniej sięgał do niej co chwila, by

przyśpieszyć obieg krwi i rozbudzić leniwe myśli. Mamrocząc kłątwy pod nosem, skierował swe kroki na zaplecze kuchenne. Brzuch kołysał się przed nim, co czyniło jego chód podobnym do kaczego. Po chwili zniknął za niewielkimi drzwiami. Na to tylko czekał Bolesław, który przez chwilę nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Postanowił natychmiast skorzystać z nadarzającej się sposobności. Kocim krokiem zbliżył się do wazy z ponczem. Przez chwilę bał się, że kucharz niewiele mu w manierce zostawił, bo zdołał zauważyć, że miał on całkiem niezłe moce przerobowe. Jednak manierka okazała się pękata i zawierała wystarczającą ilość czystego spirytusu.

Przez chwilę poczuł przemożną chęć napicia się, ale zdołał nad nią zapanować i wlał prawie wszystko do wazy. Następnie zamieszał w niej srebrną łyżką, by poncz i alkohol stworzyły ze sobą jednolitą całość. Na zdrowie, drogie panie – pomyślał – wybaczcie, ale nie można było inaczej. Nagle usłyszał zbliżające się szybko kroki. Nie było czasu do stracenia. Błyskawicą wsunął się pod wielki ogromny stół i ułożył pod nim płasko. Niemal czuł, jak przyśpiesza rytm jego serca, a krew huczy w skroniach. W pełni zdawał sobie sprawę, jak wielkie niebezpieczeństwo nad nim zawisło. Wiedział, że jeśli go tu znajdą, wybuchnie spory skandal. Wprawdzie nie sądził, by ktokolwiek dostrzegł w tym coś więcej niż próbę spleatania studenckiego figla, ale burza, która by wówczas wybuchła, z pewnością i tak doprowadziłaby do tego, że uwaga prasy i społeczeństwa znów skupiłaby się na nim. Przecież wciąż jeszcze w wielu głowach tliły się echa jego spraw rodzinnych. Dość będzie ludziom je z powrotem rozdmuchać, by sobie o nim przypomnieli. Teraz mało o to dbał, bo nie miał już nic, co mógłby stracić na skutek ludzkiej gadaniny. Ale jakiś nadgorliwy a szczwany pismak mógł przecież dojść do tego, czym się ostatnio zajmował. Dlatego teraz skóra cierpła mu na grzbiecie z obawy przed wykryciem. Czuł się trochę jak dziecko, które

z braku lepszego pomysłu skryło się pod łóżkiem i teraz liczy na cud i zmiłowanie Boże. On miał jednak pewną przewagę. Nikt nie wiedział, że trzeba go szukać.

Drzwi uchylły się niemal bezszelestnie. Po chwili miał znakomity widok na schowane w czarne spodnie nogi kelnera. Wstrzymał oddech w piersi, zeszywniał. Nagle poczuł ból, którego źródła przez dłuższą chwilę nie potrafił zlokalizować. Dopiero po chwili zorientował się, że odruchowo wbił palce w podłogę i przy okazji odłupał kawałek drzazgi, która weszła głęboko pod paznokcie. Zacisnął usta i zmrużył oczy, by stłumić impuls bólowy, który mknął do mózgu z prędkością światła. Nie mógł pozwolić sobie na najmniejsze nawet jęknięcie. Każdy, nawet najsłabszy dźwięk mógł przyczynić się do jego wykrycia. Brzemenna chwila trwała jednak tylko kilka sekund, bo kelnerzy zabrali ze stołu wazy i wyszli.

Zdążyłem dosłownie na ostatni kieliszek – przemknęło mu przez myśl powiedzenie, które niegdyś słyszał od znajomego.

Postanowił jednak niepotrzebnie nie kusić losu. Sprawnie wytoczył się spod stołu, wyprostował i otrzepał kurz, który osiadł mu na spodniach. Przyglądał się im przez dłuższą chwilę, niczym pokojówka oceniająca rezultaty swojej pracy i szukająca mankamentów, które mogłyby jeszcze poprawić. Ktoś niedoświadczony mógłby uznać takie zachowanie za niepotrzebną nadgorliwość. Ale on świetnie znał życie i wiedział, że wielkie zamierzenia często chybiamy celu przez małe niedociągnięcia, które popełniono na etapie ich planowania. Nie miał zamiaru dać ludziom najmniejszego powodu do zadawania pytań. Nigdy nie lubił stosować tanich wykrętów. Co prawda życie, jakie prowadził, i kręgi, pośród których się obracał, uczyniły z kłamstwa nieodłączny element jego egzystencji. Większość z jego przyjaciół lub znajomych przestała nawet uważać kłamstwo za coś naganego. On jednak jak dotąd nie doszedł do tego poziomu

obludy. Wciąż jeszcze nie zapomniał, jak odróżniać dobro od zła. Dlatego zwykł dbać o każdy szczegół, by nie musieć sięgać po środki, które tak gorliwie podsuwa ludziom szatan.

Poprawił więc wszystko i tym razem. Wysupłał nawet drzazgę spod paznokcia, klnąc durnia, który umieścił pod stołem drewno zamiast – jak w całej kuchni – wyłożyć i ten fragment płytkami. Uporawszy się z tym, wrócił do sali, gdzie odbywało się przyjęcie, i natychmiast, ze swobodą człowieka światowego, zbliżył się do gości. Luźno prowadził niezobowiązujące rozmowy ze wszystkimi, sypiąc jak z rękawa anegdotami i dowcipami. Nie musiał się przy tym wysilać, bo od zawsze był duszą towarzystwa. Rozmawiając, szukał jednocześnie oczami komendanta, który już powinien był skończyć rozmowę z Żeromskim. Dojrzał go wreszcie, ale dostęp do niego był trudny, bo wokół niego kręciło się zbyt wiele osób. Zresztą wiedział, że będą mieli jeszcze dość czasu na to, by wszystko sobie powiedzieć.

Zrezygnował więc z podejścia w kierunku naczelnika. Zamiast tego podszedł do Beliny, który stał przy jednym ze stolików i z pietyzmem nakładał sobie sałatkę na talerz. Znał Belinę Prażmowskiego od lat. Razem tworzyli zręby legionowej kawalerii, zaczynając od siedmiu koni. Uwijali się jak w ukropie, rozbudowując tę formację. Trzeba było ściągać konie, umundurowanie i broń. Ludzi tylko nie brakowało, bo wielu stanęło w gotowości na pierwszy dźwięk szczęku oręża, jaki rozległ się po kraju. Trzeba było jednak przygotować dla nich wszystko, co jest niezbędne wojakowi na wojnie. I Belina radził sobie z tym znakomicie. Lepszego i doskonalszego organizatora trudno byłoby znaleźć w całych legionach. A przy tym był to dowódca odważny i mężny, który świecił przykładem, gdy szło o wykazywanie się tymi cnotami. Potrafił dbać o każdego powierzonego sobie człowieka i konia, a jednocześnie trzymać ludzi w ryzach.

Komuś wszak, kto zetknąłby się z nim po raz pierwszy, mogłoby się wydawać, że miałby on z posłuchem trudności. Prażmowski bowiem nie był typem człowieka, który może imponować ludziom samym wyglądem, co pozwala mu łatwiej wymuszać posłuszeństwo dla swoich poczynań. Był człowiekiem o raczej drobnej posturze, która nie wzbudzała zachwytu. Ten szczupły w pasie szatyn o ciemnym wąsie zdawał się być ustawicznie pogrążony w myślach. Twarz miał wąską, trójkątną, o smagłej, spalonej wiatrem i słońcem cerze. Chodził zawsze w polowym mundurze, gdyż ten właśnie strój uważał za najbardziej odpowiedni dla kawalerzysty. Cichy i spokojny w warunkach domowych, na polu walki umiał łączyć zuchwałość z rozwagą, odwagę z ostrożnością. W ciągu roku jego pierwsza brygada kawalerii stała się postrachem ukraińskich i sowieckich jednostek, a samego Prażmowskiego zaczęła opromieniać sława wielkiego organizatora i dowódcy. Lecz on sam stronił od ludzi. Kiedy nie walczył, to najmilej spędzał czas w gronie rodzinnym.

Widząc Wieniawę, zasalutował mu, po czym obaj uściśnieli sobie dłonie. Potem Belina wrócił do gmerania widelczykiem w sałatce. Bolesław nie chciał mu przeszkadzać, widząc, że zajada z apetytem, więc od niechcienia zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

Przez dłuższą chwilę jego wzrok ślizgał się obojętnie po znanych mu dobrze twarzach, gdyż nie wzbudzały w nim najmniejszych emocji. Nagle jednak ujrzał Bernarda i wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił. Rozpoznał go od jednego rzutu okiem i się uśmiechnął. Wydało mu się, że wszystkie pionki są na swoim miejscu, gotowe, by zagrać role, jakie im przeznaczył. Wcześniej trawił go niepokój, czy Bernard w ogóle zdecyduje się przyjść. Nie znał go na tyle dobrze, by móc przewidzieć, jak zareaguje w danym momencie. Aleksandry wolał nie pytać o nic

przy Beacie i jej córce. To bowiem niejako automatycznie wklełoby je w sprawy, o których nic wiedzieć nie powinny.

Przyglądał się młodemu Walewiczowi z pewnego rodzaju zdumieniem, gdyż z trudem rozpoznawał w nim hultaja, którego dopiero jego szabla musiała uczyć manier. Teraz widział młodzieńca we fraku, który prezentował się znakomicie pomiędzy wytwornymi gośćmi. I doprawdy trudno było pojąć, czy jego właściwym środowiskiem jest miejska karczma, czy elity. Nawet on sam miał w tej chwili problem z oceną Bernarda, gdyż potrafił rozpoznać charakterystyczną swobodę w ruchach i gestach niepasującą do szukającego zwady morfinisty, którego znał z własnego doświadczenia i z opowiadań innych. Od pewnego bowiem czasu dyskretnie wypytywał o młodego Walewicza. Informacje, które uzyskiwał z różnych źródeł, składały się na niezbyt pochlebny obraz tego młodego człowieka. Miał to być bowiem utracjusz, który prowadził rozpustny żywot na koszt zasobnego ojca. I to może by mu jeszcze darowano, bo nie była to wcale rzadka przywara między złotą młodzieżą i często patrzono na nią przez palce, czekając, aż młodzi, wyszumiawszy się nareszcie, sami pozwolą się wdrożyć w dorosłe życie. Bernard jednak na dodatek zbyt często dawał im do zrozumienia, jak bardzo nimi gardzi. Robił to otwarcie, wytykając elitom obłudę i fałszywą moralność. To spowodowało, że objęto go starannie przestrzeżanym ostracyzmem. Nikt bowiem nie mógł przetrwać złośliwej szczerości i tupetu Władysławowego syna.

Tymczasem Belina uporał się wreszcie ze swoją sałatką i rzekł do Wieniawy-Długoszowskiego:

– Lata całe cię nie widziałem i czekałem na nasze spotkanie z nadzieją, że ujrzę, iż i ciebie czas się ima. Tymczasem widzę, że w niczym nie przypominasz oficera sztabowego. A jednak sporo czasu upłynęło, jak razem kradliśmy te siedem koni, które

stanowiły zaczątek polskiej kawalerii. Bijaliśmy nią Rosjan tak, że mało bućków nie pogubili.

– Robisz to specjalnie – odciął się Wieniawa niby to dotknięty, ale oczy mu się śmiały, bo lubił wracać pamięcią do tamtych lat, w których jego energia w polu znajdowała zastosowanie. – Przypominasz mi, że ja po niewoli za sztabowymi biurkami siedzę, podczas gdy ty używasz sobie na Ukraińcach i Moskalach. Tłoczno się w Europie zrobiło od nowych państw, wadzących się o ziemię po starych imperiach, które zeszyły już ze sceny dziejów, dlatego nie wolno ani ręki, ani głowy opuścić.

– Co głową zrobić trzeba, to na ciebie zdam, bo moja rzecz szabla, nie głowa – odparł Prażmowski. – Waszym więc głowom zalecam, by mojej jednostce niczego nie brakowało. Na dziś moim ludziom brakuje butów, mundurów i jadła. Wiesz, co za dowcipy opowiadają sobie po pododdziałach?

Wieniawa zaprzeczył ruchem głowy.

– Co to jest? Nie je, nie pije, a chodzi i bije? Żołnierz polski.

Wieniawa słuchał dalszych wynurzeń przyjaciela z troską, choć bez zdziwienia. Nie były to bowiem dla niego obce sprawy. Dokładnie te same skargi słyszał od innych dowódców liniowych. Pewien niepokój mógł budzić fakt, że podobne narzekania trafiały na podatny grunt także w jednostkach elitarnych. Tym bardziej że brakom nie można było szybko zaradzić. Stosowano wprowadzić różne sztuczki, które sam często wymyślał i w życie wprowadzał. Owe zagłobowe fortele nie mogły jednak zaradzić wszystkiemu.

– Wiem przecież. Znam stan twojej jednostki nie gorzej niż ty. Próbujemy wydostać trochę materiału na mundury z demobilu amerykańskiego. Ale oni wiedzą, że stoimy pod ścianą, i liczą jak tonącemu za brzytwę. Z bronią jest to samo. Mamy olbrzymie wydatki, bo Francuzi i Amerykanie każą sobie za wszystko w twardej walucie płacić. A w kraju narzekania się podnoszą, że dbamy tylko o wojsko, a nie o podnoszenie jakości państwa

i standardu życia ludności. Dlatego jest tu Żeromski, któremu nie w smak to, że porzucamy sprawy zachodnie i nie rozkładamy budżetowych wydatków tak, jak on by sobie tego życzył. Nie każdy może być idealistą i obrońcą pokrzywdzonych. Jeśli armii nie będzie, to i Polski nie będzie, bo ją obcy rozdrapią.

– Silna armia nie może podlegać dyskusji. Nie zasłonią granic papiery i przyrzeczenia. Poza tym tylko mieczem można je wyrąbać. Dużo byśmy zyskali na walkach w Galicji, gdyby nie szabla – rzucił z przekąsem. – Moi ludzie nie będą się buntować, tylko im markotno. Od paru lat ciągle w ogniu i w dymie, bez chwili wytchnienia. Nawet z żołdem im zalegają, a pracy im nie ubywa. Nic, tylko się bijemy. Ja syna nie widziałem od czterech lat.

Wieniawa dostrzegł cień smutku, który przemknął przez twarz przyjaciela. Dlatego chcąc zwrócić bieg jego myśli w inną stronę, rzekł:

– Mały on jeszcze jest. Na bujanego konika w sam raz. Będziesz miał jeszcze czas, by go do kawalerii przysposobić i o rodzeństwie dla niego pomyśleć. Niedługo nie będziesz musiał mi salutować, bo czeka cię awans, który dawno ci się należy.

Belina spojrzał Bolesławowi w oczy. Znał go dobrze i wiedział, że zawsze był dobrze poinformowany. Wiedział więcej niż inni, choć niechętnie się z tego spowiadał. Czyżby i teraz znał jakąś tajemnicę? – pomyślał. Może wie, po co nas tu wezwano? To wezwanie było dla niego zaskakujące. Było dziwne i sprzeczne z dotychczasową praktyką. Zwykle terminy narad były znane na kilka dni wcześniej, by wezwani na nie dowódcy mieli czas na przekazanie dowodzenia. Nigdy, przenigdy nie wzywano dowódców wysokiego szczebla po to, by uświetnili swoją obecnością niepotrzebne nikomu bale.

– Powiesz mi, co my tu naprawdę robimy? – zaczął, pochylając się lekko do ucha Wieniawy. – Dlaczego ściągnięto tu wszystkich dowódców wielkich jednostek, które operują na wschodzie? Chyba



wiesz, czym ryzykujemy? Jeśli bolszewicy zdecydują się na przeprowadzenie operacji wojskowej o szerszym niż dotychczas rozmachu, to pozbawione dowódców wojsko może nie zdołać ich zatrzymać. W dodatku nie jesteśmy w stanie obsadzić linii frontu, bo dysponujemy na tamtym kierunku działań zbyt szczupłymi siłami. Jeśli bolszewicy znajdą lukę w naszym ugrupowaniu, to praktycznie nie niepokojeni wedrą się w głąb kraju.

Wieniawa zawahał się na ułamek sekundy. Zastanawiał się, czy wolno mu zdradzić ściśle dotychczas strzeżoną tajemnicę wojskową. Nigdy nie miał przed Prażmowskim tajemnic. Był kiedyś jego dowódcą. Człowiekiem, który wpajał mu podstawy wojennego rzemiosła. Przecież za kilka chwil i tak wszyscy będą o tym wiedzieć – pomyślał. Nie było więc sensu dłużej robić z tego tajemnicy.

– Ten raut to fortel tylko, który ma służyć upozorowaniu konieczności ściągnięcia was tutaj – stwierdził. – A i ja prośbę mam do ciebie.

Belina utkwiał w nim pytające spojrzenie.

– Posłuchaj – zaczął cokolwiek niepewnie – jeśli chodzi ci o pieniądze, to... z serca bym dał, ale nie mogę.

Wieniawa wrzucił ramionami.

– Daj spokój. Nie przyszedłbym do ciebie z prośbą o wsparcie. Te czasy minęły. Masz teraz rodzinę i dla niej powinienes gromadzić każdy grosz. – To mówiąc, uśmiechnął się i poklepał przyjaźnie Prażmowskiego po ramieniu.

Teraz Belina spojrzał na Wieniawę z błyskiem prawdziwego zaciekawienia w oczach. Wiedział przecież, że ten człowiek ciągle wpada w tarapaty. Bodaj niemal setki razy widział, jak dzięki szczęściu i własnej zimnej krwi wychodził obronną ręką z największych opresji? Nieponaglany przez nikogo podejmował się zawsze najbardziej ryzykownych zadań. Dlatego dziwiło go, że w końcu nagiął się do woli naczelnika i zdecydował się na pracę

sztabową. Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Bolesława tkwiącego całe dni za biurkiem. Instynkt szeptał mu, że za nowym przydziałem przyjaciela musi kryć się coś więcej. Czyżby teraz właśnie miał uzyskać dostęp do tej tajemnicy, której istnienie podpowiadał mu instynkt?

– Twoja wola mówić lub nie mówić. Ale jak nie chodzi o pieniądze, to o co?

– Nie potrzebujesz czasem nowych ludzi w jednostce? Przeglądałem raporty o stratach i zauważyłem, że są spore.

Przez twarz Beliny przemknął cień zniechęcenia. Więc tylko o to chodziło. Zapewne kolejny syn bogatego rodzica chciał uzyskać stopień oficerski w słynnej jednostce, który później przyda mu się w karierze. Nie trawił tego typu praktyk. Tacy ludzie byli bowiem marnym materiałem na żołnierzy. Nie nawykli do dyscypliny i niewygód stanowili często duży kłopot dla zwierzchników. Poza tym nie wahali się otwarcie powoływać na wpływy i koneksje, co źle wpływało na dyscyplinę. W kancelariach sztabowych i w intendenturach aż roiło się od tego typu karierowiczów, dla których służba wojskowa stanowiła jedynie konieczny stopień, który należało pokonać, by ich kariera mogła rozwijać się prawidłowo. W jego jednostce nie było dla takich ludzi miejsca. W czasie walki musiał być pewien każdego człowieka. A z drugiej strony Wieniawa powinien to wiedzieć i znać go na tyle, ażeby pojąć, że nie pozwoli nikomu na łamanie posłuszeństwa. I ten ptys będzie miał u niego tak samo źle jak wszyscy.

– Posłuchaj, jeśli chcesz, żebym przyjął do siebie kolejne potomstwo jakiegoś nobila, to się nie zgadzam. Tacy jak oni bez służby nie zwykli się obchodzić ani bez kapelusza przeciw słońcu wychodzić. Do dyscypliny nie nawykli, a u mnie służba ciężka. Na żadną łaskę liczyć też nie może, bo jaki przykład innym by to dało. U mnie awanse i ordery zdobywa się tylko na polu bitwy. Nikt nie

wspina się do kariery przez protekcję. A jeden taki ptyś może całą jednostkę rozsadzić. Powinieneś to wiedzieć – rzucił, nie tając wyrzutu.

– Mylisz go z kimś. Ręczę ci moim słowem, że z moim znajomym nie będziesz miał tego typu problemów. To żołnierz z krwi i kości, dla którego ciężka służba nie jest żadnym novum. Będziesz miał z niego prawdziwą pociechę. Tylko nie pytaj go o nic. Wszystko, co trzeba, opiszę ci w liście, który przez jego ręce otrzymasz.

Belina zrozumiał, że Wieniawa przed czymś go osłania. Nie chciał, by wiedział za dużo, bo drogo mógłby za tę wiedzę zapłacić. Poza tym od dawien dawna nie miał w zwyczaju mieszać się w prywatne sprawy swoich żołnierzy. Nic mu do nich, byle każdy z nich robił, co do niego należy, i służbę dobrze pełnił. Nie będzie dochodził, kim był człowiek polecany mu przez pułkownika. Natomiast dodatkowy żołnierz zawsze się przyda, bo jeśli istotnie raut był tylko pozorem, to wkrótce w pole ruszyć przyjdzie. A słowo Wieniawy wystarczało mu, by uwierzyć, że człowiek, którego mu poleca, podoła wyzwaniom trudnej służby.

– Wezmę go, skoro za niego własnym słowem ręczysz, choć i to wiem, że schować go chcesz jak koński nawóz w trawie. Ciekaw tylko jestem, co dalej z wojną będzie, bo tak myślę, że za niedługo i tu coś się przesilić będzie musiało. Takie kopanie po kostkach długo trwać nie może.

– Nie może – potaknął Wieniawa. – A szable masz naostrzone, konie posiadane? Jeśli tak, to się niczym nie przejmuj, bo na pewno o tobie nie zapomną. Pamiętasz, coś nam, żołnierzom, mówił, gdyśmy to do Sienkiewiczów w gościnę jechali? Powiedziałeś, że jedziemy tam, gdzie nas koński łeb zaprowadzi. – Roześmiał się i uniósł oczy. Chciał jeszcze coś dodać, ale właśnie podszedł do nich jeden z dowódców liniowych i dyskretnie zaprosił Belinę na naradę.

Wieniawa, zajęty rozmową z dawno niewidzianym przyjacielem, nie zwracał uwagi na pozostałych uczestników rautu. Dopiero teraz spokojny, że się wszystko udało, mógł ponownie skupić się na nich. Dostrzegł, że raut znacznie się był rozkręcił. Ludzie stali się nieco żywsi, a rozmowy trochę głośniejsze. Kelnerzy szybciej krążyli między gośćmi, usłużnie podsuwając trunki. One też szły do głów, rozpraszając smętny ład i szyk. Znajomi szli do znajomków, rozpoczynając szereg dysput na różne tematy. Nikt nawet nie zwrócił uwagi na to, że naczelnik i dowódca wyszli z sali. Wieniawa wytropił oczyma Aleksandrę i do niej skierował swe kroki. Chciał przedstawić jej swój plan, który ułożył dla ocalenia Tomasza.

Zastał ją bardzo zmęczoną, bo ciągle się czymś zajmowała, witając i zabawiając licznych a znaczących gości. Liczyła na to, że gdy Piłsudski wróci z tajnej narady i przykre obowiązki weźmie na siebie, będzie mogła usunąć się w cień i nieco po trudach odetchnąć. Siedziała więc przy stoliczku do kart i wachlowała się, kierując na twarz strumienie zimnego powietrza. Przysiadł naprzeciw niej i wzięwszy karty, zaczął je tasować.

– Udało się. Luis zajęty podpitą córką nie zauważył, co się dzieje – szepnęła. – A Tomasza wyciągnę za kilka dni. Moi ludzie odbiorą go z transportu, który będzie ruszał z Lublina ku Warszawie. Wszystko już przygotowane, by rzecz całą przeprowadzić.

Aleksandra zadrżała, ale błyskawicznie opanowała drżenie. Rzuciła tylko okiem z obawą, czy ktoś czegoś nie dostrzegł. Jednak spostrzegła tylko Bernarda, który z wolna przedzierał się właśnie w jej stronę. Najwidoczniej chce podziękować za zaproszenie, którego zapewne się nie spodziewał – pomyślała. Była nawet zadowolona, że zatrzymał się przy kelnerze, bo nie miała zbytniej ochoty do tego, by przyjmować jego szczere podziękowania. Czuła się z tym bardzo niezręcznie, gdyż zrobiła to tylko po to, aby

wciągnąć go w pułapkę, której natury nie znała. Przez chwilę wydało jej się, że Bernard wpatruje się w nich nieco zbyt intensywnie. Ale zignorowała to wrażenie, zrzucając je na karb zmęczenia, i postanowiła o niczym nie mówić Wieniawie.

– A z dziewczyną co zrobisz? – dopytywała się szczerze zainteresowana. – Nawet jeśli zaplanowana przez ciebie ucieczka Tomasza przybierze pomyślny obrót, to wciąż ukrywać się będzie musiał, a to łatwiej samemu robić niż z dziewczyną. A że ścigać go będą, to jest rzecz pewna, bo przecież za morderstwo siedzi.

– Zostawię ją u siebie, a dla Tomasza mam dobrą kryjówkę. Będzie się opierała, bo to wicher jest i ogień, ale nie pozwolę. Sam, jak wiesz, na front pewnie pójdę i wołałbym mieć pewność, że jest zupełnie bezpieczna i nie włóczy się po świecie.

– Ty masz problem z jedną, a ja z drugą – mruknęła Aleksandra i widząc jego pytające spojrzenie, dorzuciła: – Jerzy z Beatą znów się pokłócili. Co za ludzie?! Jak są od siebie z daleka, to się mają ku sobie, a jak są blisko, to się na siebie boczą. Prawda, że Jerzy smutne przyniósł wieści, bo ten młodzik, którego protegował, głowę położył. Ale nie jego to wina, że Eliza to usłyszała i omdlała... Beata by go chyba udusiła, gdyby nie strach o córkę, który zmusił ją do opanowania.

Wieniawa słuchał jednym uchem, bo wzrok miał skupiony na Bernardzie, który właśnie ruszył i po kilku chwilach stał już przed nim. Niemal wszystkie oczy skupiły się na tej dwójce, bo dla nikogo nie było tajemnicą, do jakiego zatargu między nimi doszło. Wielu więc było ciekawych, co się stanie. Dlatego ucichły wszystkie hałasy i na sali zaległa przytłaczająca cisza. Nawet sam Piłsudski, który właśnie wrócił z narady, przystanął zaciekawiony. Bernard przestępował z nogi na nogę, a na jego twarzy grały sprzeczne emocje. To rumienił się, to bladł i widać było po nim, że toczy ciężką wewnętrzną walkę. Wreszcie jednak uniósł oczy, które uprzednio miał opuszczone, i rzekł:

– Przyszedłem prosić pana pułkownika o wybaczenie i o darowanie win, do których się przyznaję. Zrozumiałem swój nietakt. Wiem, że ludzie nie mają o mnie zbyt dobrego zdania i zapewne pracą całego życia będę musiał odzyskiwać szacunek i zaufanie. Ale nic to. Do poprawy każdemu otwarta droga i każdy kiedy chce, może na nią wstąpić. A ja mam mądrych przewodników, którzy nauczą mnie, jak na niej stopy stawiać należy, by nóg na przeszkodach nie połamać. – Uśmiechnął się do ojca, który z daleka dodawał mu otuchy. – Lecz nowe życie należy rozpoczynać bez ciężaru grzechów poprzedniego na plecach. Dlatego proszę wszystkich na tej sali, by zechcieli mi wybaczyć wszystko to, co przeciw nim uczyniłem: ręką, głową lub językiem. Proszę was, dajcie mi kredyt zaufania, który w częściach będę spłacał. Kiedy patrzę na urodę naszej ziemi, to rozumiem, w jak niewielkim stopniu wywdzięczałem się jej za to, co mi dać raczyła. Ale od dziś to się zmieni. Jeśli tylko zechcecie mnie przyjąć w poczet tych, którzy dla niej pracują.

Skończył, zawiesił głos i wyciągnął rękę do Wieniawy.

Pułkownik na zewnątrz pokazywał opanowanie, choć w jego duszy panował chłód. Uwierzył Bernardowi. Nikt nie umiałby tak kłamać. Chłopak mówił sercem i duszą, a w jego słowach wyczuwał autentyzm i emocje, których nikt nie potrafił udawać. Najwidoczniej coś sprawiło, że chłopak postanowił pójść nową drogą – pomyślał. Ale to niczego nie zmienia. Ja niczego nie mogę już zmienić, niczemu zapobiec. Machina poszła w ruch. Szef już pewnie podrzucił odpowiednio spreparowane materiały, które mają skompromitować chłopca i złamać mu karierę. Nic nie mogę... Muszę poddać się biegowi wypadków, bo przecież nie mogę nikomu niczego wyjaśnić. Naraziłbym zbyt wiele osób, które zdecydowały się mi zaufać: Weronikę, Aleksandrę, Tomasza i nawet tego strażnika. Sam wypiję to piwo i sam z obrzydzeniem patrzeć będę w lustro – postanowił w myślach.

Uściskał wyciągniętą prawicę Bernarda. Goście zareagowali oklaskami. Potem każdy z nich podchodził do syna ministra ze swoim kieliszkiem i gratulował mu ponownych narodzin. Gratulacje owe były tym cenniejsze, że składali je ludzie, którzy jeszcze chwilę temu żywili do niego silną urazę. Zdawać by się mogło, że istotnie wszystkie grzechy zostały mu zapomniane, a on sam będzie mógł zaczynać nowe życie z czystym kontem. Gdy z kolei Piłsudski z Aleksandrą złożyli mu gratulacje, życząc siły i wytrwałości w pracy dla kraju, młodzian odpowiedział:

– Chętnie podjąłbym się tej pracy od zaraz. Przyszedł mi nawet do głowy pewien pomysł, który pozwoliłby wzmocnić i zwiększyć stan liczebny naszej armii, co w tak niebezpiecznym czasie może mieć niebagatelne znaczenie przy prowadzeniu układów lub wojen. Układy będą możliwe tylko wtedy, jeśli stanie za nami wielka armia. Nie chciałbym, by moja pierwsza prośba odrzucona została.

– Jeśli tylko nie wygeneruje dodatkowych kosztów dla skarbu państwa, to myślę, że nie będziemy stawiali przeszkód – odpowiedział wyraźnie zaciekawiony Piłsudski.

Tu przerwał, podeszło bowiem do niego kilku ojców z córkami wspartymi na ich ramionach. Wśród nich był i generał Luis. Jeden z nich szepnął coś Piłsudskiemu, rumieniąc się przy tym porządnie. Komendant uśmiechnął się pod wąsem i skinął głową, dając znać, że na coś się zgadza. Po chwili owa osobliwa grupa opuściła salę, a pilnująca wszystkiego Aleksandra zadbała, by wazy z ponczem zostały zamienione. Dostrzegł to jednak tylko Wieniawa, któremu przez chwilę ciepło się zrobiło, by rzecz się nie wydała. Lecz w powszechnym zamieszaniu nikomu nie przyszło do głowy zwracać najmniejszej uwagi na pracę kelnerów. Ba, ledwie dostrzeżono dziwne wyjście części gości, cała bowiem uwaga pozostałych ponownie skupiła się na Bernardzie.

- Chciałbym, aby utworzono kompanie karne, które wzmocniłyby potencjał naszego wojska, a jednocześnie w sposób widoczny zmniejszyły koszty, które ponosimy na utrzymanie więzień.

Wieniawie wydało się, że szczeniak uśmiecha się drwiąco w jego stronę, i zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Nie doceniłem cię, ale i ty mnie także – pomyślał. Lecz słuchał, nie przerywając w niczym, bo zdawał sobie sprawę, że już przegrał. Tymczasem Bernard kontynuował.

- Jak powiedziałem, każdemu do poprawy otwarta droga. Ale im grzech cięższy, tym pokuta powinna być dłuższa. Skazani za najcięższe przestępstwa lub ci, którzy czekają dopiero na rozpatrzenie swej sprawy, niechaj oszczędzą nam kosztów. Niechaj Bóg zdecyduje o ich losie. Albo zdołają zrehabilitować się roczną służbą na najcięższych odcinkach frontu i oczyszczeni z grzechów wrócą na łono społeczeństwa, albo zginą, odkupując grzechy krwią własną. Wszystko powinno zostać wprowadzone w życie za pomocą dekretu naczelnika, aby nie tracić czasu na czczą gadaninę.

Wieniawa ze spuszczoną głową wsłuchiwał się w burzę oklasków, jaka przywitała koniec tej wypowiedzi. Nie mógł nic zrobić, by uratować Tomasza przed kompanią karną. Dekret naczelnika państwa wchodził w życie z mocą prawa z chwilą podpisania go, co miało skracać czas podejmowania decyzji i umożliwiać szybką reakcję na nagłe okoliczności. Ten projekt zostanie podpisany natychmiast. Nie miał złudzeń. Nikt nie lubi mętów społecznych i wszystkim sprawiedliwe wyda się to, że krwią zapłacą za krew. A nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że za tym wszystkim stoją on i Bernard, ponieważ prowadzą prywatną wojenkę. Teraz pora na mój ruch – pomyślał.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do sali wszedł jeden z oficerów, członków adiutantury Piłsudskiego. Wieniawa nie



spuszczał z niego oka, bo dokładnie wiedział, z czym przybył. Toteż w odróżnieniu od wszystkich nie usiłował dosłyszeć, co szepce oficer, tylko skupiał się na twarzy komendanta. Znał go bowiem na tyle długo, że potrafił rozpoznać miotające nim uczucia po niedostrzegalnych dla postronnych ruchach mięśni twarzy. Tym razem także doświadczenie go nie zawiodło. Na twarzy komendanta odbił się najpierw szok, potem niedowierzanie, a na końcu gniew. Dostrzegł, jak naczelnik silnie mruga powiekami, jakby chciał utrzymać w ryzach schowane pod nimi gromy i błyskawice. Zapanowanie nad sobą zajęło mu kilka chwil i gdy się odezwał, nikt nie wyczułby w nim nawet śladu emocji, które miały nim jeszcze przed chwilą.

– Wieniawa, Władysław i Bernard Walewiczowie – za mną.

Wszyscy trzej wyszli. Przez długą chwilę szli korytarzami, aż w końcu znaleźli jakieś puste pomieszczenie. Tam komendant przystanął opodal okna i zdawał się na coś czekać. Po chwili wszystko się wyjaśniło. Za drzwiami rozległy się kroki. Najpierw przytłumione, potem mocniejsze, a na koniec do pomieszczenia weszli dwaj żołnierze z ochrony Belwederu. Piłsudski przez chwilę mierzył ich wzrokiem, po czym rzekł z mocą:

– Przypominam wam, panowie, że obowiązuje was przysięga milczenia.

To rzekłszy, obrócił się do nich plecami i przez chwilę wpatrywał się w wychodzące na ulicę okno, jakby zbierał myśli lub ubierał je w słowa.

– Panie ministrze – zwrócił się do Władysława – informuję was urzędowo, że dzisiejszej nocy doszło do napadu na wasze mieszkanie.

Na niemal wszystkich twarzach odmalował się cień zaskoczenia. Jedynie Wieniawa obrócił się nieznacznie, tak by jego twarz znajdowała się poza zasięgiem wzroku innych. Tak było bezpieczniej, gdyż panowanie nad mimowolnymi ruchami facjaty

jest o wiele trudniejsze niż narzucenie sobie pozorów zewnętrznego opanowania, które mogłyby zwieść innych.

– Czy stwierdzono jakiegokolwiek naruszenie sejfu ze ściśle tajnymi dokumentami i korespondencją? – zapytał Władysław z żywym przejęciem.

Piłsudski spojrział nań przyjaźnie, ale z odcieniem smutku w oczach. Ujęło go bowiem za serce, że człowiek, którego dom stał się celem napaści, pierwsze swoje myśli kieruje nie ku własnemu majątkowi, który mógł doznać przecież znacznego uszczerbku, a ku dobru państwa. I takiemu to człowiekowi musiał złamać serce. Jak bardzo chciał oszczędzić tej boleści staremu, wypróbowanemu w dziesiątkach sytuacji przyjacielowi. Ale wiedział, że nie może. Nie wolno mu folgować ani własnej, ani cudzej słabości. Władysław pobleźał synowi we wszystkim i oto, co z tego wyszło.

– Pobieżne oględziny nie stwierdziły niczego, co mogłoby na to wskazywać. Ale musimy mieć pewność, dlatego na miejsce jedzie już specjalna ekipa dochodzeniowo-śledcza.

– Chciałbym tam pojechać i naocznie przekonać się, co się tam zdarzyło – poprosił minister. To rzekłszy, wstał i ruszył ku drzwiom, jakby był pewien, że otrzyma pozwolenie.

Jednak Piłsudski wstrzymał go w pół kroku ruchem ręki i rzekł, ostrożnie dobierając słowa:

– Nie to jest najgorsze. Podczas sprawdzania i inwentaryzacji dóbr w pokoju twojego syna znaleziono bolszewickie ulotki propagandowe. Nie chcę ci serca łamać, ale dobrze wiesz, że nie możemy przejść nad tą sprawą do porządku dziennego, zanim jej dogłębnie nie wyjaśnimy.

Bernard i Władysław poblebli niemal jednocześnie. Obaj zastygli w bezruchu, niezdolni do wykonania najmniejszego gestu. Tylko ich oczy poruszały się w szalonym tempie, jak

u schwytanego w potrzask zwierzęcia. Władysław rozpiął guziki pod szyją i spojrzął na syna straszliwym wzrokiem.

– Może ktoś mu to podrzucił? – chwycił się rozpaczliwie ostatniej deski ratunku.

– Nie. Na ulotkach ponad wszelką wątpliwość są odciski palców Bernarda. Nowa nauka nie może się mylić.

Władysław zachwiał się, jakby sztyletem pchnięty, i wycharczał, patrząc na syna:

– Hodowałem cię, uczyłem. Oślaniałem przed prawem, przymykałem oczy na jawną rozpustę i rozpasanie, bo myślałem... bo miałem nadzieję. Ale jest takie miejsce, gdzie kończy się miłość ojcowska. Nie było w naszym rodzie hetmanów i kasztelanów, ale nie było i zdrajców. Ładnie dziś mówiłeś o tym, że każdemu przysługuje prawo do poprawy i każdy w dowolnej chwili może ją zacząć. Ty zaczniesz od zaraz. Nie będziesz więcej używał kobiet i trunków. Poznasz, co znaczy prawdziwa służba liniowa, bo nie będziesz już oficerem, tylko zwykłym bagnetem. W kompanii karnej. – Szedł ku synowi, potrząsając groźnie palcem. – Tam spłacisz swoje winy i zaznasz prawdziwego życia, które robi z ciebie wartościowego mężczyznę, albo twoje kości będą białe na słońcu.

Bernard upadł na kolana i chwyciwszy ojca za nogi, mówił płaczliwym głosem:

– To nie ja! To kłamstwo, intryga! Ja chciałem się tylko zemścić! Ale nie okłamałem cię tam... wtedy. Ja naprawdę chciałem... chcę...

Władysław chwycił go za rękę, podniósł i niemal przemocą wpechnął w ramiona strażników.

– Bierzcie go! Niech w lochu czeka na przydział, o chlebie i wodzie. Niech tam przemyśli swoje życie, póki trwa.

Piłsudski skinieniem głowy potwierdził rozkaz.

Bernard nie szarpał się, nie wrywał. Po prostu szedł ku drzwiom, na nikogo nie patrząc i nic nie mówiąc, tylko pacierz

cicho szepcząc.

Władysław oddychał ciężko, bo kosztowało go to sporo wysiłku i zaparcia się samego siebie.

– Nie musiałeś tak – przerwał milczenie Piłsudski. – Własnego syna? Zastanów się.

– Zadbajcie tylko o to, by ta sprawa nie wyszła poza nas trzech. Nie chcę, by na naszą rodzinę odium padło. Jego matka nie zasłużyła na takiego syna. Nie będzie dobrze w tym kraju, jeśli będziemy młodym we wszystkim cugli popuszczają. Każdy inny człowiek na szafot by trafił. Wedle prawa rodowego sam powinienem go zabić, by zmyć hańbę z rodziny. Ale nie mogłem, nie mogłem... Ja nie mam już syna.

To rzekłszy, wyszedł za drzwi. Zrobiwszy kilka kroków, poczuł gwałtowny zawrót głowy, świat zawirował, rozmył się, a on padł jak martwy na ziemię.

---

<sup>1</sup> Znany fragment księgi VI *Pana Tadeusza*.

## Rozdział II

Podczas gdy świat niemal co chwila wstrzymywał oddech, lękając się nowych wojen czy głodu, który zwykł był nadchodzić na udręczone krwawymi walkami ziemie, niemal wszyscy z zapalem czytali publicystów, którzy wygłaszali mniej lub bardziej sensowne przepowiednie dla świata. Europejskie kawiarnie pełne były domorosłych polityków, z zapalem analizujących polityczne sojusze i przymierza. Tam rozbierano na części pierwsze mniej lub bardziej patetyczne przemówienia polityków, którzy lubowali się w aż nadto kwiecistym słownictwie. Debatowano o możliwości wojny na wschodzie, której przyczyny były dla przeciętnego Europejczyka niezrozumiałe. Nikt bowiem nie miał ochoty zajmować się państwami, które to się pojawiały, to znikwały, niczym rosa o poranku. Na wschodzie była Rosja. To była prawda ustalona od wieków i to mieszkańcom Paryża i Londynu wystarczało.

Tymczasem na peryferiach zachodniego świata, na owym mitycznym Wschodzie, coraz głośniej grały surmy wojenne. Lecz nie wzbudzały tu żadnych objawów paniki czy dezorganizacji. Ludzie szykowali się do wojny jak do rzeczy zwyczajnej, bo od lat patrzyli w jej krwawe oblicze, które nie robiło tu na nikim specjalnego wrażenia. Bowiem taki to już był kąt, gdzie od wieków ścierały się wpływy potęg ościennych. One to zderzały się ze sobą co chwila, zapisując w historii nazwy nowych pól bitewnych i okrywając chwałą swych wodzów. Tak było od zawsze. I nic nie

zapowiadało, by tym razem miało być inaczej. Ludzie więc przygotowywali się do wojny, tak jak robili to dawniej. Chłopi gromadzili żywność i zakopywali ją w sobie tylko znanych miejscach, bo wiedzieli z doświadczenia, że już wkrótce trudno o nią będzie. W szpitalach na gwałt poszukiwano miejsc na nowe łóżka i gromadzono medykamenty, bo jasnym było, że front niedługo ruszy. Po miastach przed punktami werbunkowymi tłoczno było, a na ulicach mundur zaczynał przeważać nad cywilnym strojem. Kolejki pod sklepami przybierały postać długich węży, a i tak nie wszyscy mogli mieć nadzieję, że zdołają coś dostać, bo handlowcy nie byli w stanie podołać nagłemu wzrostowi zapotrzebowania. Dworce przepełnione były żołnierzami, którzy pociągami zaczęli rozjeżdżać się na miejsca koncentracji swoich macierzystych jednostek.

Echa owych wojennych przygotowań, którymi rozbrzmiewał cały kraj, nie przedarły się jednak za mury więzienia na zamku. Tu dzień był do dnia podobny i toczył się swoim rytmem. Doba mijiała za dobą, tydzień za tygodniem, a miesiąc za miesiącem – aż do zakończenia wyroku. Rytm dobowy wyznaczały twarde regulaminy więzienne, które regulowały każdą czynność podejmowaną przez więźniów. Dochodziło do tego, że część z nich po odbyciu kary nie umiała się przystosować do normalnej rzeczywistości. Przywykli bowiem do tego, że ich życie porządkowały przepisy więzienne. Tomasz nie miał z panującymi tu regułami większych kłopotów, bo dryl więzienny praktycznie niczym nie różnił się od wojskowego, a z nim zespolił się od wczesnej młodości. Przyzwyczał się do wykonywania rozkazów i wszystko jedno mu było, kto je wydawał. W więzieniu miał nawet lżej niż w wojsku, bo strażnicy obawiali się go i unikali z nim kontaktu. Miał więc sporo czasu dla siebie, który spędzał w samotności, krążąc po celi niczym lew po klatce. Jedynie

aktywność fizyczna, której starał się nie zaniedbywać, sprawiała, że dotąd zachował pełnię władz umysłowych.

Nie znosił myśleć. Nigdy niczym nie łamał sobie głowy. Na wojnie chodziło tylko o przetrwanie i na nim należało się skupić. Nigdy nie myślał o tym, czy wróci do domu, był najzupełniej pewien, że nie wróci. Pogodził się z własną śmiercią, którą uważał za nieuniknioną. Dlatego nie snuł żadnych planów na przyszłość. Nawet nie śnił o założeniu rodziny. Liczyła się tylko kolejna bitwa, kolejna potyczka i misja zwiadowcza, z której trzeba było wyjść cało. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Bał się. Bał się o Weronikę. Ileż to mogło grozić jej niebezpieczeństw w czasie podróży do Warszawy. Czy się tam wybrała? Czy nie ułękła się ojcowego gniewu? Chwilami pragnął, by tak właśnie się stało, choć zdawał sobie sprawę, że byłby to jednocześnie wyrok na niego. Ale wolał to niż narażanie jej na niebezpieczeństwo. A miał o nim pewne wyobrażenie, bo w czasie swojej wojennej tułaczki bywał przejazdem w niejednym mieście. Wiedział więc, że człowiek ginął w nim tak łatwo jak kropla w oceanie. Jak poradzi sobie w tym środowisku prosta wiejska dziewczyna, która nigdy nie ruszała się poza rodzinną wioskę? Gdzie się zaczepi i dokąd pójdzie? Czy nie trafi na jakiego cwaniaka, który wyzyska jej naiwność dla własnej korzyści?

A nawet jeśli trafi szczęśliwie do miasta i zdoła się tam urządzić, to czy zdoła dotrzeć do Wieniawy? Czy on w ogóle zechce mu pomóc? Czy nie machnie na niego ręką? Były to myśli ciężkie i mroczne. Dręczyły one Tomasza przez całe tygodnie, bo sam w celi będąc, nie miał nawet z kim o swoich obawach i troskach pomówić. Te myśli spędzały mu sen z powiek; tracił chęć do jedzenia i picia, co mu się nigdy dotychczas nie zdarzało. Nawet w najcięższych chwilach pamiętał o tym, by napełnić żołądek aż do gardła, bo nigdy nie wiedział, kiedy następnym razem trafi się sposobność zjedzenia ciepłego posiłku. Teraz jednak mógł myśleć

tylko o Weronice i niebezpieczeństwach, na jakie mogła być narażona podczas wyprawy, na którą tak lekkomyślnie ją naraził.

Owe duszy rozterki, które zdawały się rozdzierać mu serce na dwoje, skończyły się wraz z przybyciem Ryszarda, który stał się dla niego prawdziwą kopalnią informacji. Więc naprzód odetchnął wreszcie i przestał się martwić o Weronikę, która zrządzeniem losu trafiła pod przemożną Wieniawy opiekę. Uspokoił się przez to znacznie i przestał wyrzucać sobie, że ją do Warszawy posłał. Pod opieką pułkownika nic jej przecież nie groziło. Tomasz wierzył w to najmocniej i w duszy bardzo podziwiał Długoszowskiego, gdyż był zdania, że młody pułkownik wszystko może i wszystko potrafi. W jaśniejszych barwach zaczął też widzieć własną sytuację. Z dnia na dzień czekał na uwolnienie, słuchając Ryszarda, który mówił mu wszystko to, co miał do przekazania. Pokpiwał sobie też z młodego strażnika, który mu się ze źle ulokowanej miłości zwierzył, bo nijak nie mógł zrozumieć, jak człowiek roztropny mógł wzdychać do kobiety, która go nie chce.

– Toż to głupstwo – rzekł mu, gdy razem na pryczy siedzieli. Głucha noc rozpościerała się za murami i w murach więzienia ruch ustał zupełnie. Tylko warty obwoływały się głuchymi głosami, raz po raz przerywając ciszę. – Po cóż ci wokół niej skakać, a nogami przebierać, kiedy ona cię nie chce? To powiem szczerze, że to i śmieszne. Uczony jesteś, dach nad głową masz i fach w rękę całkiem niezgorszy. Szukaj sobie takiej, co cię zechce, a kiedy cię nie poproszą, to na wojaczkę się nie pchaj.

Ryszard rozejrzał się po celi. Było to małe i niskie pomieszczenie, w którym panowały nieustannie wilgoć i zimno. Po grubych, murowanych ścianach ciekły krople lodowatej wody, tworząc zacieki. Przez umieszczone u góry zakratowane wąskie okienko niewiele światła Bożego docierało do izby, która pogrążona była w ciągłym półmroku, tak że rysów twarzy nie można było odróżnić. Na zrobionej z gliny podłodze stało tylko



wiadro, które dwa razy dziennie wynosił więzień funkcyjny. Siedzieć można było jedynie na pryczy, którą przytwierdzono do ściany łańcuchami, aby złożyć ją było można, gdy przestaje być potrzebna.

– Ty chyba nie wiesz, co to jest miłość i do jakiej desperacji człowieka może doprowadzić. Ja nie wiem, co byłbym gotów dla niej zrobić. Ot, słów w ustach brakuje. Żeby ona choć się uśmiechnęła, to i moja dusza skrzydeł by dostała, ale ona za nic mnie ma i dworuje sobie ze mnie, gdy tylko ma ku temu sposobność – żalił się Ryszard.

Tomasz spojrział na niego ze współczuciem i odparł:

– Ja tam nie wiem, jak wy uczeni kochacie, bo my prostacy to kładziem pannę na siano, a jak nie chce i drapie, to do innej. Ale jednego bym dla żadnej nie zrobił. Ot, na wojnę bym nie poszedł. Mówisz, że wszystko byś dla niej zrobił. A zabrałbyś wiosce ostatnie zapasy, by zdychali z głodu? Wieszałbyś dzieci, ucinał ręce, rabował i palił? A jam to wszystko robił. I nie dla baby żadnej, tylko po to, by żyć. Bo jak nie ty ich, to oni ciebie. Między nogami wszystkie baby jednakowe i żadna nie jest tego warta. Ot, czasem do mnie przychodzą. Ci, których zabiłem. Sini, bladzi – i kiwają do mnie, bym przeszedł do nich na drugą stronę nieznanej rzeki.

– I co z tym robisz? – spytał przerażony Ryszard.

– Nic. Każę im, by szli do biesa lub spokojnie w ziemi leżeli i spać mi nie przeszkadzali. Czy to moja wina, że ich usiekłem albo ustrzeliłem, gdy mi w drogę leżli?

Ryszard słuchał z przejęciem. Jął się chwiać w postanowieniu i nie był już zgoła pewien, czy chce podjąć służbę wojskową. Nikt wcześniej nie opowiadał mu o wojnie w ten sposób, jak robił to ten wielkolud. Nikt nie mówił o gwałtach, zbrodniach, o paleniu całych wsi. O przemarszach, głodzie i chłodzie. O wszechobecnej pogardzie dla ludzkiego życia i samotności, jaką odczuwał

człowiek wyrwany ze stron rodzinnych. Czuł się tak, jakby obdarto go z iluzji, którą sam wyhodował i wszelkimi środkami podtrzymywał. Więc w wojaczce nie ma nic heroicznego – myślał. A te wszystkie opowiadki o bohaterstwie służą tylko mamieniu głupców takich jak ja? Więc za mundurem nie chodzą panny, tylko kurwy lub wieśniaczki, które by nie głodować, sypiają, z kim popadnie? Gdy już tam jesteś, nikogo nie obchodzisz. Bo dla dowódców jesteś tylko częstką wykazu stanu jednostki. Tylko tym. I będziesz miał szczęście, jeśli wrócisz do domu, mając obie nogi i ręce, by jąć się roboty, bo inaczej głodem będziesz przymierał.

Spuścił głowę i przez chwilę wpatrywał się w swoje gładkie dłonie i smukłe palce i zastanawiał się, jak będą wyglądały skąpane we krwi. Jak jego mikre ciało będzie wyglądało, gdy zostanie wtłoczone w mundur. Gdy stanie naprzeciw innego człowieka i będzie musiał wypruć mu flaki. Zmuszony patrzeć na wijące się niczym gąsienica wnętrzności. Czy się nie zawaha, nie rozplacze? Czy chęć zaimponowania kobiecie będzie mu towarzyszyła i tam, gdy dzielić go od niej będą tysiące kilometrów? Nagle potrząsnął głową i roześmiał się sucho.

– Tu ja przy tobie głupi. Człowiekowi wydaje się, że wie, czego chce, póki mu kto oczu nie otworzy. Skoro mnie nie chce, niechże będzie jej wola. Podstępnie nie będę używał, bo i po co. Słusznie mówisz, że na wojnę powinno się iść tylko z konieczności. Każdy, kto chce z niej zyski ciągnąć, łotrem jest lub głupcem. Tfu, chyba mnie szatan opętał. I ojca starego chciałem zostawić, by mu obce ręce oczy zamknęły, byle tej kochanej gwiazdeczki dostać. Teraz wiem, że byłem głupi. Bo nie ona jedna jest na świecie. Niech sobie inni wojują. Ze wsi pewnie gdzieś wyjadę, bo tu diabeł ma swoje legowisko, ale krwi dla kobiecej pychy nie będę rozlewał.

Tomasz słuchał tej gadaniny półuchem, bo to rozumiał, że strażnik rozmawia raczej sam ze sobą, w dodatku myśl miał czym innym zajętą. Zamknięcie nie było dla niego uciążliwe

w najmniejszym stopniu. Jedyłą niedogodnością był brak zajęcia, który sprawiał, że miał zbyt wiele czasu na myślenie o Weronice. Czy była to miłość? Nie wiedział, bo jej nie zaznał. Wiedział jedynie, że nie było takiej nocy, w której jego umysł nie przenosiłby go nad to jezioro, gdzie widział ją po raz pierwszy. Wspominał też rozmowy, które prowadzili. Jej pełne podziwu oczy, gdy wpatrywała się w niego, kiedy opowiadał jej o różnych krainach, które własnymi oczami oglądał. Sam nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Jedno wszak wiedział na pewno: musi się z nią spotkać, choćby się ziemia rozstać miała. Lecz na razie nie było do owego spotkania blisko, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Wieści ze świata mogły do niego docierać tylko przez Ryszarda. Ten zawsze znośił pełno pogłosek, z których trudno było Tomaszowi wyrobić sobie pełen obraz sytuacji. Sobczak dostrzegał przygotowania wojenne, bo te weszły już w taki etap, że trudno ich było nie dostrzec. Ale nie potrafił powiedzieć mu nic pewnego na temat Wieniawy. Gdzie teraz jest, co robi i w jakim towarzystwie się obraca. Jak zamierza go stąd wydostać. Tomasz ufał rozumowi przyjaciela, ale piliło go, by jak najprędzej znaleźć się na wolności. Niepokoił się, czy po ucieczce będzie mógł choć na krótko spotkać się z Weroniką, bo wiedział już od Ryszarda, że przynajmniej na początku będzie się musiał ukrywać. W pierwszym odruchu boczył się na to i nawet na Wieniawę się oburzał. Ale z czasem uspokoił się znacznie, bo doszedł do wniosku, że pułkownik ma zapewne swoje powody, które zmuszają go do takiego, a nie innego postępowania. Zresztą zajął się Weroniką, a to znaczyło, że jest ona przed wszelką igraszką fortuny zabezpieczona. O to też mu najwięcej chodziło, bo o siebie nigdy się nie troszczył.

Ryszard zaczął wiercić się niespokojnie i przekręcać z boku na bok, bo i on rozważał coś w sobie. Ciężar owych myśli odbił mu się na twarzy. Nijak nie wiedział, jak powiedzieć Tomaszowi o tym,

o czym od jakiegoś czasu szeptano z radością między strażnikami. Mówili oni głośno o utworzeniu kompanii karnych, które miały składać się z najgorszych łotrów i wichrzycieli. Najpierw myślał, że to tylko czcze domysły lub plotka, która rzucona przez jakiegoś żądnego chwały głupca trafiła na podatny grunt i zaszczepiła się w ludzkich głowach. Lecz nowe gazety, które dostarczono im niedawno, nie pozostawiały miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. Nowy dekret obejmował także Tomasza i jasne było, że został wpisany na listę. Oczywiście było, iż naczelnik z przyjemnością pozbędzie się więźnia, który był solą w oku całej tutejszej służby więziennej.

No, prawie całej – pomyślał i się uśmiechnął. Co by też powiedzieli jego koledzy, gdyby zobaczyli, jak sobie tu mile gawędzą? Polubił tego mrukliwego, prostego siłacza, bo jak się przekonał, zwady z nikim nie szukał. Cichy i spokojny, na pytania odpowiadał uprzejmie, choć bez gadatliwości. Modlił się w przepisowych porach, siedział na pryczy i wpatrywał się tępo w ścianę. Słowem: nie był uciążliwy w pilnowaniu. A gdy Sobczak dał mu do zrozumienia, kto go przysyła, wówczas Grobel stał się jego powiernikiem. Tomasz znał wszystkie tajniki i rozterki jego duszy. A miał tę zaletę, że rzadko kiedy mówił, a stale słuchał. To jemu Ryszard spowiadał się ze swojej nieszczęśliwej miłości i kłopotów z ojcem, który już mu przyszłość w swojej głowie ułożył i ani mu było wspomnieć, że on czego innego od życia pragnie. Nie miał więc sumienia zataić przed Tomaszem tego, co wiedział o czekającym go losie.

Dlatego wyprostował się i powiedział:

– To już nasza ostatnia taka rozmowa. Cieszę się, że znalazłem w tobie przyjaciela, który potrafi słuchać, zamiast prawić morały. Bo często człowiek potrzebuje tylko wygadać to, czego na sercu ma nadmiar. Jesteś na liście tych, którzy mają zasilić nowo utworzone kompanie karne. Sam naczelnik cię wpisał. W sam czas się to dla

niego pojawiło. W gazetach szeroko się o tym rozpisują i wynoszą pod niebiosa odwagę i miłość do ojczyzny syna ministra, który nie tylko jest autorem projektu utworzenia karnych oddziałów, ale i sam ma w nich służyć jako prosty żołnierz.

Spojrzał niepewnie na Tomasza i już szukał słów, którymi mógłby go pocieszyć i ukazać mu wizję światlejszej przyszłości, gdy z najwyższym zdumieniem przekonał się, że informacja ta zdaje się nie robić na nim żadnego wrażenia. Dalej obojętnie patrzył na ścianę, jakby w zawilgoconym, pokrytym zaciekami murze było cokolwiek wartego uwagi. Ryszard patrzył na to z wzrastającym zdumieniem i kręcił głową, bo przekonał się, że nie potrafi rozgryźć złożonej natury więźnia.

Grobel dostrzegł utkwione na sobie spojrzenie i dobrze je zrozumiał. Roześmiał się z cicha, bo zabawnym mu się wydało, że ten młokos, który wszelkimi środkami chciał dostać się do armii, dziwi się teraz, że jego myśl o wojaczce wcale nie przeraża.

– Czemu się tak na mnie patrzysz? – zwrócił się do niego, nie przestając się z cicha śmiać. – Nie pchaj się do woja. Sami sobie o tobie przypomną, gdy straty zaczną rosnąć, a zapasy kurczyć. A mnie co? Próbowali mnie zabić za batuszkę cara, a teraz będą próbowali za ojczyznę. Nic nowego. Ty mnie posłuchaj. Nie radziłem ci, bo nie głowa u mnie najlepsza. Ale skoro widzimy się ostatni raz, więc ci powtórzę to, co mi powiedział najtęższy łeb, jaki znam.

Strażnik przysunął się bliżej, tak by Tomasz mógł lekko ściszyć głos, bo gdzieś za drzwiami rozległ się przytłumiony odgłos kroków. Wprawdzie ryzyko kontroli było nikłe, ale bezpieczniej było zminimalizować je, niż ryzykować wpadkę, która niosłaby poważne skutki przede wszystkim dla Sobczaka. Jak bowiem miałyby wytłumaczyć fakt, że ucina sobie pogawędkę z więźniem, którego władze więzienia uważały za szczególnie niebezpiecznego i którego on miał pilnować? Nic by go nie uratowało od

odpowiedzialności. Wpadka złamałaby mu karierę, a z nią razem życie. Dlatego zdwoił ostrożność i zaczął się zachowywać niczym konspirator.

Tomasz pochylił się nieco w kierunku jego ucha i mówił:

– Wtedy znajdziesz miłość, kiedy nie będziesz szukał. A na razie znajdź sobie inny cel w życiu, zamiast wzdychać do kobiety, która cię nie chce. Ot, choćby gromadź bogactwa. Wtedy kobiety same do ciebie przyjdą. Może nawet i ta, która tobą wzgardziła. Macie tam chyba ładne dziewczuchy w tej parafii. Przebieraj i nie bierz pierwszej lepszej, która się pod rękę nawinie. Piersiaste i szerokie w biodrach są najlepsze do rodzenia dzieci. Pamiętaj.

Ryszard uśmiechnął się, słysząc te rady. Rozluźnił się też, gdyż kroki, które uprzednio słyszał, a które napełniły jego duszę takim niepokojem, przepadły gdzieś w więziennych korytarzach i mógł przestać o nich myśleć jako o zagrożeniu.

– A nogi? – spytał wesoło. – Nogi też ładne musi mieć?

– Nogi zawsze na bok idą – odparł Tomasz poważnie. – Pamiętaj, co ci powiedziałem, i nie gryź się tym, na co nie masz wpływu, bo miłości nikomu nakazać nie można. A po cóż komu taka baba, co tylko rozmyśla, jak spod męzowskiej ręki i woli się wydostać? Pamiętaj o tym. A teraz zbieraj się, bo muszę resztkę nocy na sen poświęcić, bo jutrzejszy dzień może nie dać do tego sposobności.

Uściskali się więc krótko, po czym Ryszard wyszedł i oddalił się na swój przepisowy posterunek. Tomasz został sam. Ale nie pragnął ani rozmowy, ani ludzkiego towarzystwa. I tak za wiele powiedział jak na siebie. Choć był zadowolony. Ocalił bowiem głupiego młokosa, któremu babska próżność mogła zmarnować życie. Nie dbał o to, czy pójdzie za jego radą, czy nie, bo jego los w jego był rękę – a sam swoje zrobił. On zresztą swojego życia nigdy w rękę nie miał. Zawsze decydowano o nim i za niego. Najpierw los, a potem dowódcy. Nawykł do tego i nie znał innego

życia. Od wczesnych lat hodowała go wojna i teraz miał znów na nią wyruszyć. Lecz tym razem pragnął z niej wrócić. Do Weroniki, do domu, na ziemię rodzinną, po której hasał jako szczeniak zupełny.

Ułożył się na pryczy i zasnął, marząc. Weronika przyszła do niego jak zwykle i na jego twarzy zagościł uśmiech, pozostając na niej aż do rana.

Wstawał świt, ale promienie słoneczne, które przedzierały się wąskim snopem przez okienko, nie zdołały wybudzić więźnia. Tomasz spał jak zabity. Po raz pierwszy od wielu dni, bo zrzucił brzemień z piersi. Wiedział, co go czeka, i, o dziwo, przyniosło mu to ulgę, choć jego położenie w niczym się nie zmieniło. Ale przynajmniej przestał się zadręczać trudnymi myślami. Teraz wszystko było już jasne i proste, a organizm potrzebował zregenerować siły, nadwątlone przebywaniem w zamknięciu i nieregularnym snem. Dlatego pierś Tomasza unosiła się w równym oddechu, niczym u człowieka, którego spokój nie jest przez nikogo naruszany. Patrząc na niego, nikt by nie przypuszczał, że jest to człowiek, nad którego głową ustawicznie wisi miecz.

Zbudziły go dopiero kroki za drzwiami i chrzęst obracającego się w zamku klucza. Drzwi do celi otworzyły się na oścież, a do wąskiego pomieszczenia wszedł żołnierz, który pochylił się nad Tomaszem. Ten zaś, choć nie spał, bo przyzwyczajony był do wszelkiej maści niebezpieczeństw i budził go najłżejszy nawet szmer, nie wykonał najmniejszego ruchu. Słusznie zresztą mniemał, że żołnierz sam go obudzi, a nie chciał jakimś gwałtownym ruchem dać mu okazji do użycia siły. Raz już bowiem popełnił ten błąd i przeto tkwił teraz tutaj. A wiedział, że tym razem nie skończy się na obezwładnieniu. Naczelnik tylko czekał na sposobność, która pozwoliłaby go zlikwidować. Nie miał zamiaru mu jej dać.

Żołnierz pochylił się nad jego twarzą i rzucił zjadliwie:

– Wstawaj, dość się nawypoczywałeś, gdy porządni ludzie ginęli!

To rzekłszy, zwinął łóżko, tak że przywarło z powrotem do ściany, a Tomasz grzmotnął o betonową podłogę. Ból przeszył jego ciało, docierając do niemal każdej komórki. Przez chwilę zaćmił mu wzrok, ale trwało to ledwie sekundę. Carscy oficerowie od lat bowiem zaprawiali na nim pięści i do bólu był przyzwyczajony. Nazywali to hartowaniem ciała. Podniósł się więc bez wysiłku i spojrzął na żołnierza bez śladu gniewu czy oburzenia w oczach.

– Wiązać mnie będziesz czy mogę iść z wolnymi rękoma? – zapytał nie bez drwiny w głosie.

To wystarczyło, by wojskowy zmieszał się i zarumienił. Naczelnik odmalował mu wprawdzie Tomasza w jak najczarniejszych barwach i przez to w pierwszej chwili miał się na baczności. Poza tym postanowił od pierwszej chwili wyraźnie zaznaczyć, kto tu jest kim. Lecz teraz patrząc na tego spokojnego olbrzyma, który z pokorą i bez warknięcia znosił szykany, ogarnął go żal. Żal mu było Tomasza i siebie samego. Twarz tego człowieka wzbudzała w nim sympatię, którą za wszelką cenę próbował zagłuszyć, bo pierwsze wrażenie bywa zwodnicze i mylne. Wiedział z doświadczenia, że na świecie częstokroć trafia się skurwysyn o twarzy dziecka, a znowu człowiek czuły i o dobrym sercu może mieć gębę, którą sam diabeł dla siebie by wziął.

– Ręk ci wiązał nie będę, bo bary masz mocne i coś mi mówi, że mógłbyś każde postronki rozerwać. Ale patrz tu. – To mówiąc, wy dobył pistolet i wymierzył w plecy Tomasza. – Stawisz opór, to kula w krzyż. Byłeś na wojaczce, więc pamiętać powinieneś, że kula jest szybsza od ręki i myśli.

Po jakimś czasie wyszli na dziedziniec więzienny, gdzie słowa żołnierza w zupełności potwierdziły się. Oto na ujętym w ramy murów placu zgromadzono niemal wszystkich więźniów, którzy



odbywali ciężkie kary. Nie brakło nikogo. Były tu reprezentowane niemal wszystkie przestępstwa: od mordów i grabieży zaczynając, a na gwałtach i podpaleniach kończąc. Wszyscy więźniowie stali teraz w dwuszeregu w więziennych uniformach, pod groźbą wymierzonych w siebie karabinów. I trzęśli się z zimna, bo cienkie więzienne okrycia nie dawały niemal żadnej osłony przed zimnem i wiatrem.

Pogoda bowiem owego dnia była złośliwa. Ranek był wietrzny i mglisty, a słońce blade i zgoła ciepła niedające. Zresztą jego promienie wychylały się tylko na chwilę spod panujących na niebie i wiatrem gnanych chmur. Lecz żołnierze nie żalowali więźniów, bo i nie byli to ludzie, którzy by w czyichkolwiek sercach litość wzbudzić mogli. Przywykli oni do prawa pięści i wszędzie nim się posługiwali. Niemało też krwi przyszło na ich rękach i na dobrą sprawę wszyscy oni dawno wisieć powinni. Zapewne tak by się stało, gdyby nie coraz wyraźniejsza groźba wojny. W takim czasie wojsko potrzebowało ludzi i brało, skąd mogło, nie przebierając. Tylko dowódcy narzekali na owo wisielcze wojsko, które było tak samo groźne dla swoich, jak dla obcych.

O tym też myślał Jakub Ostrowski, który miał z ramienia wojska owej oderwanej od powroza halastrze przewodzić. Nie uśmiechała mu się owa funkcja, bo wiązała się z wieloma trudami i niebezpieczeństwami, a mało przynosiła sławy. Wiedział, że posyłać go będą tam, gdzie front się zachwieje i wyłom zatkać będzie trzeba. Nikt się na nich nie będzie oglądał ani o stratach nie pomyśli. Grunt, że będzie można oszczędzić lepsze oddziały, a może i pozbyć się będącej wszystkim nie w smak formacji. A i mnie z nimi – pomyślał.

Gdy patrzył w twarze tych ludzi, na których zdrada i zbrodnia wycisnęły swoje niezatarte piętno, to miał nieodparte wrażenie, że będzie przewodził stadu wściekłych wilków, które nie omieszkają

skoczyć mu do gardła, gdy tylko spostrzegą odpowiednią do tego sposobność. A przecież łatwo mógł tego uniknąć, gdyby tylko miał dość rozumu i potrafił przymykać oczy na machlojki w dowództwie. Na zawyżanie dostaw, które znikwały i nigdy nie trafiały do pułków, a tym po staremu brakowało wszystkiego. Ale wtedy był idealistą. Wierzył, że jeden uczciwy może osuszyć bagno, a nie w nim utonąć. Pisał raporty do odpowiednich władz. Dziś miał pewność, że ukręcono je gdzieś na górze. Po prostu zbyt wielu ludzi miało interes w tym, by biznes na dostawach kręcił się zdrowo. Jego los miał być przestrożą dla tych, którzy chcieliby iść w jego ślady. Jakub zdawał sobie sprawę, że załatwiono go w białych rękawiczkach. Zresztą nie myślał szarpać się z więzami, które na niego nałożono, bo sam czuł, że to na nic. Zastanawiał się tylko, jak ma nad owym oddziałem komendę sprawować.

Żołnierzem był doświadczonym, bo od lat kilkunastu z pola nie schodził. Ale rozum mając bystry, odgadł także, że tymi ludźmi nie da się jak zwykłym wojskiem kierować. Żołnierza bowiem regularnego od samego początku zaprawia się do dyscypliny, aby myśl o oporze nawet nie przeszła mu przez głowę. Lecz tych drapichrustów nigdy nie udało się wtłoczyć w karby dyscypliny. To był wyjątkowo buntowniczy element, który skłonny był do stawiania oporu z lada powodu. Łamać ich karami i powrozem to to samo, co się na śmierć skazać, bo oni krzywdy nie darują. Jakub poczuł, że stanął przed wyzwaniem i nie widzi żadnego sposobu, by mu sprostać. Przesunął jeszcze raz wzrokiem po ludziach i ze zdumieniem spostrzegł, że wszyscy opuszczają na moment oczy, gdy spoczywa na nich wzrok Tomasza.

Zdumiało go to, ale i zastanowiło głęboko. Wiedział, że ten gest oznacza poddanie i brak chęci do walki. Ci ludzie hołdowali obyczajom zwierząt, bo w nich samych nie było nic ludzkiego. Powagę między nimi mógł uzyskać tylko ktoś, kto wzbudzał w nich nieopisany strach. Musiał być to ktoś znaczny i obdarzony ciężką

ręką, gdyż tylko nią mógł zaimponować współwięźniom. Dziwiło to Jakuba, bo znając Polskę wzdłuż i wszerz, nigdy o tak sławnym zawalidrodze nie słyszał.

Głupstwo zrobiłem, żem naczelnika dokładniej o niego nie wypytał – pomyślał. Ale nie stało się jeszcze nic takiego, czego przy dobrych chęciach naprawić by nie można. Naczelnik piaskiem mógł sypać, by jakiś własny postępek w mroku skryć. A nawet gdyby prawdę mówił, to wcale nie jest pewne, czy perswazją nie zdołam przemówić temu człowiekowi do rozumu. To dla niego szansa na wolność i by zechciał mi pomagać, dość będzie mu to uprzytomnić. Inaczej przyrośnie do tych murów jak grzyb.

To postanowiwszy, zaprowadził Tomasza na przeciwległy kraniec dziedzińca, gdzie nikt inny nie mógł słyszeć ich rozmowy. Tam przyparł go do muru i trzymając na muszce, rzekł:

– Nie wiem, jakie grzechy na tobie ciążyą, bo to wyłącznie sprawa twojego spowiednika i sumienia. Ale zdaje mi się, że więcej masz oleju w głowie od tych, którzy tam stoją i tylko grabież i mord mają na celu. Nie będę ci oczu mydlił. Zła nasza sprawa, bo słać nas będą tam, gdzie innych posłać szkoda. Łatwiej tam będzie o śmierć i rany, ale wszystko można znieść, gdy ci nadzieja swobody świeci. Chcesz być wolny? – Mówiąc to, patrzył Tomaszowi prosto w oczy. – To pomóż nimi dowodzić tak, by mi przy pierwszej okazji w plecy nie strzelili. Oni się ciebie, jak widzę, boją i wodza w tobie uznają, choć nie wiem dlaczego. Bądź więc moją ręką, abym mógł zapewnić im wolność i darowanie win.

Tomasz zdawał się być zupełnie obojętnym – nawet okiem nie mrugnął; a jednak wszystko kalkulował i na chłodno rozważał. Bo choć myśleć nie lubił, to czasem musiał. I na wojnie zdarzały mu się takie sytuacje, nad których rozwiązaniem namyślić się było warto. Tak postąpić czy inaczej? Tę drogę czy inną wybrać? Często od takich wyborów zależało życie. Wojna bowiem nie wybacza dwóch rzeczy: błędów i wahania. Kto się wahał, ten przyśpieszał

własną śmierć. Decyzję należało podejmować w ułamku sekundy i twardo się jej trzymać.

Plan Wieniawy za przepadły uważać mogę. Ha, trudno. Zrobił, co mógł. Dola moja winna, która mną miota po całym świecie. Każą mi zabijać, więc będę. To umiem. A gdy zginie już dość ludzi, może będę wolny? Wolny albo martwy – pomyślał.

Spojrzał Tomasz w twarz człowieka, z którym od tej pory miał go los związać. Wiedział, że od teraz przebędą razem niejedną złą lub dobrą chwilę. Będą dzielić się radościami, smutkami i cierpieniem. Ale w twarzy tego człowieka uderzyła go owa naiwna uczciwość, która była rzadko spotykana w czasach, gdy ludzie kąsali się na kształt wściekłych wilków. Poczuł, że może zaufać słowu tego człowieka. Mógł być pewien, że jeśli zdoła przetrwać jeszcze tę jedną kampanię, to będzie wolny. A wtedy będzie mógł pomyśleć o sobie.

– Szanuję mnie, bo skróciłem żywot trzech z nich. Chcesz być ich wodzem, to stań się jednym z nich. Jednym z nas. Powiedz im, za co skazano cię na dowodzenie nimi. Pomogę ci, bo chcę być wolny. Chcę mieć swój dom, pole, swoje miejsce na ziemi.

Jakub wysłuchał go uważnie, nie przerywając ani słówkiem. Schował broń do kabury, bo był pewien, że nie będzie mu teraz potrzebna. Następnie pozwolił Tomaszowi, by ten szedł obok niego i razem stanęli przed frontem oddziału. Już nie jako więzień i dowódca, ale jako dwaj partnerzy, którzy mają dążyć do tego samego celu. Jakub poczuł dojmującą suchość w gardle. Miał wrażenie, jakby krtań ścisnęła mu żelazna obręcz. Przez chwilę bał się, że gdy otworzy usta, popłynie z nich tylko niezrozumiałe dla nikogo charkotanie.

– Jesteście gwałcicielami, podpalaczami i mordercami! – zaczął. – Do miejsc takich jak kompania karna posyła się tylko tych najgorszych, bo ich nikomu nie szkoda! Was też nikomu nie szkoda! Gównu kogokolwiek obchodziecie! Generałowie

i pułkownicy mają was za nic, gdyż sądzą, że są lepsi od was! A ja wam mówię, że to nieprawda!

Tomasz, który uważnie obserwował twarze żołnierzy, sądził początkowo, że jego dowódca odrzucił rady, którymi chciał go wspomóc. Z pozoru robił bowiem wszystko odwrotnie, niż należało. Przemawiał do swoich żołnierzy, tak jakby był dla nich bogiem, którego słowo natychmiast staje się prawem. To byłoby skuteczne podejście w przypadku żołnierzy liniowych wychowanych w żelaznej, żołnierskiej karności i nawykłych do dyscypliny. Lecz nie w przypadku tych chłopców, z których każdy za pana uznawał tylko siebie samego. Dostrzegał na ich twarzach obojętność zmieszaną z niechęcią. Słuchali przemowy swego dowódcy tak, jak uczniowie dyrektora lub wierni nudnego i przewidywalnego kazania. Dopiero po ostatnich słowach Jakuba wielu nadstawiło ciekawie uszu, a na twarzy Tomasza pojawił się uśmiech.

Tymczasem Jakub mówił dalej.

– Oni też są złodziejami. Tylko kradną na większą skalę. Oni nie gwałcą, bo mają dość pieniędzy, by stać ich było i na żonę, i na kochankę. Oni też palą i mordują, tylko że cudzymi rękoma. Ale ich nikt do więzień nie wsadza, bo małych złodziejasków się wiesza, a wielkim nisko się kłania.

W tym miejscu musiał na chwilę przerwać, bo rozległ się śmiech, a ludzie stojący w pierwszym szeregu powtarzali treść jego w znacznej części improwizowanej mowy tym, którzy stali w dalszych szeregach.

– A pan to za co tu trafił? – zapytał ktoś najodważniejszy.

– Czemu to was interesuje?

– Mnie nic. Ale nie chcę całą drogę wysłuchiwać kłótni, czy pan jesteś gwałciiciel, podpalacz, morderca czy złodziej.

Wybuch śmiechu, który przywitał te słowa, był tak potężny, że gdyby potrwał dłużej, mógłby zgruchotać mury więzienne. Jednak

ludziom zabrakło sił, by śmiać się z taką intensywnością przez czas dłuższy. Gdy tylko przyszedli do siebie, skupili wzrok na twarzy i ustach dowódcy, ciekawi, co też im powie i jak się zachowa. Jakub jednak stał przez dłuższą chwilę z powagą na twarzy, gdyż on jeden się nie śmiał, i dopiero po chwili zabrał głos.

– Powiem wam, byście nie musieli się kłócić jak baby na targu. Ale stawiam warunek. Każdy z was powie, za co siedzi. Będzie to potrzebne, żeby podzielić was na plutony, drużyny i sekcje. Do pierwszego pójdą mordercy, do drugiego podpalacze, a do trzeciego gwałciciele ze złodziejami.

– A niewinni gdzie?

Pytanie zadał ten sam człowiek, co poprzednio. Najwidoczniej najweselsza dusza w oddziale. Przez głowę Ostrowskiego przeszła myśl, że ci ludzie właściwie już są duszami, bo po pierwszej akcji większość z nich będzie dopasowywać właściwe kotły do swej figury. I on także nie był pod tym względem żadnym wyjątkiem.

– W rozumieniu prawa wszyscy jesteście winni i tego będziemy się trzymać. Ja zacznę. Jestem najgłupszy z was wszystkich, bo wy zanim powinęła wam się noga i tu trafiliście, to przynajmniej mieliście zyski ze swojej roboty.

– Jakie tam zyski!? W dzisiejszych czasach to się nawet kroić ludzi nie opłaca, bo nie ma z czego. Dawniej to były czasy. Jak się znalazło frajera, to przez tydzień można było chodzić od knajpy do knajpy i na panienki. A dziś? Ot, najlepiej w więzieniu, bo jeść dają, a i niejednego nauczyć się można.

Kilku mężczyzn siknęło mówiącemu głową, dając znać, że zgadzają się z jego tokiem rozumowania. Jakub dostrzegł to i uśmiechnął się lekko, błogosławiąc w duszy Tomasza i jego rady.

– Ja jestem najgłupszy z was wszystkich, bo dowodzę wami za swoją uczciwość. – Przerwał na chwilę, by potoczyć po nich wzrokiem, i z radością przekonał się, że wszyscy słuchają go bardzo uważnie. – Wykryłem układ korupcyjny w swoim pułku

i poszedłem z tym do tych wyżej, ale oni albo sami w tym siedzieli, albo dla własnego świętego spokoju ukręcili sprawie łeb w zarodku. A mnie posłali tu, gdzie nikt mnie nie usłyszy. Liczą oni na to, że albo wy mnie zabijecie, albo w bitwie szlag mnie trafi. Tak czy inaczej wyjdą na swoje.

Rady posypały się jak krople deszczu w czasie burzy.

– Doli trzeba było zarządzać!

– Łby kurwim synom poukręcać!

– Kanał przerzutowy rozeznac i forszę przejąć!

– Dziś na to za późno – odparł, gdy uciszli się nieco. – Dziś jedyna złośliwość, jaką mogę im wyrządzić, to przetrwać. Przetrwać razem z wami. Mój los jest w waszych rękach. Ja umiem dowodzić, wy umiecie zabijać. Jeśli będziemy trzymali się razem, przetrwamy. Dowódca jest tyle wart, ile jego ludzie. Chcę, żebyście wiedzieli jeszcze jedno. Walczymy, by zwyciężyć. Nie dla panów pułkowników i generałów, którzy za nic nas mają, gdy nie jesteśmy już potrzebni. Walczymy dla siebie. Bolszewicy to nie jest tylko wróg panów i bogaczy. To nasz wróg. Was, zwykłych ludzi. Bo oni nie zadowolą się zajęciem państwa. Będą mordować was, wasze rodziny. Pewno macie kogoś, kto usiłuje uczciwie się dorabiać na tym nędznym świecie? Kogoś, kto ma śliczną żonę albo córkę. Chcecie zobaczyć ich rozkrzyżowanych na drzwiach od stodoły...?

– On mówi prawdę – wtrącił się Tomasz. – Nie będzie litości. Ja ich widziałem przy robocie. Tam, gdzie przeszli, tam ginęły nawet ślady ludzkiego życia. Lepszy swój złodziej u władzy od cudzego. Bolszewicy nie dadzą nam po ziemi chodzić, tylko nas do nogi wybiją.

– Mój znajomek ma ładną żonę! Baba jak rzepa! Sknerus, dla siebie tylko trzymie! Ale skoro ja nie mogę jej mieć, to nie dam jej żadnemu kacapowi!

Jakubowi przyszło wysłuchać wielu historii i ze zdumieniem przekonał się, że niemal wszystkie mają jeden wspólny

mianownik: nędzę. Więźniowie wywodzili się w większości z nizin społecznych, gdzie ludzie nie mają w zwyczaju dbać o swoje dzieci. Nikt nie myśli o ich przyszłości, a jedyną troską, jaką przejawiają rodzice w stosunku do dzieci, jest chęć jak najszybszego pozbycia się ich z domu. Takie dzieci trafiały najczęściej na ulice, gdzie przetrwać może jedynie najsilniejszy. Bo w miejscach takich jak to rządziło prawo pięści i trzeba było walczyć o każdą kromkę chleba i każdy kolejny dzień. Nie każdemu to się udawało, bo wielu ginęło w ciągu kilku pierwszych tygodni lub miesięcy najeżonego niebezpieczeństwami żywota. Zaś ci, którym udawało się przetrwać pierwszy okres aklimatyzacji, trafiali najczęściej pod skrzydła potężnych syndykatów przestępczych, które stale penetrowały ulice w poszukiwaniu młodego, obiecującego narybku. Pod ich okiem młodzi zyskiwali pierwsze szlify w złodziejskim fachu, stając się postrachem dla społeczeństwa, które nie chciało, nie umiało wydobyć ich ze szponów nędzy, będącej matką wszelkiego zła.

Taki los stał się udziałem większości z tych, którzy stali teraz na dziedzińcu lubelskiego więzienia. Ostrowski sprawnie dzielił ich na plutony, wedle narzuconej przez siebie koncepcji. Miał przy tym okazję przekonać się, jak trudne brzemię wziął na swe barki. Kryminaliści mieszały szereg, wyklócali się o swoje przydziały i przeskakiwali z jednego do drugiego. Słowem, zrobiło się zamieszanie, które tylko z najwyższym trudem zdołał opanować. Jakub przekonał się, jakich to będzie miał żołnierzy. Zrozumiał, że będzie ich musiał wokół siebie jednoczyć to siłą, to chytrą siłą, bo wszelkie wzniosłe mowy o obronie ojczyzny spłyną po nich jak po kacze. Ale jednocześnie rad był w duszy, bo zdawał sobie sprawę, że z taką siłą i z takimi ludźmi wiele będzie mógł dokonać. Uszykował ich więc do wymarszu i wśród śpiewów i wzajemnych pokpiwań wyszli za mury więzienne.



Tam czekały już na nich dwie francuskie półciężarówki. Na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że lata swej świetności mają już dawno za sobą. Pordzewiałe błotniki i blacha aż nadto wyraźnie o tym świadczyły. Burty zrobione były z pomalowanego w barwy maskujące drewna, na którym widać już było pierwsze ślady gnicia. Łatwo więc zrozumieć, że przymusowi żołnierze nie wsiadali do owego wehikułu ze zbytym entuzjazmem. Ale załadowali się szybko i sprawnie, wychodząc ze słusznego założenia, że lepiej jechać, jak na zimnie stać. Natomiast uszczypliwościom pod adresem nieco leciwych pojazdów nie było końca.

– No proszę. Nas za byle co się zamyka. Ledwie ktoś kogoś nie z chęci, a z potrzeby nożem zadraśnie, a już pod kluczem ląduje. A tu taką niegospodarność w zarządzaniu państwowym pieniądzem się toleruje.

Tak oni rozmawiali między sobą, to kpiąc, to drwiąc, jak ludzie, którzy długo żyć się nie spodziewają i pogodziwszy się z losem, pragną wesoło ostatnie chwile spędzić. I tylko głowy im się chwiały w rytm jazdy, bo co chwila koła wpadały w dołki i dołeczki, jakich na źle utrzymanej drodze nie brakowało. Szczęściem jazdy nie utrudniało błoto, gdyż ostatnimi czasy niebo oszczędziło ludziom słońca i deszczy. Pewną niedogodność stanowił za to kurz, który wstawał za kolumną i otaczał ją zewsząd. Pchał się ludziom do oczu, do ust i osiadał na ubraniach. Ledwie oczami przeniknąć go było można, by dostrzec pola, na których z wolna ruch się zaczynał. Pracowali na nich chłopcy, pracowały lemieszce i pługi. Na swoje wróciły też bociany, które lustrowały teraz starannie swoje gniazda, patrząc, czy w czasie ich nieobecności szkody większe nie miały miejsca. Wszystko okrywało się zielenią i rozkwitało. W trawach grały ptaki i słuchało się ich z taką przyjemnością, że człowiek o całym świecie potrafił zapomnieć.

Takie też rozrzewnienie chwyciło Jakuba. Zapomniał o własnych troskach. Nie dbał o to, co przyniesie los. W swoim był jeszcze kraju, gdzie żadne niebezpieczeństwo nie mogło mu grozić. Patrzył i patrzył, przesywając wzrokiem pył, jakby chciał sielski obraz tej krainy w sercu swoim i w duszy utrwalić. Wiedział przecież, że idzie na niepewny los. Być może na śmierć. Może to ostatni raz. Może więcej nie zobaczy już ani tego miasta, ani tego kraju. A nawet jeśli wróci, to może już nie zobaczy tych wiosek, tych drzew, tych wiernych sędziwych grusz. Może zgruchocze je burza wojenna. Wsie pochłonie ogień, ludzi obcy miecz wymorduje i porani, a ptaki zamilkną. Bo mimo całej radości, która mu w piersiach buzowała, nie potrafił zapomnieć, że tu wszyscy żyją jako pod obuchem i tylko czekają hasła, by lemiesz zamienić na inne żelazo.

Tymczasem kolumna wjechała między dwie wstęgi lasu. Cichy szum drzew napełnił powietrze i okrył cieniem pas drogi. Na drodze stał ułan na koniu i z ręką przytkniętą do daszka czapki wpatrywał się w dal. Dostrzegłszy samochody, spiął konia ostrogami i podjechawszy do jednej z burt, krzyknął, by przebić się przez odgłosy pracujących na najwyższych obrotach silników:

– Pismo od Beliny Prażmowskiego! – Istotnie, cwałując wzdłuż samochodów, wymachiwał pismem nad głową.

Samochody zatrzymywały się z wolna. Ludzie podawali sobie wieść z ust do ust. I wszyscy byli ciekawi, czego też Prażmowski chciał od dowódcy zwykłej kompanii karnej, których dziesiątki po całym kraju tworzono. Nikomu nie było obce to nazwisko, gdyż otaczała je sława w teraźniejszych wojnach zdobyta. Belina miał mir nawet między przestępcami, bo ci z nawyku szanowali tych, którzy dobrze przyłożyć potrafią. A Prażmowski właśnie to potrafił jak nikt inny. Więc też nadzwyczajna ciekawość ogarnęła wszystkich. Wielu wystawiało głowy i nadstawiało uszu, chcąc

usłyszeć, o czym Jakub będzie rozmawiał z tajemniczym wysłańcem.

On zaś sprawnie zeskoczył z paki i przybliżywszy się do oddawcy pisma, przeczytał je półgłosem, po czym skinął na Tomasza, dając mu znak ręką, by do niego dołączył. Ten zdumiał się w pierwszej chwili, ani bowiem dotychczas przypuszczał, by tajemnicze pismo mogło w jakikolwiek sposób jego dotyczyć. Co tam wodzowie między sobą rozprawiają, to nie żołnierzy sprawa, tylko ich. Toteż zdumienie i zaskoczenie odbiło mu się na twarzy, lecz nie trwało dłużej jak mgnienie oka. Grobel był bowiem jak mało kto przyzwyczajony do posłuszeństwa i nie nawykł namyślać się długo, gdy szło o wypełnienie jakiegokolwiek rozkazu. Toteż po chwili znalazł się przy rozmawiających.

– Belina pisze mi, że na gwałt uzupełnień potrzebuje i skąd tylko może, ludzi ściąga. Ze wszystkich oddziałów – i nie omija nawet kompanii karnych. A ty służyłeś w kawalerii i zaprawę do takiej służby, jaka cię u niego czeka, masz. Polubiłem cię, olbrzymie, ale razem wojowali nie będziemy. A na froncie miej oczy otwarte, może się jeszcze spotkamy...

Tomasz nie umiał być wylewny, bo w jego charakterze leżała pewna skrytość, którą doświadczenia wojenne jeszcze pogłębiły. Nie chciał już lubić nikogo. Bez szemrania spełniał to, czego od niego zażądano. O nic więcej nie dbał. Patrzył więc z obojętnością na oddalające się samochody i było mu najzupełniej obojętne, czy jeszcze spotka się z tymi, których wiozły.

– W lesie ktoś na ciebie czeka – rzekł ułan i zanurzył się w leśnym zagajniku.

Tomasz po chwili niepewności ruszył za nim. Wszedł w las. Pod butami pękały mu gałęzie, a mech uginał się pod ciężarem jego stóp. Drzewa ocierały się o siebie, powodując hałas, który, gdyby był strachliwy, mógłby wzbudzić w nim lęk. On jednak ze spokojem szedł za prowadzącym go oficerem. Przeskakiwał nad

ledwo wystającymi ze ściółki małymi pieńkami drzew. Gałęzie czepiały się ubrania, smagały po twarzy. Grunt to opadał, to się podnosił. Ale obaj mieli dostateczną zaprawę fizyczną, więc nie odczuwali tego zbyt. Zresztą w zagajniku chłodniej było niż na otwartej przestrzeni.

W końcu jednak wyszli na niewielką, okrytą zielenią polankę, którą z czterech stron otaczał las. Na polance leżało sporych rozmiarów drzewo, na którym siedział człowiek zwrócony do nadchodzących plecami. Gdy tylko usłyszał kroki, obrócił się w ich stronę. Był to Wieniawa.

Nieznacznym ruchem ręki odprawił oficera, który zniknął jak duch. Przez chwilę przyjaciele lustrowali się nawzajem w milczeniu. Pierwszy Tomasz uściśnął Wieniawę, aż temu oczy na wierzch wyszły. Trwali w uścisku, obaj ciesząc się tą chwilą.

– Więzienie nic cię nie zmieniło – zauważył pułkownik. – Po staremu niedźwiedzia byś zadusił.

– Wybacz. Ciężko mi zawsze być twoim dłużnikiem. Choć przez chwilę myślałem, że mnie tam zostawisz jako i wszyscy.

Pułkownik uśmiechnął się kącikiem ust.

– Oj tam – odparł. – Nawet gdybym chciał, to po świecie chodzi taka jedna, która by mi o tobie przypominała. Ale muszę ci szczerze powiedzieć, żeś lepszy do wojaczki jak do normalnego życia, bo sam najwięcej sobie zaszкодziłeś. Nie trzeba było policjanta mordować.

Tomasz wytłumaczył pokrótce, jak to się odbyło. Wieniawa słuchał i drobił kroki. Jednocześnie głową kręcąc, jak człowiek, który nad czymś intensywnie rozmyślał i właśnie doszedł do satysfakcjonujących go wniosków.

– Tak, tak. Te kobiety. Zda się, że ziemia kręci się wokół słońca, a tak naprawdę obraca się wokół kobiecej urody. One potrafią tak człowieka omotać, że na największą potworność się zdobędzie, byle je przy sobie zatrzymać. Włosami muśnie, do ucha szepnie,

pocałuje i człowiek rozum traci. Ale w odwrotną stronę też to działa. Twoja Weronika na przykład. Gdybyś jej kazał, do piekła by poszła i wróciła. A tak na mnie nastawała o twoje uwolnienie, że najbardziej wzięty adwokat, co dla grosza przed Temidą osłania, nie potrafiłby lepiej.

Tomasz podkreślił węża i uśmiechnął się lekko. Skoro Wieniawa tak mówi, to tak pewnie jest – pomyślał. Wielka to głowa, którą po swojej stronie zawsze warto mieć. No i na kobietach zna się też jak nikt. Mnie z lochu wyciągnął, gdym zgola nadzieję na szczęśliwe wyrwanie się z więzienia utracił.

– Ot, nie wiem, jak mam ci dziękować. Nie wiem, coś sobie we mnie upatrzył i czemu ratował.

– Zaprosisz mnie na wesele, a potem na chrzciny, a pierwszemu waszemu chłopakowi będzie Bolesław. Wtedy będziemy kwita.

– Daj mu, Boże, twoje szczęście do kobiet odziedziczyć. Ale to masz pewne.

Szczęście to czy klątwa? Wieniawa-Długoszowski zdawał sobie sprawę, że większość mężczyzn zazdrości mu nadzwyczajnego powodzenia, jakie miał u przedstawiolek płci przeciwnej. Ale on ani się o nie starał, ani nie wiedział, z czego wynikało. Któż w końcu zrozumie kobietę? On miał dość rozumu, by nawet nie próbować. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak to się działo, że wszystkie kobiety leciały do niego jak pszczoły do ula. Kiedy był młodszy, korzystał z tego bez opamiętania. Ale nie teraz. Bo dziś miał rozum bogatszy o doświadczenie wielu lat, które były już za nim. Dziś miał świadomość, że uczucie może sprawiać ból i przyprawiać o rozpacz. Stefania była tego najlepszym przykładem. Broniła go przed innymi, aż popadła w paranoję. Teraz on uciekał przed kobietami, bo nie chciał ranić nikogo.

– Nie daj mu, Boże, tego „szczęścia”.

Tomasz wytrzeszczył oczy. Nic bowiem nie potrafił pojąć ani zrozumieć. Każdy mężczyzna oddałby duszę diabłu za to, żeby

każda kobieta, na którą spojrzy, w ogień za nim skoczyć była gotowa. Ale Wieniawa sądził widać inaczej. Tomasz nie miał zamiaru przeciwko jego rozumowaniu protestować, bo sam czuł, że to nie jest pole, na którym mógłby się wykazać. O, na polu bitwy to co innego. Tam niewielu było lepszych od niego. Ale tam wystarczyło mieć rozum w pięści. (Choć i to czasem niewiele pomagało, bo mocny zawsze znajdzie mocniejszego, albo go kula przeszyje, na którą nawet najmocniejsza i najbardziej krzepka ręka nie poradzi).

– Dość o tym – uciął Wieniawa. – Nasza sprawa jeszcze nie skończona. Do ludzi nie możesz się wrócić, póki cię jak zwierza ścigają, bo złapią. Znowu cię zamkną, albo nie czekając, na miejscu powieszą. Konia i szablę dla ciebie mam. Naprawdę pójdziesz do oddziałów Beliny Prażmowskiego. To mój przyjaciel i wie, w czym rzecz. A dobrzy żołnierze mu się przydadzą, bo ciężką on ma robotę przed sobą. U niego się przyczaisz. On też cię później osłoni, gdyby ci za złe dawniejsze przewiny mieć chciano. Ja też dobrego słowa za tobą nie będę żałował.

Tak rozmawiając, wyszli poza polanę, gdzie zgodnie z obietnicą czekał już koń. Było to zwierzę rasowe. Tomasz rzucił na niego okiem znawcy i oczy mu pojaśniały. Kary rumak leniwie skubał trawę, strzygąc przy tym uszami. Na czole miał białe znamię w kształcie błyskawicy. Na widok swego pana zarżał cicho, jakby na przywitanie. Wieniawa skinął mu głową.

– To Anna – rzekł, zwracając się do Grobla. – Duma i chluba mojej stadniny. Komendę rozumie niemiecką, francuską i rosyjską. Sam ją objeżdżałem i ręczę, że dobrze i wiernie ci będzie służyła.

Tomasz wytrzeszczył oczy. Znał on wielu ludzi, bo w czasie swoich wieloletnich tułaczek po świecie miał okazję spotkać ich całą masę. Ale musiał przyznać sam przed sobą, że ktoś taki jak Wieniawa to był chyba tylko jeden. Darował mu klacz, za którą dwie dochodowe wioski można by kupić? Rozrzucał pieniądze,

jakby te rosły na drzewach albo szatan mu je w pocie czoła wyrabiał. Słowem nie dbał o coś, za czym gonila większość ludzi, jego samego – Tomasza – nie wyłączając. A jednocześnie niczego nie chciał w zamian.

– Mam ich wiele – rzucił Długoszowski nieco chełpliwie. – Życzę ci, żebyś zjechał na niej daleko i abyś nigdy nie wylądował pod jej kopytami.

– Dokąd na niej mam jechać, bo nawet tego jeszcze nie wiem?

– Jeśli Bóg i los pozwoli, do Wilna.

## Rozdział III

Jerzy Dobrowolski nie znosił wszelkich uroczystości: bali, rautów, rocznic i tym podobnych. Gdyby to od niego zależało, zreformowałby kalendarz tak, by nie dawał żadnych okazji do świętowania. Od zawsze był bowiem typem pracoholika i domatora. Na szczęście specyfika jego pracy pozwalała mu nie bywać na podniosłych uroczystościach, które zwykle były jedynie dobrymi pretekstami do tego, by spędzić miło czas przy szampanie i z kobietami. Na takie okazje czyhała cała masa dziennikarzy, którzy mogli nie tylko dobrze zjeść, ale także, a może przede wszystkim, uzyskać świetne materiały dla swoich pracodawców. A on bynajmniej nie potrzebował, by jego twarz trafiła na strony popołudniowych i wieczornych dzienników. Rozgłos bowiem nie służył instytucji, którą kierował.

Zdarzały się jednak sytuacje, takie jak podczas ostatniego rautu, kiedy to jego obecność była nieodzowna, bo cała uroczystość służyła tylko za pretekst do zamaskowania odprawy wojskowej. A na niej musiał się stawić dla zreferowania działań, jakie podjął wywiad, by ułatwić armii prowadzenie przyszłej kampanii wojennej. Z tym wyzwaniem zapewne jakoś by sobie poradził i nie tylko starannie zreferował działania podjęte przez wywiad, ale także ukrył swą obecność przed osobami postronnymi. Ogromne doświadczenie, jakie zebrał w czasie pracy wywiadowczej, pozwalało mu bowiem udawać, kogo zechciał. Nie przewidział tylko, że spotka tam własną żonę i córkę. I o ile rozmowę z córką



mógł uważać za udaną, bo wiele zdołał jej wyjaśnić i wytłumaczyć, to wszystko się posypało, gdy zechciała ponownie swatać go z matką.

Gdyby nie to, nie doszłoby do tego, co się zdarzyło. Wspomniał o Wiktorze, nie wiedząc, że dziewczyna czujnie podsłuchuje pod drzwiami. Zapewne była gotowa interweniować, gdybyśmy próbowali wzajemnie się pozabijać – pomyślał, poprawiając się w fotelu. A tak – zemdląca. I kto temu winien? Oczywiście, że ja! Ja!

Zacisnął palce na wiecznym piórze, którym podpisywał papiery. Jeśli czegoś w swojej pracy nie znosił, to właśnie tej papierkowej roboty. Jakby w pracy wywiadu najważniejsze były koszty. W tej robocie liczy się tylko skuteczność i nic poza tym, bo za klęski drogo trzeba płacić. Więc nie miało znaczenia, ile pieniędzy się wydało. Ale jego zwierzchnicy zdawali się tego nie rozumieć. Rozliczali go z każdej marki, z każdej wydanej decyzji o wydatkach. Złościło go to zawsze, ale wiedział, że tym razem nie tu tkwi źródło jego gniewu, tylko w tym, że postąpił tak głupio i nierozważnie, a potem samo poszło. Zamiast zasypać rów, który oddzielał go od rodziny, tylko go pogłębił.

Wyprostował się w fotelu. Kilkakrotnie odetchnął, ale nadal nie czuł ukojenia. A właśnie teraz go potrzebował. Potrzebował jasności umysłu, bo gra, którą rozpoczął, właśnie zbliżała się do finału. I był to jej najtrudniejszy etap. Każda gra i praca stawała się tym trudniejsza, im dłużej trwała, bo narastające wraz z upływem czasu zmęczenie tylko zwiększało ryzyko błędu. A on nie potrafił skupić się na rozgrywce, choć wiedział, że powinien, bo dźwigał odpowiedzialność za losy milionów. I cóż z tego, skoro potrafił myśleć tylko o dwóch kobietach, które posiadały jego serce. Beata była na niego wściekła, choć z tego, co pamiętał, sama była przeciwko Wiktorowi. Myśl o pojednaniu z nią musiał odłożyć na czas nieokreślony. Elizie na razie nic nie groziło, poza złamanym sercem, ale od tego się nie umiera.

Wydrapie mi oczy, gdy się wszystkiego dowie – pomyślał. Ale robota ma pierwszeństwo.

– Przed moim sercem także. Temu, kto za wielu odpowiada, nie wolno sercem myśleć ani dla serca sprawy porzucić – mruknął sam do siebie i chwycił za telefon.

Łączył go on bezpośrednio z sekretariatem, gdzie za biurkiem siedziała w tej chwili Gośka. Obojętnym tonem wydał jej rozkazy i upewnił się, czy dobrze je pojęła. Następnie odłożył słuchawkę na widelki i zamyslił się głęboko. Wydawało mu się, że wszystko zrobił i wszystko przewidział, ale jeszcze raz analizował własne postępowanie. Wiktora ze sprawy wyłączyłem, by oni mogli uruchomić Zofię – pomyślał i uśmiechnął się. Fałszywe materiały podsunąłem i teraz pozostaje mi tylko zarzucenie pętli. Ale gdyby jeszcze szerzej sieci zarzucić? Gdyby się udało oficera zdjąć...

Tu pokusa opanowała go znów z całą siłą i zaczął poważnie rzecz rozważać na dwoje. Mocował się sam ze sobą i czuł ciężar brzemienia, jakie wziął na barki. Bo jeśli się pomyli i sięgnie za daleko, to klęska zrodzi straszliwe owoce. Cóż się bowiem stanie? Cały plan spali na panewce, a przecież niemało się nad nim napocił. A na dodatek klęska ujawni pośrednio wszystkie polskie cele.

I nie wiadomo, jak by się ta jego wewnętrzna walka skończyła, bo miał tę ambicję, że chciał, by polski wywiad był najlepszy na świecie. A mógł to udowodnić, wielką grę skutecznie i z powodzeniem przeprowadzając. Na szczęście otworzyły się drzwi i zaraz myśl jego zwróciła się w inną stronę.

Do gabinetu weszła bowiem Lucyna wraz ze Stefanem. Oboje byli bardzo zmieszani, bo nie przywykli do obcowania z wielkimi tego świata. Stefan był sobie zwykłym strażnikiem granicznym, który na skutek zatargu ze zwierzchnikiem pracę utracił. Toteż wszedł do gabinetu z duszą na ramieniu, bo zdawał sobie sprawę, że w tym miejscu rozstrzygnie się jego los. Lucyna zaś mniej była

przeżazona, bo się niczego od losu i życia nie spodziewała. Przed nimi szła Gosia Jarzębowska, która skłoniwszy się lekko, rzekła:

– Wincenty Witos czeka w przedpokoju.

Pułkownik Dobrowolski roześmiał się w duszy, bo aż za dobrze wiedział, co sprowadza w jego skromne progi prezesa PSL „Piast”. Ledwo i tylko z najwyższym trudem orientował się w ciągłych zmianach i przetasowaniach, jakie niemal bez przerwy zachodziły w chłopskim stronnictwie. Dwaj przywódcy aspirujący do miana liderów i mający sprzeczne wizje przyszłości i celów ruchu chłopskiego rozerwali je w końcu. Lecz tylko Witos potrafił wraz ze swoim stronnictwem dostać się do sejmu. Swoimi ludźmi zarządzał w sposób dyktatorski, a ci czujnie wypatrywali najlżejszego skinienia jego dłoni. Jerzy wiedział, czemu zawdzięczał tę wizytę. W końcu udanie utracił posła „Piasta”, który odpowiadał za nadzorowanie służb.

– Zaraz go przyjmę – odparł. – Tylko tę sprawę krótko załatwię. A potem Andrzeja mi zawezwij, bo i z nim chcę mówić. A teraz naszym gościom przynieś coś do picia.

Kobieta uśmiechnęła się, bo знаła Jerzego na tyle, by wiedzieć, że polecenia wypluwał z prędkością pocisku. A spełniać je trzeba było szybko i dokładnie. Ale nie skarżyła się nigdy, bo Dobrowolski płacił hojnie, o ludzi dbał i własnych kości nie oszczędzał. I nieraz wtedy z pracy wychodził, gdy oni do niej wracali. Nie przyjaźnił się z nikim z podwładnych. Surowy był dla nich, ale sprawiedliwy i nikt się na jego niewdzięczność nigdy nie mógł skarżyć. A już najmniej ona, bo dobrze pamiętała, że konsekwencji służbowych wobec niej nie wyciągnął, choć mógł. Starła się więc ze zwiększoną gorliwością za ową łaskę odwdzińczyć, dlatego teraz znikła jak duszek.

– Niech państwo siadają – poprosił, wskazując na dwa fotele, które stały naprzeciw niego. – Nie mam dla was za wiele czasu, bo wy wypoczynku potrzebujecie, a i ja nie wiem, w co ręce włożyć.

Specjalnie zwrócił się do nich tak uroczyście, bo wiedział, że taki zwrot do ludzi w ich własnych oczach na wyższy ich pułap podnosi. Chodziło mu zaś o to, by ich nieśmiałość przełamać. Miał bowiem swoje na przyszłość obydwójga widoki. Z radością spostrzegł, że udało mu się to, co zamierzył, bo oboje uśmiechnęli się i zasiedli naprzeciw niego. Lucyna wyglądała niezwykle skromnie, gdyż ubrała się zgodnie z modą, nie dbając tym razem o przyciąganie męskich oczu. Jerzy ledwie musnął ją oczami, po czym zatrzymał wzrok na Stefanie.

– Przepraszam, że pozwoliłem czekać. Ale to, co pan mówił o stanie granicy, wzbudziło żywy niepokój nie tylko u mnie, ale i w samym sztabie generalnym. Teraz idą takie czasy, że na bezpieczeństwie granicy zależy nam bardziej niż na samym życiu. Nie trzeba więc panu tłumaczyć, z jakim niepokojem przyjęliśmy raport, który na moje ręce złożył podporucznik Adamczewski. Jednak informacje w nim zawarte wymagały ostatecznego potwierdzenia, którego dokonano innymi kanałami, nad szczegółami czego ze zrozumiałych względów nie będę się rozwodził.

Stefan nerwowo przełknął ślinę. Miał takie wrażenie, jakby skrzepła mu w gardle. Niby wiedział, że nie kłamał i niczego nie przeinaczył. Wszystko, co opisał w raporcie sporządzonym przez Wiktora, można było przy odrobinie dobrej woli pozytywnie zweryfikować. Ale czy ta dobra wola się znalazła? Czy znów ważniejsze i mocniejsze od prawdy nie okażą się wpływy i koneksje? A on zostanie sam, z wściekłą żoną na karku. Gdy o tym myślał, włos jeżył mu się na głowie z przestrawu, bo znał swoją żonę na tyle, by wiedzieć, że nie okaże mu miłosierdzia. Przez całe dalsze życie będzie musiał wysłuchiwać gadania o tym, jakim to jest nieudacznikiem, który nawet własnej rodzinie bytu zapewnić nie potrafi. Ta myśl przerażała go do szpiku kości, więc na dalsze słowa Dobrowolskiego czekał jak na wyrok.

- Nasze źródła potwierdziły zasadność sformułowanych w raporcie zarzutów – mówił Dobrowolski. – Niestety nie możemy postawić Grzywaczewskiego przed sądem. Skandal nie jest nam potrzebny, bo z niego korzystać ma tylko prasa, która zapewne wałkowałaby ten temat przez kilka tygodni. Jest tam bowiem wszystko, co zwykle wzbudza zainteresowanie u przeciętnego czytelnika: malwersacje, łapownictwo i karygodny brak dyscypliny. Zarzuty te po części obciążają także moje konto, bo to ja odpowiadam za nominację Grzywaczewskiego na to stanowisko, które zupełnie go przerosło.

Twarz Jerzego zmierzchła, bo istotnie wyrzucał sobie bardzo, że przyłożył rękę do nominowania Grzywaczewskiego. Polecali mu go jednak ludzie, którzy cieszyli się powszechnym publicznym szacunkiem. Nie miał więc najmniejszego powodu, by lekceważyć ich rady i rekomendacje. Nawet był zadowolony, że przynajmniej jeden kłopot zdjęto mu z pleców. Zdał się na innych i teraz miał za swoje. Chciało mu się kląć i wyć, kiedy czytał raport, i poprzysiągł sobie solennie i uroczyście, że ci, którzy mu tę kandydaturę podsunęli, drogo za to zapłacą. Bez względu na to, jakie stanowiska pełnią i jakim poważaniem cieszą się w społeczeństwie. Teraz jednak musiał skupić się na naprawieniu szkód, które już wyrządzono. Małostkowa zemsta mogła poczekać, bo nie miał zamiaru pozostawiać jej Bogu. Najpierw jednak należało ratować autorytet dowództwa, który został mocno nadszarpnięty przez Grzywaczewskiego, który nie miał zamiaru dbać o powierzonych swej pieczy żołnierzy. Należało to naprawić i przywrócić ludziom wiarę w system.

Jerzy chciał zacząć mówić, ale musiał z tym chwilę poczekać, bo do gabinetu weszła właśnie Jarzębowska i postawiła przed nimi tacę z herbatą i ciastkami. Uśmiechała się przy tym tak, jakby chciała przeprosić, że nie może postawić więcej. Braki aprowizacyjne, które były jedną z największych bolączek młodego

i dopiero organizującego się państwa, doskwierały równo wszystkim.

– Jedzcie, pijcie – zachęcił. – Wybaczcie, że nie możemy postawić nic więcej, ale takie czasy przyszły. No ale kiedyś sobie pójdą i wtedy polejemy i wypijemy, ile trzeba. Pan, panie Stefanie, zdaje się, ma rodzinę?

Pytanie to zadał lekkim i swobodnym tonem, jednocześnie pochylając się i przeszukując jedną z biurowych szuflad. Przez chwilę w gabinecie słychać było jedynie szelest papierów i odgłosy picia i jedzenia. Zarówno bowiem Lucyna, jak i Stefan skorzystali z chwili, gdy wzrok Dobrowolskiego przestał na nich ciążyć, i jedli. Wreszcie jednak pułkownik uwieńczył poszukiwania powodzeniem i jego głowa wróciła nad biurko. Położył na blacie papiery, spięte agrafką.

– Mam i nie mam – odrzekł Stefan, z ledwie wyczuwalnym sarkazmem. – Żona tylko, bo dzieci dawno na swoim i tylko wtedy na rodzinnym progu stają, gdy raz na miesiąc wpadną. Ale to naturalna kolej rzeczy i inaczej być nie może.

To tak jak u mnie – pomyślał Dobrowolski.

Przez chwilę znowu się zasępił, ale zaraz przypomniał sobie, że to nie czas i miejsce na rozmyślanie o prywatnych sprawach. One powinny zniknąć, gdy tylko przekraczał próg tego gabinetu. Rozumiał to, ale nie zawsze udawało mu się pokonać samego siebie, własne pragnienia. Teraz jednak szybko odzyskał panowanie nad sobą i dostrzegł, że oczy obecnych skupiły się na leżącym na biurku dokumencie.

– Cieszy mnie, że nie ma pan już żadnych zobowiązań rodzinnych – stwierdził, otwierając dokument. – Dowództwo uznało, że nie ma sensu angażować w te sprawy kogoś nowego. Nie ukrywałem przed panem, że nie chcemy nadawać tej sprawie zbyt wielkiego rozgłosu. Tu jest dymisja Grzywaczewskiego.

Zawiezie mu ją pan osobiście i obejmie jego funkcję aż do czasu nadejścia oficjalnej nominacji.

Ludzie umierają z bólu, a nie z radości. Gdyby było inaczej, Stefan zapewne skonałby z radości, była ona bowiem tak wielka, że prawie się zadławił. Oto mógł już uważać swój byt za zabezpieczony. Nawet jego żona pierwszy raz spojrzy na niego z szacunkiem, gdy tylko przekaże jej tę szczęśliwą wieść. Nie bez znaczenia był też fakt, że będzie mógł zatriumfować nad Grzywaczewskim, którego nienawidził z całej duszy. Już cieszył się na wrażenie, jakie na nim zrobi, i prawie nie słuchał Dobrowolskiego, który wyjaśniał mu motywy, jakie zaważyły na podjęciu tej decyzji:

– Znasz tamtych ludzi, ludzie ciebie i najlepiej pod twoją komendą będą służyli. Prześledziłem twój życiorys i nie zauważyłem ani jednej plamki. Natomiast doświadczenia odmówić ci nie sposób i ufam, że je z pożytkiem dla nas wykorzystasz. – Dobrowolski uniósł się i wręczył Stefanowi dokumenty.

Ten przez chwilę zdawał się być nieobecny duchem. Siedział tylko w fotelu z błyszczącymi radością oczami i szerokim uśmiechem na ustach. Dopiero gdy Lucyna go szturchnęła, otrząsnął się i przyjął dokumenty.

– Ufam, że godniej od poprzednika będzie pan ten urząd sprawował – rzekł mu na koniec Dobrowolski. – A teraz przepraszam, ale chciałbym zostać sam na sam z pańską znajomą.

Dostrzegł między nimi szybką wymianę spojrzeń. We wzroku Lucyny ujrzał skrytą obawę. Nie dziwił się, że ją tam widzi. Dziewczyna z pewnością zaznała od ludzi więcej złego niż dobrego. Bo i zawód miała taki, który nie skłaniał innych do okazywania jej szacunku. Zapewne traktowano ją jak rzecz, którą się kupuje i sprzedaje, wedle woli. Ale on wiedział, co było jej udziałem, znał bowiem jej życiorys i miał już względem niej

pewne plany. Ale najpierw musiał ją przekonać o czystości swoich intencji.

Uśmiechnął się więc, by okazać jej sympatię, i rzekł:

– Proszę być zupełnie spokojną. Nie ukrywam, że mam dla pani pewną propozycję, ale nie mam też najmniejszego zamiaru do niczego pani zmuszać. To będzie tylko pani wybór, bo wybory są przywilejem i przykrym obowiązkiem człowieka wolnego. Na razie proszę się uważać za mojego gościa i wybaczyć, że przyjmuję panią w takich warunkach. Jednak to, o czym chcę z panią mówić, musi pozostać tylko między nami, dlatego nalegam, aby nasza rozmowa odbyła się bez świadków. Oczywiście może pani wyjść stąd teraz, a moją propozycję uznać za niebyłą.

To rzekłszy, dał Stefanowi znak, który ten należycie pojął i zrozumiał. Z pewną ulgą opuścił gabinet swojego nowego zwierzchnika. Nareszcie mógł dać w pełni upust nieklamanej radości, która od pierwszej chwili rozpierała mu serce.

Dobrowolski odprowadził go wzrokiem i zaczął, aż zamknął się za nim drzwi. Następnie odczekał jeszcze chwilę, dając kobiecie czas na podjęcie decyzji, czy zechce go wysłuchać. Tymczasem wodził wzrokiem od ściany do ściany i czekał.

Lucyna bawiła się palcami, byle tylko zająć czymkolwiek ręce. W ostatnim czasie w jej życiu zaszło tyle istotnych zmian, że prawie nie mogła za nimi nadążyć. Jedno spotkanie wywróciło do góry nogami cały porządek świata, w którym dotąd żyła. Jeszcze tak niedawno wystawała na ulicach i oddawała się byle komu za marne grosze. A teraz oto siedziała sobie w gabinecie dostojnika państwowego, a za drzwiami siedział Wincenty Witos. Gdy o tym myślała, to wydawało jej się, że śni. Zaraz się wybudzi i znajdzie się w dobrze sobie znanej norze, w której zwykle przyjmowała klientów. Tam była u siebie, tu czuła się obco. A jednak nie wyszła. Była ciekawa, czego może chcieć od niej tak poważna persona. Otaksowała go wzrokiem, ale tak, by tego nie dostrzegł, bo na to,



by spojrzeć mu w oczy, nie znalazła w sobie dość odwagi. To, co spostrzegła, sprawiło jednak, że uśmiechnęła się nieznacznie.

Jerzy wydał jej się bowiem typowym mężczyzną w średnim wieku. Takim, co to już siły tracił, ale żadną miarą nie chciał się do tego przyznać. Znała takich jak oni, bo to właśnie tacy ludzie szukali potwierdzenia swej wartości u pań lekkich obyczajów. Byli też najlepszymi klientami, bo niezwykle rzadko bywali agresywni, nie mieli ekstrawaganckich wymagań i płacili terminowo. Wystarczyło tylko umiejętnie udawać, że wszystko robią dobrze. Ona to potrafiła, bo dostatecznie długo praktykowała swój fach i potrafiła sprawiać wrażenie, że praca sprawia jej przyjemność. Jerzy nie był jednak tak zaniedbany, jak jego rówieśnicy. Jego wiek zdradzał jedynie nieśmiało rysujący się pod mundurem brzuszek, lekko przeredzone włosy i zmarszczki w kącikach oczu.

Zapłacić bym sobie kazała, ale miałam wielu gorszych – pomyślała i rozluźniła się na tyle, że mogła wydobyć z siebie głos.

– Panie pułkowniku – zaczęła, chcąc udowodnić, że nie jest osobą ciemną i odróżnia rangi. – Od pewnego czasu wszyscy chcą mi pomagać. Przeraza mnie to i niepokoi jednocześnie. Handel znam. Ale nie wiem, do czego panu pułkownikowi miałyby być potrzebna prostytutka. Zapewne stać pana na lepsze.

Ot, rozsądne podejście do życia – pomyślał Jerzy.

Sięgnął po złożoną papierośnicę. W środku tkwiły ustawione w rzędach i spięte tasiemką papierosy. Wyjął jednego i obracał go przez chwilę w palcach, po czym wsunął do ust i przypalił. Puścił kilka kółeczek dymu na cztery strony świata i z przyjemnością przymknął oczy. Na koniec jednak przypomniał sobie o Lucynie, bo wskazał na papierośnicę, rzekł:

– Jeśli panna dymiąca, to proszę się częstować. Nie jestem dobrym człowiekiem. Nim może być tylko ksiądz, bo on tylko zbawienie duszy na uwadze mieć ma za zadanie. Ja zaś jestem urzędnikiem państwowym i choćbym nie chciał, to tego i owego

czasem zniszczyć muszę. W środkach też nie zwykłem przebierać, więc często korzystam z takich, które znajdują się w arsenale szatana. Cieszy mnie, że pani to rozumie i szlachetności ode mnie nie wymaga, bo mnie na nią zgoła nie stać. Ale tobie los drogi życiowej kwieciami nie usłał, więc wypowiem jasno, o co mi chodzi, grę wstępną pomijając.

Tu przerwał na chwilę, bo Lucyna pochyliła się nad biurkiem i sięgnęła po papierosa. Mozoliła się chwilę z wyjęciem go z papierośnicy, gdyż najwyraźniej nie była przyzwyczajona do korzystania z niej. Ale wkrótce się z tym uporała i wsunęła papierosa między wargi. Jerzy pstryknął zapalniczką, uwalniając jasny ognik, i usłużnie go przypalił. Kobieta z przyjemnością zaciągnęła się dymem, którego siwy obłoczek rozproszył się w powietrzu. Zmrużyła oczy, a na twarzy odbił jej się wyraz błęgiego zadowolenia.

– Tak, tak – mruknęła, spoglądając w górę – człowiek biedny orientuje się, ile traci, nie będąc bogatym, dopiero wtedy, gdy bogactwa przypadkiem liżnie. Jeszcze w życiu takich nie paliłam. Moimi przy tych można krowy częstować. Ale zgaduję, że nie bez przyczyny próbuje mnie pan omotać tym luksusem. Chce pan ze mnie zrobić narzędzie do swoich rąk, bym z ochotą służyła jego celom.

Inteligencja wzrosnie czasem tam, gdzie nikt się jej znaleźć nie spodziewa, a często nie ma jej tam, gdzie włożono ogromny trud, by wyrosła. To pomyślawszy, Jerzy uśmiechnął się do Lucyny jak nauczyciel, który pośród zgrai tumanów odnalazł wreszcie tego, do którego warto mówić. Zaciągnął się dymem mocno i głęboko, nie przejmując się ostrzeżeniami lekarzy.

– Nie będę przeczył – odparł. – Ale gdy wspólny nam wróg, razem go zwalczać należy.

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym niedowierzania. W głowie nie mogło jej się pomieścić, że ją i tak wpływowego człowieka

mogło cokolwiek łączyć. Nawet wspólni wrogowie. To było bowiem zupełną niedorzecznością. Ona była zwykłą prostytutką, jakich tysiące zaludniało ulice, w czasie gdy nędza i głód na stałe zadomowiły się w kraju. Jakich miała wrogów? Zwyczajnych żulików, którzy czasem usiłowali odebrać jej nocny utarg, albo marnych naśladowców sławnego londyńskiego mordercy. Ale to nie byli ludzie takiego kalibru, żeby mogli zagrozić komuś na takim stanowisku, jakie zajmował siedzący przed nią mężczyzna. Jemu nie mogło chodzić o jakiegoś Mietka czy Heńka, ludzi nocami szukających łupu pośród takich jak ona. Na samą myśl wstrząsnął nią śmiech. Starła się go powstrzymać, bo pamiętała, gdzie się znajduje. Twarz nabiegła jej krwią, oczy wyszły na wierzch i zaszczyły łzami. W końcu zabrakło jej oddechu i musiała dać upust ogarniającej ją wesołości, by się nie udusić.

Śmiała się histerycznie przez dłuższą chwilę, co Jerzy obserwował z nieodgadnionym wyrazem twarzy. On jeden wiedział, na co się porywał. Dlatego w myślach już analizował kolejne posunięcia. Zastanawiał się, do kogo powinien z tym iść w pierwszej kolejności. Na którego z polityków i wojskowych mógł liczyć z całą pewnością. Wprawdzie wielu z nich troskliwie dbało o to, by uchodzić w oczach ludzkich za kogoś, kto godzien by był udawać Katona. W rzeczywistości większość polityków, którzy karmili ciemny lud wzniosłymi mowami, była jedynie napędzanymi własnymi ambicjami oportunistami, którymi mógł chwiać każdy podmuch wiatru. Problem polegał na tym, że nawet ludzie z dużym doświadczeniem życiowym mieli duży problem z przeniknięciem ich rzeczywistych zamiarów i odgadnięciem, czy wzniosłe słowa wypływają z serca czy z umysłu. Czy za słowami stała szczerza miłość do ojczyzny, czy tylko zimne wyrachowanie, które kazało własne wady pod wzniosłymi słowami przed ludźmi ukrywać.

Przeliczał ich sobie na palcach i niezbyt radował go wynik, jaki otrzymywał. Wiedział, że starcie z Mierosławskim będzie walką długą i trudną, bo prowadzoną z nie byle kim. Ludwik Mierosławski był graczem nie lada, bo gdyby nie był, toby nie zbudował finansowego imperium. W dodatku miał za sobą całe mnóstwo popleczników, którzy jego złota pilnować będą. Jerzy doceniał przeciwnika mimo niechęci, jaką do niego odczuwał. Wiedział, że walka między nimi będzie długa i zacięta. Tylko że on nie miał zamiaru prowadzić jej własnymi rękoma. Wolał robić to przez pośredników. Takich jak Lucyna. Tak, Mierosławskiego należy osaczyć – myślał. Stworzyć wokół niego tak silną pętlę, aby żaden z jego klientów nie mógł mu już pomóc. Ale sam tego nie dokonam. Potrzebuję sojuszników. Zwykła prostytutka nim nie będzie, ale od czegoś w końcu trzeba zacząć. Gdy zgromadzę dostatecznie dużo dowodów, wtedy skoczę mu do oczu i za wszystko mi zapłaci.

Uśmiechnął się do tej myśli. Uznał, że nadszedł już właściwy moment na rozwianie wszystkich wątpliwości i wyznanie jej zasadniczego powodu, dla którego tu jest.

– Naszym wspólnym wrogiem jest Ludwik Mierosławski. Pamiętasz go, prawda? Pamiętasz, kto, wykorzystując twoją nędzę, używał cię dla własnej korzyści. Pamiętasz, kto odebrał ci źródło utrzymania. Kto uczynił z ciebie osobę, jaką jesteś. Podsuwał cię tym, od których chciał uzyskać korzyści. To przez niego nigdy już nie będziesz matką. Chcesz się zemścić? – Smagał ją słowami niczym biczem, bo pragnął wzbudzić w niej odpowiednie emocje. Wybudzić je z głębokiego uspienia, w którym tkwiły aż dotąd.

Po chwili dostrzegł, że jego słowa nie chybiają celu, bo twarz kobiety poszarzała. Wargi jej zadrżała, skóra pokryła się potem, a w oczach stanęły łzy. Twarz nabiegła jej krwią, a drganie mięśni nie mogłoby umknąć niczyjej uwadze. Lecz kobieta nie dbała teraz o nic. Nie uciekała, jak zwykle robią ludzie, których przemożny ból

przygniecie do ziemi, lecz cała oddała się swemu żalowi, bo słowa Jerzego podrażniły w niej dawno zasklepioną ranę. Wbiła paznokcie w wewnętrzną powierzchnię dłoni, jakby chciała otrzeźwić się bólem. Fizyczny ból przyniósł jej pewne ukojenie, bo spojrzała na Jerzego przytomniejszym nieco wzrokiem, choć obraz miała rozmazany przez łzy, nad którymi nie potrafiła zapanować. Pokręciła głową jak człowiek, który wybudził się ze snu i wypęcza jego resztki spod powiek. Nie. Nigdy nie myślała o zemście. Ból, który zadano jej i jej bliskim, był tak silny, że prawie odebrał jej życie. Ale wytrzymała. Musiała wytrzymać. Dla matki, która wprawdzie wypędziła ją z domu i usiłowała zerwać wszelkie kontakty; katolickie wychowanie, które odebrała, i żarliwa wiara, jaka w niej była, sprawiały, że nie mogła zaakceptować panny z dzieckiem. Ale Lucyna nie chciała, nie mogła jej porzucić. Chciała mieć przy sobie choć jedną bliską osobę. Matce zaś jej opieka była potrzebna, bo siły opuszczały ją coraz bardziej i zwolna, acz nieubłaganie zdawała się na łaskę córki. Lucyna zaś pracowała i dla siebie, i dla niej, sił nie oszczędzając i każdej roboty się mając. Tak było do czasu, póki istnienie owego życia, które pod sercem nosiła, nie zaczęło być czymś oczywistym dla każdej pary ludzkich oczu. Wtedy nie mogła już nawet śnić o tym, by ktokolwiek dał jej zatrudnienie w fabryce. Bo niby dla czego miałyby to robić? Ludzi do roboty zawsze było aż nadto i na jedno miejsce zawsze czekało kilkadziesiąt osób. Tysiące przybyłych ze wsi, których do pracy w mieście nęcili specjaliści werbownicy roztaczający przed nimi wizje świetlanej przyszłości. Prawda była zawsze taka sama. I ciemny naiwniak lądował w ciemnej norze, w warunkach, o jakich nie śniło się nawet najbiedniejszym wiejskim łazęgom i komornikom. Lecz ci, którzy dali się złapać na lep tanich obietnic, przeważnie pozostawali już w mieście, bo wstyd im było wracać do rodzinnych wiosek, gdzie zapewne nie uniknęliby drwin ziomków. Oni to żebrali o każdą robotę i było ich

jak mrowia. Więc nikt nawet się nie namyślał, gdy miał wybór między hożą babą ze wsi lub tamtejszym tęgim chłopem a ciężarną Lucyną.

Pozbyła się więc dojrzewającego w niej pędraka, póki był jeszcze czas. Tylko przed matką zataić to musiała, gdyż wiedziała, że ten grzech nie zostałby jej przez nią odpuszczony. Szczęściem niezbyt długo musiała się już nią zajmować, bo siły matki szybko wysssała wędrownka i wkrótce pochowała ją w zbiorowej mogile, jakie miasta usypywały dla bezmiennej biedoty, którą chowano tylko ze strachu przed zarazą. Nawet nie pomyślała o księdzu i właściwie odetchnęła z ulgą, gdyż nareszcie los uwolnił ją od ciężaru, którym stawała się opieka nad matką. Wreszcie była wolna. Mogła zarabiać tak, jak chciała. Nie miała najmniejszego zamiaru zaharowywać się dłużej w fabrykach, by zwielokrotnić zyski bogaczy. Wolą zarabiać sama dla siebie. A na to był tylko jeden sposób. Na szczęście była dość ładna i szybko trafiła do jednego z największych lupanarów w Lublinie. Pracowała tam krótko, gdyż był to przybytek przeznaczony dla bogatej i wybrednej klienteli, która tylko świeżych ciał wymagała. Za jakiś czas wyładowała więc na ulicy, gdzie tkwiła aż do spotkania z Wiktoorem i tych wydarzeń, których skutki zawiodły ją aż do gabinetu Dobrowolskiego.

Przez te wszystkie lata nawet jednej myśli nie poświęciła zemście nad Mierosławskim. Po cóż miała myśleć o tym, co się stać nie mogło? Nie mogła go dosięgnąć, bo on był personą i figurą, z którą wszyscy się liczyli, ona zaś należała do brukowej hołoty, która nikogo nie obchodziła i której nikt nawet zliczyć nie próbował. Aż do dziś.

Spojrzała na Jerzego lekko jeszcze mętным wzrokiem, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszały jej uszy. Jakież powód ma ten człowiek, by z Ludwikiem zadzierać? – pytała siebie w duszy. Potężny jest, prawda, ale i tamtemu mocy nie brakuje, więc walka

siłą rzeczy będzie długą, a jej ostateczny wynik zgola niepewny. Zresztą, choćby Jerzy zwyciężył, to wyjdzie z walki osłabiony, a może i możnych wrogów sobie napatoczy, bo na pewno znajdą się tacy, którzy się za Mierosławskim ująć nie omieszkają. Już on sam o to zadba – pomyślała. W końcu na pewno wie dobrze, kto i ile na jego koszt zjadł, wypił i przetrząnął. Ona zaś zbyt długo przebywała między wilkami, by miała ludzi inaczej niż wedle wilczych zwyczajów sądzić. Ludzie, wśród których żyła, podobniejsi bowiem byli do owych dzikich zwierząt i łączyli się w watahy tylko wtedy, gdy im ich własna korzyść tak nakazywała. A chodziło o skuteczne rozerwanie dużej ofiary, którą samemu ciężko było życia pozbawić.

– Co ty w tym masz, że chcesz Mierosławskiego zgubić? – zapytała, nie spostrzegając się przy tym, że przemawia dość poufale do jednego z ważniejszych dostojników państwowych. – Po cóż ci walkę z nim wszczynać, skoro on ani Sowietom, ani Niemcom tajemnic nie sprzedaje? Bo on służy tylko sobie, a pieniądze umie wycisnąć ze wszystkiego, nie mieszając się w sprawy rządów. Nieraz słyszałam, jak przy mnie powtarzał: rządy przychodzą i odchodzą, a bogacze tacy jak ja pozostają.

Jerzy uśmiechnął się, bo dość miał rozumu i nabytego przez lata doświadczenia, by wiedzieć, że ta kobieta będzie odtąd jego najgorliwszym i najwierniejszym sprzymierzeńcem. Żadna niewiasta nie przejdzie bowiem do porządku dziennego nad śmiercią dziecka, zwłaszcza gdy jest na kim pomstę za nią wziąć. To samo zrobiłaby Beata. To samo robi Lucyna. On musi tylko użyć jej mocy, którą dysponował, a najpierw wszystko jej wyjaśnić.

Z tym zamiarem nabrał powietrza w płuca i rozpoczął:

– Przyjdą tu bolszewicy, to go zawieszą u pułapu, jeśli wcześniej nie umknie przed nimi za wielką wodę. Ale ja ścigam go dla dwóch przyczyn. Jednej państwowej, a drugiej prywatnej. Tacy jak on są

zakałą i wstydem. Demokracja byłaby dobra, gdyby niektórzy obywatele nie mogli kupować głosów lub protekcji pozostałych. A Ludwik nic innego nie robi. Oplata państwo swoimi wpływami jak pajęczyną, by nią zza pleców oficjalnie rządzących kierować. Dziś jeszcze trzeba mu w tej pajęczynie dziurę zrobić, bo jutro za późno być może. Ma on za uszami brudów niemało, a ja ukazę je światu, by wszyscy przekonali się dowodnie, że łotr wodzi ich za nos. Ale jest i drugi powód. – Zarumienił się z lekka. – Ludwik smali cholewki do mojej byłej żony i tego mu nie daruję. Kocham jej oddech, oczy, usta, nosek i zginąłbym za nią, choć gdyby mnie kto zapytał, powiedziałbym, że nie dla niej to robię. Są pewne przyczyny, z powodu których nie możemy być razem. I nie małostkowość przeze mnie przemawia, bo gdyby jaki pocziwina się do niej przybliżył, to – Bóg mi świadkiem – nie przeszkadzałbym. Wręcz przeciwnie. Cieszyłbym się, że trafiła w dobre ręce.

Kobieta uśmiechnęła się. Ten wojskowy mówił bowiem o swej żonie jak o przedmiocie, ale taka czułość była w jego głosie, że ten, kto by go był usłyszał, nie mógłby ani przez sekundę wątpić, że z zakochanym człowiekiem ma do czynienia. Przez chwilę korciło ją, by o tych przyczynach czegoś więcej się dowiedzieć. Lecz się pohamowała. Rozumiała bowiem aż nadto dobrze, że wiedza ta nie jest jej do niczego potrzebna. Zaś w jej fachu milczenie było często cechą, która umożliwiała dożycie późnych lat. Uśmiechnęła się jednak, a w duszy pomyślała sobie:

Niewdzięczna tamta i żelazne, a nie człowiecze serce kołacze się w jej piersi, jeśli za takie kochanie wzajemnością nie płaci. Bogatym lepiej na świecie. Żeby on na mnie chciał spojrzeć, nie byłoby na świecie lepszej żony za dnia i kochanki w nocy.

– Zgadzasz się do mojej sprawy przystąpić? – zapytał, wyrывая ją ze świata rojeń. – Wiele od ciebie nie żądam. Przyjdiesz jutro, by spisać to, czego byłaś świadkiem. Chciałbym



zwłaszcza wiedzieć, kto jest z nim w zażyłych stosunkach. Bo nie wolno nam zapomnieć o tym, że nie tylko z nim rozprawa nas czeka, ale także z tymi, którzy na jego żołądźce pozostają. Ale to już nie twoja rzecz. Twoja rola skończy się na spisaniu zeznań. Ja już dla ciebie nagrodę za to obmyślę.

Lucyna poderwała się usłudźnie i niemal przebiegła odległość, jaka dzieliła ją od drzwi. Ledwie zdążył się z nią pożegnać i umówić kolejne spotkanie. Wiązał bowiem z kobietą znacznie szersze plany.

Uśmiechnął się. Ale po chwili uśmiech spłynął mu z twarzy. Przypomniał sobie bowiem, że czeka go jeszcze rozmowa z Witosem. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie to przyjemna konwersacja. Szanował Wincentego, bo należał on do tych nielicznych polityków, którym chodzi o coś więcej niż władza i pieniądze. Był to człowiek, który służył pewnej idei. Chciał poruszyć skostniałe masy ludowe, by sięgnęły one po należną im z racji liczebności przodującą rolę w państwie. Tymczasem nie schlebiał im, tylko łajał i nauczał.

Drzwi uchyliły się nieznacznie i do środka wszedł chłopski przywódca. Był to niski, chudy, żylasty człowiek. Po staremu bowiem pracował na roli, której porzucić nie chciał. Ona to dawała mu ową siłę, której wielu mu zazdrościło. Twarz miał szczupłą, trójkątną, z silnie zarysowaną szczęką. Policzki okalał niewielki, starannie utrzymany, ciemny zarost. Nad jego górną wargą pysznił się ciemny wąs, który przysłaniał ją niemal całkowicie. Włosy nosił zawsze krótko ostrzyżone, a czarna grzywka układała mu się tuż nad czołem. W brązowych oczach czaił się typowo chłopski upór i determinacja.

To właśnie temu uporowi i własnej pracy zawdzięczał wszystko to, co zdołał osiągnąć. Wszedł spod chłopskiej strzechy. Mieszkał w niewielkiej chacie, której większą część zajmowała krowa. To ona była jedyną żywicielką rodziny, która o mały włos nie

pozbawiła go szans na edukację. Matka bowiem nie chciała, by krowa pozostawała bez opieki. Ojciec jednak nie reagował na jej lamente i posłał malca do wiejskiej szkółki. Tam nauczono go czytać i pisać. Chłopiec wybijał się na tle swoich rówieśników wiedzą, uporem i talentem, lecz ubóstwo jego rodziny nie pozwoliło na kontynuowanie nauki. Jednak raz rozbudzonego głodu wiedzy nic już nie mogło zaspokoić. Od tej pory młody Wincenty czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. Ganiając za ojcową krową po polach i miedzach, zaczytywał się jednocześnie w Kraszewskim, Skardze, Pasku i wielu innych. Jak każdy samouk, czytał przede wszystkim to, co go interesowało, poruszało wewnątrz. Interesował się więc dolą mas chłopskich i czytając, niejedną łzę wylał. Potem zaczął czytać ojcu i innym gospodarzom.

Lokalna pozycja Witosy szybko rosła, gdyż promieniował kulturą na całą okolicę. To pozwoliło mu czytywać chłopom gazety, a z czasem dało narzędzia, by zająć się lokalnym układem, który oparty był o sojusz dworu z proboszczem i trząśł gminą od lat. Tak zaczęła się wielka kariera, która zaprowadziła Witosę do sejmu galicyjskiego i jeszcze dalej. Nawet ostatnio miał wielką szansę na zostanie marszałkiem sejmu ustawodawczego, ale odmówił, bo nie chciał być wybrany głosami lewicy. Mimo tego jego pozycja w ławach sejmowych była nadzwyczaj silna, bo jako jeden z nielicznych parlamentarzystów miał doświadczenie w pracy parlamentarnej. Większość bowiem z tych, którzy otrzymali mandaty, błędziła po sejmowych korytarzach po omacku i miała niewielkie pojęcie o sposobach stanowienia prawa.

Jerzy wiedział to wszystko, bo zawsze z pietyzmem zbierał wszelkie możliwe informacje o wszystkich i wszystkim. Nie wiedział tylko, czy znajdzie w Witosie sprzymierzeńca czy wroga. Czy należy on do tych polityków, którzy potrafią wynieść dobro państwa ponad własne ambicje i pragnienie władzy. Czy zrozumie, że utracenie jego kolegi było konieczne ze względu na

bezpieczeństwo państwa, dla którego jego głupota była zagrożeniem. Czy też okaże się jednym z tysięcy małoszkolnych przywódców, zazdrosnych o najmniejsze uszczuplenie ich wpływów i władzy. Będzie jego sojusznikiem czy też stanie się nieprzejednanym wrogiem. Dobrowolski czuł, że od tych myśli w głowie robi mu się ciasno.

Mimo tego nawału myśli nie zapomniał o zasadach gościnności: wskazał Wincentemu fotel i jednocześnie omiół go wzrokiem. Z pewnym zdumieniem przyglądał się zwykłej lnianej, samodziiałowej koszuli, która idealnie przylegała do ciała. Łydki opinały mu typowe chłopskie buty, zszyte z każdego źdźbła materiału, jaki udało się znaleźć małżonce Witosowi.

Dobrze, że ma buty – pomyślał Dobrowolski. Nie był przyzwyczajony do polityków, którzy nie dbaliby o swój ubiór i wizerunek. Garnitury, cylindry i lakierki...

Witos usiadł w fotelu, poprawił się w nim i położył dłonie na polatanych portkach. Były to twarde dłonie człowieka pracy, pokryte grubą skórą i odciskami. Otaksował wzrokiem gabinet i Jerzego. Najwidoczniej wyłapał jego zdumione spojrzenie, bo rzekł:

– Jadę tu prosto z mojego gospodarstwa, a przecież do roboty nie pójde w tym, co do kościoła, boby mnie ludzie na ozory wzięli.

Jerzy już wiedział, że polubi chłopskiego przywódcę. Było w nim coś takiego, co jednocześnie i skracало dystans, i przymuszało do okazania należnego szacunku. Tak. Witosowi z pewnością należał się szacunek. Był to człowiek, który wszystko, co osiągnął, zawdzięczał sobie. Wyszedł z prostej wioski, przerósł ją, ale nigdy o niej nie zapomniał. Nie zapomniał o pracy i nie wstydział się jej.

– Wiem, co pana posła do mnie sprowadza, ale naprawdę mogę udowodnić wszelkie zarzuty, jakie wysunąłem wobec członka pańskiego stronnictwa. Udowodnię mu, że dopuścił się skrajnego

niedopatrzenia, jeśli chodzi o sposób przechowywania tajnych dokumentów, które na jego wyraźną prośbę oddałem do jego dyspozycji.

Witos zdawał się słuchać uważnie. Nie poruszał się, jedynie jego gałki oczne pracowały w zwykłym trybie. Słuchał uważnie, z namarszczoną brwią i skupioną twarzą. Jerzy mówił długo, pośród głuchej ciszy, wprowadzając Witosa w całość sprawy. Oczywiście nie wspomniał o tym, że upadek pana posła skrupulatnie przeprowadził i zaplanował. Na koniec zaś rzekł:

– Sam pan rozumie, że takiej sprawy i takich zaniedbań nie mogłem pozostawić bez adekwatnej odpowiedzi. Chodziło o plany działań wywiadu na kierunku wschodnim. Mógłbym nawet podejrzewać, że pan poseł nie zrobił tego tylko przez nieuwagę...

Powiedział to specjalnie. Chciał delikatnie dać do zrozumienia, że to on trzyma w rękach klucze do tej sprawy. Może ją zakończyć wtedy, kiedy sam uzna za stosowne. Może zrobić to teraz, wykańczając tylko posła, który aż nadto zalał mu za skórę, albo rozdmuchać sprawę do niewyobrażalnych rozmiarów i oskarżyć całą partię o pracę dla bolszewików. Mógł to zrobić na bardzo wiele sposobów. To, że nie miał racji, było drobnostką. Błahostką, na którą nikt nie zwróci uwagi, przytłoczony krzykliwymi tytułami, jakie opublikują wszystkie gazety. Zawsze trochę zarobią – pomyślał. Stronnictwo czeka kryzys, a ja pozostanę w cieniu, jak zawsze.

Wbił natarczywe spojrzenie w twarz Witosa, czekając na jego decyzję. Nie dbał o to, jaka będzie. W każdej konfiguracji wygrywał. Witos mógł zrobić to, co powinien uczynić każdy, kto choruje na gangrenę; odciąć skażoną zgnilizną część ciała. Gdy nie możesz wygrać, minimalizuj straty. Taka jest logika polityki i wojny, bo obie nie mają reguł i w obu chodzi tylko o zwycięstwo. To pomyślawszy, nadal z napięciem obserwował Witosa, który

przejechał ręką po brodzie, podczas gdy na jego twarzy odbiła się gonitwa myśli i wewnętrzna walka.

– Jestem rolnikiem – rzekł z trudem. – Wynajmuje mnie sam Pan, bym u niego robił, dokąd mnie do siebie nie powoła. Dbam też o interesy jego pracowników, bo oni są jeszcze jak dzieci. Nie wiedzą, czego chcą, i nie zdają sobie sprawy z własnej potęgi. Gdy byłem mały, czytywałem moim niepiśmiennym sąsiadom i ojcu. Uczyłem, ale i byłem uczony. Wysłuchałem wielu opowieści o krzywdach, jakich doznali z rąk fernali dworskich i księży. Pomagam im, jak potrafię. Na tym się znam i rad przy tym pozostanę. Działania wywiadu nie interesują mnie do tego stopnia, że nie zapytam, dlaczego kontrola, która wykryła nieodpowiedzialne zachowanie mojego posła, odbyła się tak szybko po otrzymaniu przez niego tajnych dokumentów.

Bystrzak – pomyślał Jerzy. Ci, którzy będą widzieli w nim jedynie wieśniaka, popełnią ogromny błąd.

Rozluźnił mięśnie. Dobrowolski po raz pierwszy poczuł się naprawdę swobodny, a głowy nie obciążały mu negatywne myśli. Bo też wszystko składało mu się od pewnego czasu tak pomyślnie, że prawie lepiej nie można było. Nawet zło na dobro obrócić potrafił, bo zdradę Zofii nie tylko, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, wykrył, ale i przeciw wrogom skierował jej ostrze. Zdołał nawet pozbyć się człowieka, którego poselska opieka aż nadto mu już ciążyła, i rad był w duszy, że trafnie rozpoznał sposobność, by go ze stanowiska utrać. Nagle jednak przez czoło przebiegła mu zmarszczka, bo wspomniał na to, że o ile na niwie zawodowej wszystko układało mu się nad podziw gładko, o tyle z rodziną nie mógł nadal dojść do żadnego ładu. Beata zachowywała się tak, jakby tylko poszukiwała okazji do zadzierki, a Elizę przestał rozumieć zupełnie.

Niechby żyły, jak chcą – pomyślał. Z dała od moich spraw i mojej roboty. Ale coś je do mnie pcha i ze mną sprzęga, że choćby

chciały, nie mogą się oderwać. A i ja nie mogę ich z oczu spuścić, bo przez nie najłatwiej uderzyć we mnie i wrogowie już to wiedzą... Nie mogę i nie chcę. Dość z dzieckiem kontaktu nie miałem. Jakoś i tu się samo naprostuje. Bo, po prawdzie, nie mają o co się gniewać.

– Ja tej sprawy na forum parlamentu ani nigdzie indziej podnosić nie będę – zapewnił Witos. – Dość mi tego, za co odpowiadam. Chętnie wyzbędę się tego, na czym się nie znam, i na kogo innego zdam. Przekłeta polityka – dodał jakby do siebie. – Człowiek ni dla siebie, ni dla bliskich czasu nie ma, bo jak w sejmie nie siedzi, to nad partią czuwać musi, by mu się w rękach nie rozlazła. A gospodarstwo? Na żony głowie wszystkiego nie zostawię, bo kobiecie trudno parobków w ryzach utrzymać. Kobięca ręka miękka jest, a ich trzeba twardo i krótko trzymać, bo zaraz tańcować, pić zaczną, a bydło głodem zamorzą.

Jerzy nie miał ochoty wysłuchiwać częściej gadaniny. Każdy kowalem własnego losu. Witos sam wybrał swój los i nie powinien na niego narzekać. Należał do ludzi, którzy muszą żyć i planować w większej skali, bo dla nich gmina i powiat są za małe. Dopiero na szerszej arenie mogli się wykazać. Ale wszystko na świecie ma swoją cenę. Kariera i pragnienie znaczenia także. On sam, Dobrowolski, o tym wiedział. Ba – lepiej może niż Wincenty. Przez to nie miał rodziny. Stracił ją. Sukcesy nie cieszyły go, bo doskwierała mu samotność. Ale żona Witosa nie była Beatą i z pewnością pogodziła się ze swym losem bycia cieniem męża. Pewnie przyszło jej to dość łatwo, bo poważany mąż i jej prestiżu przydaje.

Beata była inna. Nieujarzmiona i piękna. Męska dusza w kobiecym ciele – i to w jakim. Gdy myślał teraz o jej skórze, piersiach, udach, to czuł, jak krew spływa mu w jedno miejsce. Odruchowo rozpiął kołnierzyk, gdyż nagle zrobiło mu się gorąco. Bał się, że na twarz wystąpiły mu rumieńce niczym młodzikowi.

A miał co wspominać, bo na początku ich związek opierał się przede wszystkim na cielesności. Podniecała go myśl, że co wieczór ma pod sobą kobietę, którą jego zwierzchnicy chcieliby widzieć w łańcuchach. Wiedział, że ona także traktuje to jak zadanie i wydusza z niego informacje. Kochał się z nią, bo przyciągała go swoją innością. Nie była ułożoną panną z dobrego domu, która całe życie przygotowuje się do roli żony i pani domu, choć nie brakuje jej wykształcenia. Przekonał się o tym, gdy poznał ją bliżej; kiedy niepostrzeżenie zaczęli ze sobą rozmawiać. Ona zaczęła robić mu wykłady, przypominać, że jest Polakiem i ma obowiązki względem ojczyzny. W końcu znał jej myśli prawie tak jak własne. Znał przyzwyczajenia, wady i wybuchowość.

Ale to, co innych zapewne by odstraszało, on potraktował jako wyzwanie. Nie próbował jej ujarzmić, pragnął się z nią zgrać. Chciał, by razem szli przez świat. Wydawało mu się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku. Tej kobiecie udało się nawet przełamać dziedziczny w jego rodzinie konformizm. Członkowie jego rodu nigdy się w nic nie zaangażowali. Nie wierzyli, by rozerwany na części naród, bez fabryk, karabinów, armat, mógł wywalczyć dla siebie wolność. A cierpieć za niego nie mieli ochoty. Służba w Cesarsko-Królewskiej Armii otwierała drogę do awansu, bogactwa i szczytów. Warto było zrezygnować z tego dla ideałów i marzeń garstki zapaleńców?

Przypomniał sobie o Witosie, który od dłuższego czasu wiercił się niespokojnie. Pożegnał się z nim krótko i szybko, nie chcąc zabierać mu więcej czasu; zresztą i sam chciał nacieszyć się momentem samotności. Od samego rana nie miał nawet jednej chwili wytchnienia.

Rozparł się wygodnie w fotelu i właśnie szykował się do zarzucenia nóg na biurko i zapadnięcia w drzemkę, gdy drzwi uchyliły się i do gabinetu wtoczył się Bukojemski. Sapał przy tym jak miech, brzuch chodził mu w nierównym oddechu, a na twarzy

osiadły gęste krople potu. W rękawiczkach trzymał tajny raport i bez chwili namysłu położył go na biurku. Z ulgą opadł na krzesło, które z trudnością mieściło jego szerokie i rozlazłe ciało. Następnie zaczął ocierać czerwoną, jakby zapaloną twarz.

– Uff – wysapał, ciężko oddychając. – Więcej nie ruszam się z moich piwnic, bo mnie gdzie po drodze zatka.

– Do rzeczy – odparł ze zniecierpliwieniem Jerzy, bo właśnie zapadał w długą wyczekiwaną drzemkę. – Twoje zdrowie to sprawa twoich lekarzy i spadkobierców. Mnie interesują nasze sprawy.

Andrzej cmoknął i wskazując ręką na dokumenty, rzekł:

– Wszystko się udało. Zofia zetknęła się z panem posłem i oddała mu dokumenty. Nie zorientował się, że ułatwiliśmy jej zwrot papierów. Co za dureń! Ale też co nieco skorzystał. Że też taka kobita jak ona wlaźła do wyra takiego oblecha. Dlaczego jej nie śledziliśmy, tylko zmusiliśmy tego sejmowego buca do kręcenia się przy niej? Choć dla niego był to pewnie przyjemny przymus, bo Zofia ma na czym siedzieć i czym oddychać...

– Dość! – przeciął Jerzy, bo go nagle gniew na siebie pochwycił.

Boże, jak on czasem nienawidził tej roboty! Podsunął żonę najbliższego przyjaciela największemu bydlakowi na ziemi. Tylko tak mogła jednak zwrócić dokumenty. Wiedział, że mu ulegnie. Człowiek wlezie w gówna, jak musi. A ona musiała, bo dobrze wiedziała, co ją czeka, jeśli ktokolwiek dowie się o jej zdradzie. A teraz to on reżyserował jej życie. To wszystko musiało wyglądać wiarygodnie. Jeśli bolszewicy obserwowali poczynania Zofii, to widzieli, że nic nie idzie jej łatwo. Realizacja zadań, które przed nią postawili, wymaga od jego sekretarki przekraczania granic. A zamiłowanie pana posła do wyzyskiwania własnej pozycji było ogólnie znane, więc pewnie nikogo tam, w Moskwie, nie zdziwił taki, a nie inny obrót spraw. Sztuka musiała się kleić, ale nie zbyt



doskonale. W dodatku otworzył przed Sowietami dojście do polityka odpowiedzialnego za służby.

Trzeba – pomyślał Jerzy. Oby tylko weszli na wskazaną im ścieżkę. Ależ będą wyli, gdy usłyszą o dymisji.

– Nie mamy pewności, czy bolszewicy też jej nie śledzą. Jeszcze by zauważyli obserwację i wszystko szlag by trafił. Ja chcę przejąć kontrolę nad jej działaniami i utrzymywać w bolszewickiej siatce dopóty, dopóki nie będę znał każdego jej ogniwa. A do tego wystarczy mi te dowody, które już zebraliśmy. Za to, co zrobiła, można dostać nie jedną, a dwie czapy. Tylko my możemy ją przed tym losem uchronić, ale nie za nic. A przynajmniej możemy to obiecać.

– A jeśli ona nie zechce współpracować po dobroci?

Jerzy usłyszał pytanie, ale nie odpowiedział na nie od razu. Zamyślił się bowiem posępnie. Takiej ewentualności nie brał nawet pod rozwagę. Zofia nie będzie miała innej drogi. Musi się zgodzić. Miał takie dowody, że nie uniknie kary. Osaczył ją i tylko jego pomoc mogła dać jej szansę. Ale czy się tym zadowoli? Czy przyciśnięta do muru nie zdobędzie się na jakiś akt szaleństwa, który zniweczy plany, jakie z nią wiązał? Ludzie zdesperowani mogą się poważić na wszystko. Co zrobi Zofia? Na co się porwie? Obiecuję jej ułaskawienie. Pewnie nie przejdzie to przez sąd, ale jeśli nawet dostanie kilka lat więzienia, to i tak będzie mogła uważać, że sprawa rozeszła się po kościach. Bo z każdego, choćby najgorszego więzienia kiedyś się wychodzi, a z grobu to już chyba tylko na sąd ostateczny.

– To już mnie pozostaw – odparł Jerzy, gdy wyrwał się z zamyślenia. – Rozumiem, że ręczysz głową i dupą, iż na dokumentach są odciski palców Zofii. Chyba nikt ich nie starł? Muszę zaraz wyruszyć, jeśli mam się zetknąć z nią na ulicy.

Andrzej spojrział na pułkownika z szacunkiem. Ten człowiek wszystko planował. Każdy krok czy ruch, który dla postronnego

obserwatora mógł być bezcelowy, w rzeczywistości służył ukrytemu celowi. Pamiętał, jakie komentarze wywoływał fakt, że Jerzy podwoził Zofię do pracy. Skojarzenia były jednoznaczne. Pozbawiony kobiety mężczyzna szukał zaspokojenia u dawnej przyjaciółki i podwładnej. Plotki narastały, ludzie młócili jęzorami, szepcząc za plecami obojga. Do niego również docierało owo gadanie i ostrzegał pułkownika. Ten jednak zbył go, i teraz już wiedział dlaczego.

Jerzy nie dał mu więcej czasu na rozmyślanie, bo się spieszył. Był już na ostatniej prostej. Wszystko musiało się udać. Po prostu musiało. Chwycił dokumenty pod pachę i zwykłym, normalnym krokiem opuścił budynek. Chciało mu się biec, ale nie mógł. Pamiętał, że nic nie może odbiegać od normy. Dlatego nie pozwolił sobie nawet na najmniejsze od niej odstępstwo. Jak zwykle zamienił kilka słów pożegnania z najbliższymi współpracownikami – szefami referatów.

Potem wydał im dyspozycje na następny dzień i dopiero wtedy znalazł się w samochodzie. Przynajmniej tu nie musiał niczego udawać. Nigdy bowiem nie rozmawiał z szoferem. Akurat nie potrzebował, żeby rozkojarzony wpakował go na latarnię. Chwile, które spędzał w samochodzie, zawsze poświęcał na studiowanie dokumentów. Tak było i tym razem. Siedział na obitej ciemną skórą kanapie i studiował dokumenty, które tak doskonale sfabrykował Bukojemski. Znał je na pamięć, ale nic nie mogło nikogo dziwić. Zawsze zabierał ze sobą do samochodu jakieś akta. Nikt nie mógł nawet przypuszczać, że dzisiejszego dnia wszystko jest inaczej. Dziś o wiele bardziej od akt, które trzymał w ręku, interesował go widok, który rozpościerał się za okrągłymi samochodowymi szybami.

Nad Warszawą padał deszcz. Zwyczajny, wiosenny deszczyk atakował szyby i odbijał się od nich kroplami. Ale niektóre pozostawały na szybach, tworząc zacieki. Ulice błyszczały, a ludzie

przyśpieszali kroku i osłaniali się, czym kto mógł. Tylko dzieciarnia skakała po tworzących się tu i ówdzie w nierównościach kałużach. Ich nie mógł spłoszyć ani deszcz, ani wiatr, który poderwał się i chwiał drzewami, ale nie tak mocno, jak zwykły to robić burze, tylko jak mały psotnik, który chce się bawić. Nad miastem zrobiło się ciemno i ponuro. Mroku nie mogły rozświetlić ani mdłe światła latarni, ani blask neonów restauracyjnych. Obłok, który stanął nad miastem, wziął je we władanie i zalewał deszczem. Płoszył gazeciarzy, przerywał robotę ulicznym handlarzom, którzy na gwałt zwijali swoje stragany. Nawet dorożkarze okrywali derkami konie, a sami mokli na kozłach, z batami w rękach. Samochody zwolniły, bo strach było jeździć po mokrej i śliskiej jezdni. Tylko motorniczowie zacierali ręce z uciechy, bo ci, którym droga w dalekie części miasta wypadła lub byli od domu daleko, chętnie przesiadali się do tramwajów, dzwonekami sygnalizujących swoje przybycie. Tak samo zapełniały się kluby, kawiarnie i klatki schodowe kamienic. Każdy chował się, gdzie mógł, byle najgorszą ulewę przeczekać. Ulice pozostały zaś w niepodzielnym władaniu dzieciarni, która wprzęgła deszcz do swoich zabaw.

Jerzy obserwował poczynania ludzi z uśmiechem. Przestał udawać, że interesują go akta, które wiozł ze sobą. Za to z żywym zajęciem patrzył na zachowanie warszawskich dam w długich, szerokich sukniach, które robiły wszystko, by nie pobrudzić ich w kałużach. Młodsze, mniej konserwatywne, po prostu podkasywały suknię, odsłaniając łydki. Starsze poprawiały kapelusze i w desperacji wchodziły w wodę, byle nie złamać konwenansu. Nie tylko on miał z tego setną uciechę, bo i szofer rzucał od czasu do czasu okiem, korzystając z tego, że auto wlokło się żółwim tempem. Nie przerwał jazdy, bo miał większe doświadczenie za kółkiem niż inni i rzęsy deszcz nie napawał go strachem. Zresztą wycieraczka, do której nie był uprzednio

przekonany, dobrze spełniała swoją rolę, spychając fale deszczu na bok. On zaś mógł oddawać się podziwianiu co zgrabniejszych kobiecych łydek. Czasem oczy zaświeciły mu się jak dwie diody.

– Czasem to i deszcz się na coś przyda, panie pułkowniku – rzekł z szelmowskim uśmiechem. – Te matrony to nawet suknie zniszczą, a męskich oczu nie ucieszą.

– Patrz na drogę, żebyśmy kogo do Abrahama na piwo nie posłali. Ta wycieraczka to nie całkiem jeszcze pewna rzecz i zdawać się na nią nie trzeba. Dopiero niedawno Ford wprowadził ją u siebie do produkcji. My mamy patent od naszego rodaka, który dla niego pracuje.

Chciał coś jeszcze mówić, ale właśnie wtedy dostrzegł Zofię, która stała przed szeroko rozlaną kałużą, niepewna, co robić. Przed deszczem osłaniała się niewielką parasolką, która jednak nadawała się tylko dla ozdoby i dodawania gracji, a nie do osłony przed choćby i niewielkim deszczem. Uśmiechnął się i kazał zatrzymać auto. Następnie wyskoczył na mokrą jezdnię, prosto w deszcz. Krople wody zaatakowały go ze wszystkich stron, ale zimna woda mile łechtła skórę, a mokre włosy zaczęły lepić się do czoła. Rozejrzał się szybko i miękko przeskoczył na drugą stronę ulicy. Przyjrzał się Zofii, która była mokra od góry do dołu, a suknia lepiła jej się do skóry, podkreślając krągłości jej ciała.

Jerzy skłonił jej się lekko z taką swobodą, jakby spotkali się na jakimś balu oficerskim, a nie stali w deszczu.

– Pomogę – zaproponował. – A potem mój szofer podwiezie cię, jak zwykle.

Spojrzała na niego nieśmiało, bo nagle zrobiło jej się jakoś nieswojo. Oto ten człowiek traktował ją jak przyjaciółkę sprzed lat, dla której mieć trzeba względy i szacunek. A tymczasem ona za tę pomoc wypłaciła się zdradą. Co byliby zrobił, gdyby wiedział, że właśnie teraz ma w kieszeni pieniądze, które otrzymała w zamian za dokumenty, które przekazała Vavet? Nie żałowała tego, co

zrobiła. To było konieczne. To była jej brzytwa, której trzymała się, aby nie utonąć razem z dzieckiem. Nie miało znaczenia, że upuszczała krew i sprawiała ból. Trzeba żyć – myślała. Za wszelką cenę. Czasem ceną jest zdrada. A czasem seks z jakimś bydlakiem. I tak miała szczęście, że Gośka zabrała ją do knajpy, gdzie mogła go usidlić. Choć przyznać musiała sama przed sobą, że nie napracowała się nad tym zbyt. Ten drań tylko czekał na sposobność, by na nią wleźć. Wyczuła to już wtedy, na naradzie. Pewnie myślał, że to on ją wykorzystuje. Dureń.

Zacięła usta na samą myśl o nim. Umyła się później wyjątkowo starannie, a i tak przez jakiś czas brzydziła się samej siebie i wszystko ją bolało. Wspominała jego obmierzły dotyk, oddech i to wściekle sapanie. Gdy był na niej i w niej.

Usłyszała lekkie chrząknięcie. Dopiero wówczas przypomniała sobie o Dobrowolskim. Z trudem wyrwała się z mrocznych i niemiłych wspomnień, przystrajając twarz w uśmiech.

– Przecież mnie chyba nie przeniesiesz? Poza tym woda.

– Woda nie wódka, chłopa nie przewróci.

To rzekłszy, obojętnie wszedł w wodę. Na szczęście miał na sobie wysokie buty, które zrobiono z dobrej skóry, więc ryzyko, że namiękną, nie było wielkie. Wyciągnął ręce w zapraszającym geście, uśmiechając się lekko, bo naszły go wspomnienia ze swojego ślubu. Wtedy wyniósł Beatę z kościoła na rękach i niósł pod szpalerem i szablami. Zofia rozejrzała się szybko i wskoczyła mu na ręce. Poczul jej ciężar na stopach, wilgoć, którą nasiąkła jej suknia, i krągłości jej ciała, którymi przyłgnęła do niego... Poprawił ją sobie tak, by jej włosy mu nie przeszkadzały, i dwoma długimi krokami przeskoczył wodę. Zaraz postawił ją na ziemi, po czym oboje szybko wsiedli do samochodu.

Jerzy wydał szoferowi półgłosem odpowiednie dyspozycje, a sam wygodnie rozparł się na kanapie, zarzucając nogę na nogę. Chwyił teczkę, która leżała obok, i udawał, że starannie studiuje

zawarte w niej dokumenty. Jednocześnie spod oka dokładnie obserwował Zofię. Kobieta usiłowała choć pobieżnie doprowadzić się do ładu. Trzepała włosami niczym pies futrem, ale z mokrą sukienką niewiele dało się zrobić. Musiałaby chyba wrócić do domu, by się przebrać. Czekał, aż dostrzeże teczkę. Był ciekaw jej reakcji, gdy zrozumie, co trzyma w rękach. Zastanawiał się, czy zdoła nad sobą zapanować, czy też mimika twarzy ją zdradzi. Prawie wstrzymał oddech. Tak długo czekał na tę chwilę. Tyle zabiegów, tyle pracy i zaraz wszystko się rozstrzygnie.

Zofia przestała zajmować się sobą i uniosła wzrok. Niemal natychmiast przykuła go teczka, którą trzymał Jerzy. Spojrzała mu w oczy i w jednej sekundzie wszystko zrozumiała. Przebiegł ją dreszcz, bo nagle wydało jej się, że stoi przed pomostem szafotu. Ramiona jej opadły, a twarz stała się kredowo biała. Próbowала się poruszyć, uciekać, ale nie mogła wykonać najmniejszego ruchu.

– Ty wiesz?

– Wiem – odparł z hamowaną złością. – Wiem, czym odplaciłaś mi za moją dobroć.

– Nie wiesz, dlaczego to robiłam – wychrypiąła z najwyższym trudem, a serce biło jej jak oszalałe. – Chroniłam męża i synka.

Machnął ręką i wybuchnął śmiechem.

– Sąd będzie oceniał intencje, nie ja. Naprawdę jesteś taka naiwna?! Nie ciebie pierwszą nabrano na tę sztuczkę. Listy od rzekomo uwięzionych w obozach najbliższych to jedna z ulubionych metod sowieckiego wywiadu. Taki list można spreparować w godzinę. Trzeba tylko dysponować wzorem pisma, a to nie jest trudnością nie do pokonania dla tak potężnej instytucji. Twój mąż, a mój przyjaciel zapewne od dawna nie żyje. Oszukiwano cię! Moi fachowcy też potrafią coś takiego napisać. Zresztą nie graj mi tu Penelopy. Tobie może faktycznie trochę chodziło o męża i syna, ale też o luksus. Miałaś przecież pracę. Mogłaś za nią skromnie żyć. Ale nie, ty nie mogłaś, nie umiałaś

wyrzec się luksusu. Ta suknia! To też od nich?! – Wskazał oskarżycielsko palcem na jej garderobę.

Spuściła głowę i zaczęła szlochać.

– Ratuj mnie! Przez wzgląd na te chwile, które spędziłeś u nas w Krakowie. Rozmawiaj ze mną jak przyjaciel, a nie jak oficer wywiadu.

– Kto na ziemię ojczystą, choćby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, splądrował, stratował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyrwał z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem ani miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla takich ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Wyrzekłaś się ojczyzny, Zofio. Zapomnij, że kiedykolwiek miałaś we mnie przyjaciela. Bo ja sobie o naszej przyjaźni nigdy nie zapomnę.

Nagle twarz mu poczerwieniała i skurczyła się z gniewu. Zacisnął pięść, a ramię drżało mu konwulsyjnie, gdy trzymał ją nad twarzą Zofii. Lecz nie uderzył, zmógł się.

– Posłuchaj! – syknął wściekle. – Podziękuj Bogu, że rozmawiasz z oficerem wywiadu, a nie z ojcem, bo gdyby nie to, zadusiłbym cię gołymi rękami. Ty śmiesz powoływać się na naszą przyjaźń? A pamiętałaś o niej, gdy wydałaś moje dziecko na pewną śmierć? Ja powinienem zemścić się na twoim. Ale ono niczemu nie jest winne. Dziękuj gwiazdom, że nie wpadłaś w ręce mojej żony. Ale do rzeczy.

Zawiesił głos. Przez chwilę napawał się jej strachem i nadzieją. Nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Gdyby Elizie wtedy coś się stało... zatłukłby ją bez względu na konsekwencje. I tak czuł, że przed Beatą będzie się musiał z tego wytłumaczyć. Ona by Zofii nie darowała... Była matką, a matki mają swoje obowiązki. On natomiast nie mógł być wyłącznie ojcem.

Lepiej, żeby Zofia myślała, że wykradła nam prawdziwe papiery. Jeśli ją złapią i będą torturować, to okłamię ich, myśląc, że mówi prawdę. Dzieckiem sam się zajmę. Choć tyle jestem winien staremu przyjacielowi. Ech, stary durniu, czemuś się z taką damulką ożenił?

– Szkody, które wyrządziłaś, są ogromne – zaczął, gdy sobie dalsze postępowanie w myślach ułożył. – Przez ciebie nasze tajne plany operacyjne są znane na Kremlu. Ale mogę dać ci szansę. Tylko ją; a od ciebie zależy, czy ją wykorzystasz. Od tej pory będziesz pracowała dla mnie. Twoje meldunki będą teraz odpowiednio spreparowane, by dezinformować przeciwnika. Wszystkich strat nie da się już nadrobić, ale zasiejemy naszym przeciwnikom w głowach zamęt i zaciemnimy obraz w kilku kwestiach. Sąd na pewno weźmie to pod uwagę, gdy przyjdzie do rozprawy, i może uda mi się wyjednać dla ciebie ułaskawienie. Ale muszę mieć czym udokumentować wnioski. Dlatego dasz mi na tacy całą sowiecką siatkę. Każde ogniwo. Gdybyś spróbowała zdradzić i uciec... gdyby taka myśl przeszła ci przez główkę, to wiedz, że mam twoje dziecko.

Rzuciła się na niego tak, jak przypuszczał. Nie miała szans. Poruszała się za wolno. Błyskawicznie chwycił ją za przeguby dłoni i odepchnął. Wylądowała na przeciwległym fotelu. Z rozwianymi włosami i zaczerwienioną twarzą przypominała mu teraz wiązki z bajek. Ale rozumiał ją. Była tylko matką.

– Ty skurwysynu! – krzyknęła, opryskując go nadmiarem śliny. – Jeśli zrobisz mi krzywdę, to przysięgam na wszystko, co ma moc nade mną, że poświęcę resztę życia, by się na tobie zemścić. A i sam Bóg będzie cię karał na tym, co ci najdroższe.

Pobladł lekko i wzburzył się w sercu. Jeszcze raz musiał walczyć ze sobą, by nie zacząć jej dusić. Ale się opamiętał. Trzeźwa rozważa przypominała mu, że pod wpływem emocji nie może zmarnować wielomiesięcznego wysiłku grupy ludzi. Nie wolno



mu. Stawka jest zbyt wysoka. Poświęcił dla sprawy tak wiele, więc mógł także zemstę. To nie będzie zbyt wielką ofiarą, jeśli wziąć pod uwagę cel, jaki mu przyświecał.

– Skutecznie wyleczyłaś mnie z zaufania – odpowiedział, gdy był już pewien, że wola go nie zawiedzie. – Los małego jest w twoich rękach. Tylko w twoich. Jeśli będziesz mądra, nic mu się nie stanie, a na razie jest bezpieczny i zadbany, ponieważ przebywa pod opieką dobrych ludzi. Gdy wasza sprawa się rozstrzygnie, ułatwię wam wyjazd z kraju. Nigdy nie próbuj tu wrócić. Dziś nie pójdziesz do pracy. Rozumiem, że to za wiele jak na jeden dzień. Ktoś mógłby dostrzec twoje emocje. Wracaj do domu.

To rzekłszy, otworzył drzwi od jej strony i prawie jej nie zauważył, tak szybko wyskoczyła na jezdnię. Jerzy obserwował przez chwilę, jak Zofia idzie szybkim, nerwowym krokiem w kierunku mieszkania; wyrzucała przy tym ramiona do przodu jak piechur wojskowy.

– Do domu – rzucił w stronę szofera, gdy zniknęła im z oczu.

Był tak zmęczony tą rozmową, że nawet nie zauważył, jak zmorzył go sen. Obudził się dopiero, gdy silnik auta przestał pracować, a on znalazł się przed swoim domem. Natychmiast pożegnał się z szoferem i wbiegł do kamienicy w Alejach Jerozolimskich. Był tak zmęczony fizycznie i psychicznie, że nie zwrócił nawet uwagi na niewielką rysę przy zamku w drzwiach. Otworzył drzwi i znalazł się w swoim mieszkanku. Żaden luksus. Ot, dwa pokoje i kuchnia.

A i tego było mu za dużo. Czuł się samotny. Nie dbał tu o nic. Nie było dla kogo. Sam nawykł do twardej szkoły wojennej i wygod nie potrzebował. Żadne więc oko nie wypatrzyłoby tu kunsztownych mebli, kipiących od bogactwa i złocien. Były tu tylko proste meble, niezbędne do życia, o które i tak nie dbał. Nie utrzymywał

porządku, wszystko kładł, gdzie popadnie, i nie troszczył się o czystość.

Teraz też po prostu wpadł do sypialni z kieliszkiem w ręce, zapadł się w starym, sfatygowanym fotelu i zasnął.

Beata obserwowała to wszystko z wnętrza szafy i się wściekała. Ciasno jej było między mundurami i butami. Powinien otworzyć szafę i mnie znaleźć, a on tak po prostu zasnął – myślała. A jaki bajzel tu zrobił! Niech mnie diabli! Dom bez kobiety dziczeje. Nawet obiadu sobie nie ugotował – zapomniał. Ale o gorzale pamiętał.

Wściekała się teraz na Aleksandrę. To był jej pomysł. Dała jej adres, a w spisek wprzęgła nawet własną ochronę. I co to za pomysł, by chować kobietę w szafie? To kobiety upychają kochanków do szafy. Nie będę dłużej tu tkwiła.

To postanowiwszy, bezszelestnie uchyliła drzwi i stanęła na miękkim dywanie. Najpierw zsunęła pantofelki. Poczula pod bosymi stopami miękkie frędzle dywanu. Zbliżyła się do niego, patrząc na jego przymknięte powieki i twarz, na której wyraźnie odbijały się ślady zmęczenia. Ostrożnym ruchem wyjęła mu kieliszek z ręki.

Zaraz wylejesz – pomyślała. Cóżby ze mnie była za żona, gdybym twego alkoholu nie pilnowała?

Podeszła jeszcze bliżej. Sięgnęła do włosów, wyjęła srebrne spinki, które podtrzymywały jej fryzurę, a włosy natychmiast rozsypały się na plecach. Sięgnęła do zapięcia sukni, po czym pozwoliła jej opaść swobodnie wzdłuż ciała i skłębić się pod nogami. Przez chwilę stała nago, przyglądając się sobie krytycznie. Jej ciało wprawdzie nieco przybrało na wadze, ale wciąż było ponętne. Jej biodra i piersi stały się pełniejsze – wciąż była piękna. Nie jest źle – pomyślała, po czym zrobiła krok do przodu i zahaczyła nogą o skłębiony materiał sukienki. Desperacko próbowała złapać równowagę, ale było za późno. Całym ciężarem

nagiego ciała upadła na Jerzego i wystraszona na chwilę znieruchomiała. Poczwała, że się zbudził i objął ją odruchowo. Umościła się na nim wygodniej.

– Jeszcze i ty? – szepnęła do jej pleców z pretensją. – Jeśli śnię... chcę śnić.

Zachichotała.

To otrzeźwiło go zupełnie. Zrozumiał, że ta szalona kobieta siedzi na nim całkowicie naga z rozpuszczonymi włosami, a on ją obejmuje. Irracjonalność tej sytuacji sprawiła, że się roześmiał.

– Znowu przyszedł robić mi wyrzuty o to, że jestem, kim jestem? O pracę? O Elizę?

– Nie. Czy tak zachowuje się kobieta robiąca swojemu mężczyźnie wyrzuty? Nie. Nie po to przyszedłam. Przyszedłam cię przeprosić.

A, to coś nowego – pomyślał i jednocześnie coraz wyżej unosił rękę, pieszcząc ją odruchowo. Wreszcie poczuł pod swoimi dłońmi jej cudownie miękkie piersi.

– No to przepraszaj – wymruczał jej do ucha.

– Byłam głupia. Chciałam cię mieć tylko dla siebie. Schować i trzymać jak skarb. Teraz nie będę trzymać cię pod korcem, tylko chwalić się tobą i cię wspierać. Będę przy tobie od teraz, aż do ostatniej godziny mojego życia. Jeśli... Jeśli tylko mnie jeszcze chcesz.

– Moje ręce odpowiadają ci już chyba – odparł, nie przestając jej pieścić. – Skąd masz ten adres i tę sukienkę?

Zahałała się przez moment, ale po chwili odparła:

– Adres mam od Aleksandry. Nie wiń jej. Poprosiłam ją. Po prawdzie to oboje powinniśmy jej być wdzięczni, bo to ona otworzyła mi oczy. A suknię mam od madame Vavet. Wszystkie warszawskie elegantki się teraz u niej stroją, choć gdyby spotkały u niej tego samego człowieka co ja, zapewne czyniłyby to z wielką trwogą.

– Kogo spotkałaś? – spytał dość obojętnie. – Wściekłego męża, który zorientował się, ile jego pieniędzy trafiło do kasy tej madame?

Nie czekał odpowiedzi, bo jego zainteresowanie coraz bardziej ogniskowało się wokół pewnych partii jej ciała. Czuł, że zaczyna ogarniać go pożądanie. Pieścił jej skórę, całował, a jego lędźwie zaczynały płonąć. Beata reagowała na jego pieszczoty coraz większym podnieceniem – wyczuwał to. Jej sutki stwardniały, a oddech przyspieszył gwałtownie. Stał się krótki, urywany. Mówiła też z widocznym trudem.

– Spot... spotkałam tam pewnego człowieka z wybitymi zębami i białymi bruzdami na twarzy. To mogły być ślady po torturach. Biedny człowiek...

Dopiero po chwili dotarło do niego, że opis, który podawała mu Beata, zgadzał się co do joty z tym, który otrzymał od celnika, którego sprowadził do Warszawy Wiktor. Już drugi raz mi pomagasz – pomyślał, całując szyję swojej żony. Lecz zaraz jego myśli uciekły w stronę wrogiej agentury. Są dobrzy – to musiał im przyznać. Mają ciekawe pomysły. Sklepiak, gdzie fatalaszki nabywają żony i córki notabli. A przy okazji plotkują. Większość to pewnie bezwartościowy bełkot, ale czasami nie trzeba wiele. Wystarczy strzępek informacji. A mój mąż to służy w takim a takim pułku i już wyjechał.

Zadrzał.

– Obróć mnie – poprosiła. – Zabiorę cię...

Obrócił ją tak, że jej twarz miał tuż przed sobą. Pocałował ją lekko w usta i poczuł, że w tej chwili wszystko inne przestaje istnieć. Pragnął tylko dać jej i sobie przyjemność. Na wszystko inne przyjdzie czas. Na likwidację sklepu Vavet także. Od czego są urzędnicy państwowi – mają te swoje kontrole.

– Co z Elizą? – szepnęła między jednym westchnieniem a drugim. – Dokąd chcesz mnie zabrać?

Dobrowolska przerwała na chwilę proces rozpinania jego munduru i odparła:

– Niech się uczy mdleć. Żadnej z nas to nie zaszkodziło. – Uśmiechnęła się do niego szelmowsko. – Wprawdzie nie ma tu biurka, ale jest podłoga i dywan. Mamy swoje lata... Zabiorę cię do raję.

Tylko westchnęła, gdy rozpięła mu spodnie.

• • •

Położył dłoń na białej czystej kartce i wbił w Lucynę niespokojny wzrok. Wydawało mu się, że wszystko dobrze wyliczył, ale od tej odpowiedzi naprawdę dużo zależało. Bo gdyby odmówiła, to cały plan musiałby upaść. Toteż wielki ciężar spadł mu z piersi, gdy kobieta wzięła pióro do ręki. Obracała je przez chwilę w dłoniach, jakby nie była pewna, w jaki sposób powinna je trzymać. Na koniec jej twarz pokryła się pąsem. Nie umiała czytać i pisać, ale wstydziła się tego, bo nie chciała uchodzić za prostytutkę. Jerzy jednak z samego wyrazu jej twarzy pojął, o co idzie, i wysunął pióro z jej niepewnych dłoni.

Mogłem się domyślić – uznał. Dzieci robotników nie bywają uczone. Edukacja nie jest im potrzebna. Rodziców nie stać na buty, które trzeba im sprezentować, by miały w czym chodzić do szkoły. A zresztą żadne z nich nie rozumie wartości edukacji, uważając ją zapewne za zupełną stratę czasu. Ich dzieci żyją tak jak ich rodzice, pracując w fabrykach, gdzie przez całe życie są traktowane jak woły robocze. Wolność, równość i braterstwo – dobre sobie. Nie ma świątłych ludzi bez odpowiedniej edukacji. Bez świątłych ludzi nie ma rozumnego, świadomego swych celów narodu, a krajem rządzi garstka szczęściarzy, którzy urodzili się w rodzinach dość majątnych, by mogły zapewnić im edukację.

Otrząsnął się z tych myśli. To nie była jego rzecz. On miał swoje zadania i nie miał zamiaru mieszać się do cudzych. Praca wywiadowcza nie polegała bowiem na ocenie funkcjonowania wewnętrznych instytucji państwa, tylko na chronieniu ich przed wszelkiego rodzaju zagrożeniami. Zarówno zewnętrznymi, jak i wewnętrznymi. Ludwik był wewnętrznym. Był jednym z tych ludzi, którym się wydawało, że pieniądze pozwalają kontrolować wszystko i wszystkich. Należało postawić tamę jego szybko rosnącym wpływom, zanim urosną na tyle, że będzie to już całkowicie niemożliwe. Napędzany tą myślą przesunął kartkę w swoją stronę i z uśmiechem zachęcił dziewczynę, by mówiła. Zauważył, iż na jej twarzy, gdy zaczął skrupulatnie notować jej słowa, pojawiła się ogromna ulga.

Lucyna mówiła z początku z jakimś trudem, jakby zanurzenie w przeszłość kosztowało ją wiele wysiłku. Nie ponaglał jej ani jednym słowem, wsłuchując się w miarowe skrzypienie pióra, które przerywało panującą w gabinecie ciszę. Starannie zapisywał nazwiska, które padały z ust kobiety, jednocześnie analizując wzajemne powiązania tych ludzi i dane, jakie zebrał na ich temat. Robił to na chłodno, bo tylko tak potrafił. Tak go szkolono. Wiedział, że emocje są zgubą człowieka. Dlatego nie pozwalał sobie na współczucie wobec kobiety. Spisywał jej wspomnienia, jakby był maszyną do pisania, której wszystko jedno, w jakie klawisze ktoś stuka. Wszystkie swoje myśli ogniskował wokół powiązań ludzi, którzy w jakikolwiek sposób byli zależni od Mierosławskiego. Obraz, jaki coraz wyraźniej ukazywał się jego oczom, nie napawał go zbytnim optymizmem. Kogóż tu bowiem nie było. Politycy, wojskowi, dziennikarze – mówiąc krótko: przedstawiciele grup, które miały realny wpływ na sprawowanie władzy i podejmowane decyzje. Kiedy postawił ostatnią kropkę i ukończył drzewko powiązań, omal nie chwycił się za głowę.

Uniósł oczy na Lucynę i dostrzegł, że jej policzki są pokryte srebrnymi strużkami łez.

– W porządku? – zapytał z troską.

Zadał trywialne pytanie, choć wiedział, że nic nie jest w porządku. Rozdarł ranę w duszy kobiety. Zmusił ją, by zanurzyła się w mroczną przeszłość. By jeszcze raz przeżyła to, co wiązało się ze strachem, cierpieniem i bólem. Ale zdawał sobie sprawę, że musiał to zrobić, gdyż inaczej nie zdołałby osiągnąć tych celów, jakie przed sobą postawił. Wyciągnął rękę i otarł jej łzę.

– Przepraszam – rzekł. – Ale to było naprawdę konieczne. Tylko tak mogę dobrać mu się do skóry. Przysięgam, że zapłaci za wszystkie krzywdy, jakie wyrządził.

– Wierzysz w to? Tam są wszyscy!!! – krzyknęła. – Kurwa kurwie łba nie urwie.

– Cii – szepnął. – Nie muszę walczyć ze wszystkimi. Większość z nich to ludzie, którzy pod niebiosa wynoszą potężnego sprzymierzeńca, a gdy się potknie, rozdepczą, bez żalu i litości. Ja ich znam. Poza tym nie doceniasz mnie. Chciałabyś dla mnie pracować? Podszkoliłabyś nasze agentki w sztuce miłości.

Spojrzała na niego niedowierzająco. Gdyby była sama, sprawdziłaby, czy uszy jej nie zaszwankowały. Nigdy, ale to nigdy nie przypuszczała, że ktokolwiek zaproponuje jej państwową posadę. Taką prawdziwą. Nie taką, jaką otrzymywali niepracujący mężczyźni, którym zajmowano ręce odśnieżaniem torów czy innymi dorywczymi pracami. Nieznacznym ruchem uszczypnęła się w udo, by sprawdzić, czy przypadkiem nie śni. Choć i to było mało prawdopodobne, bo dlaczego jej umysł miałby stworzyć tak nieprawdopodobny sen? Dopiero ból, który przeniknął jej ciało, przypomniał, że cały czas znajduje się na jawie. Zamknęła usta, które wcześniej utworzyły literę o...

Przez kilkadziesiąt sekund siedziała sztywno na krześle niczym żona Lota, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Dopiero

po upływie tych kilku chwil otrząsnęła się z zadumy i spojrzała na Jerzego przytomniej.

– Nie wierzę!

– To nie jest kwestia wiary, a tylko twojej woli. Wywiad potrzebuje zarówno specjalistów, jak i specjalistek z bardzo wielu dziedzin. Nie musisz teraz decydować, jeśli nie jesteś pewna tego, czego chcesz.

– Ja nie jestem pewna – odparła z oburzeniem. – Ja jestem w szoku, ale się zgadzam. Oczywiście, że się zgadzam. Nie wiem tylko, czy zdołam pańskie agentki nauczyć miłości, bo sama nigdy jej nie czułam. My nikogo nie kochamy. Taki zawód.

– Za to potraficie udawać miłość, co na jedno wychodzi. Witam na pokładzie, Lucyno.

Wstał i podał jej rękę, kłaniając się lekko.

– Zobowiązanie do zachowania poufności podpisze pani w kadrach, kwestię wypłat także omówi pani z nimi. A teraz zechce mi pani wybaczyć, ale mam jeszcze wiele do zrobienia.



## Rozdział VIII

Plan operacji wileńskiej przygotowywany był przez naczelne dowództwo Wojska Polskiego z wielką starannością. Choć wzbudzał spory i niechęć w sztabie generalnym, to naczelnik przeforsował swoją koncepcję, ignorując sprzeciwy pułkownika Stanisława Hellera, który kwestionował zasadność tej operacji. Optował on raczej za skupieniem wszystkich sił na walkach w Galicji Wschodniej. Piłsudski nawet jednak słyszeć o tym nie chciał. Wyprawa wileńska podporządkowana była bardziej celom politycznym niż wojskowym. On miał swój plan, którego nigdy z oczu nie tracił. Był to wielki projekt, który gdyby się powiódł, mógłby zapewnić krajowi bezpieczną przystań. Był to cel, ku któremu dążył z całym uporem i jemu podporządkowywał plany wojskowe.

Plany owe już na początku natrafiły na ogromne trudności natury technicznej i logistycznej. Koncentracja oddziałów przebiegała nierówno i wiązała się z licznymi perturbacjami. Szczególnie dotkliwe były braki w taborze kolejowym, który był głównym środkiem lokomocji jednostek przenoszonych na pozycje wyjściowe z głębi kraju. Nie mniejsze zamieszanie wprowadzały jednak modyfikacje planu, które spowodowane były meldunkami wywiadu, donoszącymi o wznoszeniu przez bolszewików umocnień na kierunku planowanego natarcia. Te wszystkie obiektywne trudności zmusiły polskie dowództwo do przełożenia terminu rozpoczęcia akcji o jeden dzień.

Tomasz nieznacznym ruchem poprawił się w siodle. Rozejrzał się wokoło, ale we wsi Myto nie było nic wartego oglądania. Nie znajdowało się tu nic, co odbiegałoby od zwyczajowego wyglądu biednych wiosek na wschodzie. Chłopskie chaty były niskie i zapadnięte, a budowano je z drewnianych bali i kryto strzechą. W oknach nie było jeszcze nawet szyb, tylko błony zwierzęce. Podwórka były tak zaniedbane, jak mogą być tylko na głębokim wschodzie, gdzie dotąd cywilizacja nie zapuściła swoich korzeni. Pokrzywione, pochylone płoty, budy sklecone z byle czego były tu normalnym elementem krajobrazu. Drugim była wszechobecna ciasnota, bo chłopcy mnożyli się bez opamiętania, co miało ten dobry skutek, że nie brakowało rąk do pracy. Za to gorzej było z gębami, które czymś zatkać było trzeba. A niełatwo było tego dokonać, bo chłopskie grunta zajmowały niewielkie obszary, a na dodatek uprawiano je dość prymitywnymi metodami. Żelaznych narzędzi jeszcze praktycznie tu nie znano, a drewniana socha nie była niczym nadzwyczajnym. Brakowało zwierząt pociągowych, bo na konie stać było tylko bogatszych gospodarzy i dwory pańskie, do których należały wielkie połacie ziemi.

Tomasz nie przyglądał się zbyt długo, bo w czasie swojej wieloletniej tułaczki po świecie widział takich ubogich wiosek na pęczki. Wolał obserwować nową armię, której od niedawna był częścią. Wieś zapchana była wojskiem i nie było ani jednego budynku, którego nie zamieniono by na kwatery czy to dla żołnierzy, czy to dla koni. Zwykłą monotonię wiejskiej egzystencji przerywał teraz szcęk oręża, parskanie koni, skrzyp wozów taborowych. Słowem normalny rwetes, jaki towarzyszył oddziałowi wojskowemu. Tomasz szybko zaaklimatyzował się w nowym otoczeniu. Belina widział się z nim krótko i zbadał go dość pobieżnie, po czym przydzielił do szwadronu Orlicz-Dreszera. W nowym oddziale było mu dobrze – o niebo lepiej niż w armii carskiej. Dyscypliny przestrzegano co prawda żelaznej, ale do tego

nawykł i szarpać się nie myślał. Za to nie bito go już i nie katowano za byle co. Nie musiał płaszczyć się przed byle oficerem, który traktował go jak psa. Dlatego szybko znalazł swoje miejsce i polubił nową służbę, bo robił swoje i nikomu nie wadził.

A dziwna to była armia. Jak koldra zszyta naprędcie z trzech części. Tworzyli ją ludzie, którzy jeszcze tak niedawno stawali przeciw sobie. Dało się to odczuć, bo dyskusje dotyczyły tylko tego, gdzie który służył podczas Wielkiej Wojny. Dyskutowano, czyja armia była lepsza. Pruska, austriacka czy carska. Wewnątrz oddziału tworzyły się partie i podziały. Lecz wiedział o nich tylko ten, kto był w środku, bo w bitwie stawał jeden za drugiego, jakby setki bitew stoczyli, stojąc ramię przy ramieniu. Jeden na drugiego się wysadzał, by pokazać, że w swojej armii znalazł lepsze wyszkolenie. Rywalizacja ta dobrze robiła oddziałowi i Belina nawet nie próbował zmniejszać owych napięć, a wręcz przeciwnie, jeszcze je podsycił. Zresztą miał on mnóstwo innych trosk na głowie i nie miał czasu na sprawy, które żołnierze między sobą lepiej załatwić mogli. Myśli jego kłębiły się cały czas wokół zadania, które postawiło przed nim naczelne dowództwo. Było ono trudne, a człowiek wojny nieświadomy mógłby je uznać za niewykonalne. Ale Belina, któremu młodość zbiegła na bezustannej walce na froncie, będącej szkołą i dającej mu dziś wielką znajomość wojny i prawideł nią rządzących, uważał to przedsięwzięcie jedynie za zuchwałą wyprawę wojskową, która rokowała powodzenie, jeśli będzie sprawnie i zdecydowanie przeprowadzona.

Trudno było sobie jednak wyobrazić większe zuchwalstwo niż próba zdobycia Wilna w siedemset szabel i dwa działa. Lecz właśnie zuchwałość tego przedsięwzięcia najbardziej pociągała Prażmowskiego. Było w nim coś z dawnych stepowych zagończyków, dla których podobne eskapady nie były niczym nadzwyczajnym, bo często wyprawiano ich przeciw siłom

dziesięciokrotnie liczniejszym. Sam Belina pragnął zapisać się w annałach polskiej wojskowości jako ten, który jednym śmiałym zagonem opanował Wilno. Podniecenie wodza udzielało się i wojsku, którym dowodził. Dla nikogo bowiem w zgrupowaniu nie było tajemnicą, dokąd idą i po co. Nie było sensu robić z tego sekretu, gdy wszyscy znaleźli się już w swoich pododdziałach. W szeregach panowało więc podniecenie zmieszane z niepokojem, bo wszyscy zdawali sobie sprawę, że dla części z nich ta wyprawa będzie ostatnią.

Tego dnia we wsi od samego rana panował ruch nadzwyczajny. Posyłano po koniowodnych, by ściągaliby konie z popasu, aby je do drogi przysposobić. Ułani siodłali je, troczyli juki, do których z wozów przenoszono żywność, gdyż oddział miał nie brać ze sobą taboru, by ten nie opóźniał marszu. Cały rachunek tej operacji oparty był bowiem na szybkości, z jaką zostanie przeprowadzona. Czyszczono broń, dobierano amunicję. A wszystko to odbywało się w ładzie i porządku, bo czynił je żołnierz doświadczony, który sam wiedział, co mu będzie w czasie wyprawy potrzebne. Nie było tu więc żadnego bałaganu, który pośród mniej karnego wojska zwykł się pojawiać, gdy tylko ruszać trzeba było. Wszystko odbyło się szybko i zgodnie z planem. Czerwona tarcza słoneczna właśnie chowała się za horyzontem, gdy ostatni żołnierze grupowali się dwójkami i stawali w szeregu.

Sąsiad ściągnął wodze swego konia, by nie wpaść na siedzącego przed nim, i pochylając się nieco, rzekł do Tomasza:

– Zaraz ruszamy. Wolałbym gdzie indziej iść, bo to szaleństwo jest, które klęską skończyć się musi. U kogo służyłeś, bo ja u Wilhelma?

– Tam idziesz, dokąd ci każą – odparł oschle Tomasz. – Packa nie pyta ręki, po co ma muchy bić, tylko bije. Ja służyłem u Romanowów, dokąd ich szlag nie trafił, a potem na własną rękę się do kraju dostałem. Na granicy mnie omal nie zatłukli; orderzy

i łup, com go z wojny wiózł, zrabowali. Zaciągnąłem się, bo nie umiem nic prócz wojaczki, a wojaków potrzeba. Da Bóg, się odkuję.

Sąsiad parsknął śmiechem.

Lecz rozmowa urwała się nagle. Z przodu trębacz dał cichy sygnał do wyruszenia, trąbiąc przez masztunek. Ułani ruszyli. Szli w porządku, szwadron za szwadronem. Konie szły stępa, póki tkwiły w ciasnych opłotkach, gdzie zgrupowanie nie mogło się w pełni rozwinąć. Na wietrze powiewały proporczyki uwieszone u lanc, a konie parskwały na dobrą wróżbę, co wywoływało uśmiechy na twarzach żołnierskich. Oddział przeszedł przez wieś jak sen żegnany nieprzychylnymi spojrzeniami chłopów, którzy wisieli na płotach i gniewnymi pomrukami dawali upust złości na wojsko, które ogołociło wieś z żywności. Dopiero po wyjściu z ciasnych opłotków oddział rozwinął prawdziwy szyk pochodowy i zaczęła iść jak wichur. Ułani rozpuścili konie i lecieli na złamanie karku. Pochód odbywał się w ciszy, którą mącił jedynie stęk rumaków przymuszonych do najwyższego wysiłku. Ich kopyta zdawały się w ogóle nie dotykać ziemi, a wsie, pola i lasy umykały przed nimi.

Tomasz cwałował wraz z innymi. Teraz dopiero mógł się w pełni przekonać, że dar Długoszowskiego wart był wiele. Jego klacz z łatwością dotrzymywała kroku najtęższemu i najszybszemu rumakom oddziału. A nawet strzygła nerwowo uszami, kiedy ją powściągał, nie chcąc, by łamała szyk i rwała na czoło. Oszczędzał jej siły, bo wiedział, że przed nimi długa i uciążliwa droga, którą przyjdzie odbywać bezdrożami, klucząc po kraju opanowanym przez nieprzyjaciela. Nie pierwszy raz brał udział w tego typu rajdzie i wiedział, że tylko głupiec nie rozkłada sił zwierzęcia, na którym siedzi. Z zadowoleniem spostrzegł, że pozostali ułani również powściągają swoje rumaki. Ucieszył go ten widok, bo pozwalał przypuszczać, że towarzyszą mu ludzie doświadczeni,

dla których taka wyprawa to także nie pierwszyna. Ludzie Beliny należeli do elity odrodzonego wojska i świetnie zdawali sobie sprawę, że obiektywne trudności wkrótce się pojawią. Stworzy je albo nieprzyjaciel, albo pogoda.

Jednak przez pierwszą dobę nieprzyjaciel nie tamował pochodu. Prawdziwy problem stanowiły roztopy i nadmiar wilgoci, którego ziemia nie zdążyła jeszcze wchłonąć. Ułani musieli przeprowiać się przez dziesiątki rzeczek, które w zwykłym czasie można by normalnie przejechać. Na błotnistych drogach konie zapadały się po same brzuchy. Działa trzeba było popychać i holować, bo ich koła zapadały się w błotnistej mazi. Pracowali wszyscy po równo, wypychając je z błota. Nawet oficerowie nie szczydzili rąk i wkrótce wszyscy umorusani byli w błocie, niczym diabły. Tomasz, gdy wymagała tego sytuacja, pracował wraz z innymi, ciągnąc działa. Konie trzeba było bowiem oszczędzać. Zresztą nikomu z kawalerzystów nie przyszło nawet do głowy, by męczyć ukochane zwierzę.

Zgrupowanie ominęło Puszcę Rudnicką od wschodu, by nie wpaść na bolszewickie umocnienia. Szli traktem przez Krupy, Żyrmule i Wielkie Sioło. Marszowi temu towarzyszyła odległa kanonada artylerii, którą słyszać było od strony Baranowicz, i lekki deszczyk. Słyszał ją dobrze i Tomasz, bo słuch miał wyborny i czujny. Okrył się szczelniej wojskowym płaszczem, bo ścierpł i zziębł. Poza tym odczuwał głód, bo od wyruszenia ze wsi nie miał nic w gębie. Żywności nie było za wiele, a tym, co miał, podpassał klacz. Pociągi z zaopatrzeniem nie docierały na czas. Konie, które musiały poruszać się po bardzo trudnym terenie, zaczynały ustawać. Trzeba było zeskakiwać z siodła i iść pieszo. Buty zapadały się w wielkich łąkach błota i koleinach, a siąpiący deszcz chłostał twarze. Wszystkich mimo woli nawiedzała myśl, co zrobią, jeśli konie padną. Lecz niewiele można było w obecnej sytuacji uradzić. Łupiony od lat kraj nie był miejscem, gdzie łatwo

było o paszę dla zwierząt. Rekwizycje nie mogły zaspokoić apetytu ponad siedmiuset koni.

Tomasz ledwie już wtoczył się do Wielkiego Sioła. Nogi drżały, chwiały się pod nim i przechylał się to w lewo, to w prawo, osłabły z głodu i wysiłku. Zdołał tylko dotoczyć się do płotu i wsparł się na nim. Jak przez mgłę widział przechodzących ułanów, którzy wyglądali nie lepiej od niego, ale jeszcze mieli siły, by iść, a raczej wlec się dalej. On sił miał mniej, bo częściej niż inni ciągnął działa po rozmiękłym gruncie. Czuł, jak mięśnie palą go żywym ogniem, i jednocześnie obserwował oddalające się szeregi ułanów, którzy z wolna rozplłynęli się w kwietniowej mgle. Dogonię ich – pomyślał i usiadł na stojącej pod płotem mokrej i szerniałej ławeczce. Wsparł dłonie o kolana i ciężko oddychał. Stracił spotniałe włosy z czoła i siedział. Anna stała obok niego i nerwowo szczypała pyskiem resztki trawy. Również patrzyła tęsknie za odchodzącymi.

– Dogonimy ich, jak tylko troszkę się wysapię – szepnęła. – Nie patrz tak na mnie. Nie mam już nic. A tu nie ma nawet nikogo, kogo by można okraść. Sama widzisz. – Potoczył ręką dokoła, pokazując jej ubóstwo wioszczyzny, w której się znajdowali.

Właśnie miał zbierać się do wymarszu, gdy dostrzegł wóz, który wtoczył się do wioski. Ciągnęły go dwie chude szkapiny, a lejce zwisały smętnie przerzucone przez ławkę. Podniósł się zaintrygowany. Puścił konia i podbiegł do wozu. Na dnie skrzyni leżał furman z zakrwawioną twarzą i ogromną raną na piersi. Oddychał jeszcze, ale widać było, że nie ma już przed sobą wiele życia. Patrzył na Tomasza zamglonym już wzrokiem. Nagle twarz mu się wydłużyła, poczerwieniała z wysiłku, po czym uniósł się na łokciach i resztkami sił wykrztusił rwanym głosem:

– Ruscy napadli... Dziedziczki... Ratuju... Wojsko chciały... nasze... na Wileńszczyźnie... powitać.

Chciał coś jeszcze mówić, ale oczy stanęły mu w ślup, a z kącików ust popłynęła strużka krwi. Padł na wóz, a nogi

kurczyły mu się i rozkurczały gwałtownie. Kopał nimi przez chwilę, rżąc i charcząc. Palce zagięły mu się i skonał. Tomasz zbyt wiele razy śmierć widział i sam ją zadawał, by mieć co do tego wątpliwości. Zresztą nie myślał już o nim. W głowie utkwily mu tylko owe dziedziczki. Musiały być bogate, a więc mieć co jeść – pomyślał. Może się podziela, a jeśli nie zechcą, to się przemocą weźmie. Nie myślał w tej chwili o sprawcach napadu. Byli to kolejni ludzie, których musiał zabić. Nie było sensu myśleć o nich przed czasem. Podbiegł do konia, podciągnął popręgi i sprawdził, czy szabla łatwo wychodzi z pochwy.

– Nie będziemy głodowali – szepnął do Anny. – Tylko musisz teraz zdobyć się na trochę wysiłku.

To rzekłszy, uderzył klacz ostrogami i ruszył. Musiał położyć się niemal na końskim karku, by utrzymać się w siodle. Poczul gwałtowny pęd powietrza, które uderzało go po twarzy i świszczało w uszach. Tym samym pędem wyjechał ze wsi i nie wstrzymując konia, wpadł na trakt wileński. Błoto bryzgało spod końskich kopyt, opryskując mu twarz i mundur. Lecz on na to nie zważał, bo oczy miał utkwione w głębokim śladzie, jaki pozostawił po sobie chłopski wóz. Ślad był dobrze widoczny. Bódł więc konia ostrogami, bo zdawał sobie sprawę, że nie ma zbyt wiele czasu. Ci, którzy napadli owe panny, z pewnością nie pozostawią ich przy życiu. Zresztą o to mniej mu szło. Głównie pragnął dostać żywność, która uczyniłaby go niezależnym od dostaw wojskowych. Koń oddychał coraz chrapliwiej, a płaty białej piany padały mu z pyska. Anna była klaczą o żelaznej sile i wytrwałości, ale od niemal doby szła bez wytchnienia i zaczęła słabnąć.

Tomasza dreszcz przebiegł po skórze, gdy po raz pierwszy potknęła się silnie.

Nie padaj, nie padaj! – powtarzał w myślach z przerażeniem. Cóż bowiem uczyniłby bez konia? Jak dogoniłby swój szwadron, który już znacznie oddalić się musiał? Znowu przyjdzie się



ukrywać. Przepadnie nadzieja na spokojne życie, którą skrycie hołubił jak najmilsze dziecię. Ale nie czas było się cofać. Niepokój o klacz podnosił mu włosy pod czapką, ale gnał przed siebie.

Wreszcie do jego uszu doszły kobiece krzyki, które przewyższyły tonacją świst wiatru. Dobra nasza. Widać nie skończyli jeszcze z babami – pomyślał. Jedzenie musi być w pobliżu. Lecz co sprawiło, że tak dużo czasu zajęło im uporanie się z kobietami?

Nie zastanawiał się nad tym dłużej, bo nie był czas ku temu. Za to zaczął bieg Anny hamować, by nieco się wyziała przed starciem. Sam poprawił się w siodle, dobył szabli. Przez chwilę przyglądał się stalowemu ostrzu i widocznemu w nim odbiciu swojej twarzy, po czym zacisnął zęby i pewnie ujął wodze jedną ręką. Wynurzył się zza zakrętu niczym duch. Klacz wyciągała kopyta w maksymalnym wysileniu. Dostrzegł dwóch mężczyzn szamoczących się z kobietą. Jeden trzymał ją za przeguby dłoni, a drugi usiłował właśnie wygodnie się ułożyć między jej udami. Tomasz dostrzegł jeszcze kilka trupów, które leżały na wznak na drodze w kałużach ciemnej, rudawej krwi. Trzeci z napastników w pewnym oddaleniu przeszukiwał sakwy, przedkładając przedsiębiorczość nad cielesne uciechy. Albo po prostu czekał na swoją kolejkę.

Tomasz nie zastanawiał się nad tym. W chwili walki myślał o samej walce. Skupił się w sobie, a na jego twarzy pojawił się wyraz zwierzęcej zawziętości. Obnażył zęby, wysuwając je przed wąsy. Wiedział, że ci dwaj usłyszą tętent kopyt, a wtedy będzie miał tylko jedną szansę. Zajechał ich od prawej ręki. Właśnie zaskoczeni puścili dziewczynę i unosili głowy, by na niego spojrzeć. Przez sekundę widział ich wytrzeszczone oczy, w których malowało się zwierzęce przerażenie. Następnie ciął. Rozległ się potworny świst żelaza, zmieszany z dwoma okrzykami. Po sekundzie oba dźwięki ucichły, a dwie odcięte głowy potoczyły się

prosto między rozłożone nogi dziewczęcia. Obaj napastnicy klęczeli, tak jakby się modlili, a z kadłubów tryskała im fontanna krwi.

Tomasz Anny nawet nie powstrzymał, by ocenić skutki ciosu. Krzyk mu wystarczył, a o kobietę mniej dbał. Zresztą pamiętał o trzecim przeciwniku i ku niemu teraz konia skierował. Nieznajomy obracał się już w jego stronę. Widać zdumiewający napad nie odjął mu przytomności umysłu. Tomasz, który wzrok miał nadzwyczaj bystry, dostrzegł dwa wybrzuszenia na jego brzuchu. Pistolety – przeszło mu przez myśl. Możliwe rozwiązania przelatywały mu przez głowę z prędkością błyskawicy. Przeklinał teraz, że nie miał rewolweru, tylko długi karabin za plecami, a czasu, by po niego sięgnąć, nie było. Wiedział, że szablą nie zastawi się przed kulą ani ciąć nie zdąży, zanim padnie strzał. Mógł wprawdzie jeszcze postawić, poderwać konia na tylne łapy i nim się zastawić. Ale żał mu było szlachetnego zwierzęcia. Rzucił więc szablą w stronę przeciwnika. Broń obróciła się dwa razy w powietrzu i wbiła się prosto w szyję.

Ów oczy wybałuszył. Odruchowo chwycił za rękojeść szabli, jakby chciał ją sobie wyjąć. Jego usta otwierały się i zamykały, niczym u ryby. Tomasz obserwował te ostatnie przebłyски świadomości obojętnie. Zajął się bowiem klaczą, ocierając jej spotniałe boki wiechciem trawy. Tymczasem przeciwnik postąpił jeszcze kilka kroków ku niemu, po czym padł twarzą na ziemię. Tomasz usłyszał tylko odgłos, jaki wydało osuwające się ciało. Podszedł do niego, wyjął szablę z ciała i otarł ją o ubranie przeciwnika. Wsparł się na niej i podszedł do sakiew. Wszystkie były już rozwiązane.

Właśnie wetknął w nie ręce, by sprawdzić zawartość, gdy rozległ się kobiecy głos.

– Jest pan zwykłym łupieżcą – usłyszał.

Tomasz odwrócił się, nierad, że przerwano mu przeszukiwanie sakiew, na których dnia spodziewał się znaleźć to, po co tu przybył. Za to teraz mógł przyjrzeć się kobiecie, którą mimo woli uratował. Była jeszcze śmiertelnie blada. Na jej ładnej, proporcjonalnej twarzy dało się dostrzec sińce i zdrapania. Ciemne włosy wciąż miała w nieładzie. Tomasz patrzył na jej delikatną budowę z zupełną niemal obojętnością.

– Tam są tylko bezużyteczne kosztowności, z których nic mi nie przyjdzie.

Nieznajoma zdumiała się, bo w głosie mężczyzny usłyszała szczerłość. Ten człowiek naprawdę uważał kosztowności za bezużyteczne. Jeszcze czuła strach, jaki ją ogarnął, gdy widziała rzeź własnych ludzi, broniących ją przed napastnikami. Wielu zdołali położyć, ale gdyby nie ów nieznajomy, zostałyby zgwałcona, a potem zamordowana. I tak bolała ją cała twarz, w ustach czuła metaliczny posmak krwi. Przybysz zaintrygował ją. Przyglądała się z ciekawością jego rozrosłej i barczystej sylwetce i mundurowi, pod którym wyraźnie rysowały się mięśnie.

– Nie chcesz pieniędzy? – spytała. – Należysz do wojsk, które tędy przechodziły? Chciałyśmy z matką zobaczyć Piłsudskiego, bo ludzie mówią, że kwateruje z wojskiem gdzieś tu, niedaleko.

Tomasz roześmiał się i z najwyższą obojętnością wrócił do przeszukiwania sakw. Nie znalazł w nich jednak niczego prócz kosztowności. Rozeźlony prasnął nimi o ziemię.

– Nie macie nic cennego?

– Przecież są tam nasze kosztowności. Bierz, ile chcesz, choć myślałam, że oficer nie będzie za taką przysługę brał pieniędzy. Jest pan żołnierzem i ma obowiązek chronić ludzi.

Wydał pogardliwie wargi. Jaki obowiązek? Człowiek ma obowiązek chronić tylko siebie i może jeszcze dzieci. A innych? Niech sami sobie radzą. W końcu mają tyle samo rąk i głów, co wszyscy. Żołnierz idzie na wojnę po to, by w bitwie zwyciężyć lub

zginąć. Walczy choćby bez nadziei, a przegrywa – zdycha. Nikogo ratować nie musi.

– Nie jestem panem, tylko chamem – odparł opryskliwie. – A dla mnie kosztowności nie mają teraz znaczenia i wartości. Ty także się nimi od gwałtu i przemocy nie zdołałaś uchronić, choć je miałaś. Pewnie w tamtej chwili, gdy tamten pchał się między twoje nogi, zamieniłabyś to złoto na jakie żelazo, by się bronić. Zresztą nic by ci raczej i to nie dało, bo delikatne masz ręczki, które nie mają do broni zaprawy.

Zarumieniła się, bo czuła, że prawdę mówił. Rzeczywiście w tamtej chwili zamieniłaby wszystkie te błyskotki na choćby lichej kawałek żelaza. To dla człowieka cenne, co w danej chwili mu potrzebne – pomyślała. Po raz pierwszy podsunęto jej taką myśl i wydała jej się prawdziwa. Spojrzała na jej autora z większym szacunkiem. Istotnie wyglądał na wieśniaka, jakich pełno kręciło się po polach, sadach i wioskach. Ale w jego rysach była pewna twardość i hardość. Było to, co jest w człowieku świadomym swojej siły i mocy.

– Może i rację masz – odparła z niepokojem, rozglądając się za matką, którą uprzednio cuciała. Dostrzegła ją siedzącą między trupami służby i patrzącą gdzieś w dal. – Chciałybyśmy jednak z matką ci się odwdzięczyć, bo nie ma nic cenniejszego nad życie, a tyś nam je ocalił.

Tomasz tylko ramionami wzruszył. Niepewnie się czuł. Zabił tamtych, by się do żywności dobrać. Nie chciał nikogo ratować. Przypadkiem samo wyszło. A teraz miał przyjmować dowody wdzięczności, na które we własnym rozumowaniu nie zasłużył? Dlatego nieswojo mu było pod spojrzeniem dziewczęcia, które wyrażało wdzięczność. Nie lubił kontaktów z ludźmi, a już zwłaszcza z tymi, którym księgi nie były obce. Wstydził się bowiem wówczas własnego prostactwa. Ot i teraz ani wiedział, jak z nią

mówić, by nie odgadła, że tyle umie, co go rodzinna wieś i wojna nauczyły.

Na szczęście w tym momencie zbliżyła się do nich matka dziewczyny, którą szok i przerażenie wywołane napadem wreszcie opuściło. Tomasz przyjrzał się jej i zaraz poznał pokrewieństwo, bo starsza kobieta była wierną kopią swej córki, tylko że wiek posrebrzył jej włosy i przyozdobił twarz zmarszczkami. Jednak ślady dawnej urody wciąż jeszcze były widoczne. Nosiła długą czarną suknię, najwidoczniej na znak żałoby. W ruchach jej była jakaś powaga właściwa ludziom starszym i dostojnym. Ona także zaczęła gorąco dziękować Tomaszowi i przygarnęła córę do siebie, jakby ją chciała przed wszelkimi niebezpieczeństwami świata osłonić. A jako osoba doświadczona i znająca życie dostrzegła też to, czego jej córka nie widziała – mianowicie pomieszanie i niepewność nieznanego. Dość jej było spojrzeć na niego, by odgadnąć też i to, z czego ono wynika.

– Nie podobają ci się sakwy nasze – rzekła mocnym głosem. – Nie za zdobyczą więc na wojnie gonisz? Powiedz, nie radyś, żeś nas ocalił? Nasze podziękowania tak przyjmujesz, jakby ci niemiłymi były.

Tomasz zmieszał się jeszcze bardziej i przestępował z nogi na nogę. Języka w gębie zapomniał. Jak by tu uczenie wywieść, co na duszy i sercu siedzi, nie wiedział. Nikt nigdy go ani w mowie, ani w piśmie nie kształcił. Na cóż taka wiedza chłopskiemu dziecku? Chłop musi umieć robić i kark zginać. Z widłami do gnoju chodzić lub na wojnę, gdy się panom znowu wojny cudzymi rękoma prowadzić zechce. Takim jak on nikt nigdy nie dziękował, jak nie dziękuje się psu, który na łańcuchu domu strzeże.

– Dziękuje się tylko równym sobie, a ja nierówny – odparł. – Chłop jestem sobie zwyczajny, co pisać i czytać nie umie, a nie oficer, który panienki ratuje. Mnie szło o to, żeby tamtym żywność odjąć i przez to zabić ich musiałem. Po cóż udawać...

Starsza kobieta uśmiechnęła się z lekka, a młodsza, widocznie żwawszej natury, sapnęła z gniewu, a oczy błysnęły jej hamowanym gniewem. Widać nie przywykła do takiego odrzucania. I to przez kogo? Przez człowieka dopiero co poznanego na drodze, który – jak sam mówił – szedł o głódzie i chłodzie. Matka ścisnęła ją za rękę, chcąc pohamować jej gniew i do większej zadzierki nie dopuścić.

– Nie bzdycz się, bo prawdę mówi. Ludzie nigdy równi nie będą, choćby ci twoi piewcy myśli socjalistycznej jeszcze kilkaset tysięcy książek o tym napisali. – Tu zwróciła się do Tomasza: – Jestem Agata Ojrzańska, a to córka moja, Maria. Młode to jeszcze i zielone ziarno ma w głowie, choć za mąż już wyszła. Zdaje jej się, że świat uczciwym i porządnym uczyni. A tego nie wie, że nie tylko dla szczęścia on stworzony. Jednak ja szczycę się tym, że nigdy przysługi bez odpłaty nie zostawiła. Czasem i kamieniowi człek podziękuje, gdy mu się przysłuży. A ty złota nie chcesz i za żywnością gonisz, która tutaj istotnie więcej warta od złota i kosztowności. Tak jak dobry koń.

Tu spojrzała na klacz Tomasza i pociemniało jej w oczach. Była bowiem wielką znawczynią koni i stajnia jej uchodziła za jedną z największych na Wileńszczyźnie. A niełatwo tam było dzierżyć prym w tej dziedzinie, bo wszyscy polscy ziemianie kochali się w koniach i każdy na to tylko zważał, by mieć w swojej stajni jak najlepsze rumaki. Agata patrzyła na wynędzniałą klacz, której boki były zapadnięte, bo karmiła się tylko wojskowymi zapasami, które szczupło i surowo wydzielano. Kobiecie oko załśniło gniewem i rękę w pięść zwinąwszy, rzuciła popędliwie:

– Konia bym chętnie kupiła od ciebie, bo tak wygląda, jakby obroku nie widywał. O takiego konia ty nie dbasz, a ja sama lepszego w swoich stajniach nie mam.

Tomasz poczerwieniał na twarzy. Dla tego urodzonego kawalerzysty nie było gorszej obelgi jak ta, którą właśnie usłyszał.

Zęby w złości obnażył, a na koniec wybuchnął jednym potokiem żalu, który się w nim od kilku dni nagromadził. Mówił, że transporty z żywnością nie dochodzą na czas. Czy z pociągami jest coś nie tak, czy linia jeszcze niepewna, dość, że zaopatrzenie szwankuje. To, co mają w jukach i co znajdą w chłopskich chatach, starcza koniom na tyle, by mogły się wlec, ale nie biec. A przecież iść trzeba.

– Na piechotę maszerujemy, by ich nie obciążać – mówił ponurym głosem. – Sami ciągniemy działa i własnymi racjami się dzielimy. Od szeregowych po oficerów, wszyscy mają takie same problemy. Zabierać i mieczem płacić dowództwo nie chce, bo to by było tak, jakby ojca i matkę okradać. Tak nam mówią i tłumaczą, a przecie, jeśli dalej sprawy tak będą szły, to się zgrupowanie rozleci, nim się o bolszewika otrze. Ja sam głodny jestem, bo do syta nie jem, alem do tego nawykły, bo i na wsi nie inaczej się jada. Ale koń? Co jemu dać? Dawałem swoje i od trzech dni nic w gębie nie miałem, aż mnie w końcu zmogło i osłabłem.

Obie kobiety słuchały zawstydzone, słowem nie przerywając. Tomasz mówił bowiem prosto, gdyż inaczej nie umiał, ale właśnie dzięki temu trafiał do serc słuchaczek. W jego słowach znać było rozgoryczenie i żal do dowództwa, które nie wszystkiego dopatrzyło i nie wszystko na czas przygotować umiało. Ale gorycz ta nie przeszła nigdzie w bunt i otwartą wrogość, gdyż wszyscy po równo dzielili trudy wyprawy. Ale co stanie się z tymi dzielnymi ludźmi, gdy ich konie padną albo osłabieni zetrą się z nieprzyjacielem? Obie, choć z wojną nieobeznane, znały odpowiedź na to pytanie, bo nie było trudno ją odgadnąć.

– Chciałyśmy Piłsudskiego zobaczyć, bo mówią, że on tu sam dowodzi i blisko kwateruje, a tymczasem mało życia nie straciłyśmy – mruknęła Maria. – Przepraszam, jeśli poczuł się pan urażony, nie chciałam urazić. Tylko krew się we mnie burzy i serce się w piersi podnosi, gdy widzę, że na świecie ciągle jest tyle zła

i niesprawiedliwości. Choć nie jest pan oficerem, jak oficera chcę pana traktować.

– Nie potrzeba – odparł i odskoczył, gdy wyciągnęła ku niemu rękę do pocałowania. – Piłsudski taki sam człek jako drudzy. Sam nas wyprawiał, gdyśmy z Myta ruszali. Ja go nie widziałem i nie słyszałem, co mówił, bo w wojsku człowiek stoi, gdzie mu każą. A panie lepiej by zrobiły, gdyby do domu wróciły. Tam wam najlepiej, bo tu nikomu nie pomożecie, a głowy stracić możecie.

I tu się mylisz – pomyślała Agata.

Samotna była, bo męża swego przeżyła. Nie miała ani chęci do życia, ani celu, do którego mogłaby dążyć. Zdało jej się, że swoje już przeszła. Los obdarzył ją tylko córką, która własną rodzinę już miała i dlatego Agata rzadko mogła się nią cieszyć. Ale nie buntowała się, albowiem wiedziała, że miejsce Marii jest przy mężu, bo jej życie z nim odtąd związane. Żałowała tylko, że wiek nie odebrał jej ani sił, ani zdrowia. Gdyby choroba zwała ją do łóża, lżej by jej było. A tak nie mogła znaleźć ujścia dla energii, która w niej jeszcze tkwiła. Chwyliła się pazurami gospodarki i ziemi, choć bogactw pomnażać nie miała dla kogo. Córce posag już wypłaciła, wedle umowy zawartej z rodziną narzeczonego. Szarpnąć się musiała, ale na szczęściu latorośli nie miała zamiaru oszczędzać. Zresztą, mimo tych kosztów, jakie musiała ponieść, zwiększyła wartość gospodarki, bo nie mogła ścierpieć myśli, by rodowe gniazdo Ojrzańskich popadło w ruinę właśnie za jej rządów.

Ale prawdziwą radość i zajęcie dała jej dopiero praca w Polskiej Organizacji Wojskowej. Tu na kresach ścierały się nie tylko wpływy wielu państw, ale i cele licznych narodowości, które chciały na tym olbrzymim i dość zasobnym obszarze zorganizować własne kraje. Do walki przyjść musiało – i przyszło. Agata знаła tu wielu. Zawsze utrzymywała szerokie kontakty towarzyskie, bo grzech sąsiadów, bliższych i dalszych, nie ugościć, gdyż od tego



splendor i powaga rodu rośnie. A Agata była bardzo czuła na te sprawy i o podtrzymywanie glorii rodziny dbała zawsze. Dlatego właśnie zaangażowała się w działanie POW. Dwór w Wielkich Słonecznikach stał się miejscem, gdzie odbywały się narady dowództwa. To tu ustalano sposoby opanowania Wilna po wyjściu Niemców i walk z Litwinami i Rosjanami, które wiodła później Samoobrona Wileńska.

Wilno bowiem budziło żywy polsko-litewski spór. Litwini ani słyszeć nie chcieli o powrocie do jakiegokolwiek związku z Polską. Zarówno koncepcja Piłsudskiego, jak i Dmowskiego była dla nich nie do przyjęcia. Zbyt dobrze utkwiała im w pamięci polska dominacja na tych terenach. Dominacja polityczna i kulturowa. Spory owe umiejętnie podsycali Niemcy, którym szczególnie zależało na tym, by Polska angażowała większość swych sił na wschodzie, gdyż to dawało im szansę na utrzymanie przy sobie ziemi zaboru pruskiego. Jednocześnie umiejętnie rozszerzali swoje wpływy na Litwie, by mieć stały wgląd w sprawy. Od wschodu ku Wileńszczyźnie ciągnęła Armia Czerwona, która na bagnietach niosła rewolucję na zachód. W tym politycznym bigosie Agata nie nudziła się ani przez moment, bo przez jej ręce przechodziły meldunki i sprawozdania. Była w ciągłym ruchu, przemieszczając się po całej okolicy, przesyłając rozkazy do walczących oddziałów.

– Dobrze, żeśmy tu zjechały, bo teraz tu nasze miejsce – rzekła Agata. – Chciałyśmy widokiem Wojska Polskiego oczy nasycić, bo go od przeszło wieku nikt w tych stronach nie widział. Żałuję tylko, że Marię wzięłam, ale myślałam, że przy wojsku bezpieczniej. Jednak rozważywszy wszystko, dobrze się stało, bo nie tylko wojsko i naczelnika zobaczymy, ale i kłopot im z barków zdejmujemy.

Maria spojrzała na matkę ze zdumieniem. Zawsze miała ją za stateczną, mądrą kobietę, do której ze wszystkim można było się zwrócić. Zawsze mówiła rozsądnie – aż do dziś. Jak ona zamierza

wyżywić całą grupę jazdy? Prawda, że majątek miała dość zasobny, bo pracowała tak, jakby ją diabeł opętał. Ale wojna i wieczny niepokój w kraju nie ułatwiały życia, handlu i nie tuczyły nikogo. Skąd Agata miała wziąć furaz dla tylu koni, gdy swoich ma dosyć i tego głowę wysilać musi, by o pusty żłób zębami nie dzwoniły? Spojrzała na nieznanego i spostrzegła, że i on patrzy to na nią, to na matkę wytrzeszczonymi oczyma.

Agata zobaczyła wymianę ich pełnych niedowierzania spojrzeń i uśmiechnęła się lekko.

– Nie postradałam zmysłów – zapewniła. – Byłam, a właściwie jestem działaczką Polskiej Organizacji Wojskowej, i to bynajmniej nie szeregową. Udzielałam w swoim dworze gościny wszystkim wybitniejszym dowódcom POW, a potem Samoobrony Wileńskiej. Kiedy nasi uciekali z Wilna przed wkroczeniem tam Sowietów, zadekowali u mnie owies, który ewakuowano ze znajdujących się w mieście magazynów. Leży to w ziemi zadekowane w beczkach i marnieje bez potrzeby.

Twarz Marii poczerwieniała z gniewu i oburzenia. Zagrała w niej uraza, żal i gniew. Jej matka ważyła się ukrywać przed nią taką rzeczą?! Zdało jej się, że Agata, wstępując w starość, zajmuje się tylko gospodarką i modlitwami. Nieraz próbowała ją namówić, by się przeniosła do niej, gdzie by jej wszelką opiekę i wygody zapewnić potrafiła. Ale szkoda było nawet mówić o tym. Energiczna kobieta nawet słyszeć nie chciała o przenosinach pod jej dach. Chciała zemrzeć tam, gdzie się urodziła. A może i obawiała się nowego miejsca, do którego trudno byłoby jej nawyknąć. Zresztą u siebie była panią i wszystko tylko od jej woli zależało, a pod dachem córki to młoda wiodłaby prym. Ale konspiracja bez wiedzy krewnych i rodziny? Przecież gdyby się kto dowiedział, to zguba wszystkich stałaby się nieuchronna. Czy jej matka pomyślała o niej? Ona chciała tu tylko spokojnie żyć, a Agata rozmyślnie zawiesiła jej nad głową obuch od siekiery.

– Ładnych rzeczy się dowiaduję! Jak mogłaś?! – wybuchła roznamiętniona Maria, gdy tylko słowo wymówić zdołała. – Ja myślałam, że tylko rodzinnemu gniazdu czas poświęcasz i modlitwom, a ty w konspirację się bawisz. Pomyślałaś o tym, co mnie za to grozi? Poszlibyśmy z Mietkiem w kajdanach na Sybir. Żeby kto młody, niedoświadczony na taką rzecz się porwał, to byłoby mi mniej dziwno. Ale ty? To dlatego nie chciałaś się do mnie przenieść, choć z serca ofiarowałam ci gościnę.

Agata zachmurzyła się. Nie tu i nie tak chciała prowadzić tę rozmowę. Sama czuła, że przed nią nie umknie. Nigdy bowiem nie miała przed córką tajemnic, bo jej serce już tylko dla niej biło; i dla wnuków, których się po niej spodziewała. Ale chciała się do tej rozmowy dobrze przygotować, ułożyć ją sobie. A teraz oto stała na trakcie, nieprzygotowana i zagubiona zupełnie, nie wiedząc, co mówić i co czynić. Ale mówić było trzeba, więc zebrała się w sobie i rzekła:

– Nie staram jeszcze tak, by mnie cudze ręce podpierały, a nogi koło mnie chodziły. Ludzie w moim wieku przywiązują się do miejsc i źle im poza nimi. Sercem przyjmuję, co z serca ofiarowano, a że nie biorę, wybaczyć musisz. Co zaś do konspiracji... To nie twoja rzecz, tylko moja i ich. Twój obowiązek wnuki mi jak najprędzej sprawić, by babkę nie jako próchno zupełne pamiętały. – Uśmiechnęła się. – Prawda, że POW to dzieło młodych. Ale młody często zamiast głowy na szyi płomień nosi. A płomień niekontrolowany szkód może stać się przyczyną. Służyłam im tym, czego sami nie mają: doświadczeniem. Bo człowiek młody jak byk wszystko chce na rogi brać i szarżuje na przeszkody, nie rozglądając się na boki, bo sił ma nadmiar. A stary, co oszczędzać je musi, rozsądniejszy jest. Nikogo nie naraziłam. Masz mnie za przekupę, co po to jęzorem miele, by jej inni słuchali? Takie kobiety tylko hańbę i wstyd mądrzejszym

przynoszą. Mądroj starczy, że sama wie, a tylko głupia puszyć się musi.

Przez czas przemowy Agaty Maria miała dość czasu, by ochłonąć i sprawę na zimno rozważyć. Matka zawsze rozsądna była i jeśli już coś robiła, to dobrze. Samo to, że prawdę o sobie nawet przed najbliższą rodziną zdołała ukryć, za tym świadczyło. Miała do niej żal, że jej się z tym nie zdradziła, brak zaufania okazując. Ale jednocześnie sama przed sobą przyznać musiała, że może i lepiej się stało. Bo z tego zaraz kłótnia mogłaby wyniknąć, a jej nerwy i strach sen by odbierały. Teraz chodziło tylko o to, czy te sprawy dalej mogą być dla niej zagrożeniem. Chyba nie – myślała. Teraz nasze wojska górą i matka prędzej nagrody niż kary może się spodziewać. Choć co przyszłość przyniesie, nie wie nikt. Mało to było tu już zmian? Najpierw byli w wileńskim garnizonie Niemcy, potem nasi wadzili się o Wilno z Litwinami, a teraz zabierają się za wypieranie Rosjan. Boże, daj tu wreszcie jakiś ład – westchnęła, patrząc w niebo.

Lecz nie tylko tam pobiegł jej wzrok i dostrzegła, że na drodze nie ma już tajemniczego jeźdźca, któremu zawdzięczała, że jej życie nie znalazło tu swego kresu. Zdumiało ją to tak, że nawet o swoim gniewie zapomniała. Wydało jej się, że nigdy nie spotkała dziwniejszego człowieka. Każdy, kogo znała, chętnie by się pławił w słońcu ludzkiego podziwu i chętnie zasłużone hołdy przyjmował. A ten otwarcie przyznał, że ratować nikogo nie chciał, tylko za własną korzyścią tu przybył... Dziwnie coś zakłuło ją w duszy. Spojrzała na matkę.

– Czemu odjechał? Nie mogę go rozgryźć, bo on całkiem inny od tych, których znam – zagadnęła matkę, której doświadczeniu i mądrości od zawsze ufać nawykła. – Tak nas potraktował, jakby nierad był, że nam życie ocalił. Nie pojmuje.

Boś młoda – pomyślała Agata.

– On się wstydzi. Wie, że nierówny jest nam urodzeniem i wykształceniem. Dlatego milczał jak grób. Zwykli chłopci nielekko mają życie. On zapewne sam dla siebie żyje i nie troszczy się o innych. Podziękujmy Bogu, że nam go zesłał, i módlmy się do niego, by pozwolił twojemu wybawcy wrócić szczęśliwie do domu. Ale nie próbuj robić niczego więcej. Bo gdy on do domu wróci, to przestanie być ułanem na koniu; odbiorą mu mundur i szablę, by zapędzić do roboty na cudzej ziemi. Ale taki już jest porządek świata i twoja głowa go nie zmieni...

Urwała, bo zza zakrętu wynurzył się właśnie chłopski wóz. Ze zdumieniem rozpoznała, że jest to ta sama podwoda, którą jechały uprzednio. Obok wozu cwałował Tomasz, trzymając na sztychu furmana. Wóz skrzypiał niemiłosiernie i trzeszczał, gdy jego koła zapadały się w dołach pełnych błota. Przechylał się przy tym i chwiał z lewej na prawą. Konie szarpały uprzęż i z wysiłkiem pokonywały przeszkody. Tomasz pierwszy osadził kłacz przed kobietami, po czym poczekał na wóz.

– Przepraszam, żem bez opieki zostawił, ale o wóz zatroszczyć się wypadło. Chciały panie armię zobaczyć, to zobaczą ją z bliska.

Nie dodał, że nie chciał być obecnym przy rodzinnym sporze. Nic mu do cudzych tajemnic i kłopotów. Rodzina często między sobą się wadzi, ale przeciw postronnym wrogom staje zawsze razem. Nie miał zamiaru mieszać się w spór, jaki zarysowywał się między matką a córką. Poza tym ktoś musiał się zająć zabezpieczeniem wozu, zanim komuś się przyda. Na wsi wszystko ludziom jest potrzebne, bo tu nikt nie miał niczego w zbytku. Każdy przybytek był ważny. Kto nie mógł lub nie umiał upilnować własnego majątku, ten w pojęciu ludzi ówczesnych sam był sobie winien. Taka logika bynajmniej nie przeszkadzała narodowi tutejszemu gremialnie chodzić do kościoła i nabożnych i łajających grzechy kazań wysłuchiwać. Ale zapobiegliwość to jeszcze nie

grzech. Poza tym księdzu łatwo było mówić, bo naród wszystkiego sam naniósł mu do komory.

Tomasz znał ten świat, bo z niego wyszedł. Dlatego pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał, był pozostawiony we wsi wóz. Pozostawił go tam, bo jemu nic było po nim, a nie spodziewał się, że jego pasażerki mogą jeszcze żyć. Teraz jednak wypadło i o nich pomyśleć. Także, a może przede wszystkim dla własnej korzyści. Ktoś przecież musiał go wyratować przed zarzutem dezercji. W czasie wojennym i w przypadku zwykłego żołnierza nikt przecież sprawy szczegółowo roztrząsał nie będzie. Tylko te kobiety wyratować go mogły od plutonu egzekucyjnego. Wiedział, że z ich słowem wszyscy będą się liczyć.

Maria spojrzała na skrzynię i przeszył ją dreszcz. Słoma bowiem, którą przezornie wyścielano dno wozu, pełna była krwi. Przyglądała się plamom rozszerzonym ze strachu oczami, dotychczas bowiem nigdy jeszcze nie widziała jej w takiej ilości. To nie była cienka strużka ze skaleczonego palca czy innej niewielkiej rany, które miała okazję często widywać. Tu ciemne plamy krwi były dosłownie wszędzie. Wsiąknęły w burty wozu, pozostawiając na nich ogromne plamy, które przypominały nieco ciemne, mocne wino. Krew mieszała się ze złotą słomą i wyciekała przez szpary w dnie. Krwawy ślad ciągnął się więc daleko za wozem, tworząc na trakcie rudawą wstęgę. Maria patrzyła na nią i poczuła, jak nogi robią jej się wiotkie, a ciało chwytają torsje. Walczyła ze sobą, by nie zemdlec i nie zwrócić ostatniego posiłku. Twarz jej pobladła i przybrała kolor marmuru.

Z tym większym zdumieniem przyjęła zachowanie Agaty, która z dziwną dla jej wieku zręcznością wskoczyła na wóz. Na dodatek przynagliła ją wzrokiem, aby poszła w jej ślady. Próbowwała zrobić krok do przodu, ale mięśnie po prostu odmówiły jej posłuszeństwa. Zesztywniała cała i stała jak wrośnięta w ziemię. Ni kroku zrobić, ni myśli zebrać nie mogła. Ponaglające spojrzenia,

które rzucała jej matka, bynajmniej nie pomagały w podjęciu decyzji. Popatrzyła na nieznanego i dostrzegła utkwione na sobie, kpiące spojrzenie. Ubożliło ją to. Spięła wszystkie mięśnie i wolno podeszła do wozu. Wskoczyła nań, wspierając się na matczynej ręce, którą ta ku niej wyciągnęła. Furman, którego naprędce wynajął, tylko na to czekał, zaciął konie, a wóz ruszył, skrzypiąc przy tym niemiłosiernie.

Tomasz jechał tuż przy nim i milczał. Koniem kierował tylko uciskami kolan i jednocześnie patrzył przed siebie. Lecz myślał błędził gdzieś daleko. To miała być jego ostatnia walka. Zdobędzie Wilno, zasłuży się i Wieniawa wyjedna mu ułaskawienie. Przestanie się wreszcie tłuc z kąta w kąt. Nikt nie będzie mu rozkazywał. Przestanie zabijać, rabować i palić na rozkaz. Będzie miał swój dom, rodzinę, pole i drzewo. Będzie zmywał z rąk pot i brud, a nie krew. Spojrzał na Marię ukradkiem, bo otwarcie tego zrobić nie chciał. Jest dzielna – myślał. Jak moja Weronika.

Kobieta musiała poczuć jego spojrzenie, bo odwróciła głowę.

– Przedstawi mi się pan? – spytała. – Bo jak dotąd nie znam pańskiego nazwiska, a chciałabym dowiedzieć się czegoś bliższego o pańskich dziejach.

Desperacko próbował uciec wzrokiem, ale sam czuł, że już na to za późno. Zresztą okryłoby go to śmiesznością, a na to był bardzo wyczulony. Od lat bowiem tym mu płacono. Nie nazwano inaczej jak psem, nie dotknięto inaczej niż nogą. Głodzono. Zdawało mu się, że tych, którzy nim dowodzili, nie obchodzi, ani z czego, ani jak żyje. Ta kobieta chciała go poznać. Po co? Na co? Zabił tamtych, bo musiał. A gdyby był na ich miejscu, pewnie też by sobie przyjemności nie odmówił. Zabił sobie podobnych, by jego było na wierzchu, by przetrwać. Ale z jakiegoś powodu nie mógł, nie umiał jej tego powiedzieć. Zarumienił się tylko i wyjąkał:

– Ja... ja nie mam nic do powiedzenia.

To rzekłszy, skoczył do przodu, jakby przed kimś uciekał. Maria spoglądała za nim przez chwilę ze zdumieniem. Nie umiała bowiem zrozumieć, co zrobiła źle. Próbowwała być tylko uprzejma. Porozmawiać. Poznać bliżej człowieka, któremu zawdzięczała życie; tymczasem on uciekał przed nią, jakby go w bolącą ranę ugodziła. Pokręciła głową, nie rozumiejąc. Spojrzała na matkę, która uśmiechała się do niej z politowaniem, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”.

– Czego się spodziewałaś? Romantycznych historyjek? Tych szukaj u autorek literatury brukowej. A jeśli chcesz prawdy, to równie dobrze możesz mnie zapytać. Chcesz?

Córka lekko skinęła głową.

– Do wojska zawsze brali i brać będą – mówiła Agata nieco przemądrzale. – A najchętniej biorą ze wsi, bo tam tyle tego, że się samym ojcom imiona mieszają. Do wojska idą głównie synowie najbiedniejszych, bo nie mają się czym od poboru wykupić. Zresztą to element wielce buntowniczy, który każda władza lubi w koszarach przeczołgać. Ten tu to też pewnie jakiś biedak, który albo nie miał czym przekupić, kogo trzeba, albo naraził się komuś, kto zadbał o to, by trafił na listę poborowych. Wiesz, ile lat trzeba było służyć w każdej zaborczej armii, gdzie naszych ludzi traktuje się jako potencjalnych buntowników, gdzie batem i głodem wpaja im się posłuszeństwo? Nie wiesz, bo miałaś szczęście i urodziłaś się kobietą. Da Bóg, twój syn, a mój wnuk, nie będzie już musiał przez tę gehennę przechodzić. A ty zostaw tego człowieka, pomódl się za niego, by wrócił do domu szczęśliwie, ale nie rób nic więcej.

Marię ubodło z lekka przypomnienie o wnuku. Słyszała o tym bez przerwy, jakby to tylko od niej zależało. Sama pragnęła mieć dziecko. Ale jak miała go na świat powołać, jeśli Mietka ciągle w domu nie było, bo rozpolitykował się jak wszyscy? Ona tylko myślą mogła biec za nim. A od myśli jeszcze żadna nie zaszła. Starala się zrozumieć, że to wina niespokojnych czasów, w których



prawie wszyscy są rozdzieleni, ale w jej sercu powoli wzbierała gorycz do męża. Przed matką tała to uczucie głęboko, bo wiedziała, że nie znalazłaby u niej zrozumienia dla swych żalów i trosk. Agata była bowiem kobietą starej daty, a jej generacja uważała, że kobiety winny umieć mężczyznę przy sobie utrzymać i nie robić mu zarzutów z tego, że się sprawami publicznymi zajmuje.

Rozmyślnie więc pominęła te sprawy, gdy rzekła:

– Nie ja mu krzywdę uczyniłam. Czemu do mnie ma pretensje? Ale dziękuję, matko, za radę. Modlić się za siebie nie zabroni, a Bóg, który wie, o kogo chodzi, będzie już potrafił go wynagrodzić. – Westchnęła ciężko.

Resztę drogi przebyły w milczeniu. Tomasz jechał z przodu, drogę przepatrując i bacząc na furmana. Ostrożnie prowadził wóz, wskazując najwygodniejsze miejsca do przejazdu. Mimo to osł wozu kilkakrotnie zaskrzypiała niebezpiecznie, gdy otarła się o ledwie widoczne pośród głębokiego błota kamienie. W tych warunkach nie mogło być mowy o szybkiej jeździe i drogę wolno musieli odbywać. Toteż słońce już zachodziło, a jego czerwona tarcza chowała się za widnokrzem, gdy dojechali do wioski, gdzie kwaterowało dowództwo. Tam Tomasz opowiedział się wartom i jął rozpytywać, gdzie zakwaterowano jego szwadron. Lecz tu los mu nie sprzyjał. Okazało się bowiem, że pododdziały rozrzucono po wszystkich okolicznych wsiach, bo w kupie nie mogły się wyżywić. Grupie Orlicz-Dreszera wyznaczono kwatery w odległej o kilkanaście kilometrów wiosce, do której nie było sensu tłuć się po nocy. Zresztą okazało się, że sam Dreszer przebywał u Beliny, bo właśnie przyszły pilne meldunki od naczelnego dowództwa, nad którymi naradzić się wypadło. Tomasz więc mógł być spokojny o swoją przyszłość.

Korzystając z zamieszania, jakie się zrobiło koło wozu, chciał się dyskretnie wymknąć. Lecz Maria spostrzegła jego manewry

i rzuciła głośno, by przekrzyczeć gwar głosów:

– Oto jest ten, dzięki któremu oglądacie nas, panowie, żywym. – Wskazała na niego ręką. – Na własne oczy widziałam, jak jedną ręką trzech opryszków położył, życie nam ratując. A potem w drodze eskortował, byśmy żadnego szwanku nie doznały.

Tomasz słuchał z obojętnością o swoich przewagach. Lecz ani się spostrzegł, a kilkadziesiąt rąk podniosło go w górę i usadziło na wozie. Zaciekawieni ludzie nadbiegali zewsząd, bo się już była wieść o kobietach po wsi rozniosła. Tłum wokół wozu gęstniał już do tego stopnia, że wolnego płata ziemi między ludźmi nie było widać. Tłum kipiał i szemrał, opowiadając sobie o przewagach ułana, który był triumfátorem nocy dzisiejszej. Co bardziej zapalczywi strzelali z pistoletów na wiwat. Chaty zdawały się drżeć w posadach od okrzyków, którymi rozbrzmiewało powietrze, niosąc je w cztery strony świata. Hałas potężniał z każdą chwilą.

Tomasz stał na wozie między dziedziczkami zaczerwieniony niczym panna, którą swatają. Brała go złość na tych wszystkich ludzi. Chciał, by ziemia się pod nim zapadła, by wszystko ucichło, a on mógł żyć jak dawniej. Teraz wszyscy będą go znali. Będą chcieli, by był ich kompanem. A on nie chciał być dla nikogo gwiazdą przewodnią. Stokroć bardziej wolał żyć po cichu i robić swoje. Lecz nie mogło być już do tego powrotu.

Tymczasem, patrząc ponad ludzkimi głowami, dostrzegł zbliżający się szybkimi krokami sztab, do którego musiały dojść owe nadzwyczajne hałasy. Widział, jak wszyscy rozstępują się przed Prażmowskim z szacunkiem. Nagle Tomasz zeszywniał, wyteżył wzrok, bo mu się zdało, że między sztabowcami Beliny dostrzegł znajomą twarz. Ale znikła, nim zdołał się upewnić. Zresztą zaraz o niej zapomniał, bo na wprost wozu stanął Belina,

otoczony dowódcami pododdziałów. Z jego twarzy gniew jeszcze nie zszedł, co nie uszło uwadze Tomasza.

Ten mi da łupnia – pomyślał, patrząc w rozszerzone od gniewu oczy dowódcy.

– Milczeć! – huknął stentorowym głosem tak, że usłyszano go w najdalszych szeregach. – Co to, sejm, że każdy drze się, jakby go ze skóry obdzierali!? Tak to dyscyplinę rozumiecie, że posterunki opuszczacie, hałasy wszczynacie!? Jak wami dowodzić, kiedy w obradach przeszkadzacie!? Całkiem bezpieczni nie jesteśmy, choć podjazdy szeroko rozesłałem, by wiedzieć, co się dzieje w całej okolicy! Co by się z nami stało, gdyby na nas Rusczy obstąpili!? Odpowiedcie mi!?

W szeregach zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wielu nie wiedziało, gdzie się podziać ze wstydu. Niektórzy w złości na siebie samych wykręcali sobie palce, aż w stawach trzeszczało. Inni stali tylko ze spuszczonej głowami. Wszystkim zaś żal się nagle zrobiło genialnego dowódcy, który ich od wiktorii do wiktorii prowadził, a którego zaufanie tak zawiedli. Pierwszy raz nie wykonali rozkazów, co mogło doprowadzić do katastrofy. Bo dla każdego z nich było jasnym, że gdyby wróg zaatakował sztab właśnie w tym momencie, byłby go wziął praktycznie bez oporu.

– Co mi powiecie!? Co powiedzielibyście mojej żonie i synkowi!? Ja nie nadaję się na jeńca!

Podszedł do zgrupowanych w szeregi żołnierzy.

– Niech każdy się zastanowi, co powiedziałyby żonie tego, który stoi obok, gdyby przez jego niedbalstwo spotkała nas kłęska. Wiecie, co nas odróżnia od tej całej bolszewickiej hołoty i resztek białogwardzistów? Dyscyplina! – zasyczał. – Zawiedliście mnie! Jesteście żywym dowodem mojej kłęski jako żołnierza, dowódcy i wychowawcy!

To rzekłszy, spuścił głowę. Krótka to jednak była chwila zadumy, bowiem zaraz uniósł oczy i wbił wzrok w Tomasza.

– Ty jesteś prowodyrem?

– Ja – odparł wśród głuchego milczenia.

– A ty? Co byś odpowiedział ich bliskim, gdyby za twoją przyczyną śmierć nas zabrała?

– Nic bym im nie powiedział... bo zostalibyśmy z wami do śmierci. Nie mój obyczaj plecy wrogom pokazywać.

Słowa te stanowiły jakoby hasło, bo nim przebrzmiały, wszyscy rzucili się na wyścigi ku Prażmowskiemu. Padali na kolana, całowali ręce i krzyczeli w uniesieniu.

– Bez żołdu służyć będziemy, maszerować o głodzie bez jęku i skargi, tylko nam przy sobie umierać pozwól! Nigdy nie zawiedziemy!

Na twarzy podpułkownika i oficerów z jego świty odbiło się prawdziwe wzruszenie, a Maria i Agata zdroje prawdziwe wylewały, patrząc na tę pełną uniesienia chwilę. Belina podnosił swych ludzi za ręce, ocierając ukradkiem łzy, które go zdradzały. Poczul, że między nim a tymi ludźmi został zaciągnięty nowy węzeł. Teraz mógł być pewien, że podobna niesubordynacja już się nigdy nie powtórzy. Dlatego uśmiechał się, gdy rzekł tak głośno, by go wszyscy dosłyszeli:

– Wiem, że jesteście głodni. Wiem, że dawno należą się wam awanse, wypoczynek i odznaczenia. Macie moje słowo, że was nie ominą. Chcę, żebyśmy wszyscy wrócili do domów. Ja dokładnie za tydzień zamierzam bujać na kolanach synka, pić wino i kochać się z żoną. I tak się stanie. Ale najpierw czeka na nas jeszcze jedno wyzwanie: Wilno. To będą już ostatnie wysiłki. Kiedy jesteście głodni, nie zawsze mogę dać wam jeść. Kiedy jesteście zmęczeni, nie dam wam spać. Ale gdy stracie z oczu cel, mogę wam go wskazać. A to wielki cel. Inni też robią swoje, by nam dopomóc. Nasi szturmują Lidę i Baranowicze, abyśmy mogli cichaczem podejść pod miasto. O tym, co się dziś stało, zapomnę i nie

przypomnę sobie więcej. No a teraz siusiu, paciorek i spać, bo jutro ruszamy. Panowie oficerowie obejdą warty.

Po chwili ludzie zaczęli się rozchodzić, bo każdy ze zmęczenia ledwie już stał i widział na oczy. Wokół wozu zrobiło się cicho. Tylko w oddali słychać było jeszcze wracających na kwatery i warty żołnierzy. Lecz wkrótce i te odgłosy ucichły zupełnie. Przy wozie pozostał tylko sam Prażmowski, bo nawet dowódcy szwadronów z chęcią odeszli do swoich obowiązków. Przez chwilę panowała cisza zupełna. Dowódca przyglądał się Tomaszowi i towarzyszącym mu kobietom, jakby zastanawiał się, co powinien z nimi zrobić. Zmarszczka przecięła mu czoło, bo doszedł mu kolejny problem do rozwiązania, jakby mało ich jeszcze było. Pociąg z żywnością dla ludzi i furazem dla koni, który mu solennie przyrzeczono, nie przyjechał. Nie miał środków łączności i wszelkie rozkazy przychodziły do niego przez kurierów ze sporym opóźnieniem. Wojska, którym miał otworzyć drogę do miasta i utrzymać im je, miały te same problemy z marszem co on i spore opóźnienie. Jemu też nie udało się dotrzeć do zaplanowanego na dziś miejsca postoju. Rozkazy operacyjne, które otrzymał przed wyruszeniem, mógł już właściwie uznać za nieaktualne.

Spojrzał na obie kobiety spod wpeł przymkniętych powiek i rzekł:

– Chętnie widziałbym panie gośćmi w domu moim, ale nie tutaj. Tu wszędzie wojsko i wojna, a to męska robota. W każdej chwili możemy wejść w styczność bojową z nieprzyjacielem, który żadnych względów kobietom nie okazuje. Chciałbym się dowiedzieć, co się stało, że trafiły panie wraz z moim żołnierzem właśnie tutaj.

Tomasz już usta otwierał, chcąc całą rzecz opowiedzieć i wyjaśnić. Ale Maria uprzedziła go i sama mówić zaczęła. Mówiła długo i plastycznie, opisując wszystko, czego była świadkiem. W jej

opowiadaniu Tomasz wyszedł na prawdziwego bohatera, którego odwaga i poświęcenie ocaliły jej honor i życie. Nie wspomniała ani słowem o przeszukiwaniu sakw i dyskusjach, które z nim prowadziła. Belina słuchała uważnie. Zbierał informacje o Tomaszu, bo nie był go pewny, stąd śledził każdy jego krok. Dowódcy mieli o nim dobrą opinię: cichy, spokojny, opanowany. Służbę pełnił bez zarzutu i wszelkie rozkazy wykonywał bez szemrania. Wieniawa znów miał rację – pomyślał. Podesłał mi znakomitego żołnierza, który każdemu oddziałowi mógłby sławy przysporzyć. Ma tylko dziwną tendencję do ładowania się w kłopoty.

– Cieszę się, że mój żołnierz znalazł się we właściwym miejscu i czasie, by pani krzywdzie zapobiec – rzekł, gdy Maria skończyła mówić. – My zostaniemy w tych okolicach tylko do świtu, bo potem idziemy dalej. Do tego czasu mogę służyć gościnnie na swojej kwaterze. Wygód tam nie upatrzy, ale zrobię wszystko, by ów przymusowy pobyt pań nie krępował.

Agata zręcznie zeskoczyła z wozu, po czym pomogła to samo zrobić córce. Następnie zabrała się za rozprostowywanie obolałych mięśni i wycieranie sukni z krwi. Prażmowski czekał cierpliwie, aż się z tym upora, jednocześnie obserwując Tomasza, który z kocią zręcznością zeskoczył z wozu i wpatrywał się w niego niepewnie. Zastanowiło go to, ale nie miał czasu, by nad tym dłużej rozmyślać. Zamiast tego skinął na całą trójkę ręką i w ciszy ruszyli przez wieś. Droga zalana była światłem księżyca i przybrała siwy odcień. Belina szedł wolno, rozglądając się wokół. Jego wzrok obojętnie ślizgał się po chłopskich chatach, zabudowaniach gospodarczych i płotach. Myślą wciąż był bowiem przy tych oddziałach, które gdzieś tam daleko szły w tym samym kierunku, co i on. A co, jeśli nie zdążą? – zamartwiał się. Jeśli jego ludzie wpadną jak w potrzask? Cała ta wyprawa od początku była czystym hazardem, ale w teorii zdawała się być wykonalną. Dopiero praktyka pokazywała, z jak wieloma nieprzewidzianymi

dotatkowymi trudnościami jest związana. Samo zgranie wszystkich grup, które zaangażowano w tę operację, wydawało się teraz wymysłem szaleńca.

Belina zatrzymał się przed zwykłą chłopską chatą. O ile bowiem w domu żył po królewsku pod czułą i troskliwą opieką żony, o tyle na wyprawach żył jak prosty żołnierz. Spał na gołej ziemi, jadł żołnierskie jedzenie i pił gorzałkę. Słowem, nie pozwalał sobie na żadne wygody. Może dlatego pośród podległych mu ludzi nigdy nie podnosiły się szemrania, mimo że Prazmowski dyscypliny przestrzegał żelaznej. Sam bowiem świecił przykładem w jej przestrzeganiu i w niczym nie nadużywał powierzonej mu władzy. Żołnierze czuli, że troszczy się o każdego człowieka i konia, oszczędzając swoich ludzi, jak może.

Teraz z trudem wsunął się do wąskiej jednoizbowej chaty, pochylając przy tym głowę, by nie zahaczyć o pułap. W izbie było mroczno, bo maleńkie kwadratowe okienka przepuszczały stosunkowo niewiele światła. Nogi grzęzły w glinianej polepie, która stanowiła jedyną podłogę. Pułap był cały poczerniały od dymu, który nie mógł w pełni ujść przez mały komin. Pod jedną ze ścian stała niewielka koza, która w zimie stanowiła dodatkowe źródło ciepła. Obok niej leżało kilkadziesiąt polan, specjalnie dla niej zgromadzonych. Pod innymi ścianami stały proste legowiska, okryte pękami skór. Na środku pomieszczenia stał zaś prosty, drewniany stół i nieheblowane krzesła. Jedynym śladem nowego, wojskowego charakteru tego miejsca była ogromna mapa taktyczna rozpostarta na blacie stołu i mapnik oficerski. U szczytu stołu siedział zaś... Wieniawa.

Belina nie okazał najmniejszego zdziwienia na jego widok, tylko swobodnie wprowadził swoich gości do pomieszczenia. Dopiero gdy usadził obie damy wygodnie na legowiskach, rozsiadł się na krześle i rzekł:

– Naraiłeś się na zwykłego kuriera. Nieciekawe informacje mi przywiozłeś. Jeśli do mnie nie przychodzą rozkazy o wstrzymaniu ofensywy z powodu niezdobycia Lidy przez nasze wojska, to błędę jak dziecko we mgle. Co z Rydzem? Zdaży na czas czy nie? Co z przybiecaną nam żywnością? Bez jego pomocy moja jazda wpadnie jak kropla do oceanu. Mogę wkroczyć do miasta, ale mam za mało ludzi, by trzymać się w nim przez długi czas. Nie zdołałem wykonać rozkazów przewidzianych na dziś.

– W sztabie nudno – odparł Długoszowski, siląc się na nonszalancki ton. – Poza tym mam tutaj także swoje sprawy do załatwienia. Sztab robi, co może, by wszystko należycie skoordynować i przeprowadzić. Ale niełatwa to rzecz. Rydz ruszył już w twoim kierunku, ale szybkość pochodu spowalniają te same przeszkody, które i ty pokonywać musiałeś. Klnie się jednak na wszystkie świętości, że się w porę wyrobi. Sztab chciał wstrzymać marsz na Wilno do czasu zdobycia Lidy, ale jesteś już zbyt blisko. Musisz iść naprzód.

Belina skinął głową. Sam to wiedział i do cudzej głowy zaglądać nie potrzebował, by się w swym zdaniu utwierdzić. Cofać się teraz znaczyło zaprzepaścić potężny wysiłek organizacyjny, jaki został włożony w należyte przygotowanie tej wyprawy. Poza tym mógł wpaść na wojska bolszewickie, które musiały już wiedzieć o ruchach, podjętych przez Wojsko Polskie. Przecież musieli dostrzec ogrom przygotowań. Mogli jedynie nie odgadnąć ich celów i zamiarów, bo te trzymano w ścisłej tajemnicy niemal do ostatniej chwili.

– To jest jasne i poza dyskusją. Ale moi ludzie nie mają zapasów. Konie nam w oczach nędznieją i bierze mnie strach, by nie padły przy wysiłku. A przede mną jeszcze dzień drogi, którą szybko trzeba odbywać, by mieć szansę na zaskoczenie nieprzyjaciela.

Długoszowski robił wszystko, by nie pokazać po sobie, że braki w zaopatrzeniu są jego główną troską i problemem, który nie



rokował zbyt dobrze i nie wyglądało na to, by miał być łatwym do rozwiązania. Znał go przecież z autopsji, bo zajmował się zaopatrzeniem pułków w żywność jeszcze w fazie wstępnych przygotowań do wyprawy. Niemало się wtedy napocił, by sprostać wygórowanym oczekiwaniom dowódców liniowych, którzy zdawali się nie rozumieć, że wyniszczony wojną kraj nie jest w stanie zaspokoić ich żądań. Nawet mocno skorygowane dostawy wzbudzały szemrania i niechęć u prostego narodu, zmuszonego dźwigać ciężar prowadzenia wojny. Dalsze ich zwiększanie mogło doprowadzić tylko do buntu, co byłoby wodą na bolszewicki młyn. Rosjanie zresztą nie próżnowali i przez swoich emisariuszy podsycali negatywne nastroje i niechęć do władzy. Ale jak wytłumaczyć to generalicji, która miała na względzie tylko dobro swoich żołnierzy, a nie państwa jako całości?

– To wszystko nie jest takie proste... Ty na przykład mógłbyś rekwirować żywność od miejscowych chłopów, ale tego nie robisz, by nie podpałać sobie zaplecza. Co zrobią chłopci, jeśli odbierzemy im ich ostatnie zasoby? Podniosą bunt i to nie tylko tu, na froncie, ale i wewnątrz kraju, który i bez tego nie jest jeszcze stabilny. Trudności z transportem wynikają zaś ze stanu linii kolejowych. Służby inżynieryjne robią, co mogą, i trudno od nich więcej wymagać.

Prażmowski uśmiechnął się drwiąco.

– A sztab porządnie najedzony i za nic nie odpowiada, tak? To po co taki sztab? Niech byle rymarz układa plany wojskowe, skoro potem i tak wszystko jest zdane na wolę opatrności. Żywności nie biorę, bo nie ma skąd jej brać. Moje zaplecze oczyszczono do ostatniego ziarenka. Tu od trzech lat wiatraki nie miały, bo nie mają czego. Ludzie gotują korę brzożową i wszystko, co tylko do ust można włożyć. Kraj ogołociły najpierw wojska niemieckie, magazynując żywność w Wilnie. Tutejsi nic ich nie obchodzili. Teraz mają ją kacapy, bo nasi nie zdążyli zniszczyć magazynów,

gdy opuszczali miasto. Ale przecież jest jeszcze cała Wielkopolska, która zasoby winna mieć nieprzebrane. Mało im tam wojna dojadła, to żywności powinni mieć, zwłaszcza że Wielkopolanie od zawsze słyną z zapobiegliwej gospodarki, którą pod pruskim butem udało im się rozwinąć.

Wieniawa uśmiechnął się, słysząc te słowa. Na pozór rozumowaniu temu nie można było wiele zarzucić. Wielkopolska sama przez się była krainą zasobną i niezbyt przez wojny zniszczoną. Teoretycznie więc sprowadzenie stamtąd żywności nie powinno nastęrczyć większych trudności. Przynajmniej tak mogło wydawać się Belinie, który na problem patrzył tylko z punktu widzenia wojskowego. Był w końcu znakomitym żołnierzem, który nie miał potrzeby orientować się w skomplikowanych kwestiach dyplomatycznych i sytuacji Polski w tej sprawie. To nie był jego problem. Ale przynajmniej część z tych rzeczy należało mu objaśnić, by nie posądzał rządu o nieudolność lub przejawianie złej woli.

– To istotnie byłoby proste, gdyby na rzecz całą patrzeć tylko z twojego punktu widzenia. Tymczasem nasze położenie w Wielkopolsce jest wciąż bardzo delikatne. Nie zapominaj, że wciąż rządzi tam NRL, która kierowała powstaniem. Nasz rząd zaś z całą mocą lansuje tezę, że nie wspierał powstania ani materiałami, ani ludźmi. Oczywiście to iluzja, z której wszyscy doskonale zdają sobie sprawę. Dopóki jednak Wersal ostatecznie nie potwierdzi przynależności państwowej tych terenów, musi być ona podtrzymywana. A jak mielibyśmy to robić, gdybyśmy pobierali stamtąd transporty z żywnością?

– A co tu Wersal ma do potwierdzania? Kto pod Poznań las karczował? My! Toż to ziemia z prawieków nasza, kolebka naszego narodu i państwa. Nic tu Francja i Anglia do potwierdzania nie mają. Nożem bym im dał, zamiast czekać, aż łaskawie przyznają mi to, co zawsze było moje.

Wieniawę uradował ten wybuch patriotyzmu przyjaciela. Znał jego zapalczywość, gdy szło o kwestie narodowe. Prażmowski czuł bowiem i myślał uczuciami. To właśnie sprawiało, że był doskonałym dowódcą jazdy. Impulsywny i szybki w działaniu, potrafił jednocześnie planować swoje działania i spadać na wrogów jak piorun. Ale brak mu było cierpliwości. Nie potrafił dążyć do celu małymi krokami, a zwłaszcza godzić się z porażkami. Jak większość Polaków wierzył, że słuszność racji starczy za siły. Stąd właśnie biorą się nasze porażki – pomyślał. Wydaje nam się, że inni muszą nas popierać, bo mamy rację.

– Bij, kto w Boga wierzy! – zakrzyknął, śmiejąc się jednocześnie od ucha do ucha. – Wielkopolskę wydrzeć trzeba było podstępem, bo inaczej się nie dało. Cóż ty myślisz, że Niemcy będą patrzeć z założonymi rękoma na nasze poczynania? W Wersalu decyduje korzyść wielkich, a nie wola narodów. A my słabi jeszcze jesteśmy. Nawet walka z osłabionymi Niemcami mogłaby okazać się zbyt wielkim wyzwaniem. Dlatego powstanie spadło nam jak z nieba. Wielkopolanie dobrze wybrali czas, gdy Niemcy mieli nieporządki w domu. Ale stary Hindenburg zdołał je już uśmierzyć i tylko czyha na nasz błąd. Rozumiesz? Nasi delegaci mają teraz koronny argument i mówią głośno, że sami Wielkopolanie chcą do Polski. Czyż narażaliby życie, gdyby było inaczej? Nie możemy teraz sprawić, by Hindenburg mógł mówić, że to nie mieszkańcy Wielkopolski chwycili za broń, tylko Polska ją zdestabilizowała poprzez swoich agentów. Musimy tylko czekać. Dlatego czekamy.

Prażmowski chwycił się za głowę. Do takiej wojny nie nawykł i nie lubił jej. Dlatego rad był, że go do niej nie przymuszano. Tu to co innego. Wojska prowadzić umiał. Tu był jego świat, w którym się obracał, i tu mógł być najbardziej przydatny.

– To nie na mają głowę – rzekł. – Do Wersalu najtęższe głowy posłać trzeba było. Ja tylko wódz, nikt więcej. Wyżej pchać się nie

myśle, ale żywność muszę mieć, bo w końcu szyszki sosnowe mlec i jeść będziemy.

Agata głośno chrząknęła, chcąc wykorzystać chwilę przerwy w ich rozmowie i zwrócić na siebie uwagę. Niełatwo jej to przyszło, bo chcąc tego dokonać, musiała wyłamać się z konwenansów epoki, w której wyrosła. To ona wyuczyła ją zasad, według których żyła i wychowywała swoje dzieci. Od dziecka wpajano jej z niezwykłą surowością, że nadrzędnym i jedynym zadaniem kobiety jest macierzyństwo. Dlatego tak trudno przyszło jej zabranie głosu w sprawach dotyczących się wojny. To była przecież od zawsze męska domena. Wprawdzie wiele wyjaśniły jej spotkania komendy POW, które odbywały się w jej dworze, tam jednak nigdy nie zabierała głosu bez pozwolenia. Poza tym tam czuła się pewniej, była w końcu u siebie i między ludźmi znacznie od siebie młodszymi, którym mogła imponować powagą i doświadczeniem. Tu sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Miała zabrać głos między doświadczonymi żołnierzami i czuła wzbierający w niej lęk.

Na szczęście na twarzach obu oficerów dostrzegła przyjazne uśmiechy, co dodało jej otuchy.

– Prosimy – zachęcił Wieniawa. – Proszę wybaczyć, że tak tu sobie swobodnie gawędzimy, nie poświęcając obu paniom należytej uwagi, ale czasy są nadzwyczajne. Śmiało, proszę mówić.

Również Belina zachęcał ją uśmiechem. Agata nie zwlekała więc dłużej.

– Na strategii wojskowej się nie znam, to i głosu nie zabieram. Natomiast o tym, co działo się w Wilnie i okolicach, wiem dosłownie wszystko. Działalam bowiem aktywnie w miejscowej POW, poza tym jestem tutejsza, a człowiek miejscowy to i przez przypadek niejednego się dowie. Panowie wiedzą, że miejscowi zostali starannie ograbieni ze wszelkiego rodzaju żywności jeszcze przez Niemców. Taki już los prostych ludzi, a zażalenia pisać nie

ma do kogo. Mnie też to spotkało. Ale mniejsza o to. Miasto przechodziło z rąk do rąk. Przejściowo znalazło się nawet w rękach naszej Samoobrony. Ale nasi musieli się cofnąć. Jednakże przed odejściem zabrali część żywności. Tę żywność mam ja...

Chciała jeszcze objaśnić jej dokładne położenie, ale nie zdążyła, bo obaj przyjaciele przyskoczyli do niej i zaczęli jej gorąco dziękować. Belina ucałował jej ręce, a Wieniawa policzki. Staruszka śmiała się wesoło na widok tej żywiołowej reakcji i nie bez pewnej dumy spoglądała przed siebie.

– Ha – mruknęła. – Nie na darmo z domu wyjeżdżałam, choć w moich latach człowiek chętnie domatorem się staje. Nocą chłopcy przywieźli i w sadybie za domami dla służby w beczkach owies i inną żywność zakopali. Było tego na kilku wozach. Przywiózł rotmistrz Dąbrowski. Dzielny chłystek, będą z niego ludzie, jeśli go gdzieś nie ustrzelą.

– Niełatwo go zabić – stwierdził Wieniawa. – Spotkałem go niedawno i był w dobrym zdrowiu.

Agata uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Uwielbiała bowiem obu braci Dąbrowskich, których energia i jej siłę dodawała. Bóg odmówił jej własnych synów, ale gdyby ich miała, to pragnęłaby, by byli do nich podobni.

– Doprawdy nie umiem wyrazić, jak wielki ciężar zdjęła nam pani z piersi. Chyba Bóg nam panią zesłał. Jeśli uda nam się szczęśliwie przyłączyć Wilno do macierzy, to będzie pani, a nie moja zasługa. Niezwykły to zbieg okoliczności – stwierdził wielce uradowany Prażmowski. – Zaraz zbudzę ludzi i każę im przygotować wygodną kolaskę dla pań, którą pod eskortą wrócicie do domu. Doprawdy nie znam dostatecznej nagrody. Gdyby mężczyzn nie stało, kobietom można by obronę państwa powierzyć.

To mówiąc, Belina przykląkł na jedno kolano i ucałował ręce Agaty.

– Nie marnuje się tak cennego surowca – stwierdził Wieniawa. – Ja chętnie nad tym transportem komendę obejmę, bo chciałbym, by na pewno doszedł do celu. W oczy naszym chłopcom nie spojrzę, jeśli mi tę żywność ktoś wydrze.

Belina spojrzał na Wieniawę z pewnym zdziwieniem. Znał go nie od dziś i wiedział, że była to żywiołowa natura. Szukał przygód od zawsze, bo bez nich życie mu się dłużyło. Jeśli siedział w łóżku, to nie we własnym i nie sam. Lecz w tej jego prośbie było coś innego. Jakaś myśl ukryta. Przecież zadanie owo nie wiązało się z żadnym niebezpieczeństwem. Ot, przywieźć żywność z obszaru, który był w zasięgu ręki. Mogli go napaść chyba tylko wygłodniali chłopci lub maruderzy z różnych jednostek, którym głód i desperacja nie pozwoliły połączyć się z siłami.

Pokręcił głową. Diabeł go nie rozgryzie – pomyślał.

W tym momencie jego uwaga zwróciła się w inną stronę. Do rozmowy wtrąciła się bowiem Maria, która dotychczas przysłuchiwała się jej w milczeniu. Ubodło ją to, że wszyscy zdawali się zapomnieć o żołnierzu, dzięki któremu w ogóle dowiedzieli się o zakopanej żywności. Bez niego przecież obie byłybyśmy dawno martwe – przebiegło jej przez myśl. Nic dziwnego, że chłopci nas nie kochają, jeśli przez całe wieki podchodziliśmy do nich z takim właśnie lekceważeniem. Piętnujemy tylko to, co w nich złe, a reszty widzieć nie chcemy.

– Jeśli prosić wolno, to chciałybyśmy, by do eskortującego nas oddziału włączony został nasz obrońca i dobroczyńca. – Wskazała ręką na stojącego przy drzwiach Tomasza. – Obie miałyśmy już bowiem sposobność przekonać się, że on jeden za dziesięciu starczy. Prosiłybyśmy też, aby nie tylko dobrym słowem nagrodzony został za oddaną nam przysługę.

Agata zaczęła gorąco popierać zdanie córki, a Bolesław uśmiechał się półgębkiem, obserwując zakłopotanie przyjaciela. On sam także myślał intensywnie nad tym, jak by w tym kierunku

rozmowę skierować, ale nie chciał jawnie wtrącać się w kompetencje Beliny. Nie mógł jednak tak po prostu pomijać dogodnej sposobności, więc bił się z myślami. Tymczasem los się do niego uśmiechnął. Spojrzał więc na Prażmowskiego, jakby chciał zdopingować go do czegoś i jednocześnie o czymś przypomnieć. Z ulgą dostrzegł uśmiech, który pojawił się na twarzy tamtego, gdy mówił:

– Żołnierz zawsze powinien pamiętać o dyscyplinie i obowiązku posłuszeństwa. Dowódca zaś musi wiedzieć, że na nim spoczywa obowiązek wychowania sobie podkomendnych. Wychowanie zaś polegać musi na karaniu za wszelkie naruszenia, ale i nagradzaniu za czyny chwalebne i na pochwałę zasługujące. Ja o tym pamiętam. Dlatego też nie muszą mi panie przypominać o tym, co jestem komu winien. Niemniej cieszy mnie fakt, że wdzięczność nie całkiem jeszcze opuściła ten świat i czasem ją jeszcze nawet u ludzi spotkać można.

Wyszedł, by wrócić po kwadransie z piórem, inkaustem i papierem. Usiadł przy stole i po chwili namysłu zaczął skrobać rozkaz, a w pomieszczeniu słychać było jedynie skrzyp pióra po kartce. Wreszcie jednak Belina skończył, złożył swój zamaszty podpis, zwinął papier w rulon i podał Tomaszowi, mówiąc:

– Od tej chwili jesteś wolny zupełnie. Możesz wrócić do normalnego życia pod własnym imieniem i nazwiskiem. Wszystkie twoje winy zostają ci odpuszczone z mocy prawa pola walki. Od twojej woli tylko zależy, czy zechcesz służyć ze mną dalej, czy pójść własną drogą. Nie ukrywam, że chciałbym zatrzymać cię w szeregach, bo żołnierz z ciebie wyborny i doświadczony. A mnie takich właśnie praktyków brakuje. Ale zrobisz, co zechcesz.

Tomasz patrzył przez chwilę na dokument, jakby nie był pewien, czy to, co się dzieje, jest prawdą, a nie wytworem jego wyobraźni. Mrugał przy tym oczami, by powstrzymać cisnącą się na świat Boży wilgoć. Więc to już? – myślał, patrząc na prosty żółty

rulon, który trzymał w dłoni. Ten dokument to jego wolność? To takie łatwe? W ciągu kilku sekund z przestępca ściganego prawem uczyniono go uczciwym człowiekiem. Za co? Za to tylko, że osłabł z głodu i mógł pomóc ludziom, których inaczej w ogóle by nie spotkał? Szczęśliwa gwiazda mnie wiodła. Dziękuję ci, Boże! Dziękuję. Pochylił się do kolan Prażmowskiego.

– Dziękuję – wykrztusił z trudem przez ściśnięte gardło. – Za wszystko. Za to, że pan jak z człowiekiem ze mną gada. Ale ja natulałem się już i nawojowałem. Mam dosyć.

Belina uśmiechnęła się, bo jeśli miał być szczerzy sam ze sobą, to nie spodziewał się innej odpowiedzi. Wiedział od Wieniawy, że ten człowiek mógł poszczycić się dłuższym stażem bojowym niż większość jego żołnierzy. Nic dziwnego, że jedyną rzeczą, o której mógł marzyć, był ciepły przypiecek i piwo grzane. Nie było to po jego myśli, ale nie mógł nic na to poradzić. Zamiast więc nad tym rozmyślać, pomógł mu wstać i wyszedł przygotować wszystko do nagłego pochodu.

W chacie pozostali tylko Tomasz z Wieniawą i kobiety. W pomieszczeniu panowała przytłaczająca cisza, jakby nikt nie śmiał zmącić uroczystego nastroju chwili. Tomasz wpatrywał się tylko tępo w dokument, który trzymał przytknięty do piersi, jakby w obawie, że mu go ktoś odbierze. Maria i Agata siedziały na legowiskach i spoglądały na siebie niepewnie. Wieniawa zaś przechadzał się po izbie wolnym krokiem, jakby się nad czymś namyślał i sam ze sobą pasował. Nie przybył tu przecież tylko po to, by przekazać Belinie rozkazy, bo to mógł zrobić którykolwiek z licznych sztabowych kurierów, którzy czekali tylko na posłanie. On jednak wolał zawieźć je sam, bo miał tu własne sprawy do załatwienia. Kwestie, które niegdyś łączyły jego i Tomasza. Ale czy miał prawo teraz go narażać, mieszać znowu w gardłowe sprawy? Nie był pewien. A jednak z jakiegoś powodu chciał go



mieć przy sobie. Ale on musiał się przyłączyć z dobrej woli. Nie ze złe pojętej lojalności czy wdzięczności.

Nagle zatrzymał się. Jak człowiek, który podjął nagłą i ostateczną decyzję. Lecz w tym momencie za oknami rozległ się skrzyp kół i stukot końskich kopyt – to kolaska i przyobiecana przez Belinę eskorta zajechała przed chatę. Wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Tomasz jednak wstrzymał się chwilę i stanąwszy przed Marią, rzekł:

– Mam na imię Tomasz. – Rzekłszy tylko tyle, wyszedł przed chatę.

Tam stało już stu ułanów gotowych do drogi, co aż nadto wyraźnie świadczyło, jaką wagę dowództwo przywiązuje do sprawy przechwycenia żywności. Między nimi stała wygodna kolaska, zaprzężona w cztery konie. Znalazły się nawet jakieś siedziska, które żołnierze własnym pomysłem przygotowali. Obie panie umościły się więc w środku, całkiem wygodnie. Tomasz lekko wskoczył na swojego konia i przysunął się do Wieniawy tak, że jechali strzemię w strzemię.

– Wiem, że tobie to zawdzięczam – rzekł, gdy kolaska nieco się od nich oddaliła. – Wydobycie z więzienia i wszystko inne. Sporo ryzykowałeś, żeby mi dopomóc.

Długoszowski uśmiechnął się lekko. Kochał przygodę od najmłodszych lat. Nudy nie znosił. Zrzekłby się życia, gdyby był w stanie przewidzieć, co mu przyniesie. Sprawa Tomasza była wyzwaniem, a on wyzwania uwielbiał ponad wszystko. Musiał się niemało nad tym napracować, ale to właśnie dawało mu przyjemność i nie pozwalało zgnuśnić pośród dobrobytu, którym był zewsząd otoczony. Uśmiechnął się więc tylko.

– Wszystko, co zdołałeś osiągnąć, zawdzięczasz tylko sobie, przyjacielu. Własnym rękami i głowie. Ty jesteś bowiem dzielny naprawdę, bo codziennie ryzykujesz życiem. A ja? Cóż, po prostu uwielbiam ryzyko. Dlatego nie dla mnie życie osiadłe. Żadnego

długu u mnie nie masz i nie myśl już o tym. Chciałbym tylko, żebyś mnie na pierwsze chrzciny zaprosił. Chcę zobaczyć owoce naszej wspólnej pracy.

Tomasz poczuł, że twarz płonie mu rumieńcem. Dlatego wdzięczny był za panujące wokół ciemności, które ukrywały to przed Wieniawą. Pamiętał o Weronice. Modlitwy nie zmówił, spać się nie położył, zanim o niej nie pomyślał. Czasem brała go chęć, by podyktować komuś list dla niej. Ale nigdy się na to nie odważył. Nie umiał bowiem wyrażać się ozdobnie i składnie, a poza tym nie chciał przed obcym człowiekiem otwierać serca i duszy. Teraz jednak słowa Wieniawy przypomniały mu ją. Zmrużył oczy i zobaczył ją taką, jaką widział ją wtedy nad tym stawem. Poczuł, że mimo zimna robi mu się miło na sercu, a po kościach chodzą dreszcze.

– Łazariew tu jest.

Skutek tego krótkiego zdania był piorunujący. Tomasz przekreślił się na kulbace. Iluzja, której tworzeniu jeszcze przed chwilą pieczołowicie się oddawał, pierzchnęła mu sprzed oczu. Na jego twarzy pojawiła się dawna srogość i zawziętość – jego lico upodobniło się do paszczęki wściekłego psa, gdy chce kąsać.

– Dopadnięm go! Sam tymi rękami życie z niego wyduszę. Ja na śmierć o nim zapomniałem, a tyś pamiętał. Jak psów nas poniewierał. Kijami kazał mordować! – wykrzyczał w złości.

– Tobie wolno było zapomnieć, ale nie mnie, bo ja mu obiecałem – odparł poważnie Wieniawa, a na twarzy odbiła mu się zimna groźba i zawziętość. – A nie daj Boże, bym ja nie dotrzymał tego, co komu obiecałem. Tego nigdy nie było i nie będzie w mojej rodzinie. Chcesz iść ze mną? Namyśl się dobrze, nim odpowiesz. Bo sam wiesz, że Łazariew to groźny przeciwnik i rozprawa z nim do łatwych należała z pewnością nie będzie. A tam czeka na ciebie twoje szczęście, twoja Weronika. Nie chciałbym, żebyś przeze mnie... sam wiesz... – Urwał i zwrócił się twarzą w stronę Tomasza.

Ten jednak uśmiechał się tylko po wilczemu, odsłaniając przy tym zęby. Nagle jakiś cień przemknął mu po twarzy. Jakby jakaś dziwna a niechciana myśl wpadła mu do głowy. Potrząsnął głową, poklepał klacz po karku i rzekł, patrząc na pokryty księżycową poświatą trakt, który ciągnął się jak okiem sięgnąć.

– Nie. Ja z tobą nie pójdę. Dosyć mi tego, com przeżył i przetrwał. Dostyć nocy w okopach, dosyć wszy i brudu. Pożyć bym chciał. Umarłym ani pomsta, ani krew niepotrzebne. Jak sam pod rękę wlezie, to go zatłukę, ale ścigać go nie będę. Wywlekli mnie z domu na siłę... Zawsze robiłem to, co inni chcieli, bo musiałem. Nie krzywdowałem sobie nawet. Temu tam było źle, kto myśli o domu nie potrafił się wyrzec i ciągle o powrocie roił. Ja nie śniłem o tym. Z tych, co ze mną ze wsi wyszli, żaden już po ziemi nie chodzi. Ale teraz... Weronika tam na mnie czeka. Nie chcę jej z własnej woli porzucać ni kazać jej czekać. Nie zasłużyła sobie na to. Tyle dla mnie poświęciła.

Wieniawa robił wszystko, by nie pokazać po sobie niezadowolenia. Jakoś było mu żal wypróbowanego towarzysza, do którego zdołał się już przekonać i którego zdołał poznać. Wiedział już, że był to człowiek, którego dobrze było mieć za plecami, gdy szło się do walki. Ale z drugiej strony... Czym on różnił się od carskich oficerów, którzy stworzyli Tomasza jako narzędzie do swoich rąk? Czy on ma prawo myśleć o nim jak o dobrej szabli? To taki sam człowiek jak inni, tylko bardziej skrzywdzony przez los. Teraz, gdy ten los wreszcie zaczął się do niego uśmiechać, on miał wszystko powichrować i przeciągnąć? Gdyby tylko zechciał, mógłby przekonać go do tej małej wyprawy, ale sam czuł, że nie miał prawa. Uśmiechnął się więc tylko i zagadnął wesoło.

– Twoja wola. Nie dziwię się, też bym Weronikę nad Łazariewa przedłożył. Naczekała się i nacierpiała dziewczyna. Ale na chrzciny zjadę, czy chcesz, czy nie. W trzy kwartały ty się

z przygotowaniami uporasz, a ja z Łazariewem. Powiadasz, że martwym zemsta niepotrzebna, i może masz rację. Ona jest potrzebna żywym. Kiedy za wolą Bożą zejść z tego świata, chcę móc pomordowanym tam ludziom powiedzieć, że co było w mocy mojej, zrobiłem, by ten, który ich życia pozbawił, bezkarnością się nie cieszył.

– A jeśli go w Wilnie nie znajdziesz?

Długoszowski zasępił się mocno. Takiej ewentualności nie brał bowiem dotychczas w ogóle pod uwagę. A warto było i ją rozważyć. Co się bowiem stanie, jeśli informacje przekazane do sztabu przez wywiad nie są ściśle i Łazariewa nie ma w mieście? Przecież trudno byłoby nawet mieć o to pretensje do oddziału informacyjnego – przez jego ręce przechodził ogromny strumień informacji, które nie zawsze dało się zweryfikować. A jeśli i tym razem ma do czynienia z błędnym rozpoznaniem, to okaże się, że na próżno zdecydował się na oddalenie ze sztabu. Znowu czeka go zmycie głowy przez komendanta, a on nie będzie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Nie powie przecież, że opuścił sztab, by wymierzyć komuś sprawiedliwą karę za postęпки, które wołają o pomstę do nieba. Nikt go nie zrozumie. Nie zrozumie go nikt, kto tam wtedy nie był i nie musiał beczynnie patrzeć na rzeź bezbronnych. Zaciśnął palce, bo samo wspomnienie o tamtym zdarzeniu sprawiło, że poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

Lecz zaraz się opanował. Powietrze i chłód przypomniały mu, że nie jest w miejscu, w którym człowiek może spokojnie oddawać się rozmyślaniam. Poza tym w oddali błyskały już światła szlacheckiego dworu, ku któremu zdążali. Pochylił się więc tylko i przez chwilę szperał za czymś w kieszeni mundurowej. Wreszcie wydobyl pierścień i wskazując go Tomaszowi, rzekł:

– Nigdy, ale to przenigdy się z nim nie rozstawaj. To twoje bezpieczeństwo. Gdyby bolszewicy kiedykolwiek przyszli w wasze strony, pokaż go im, a może ocalisz życie.

Grobel ze zdumieniem spoglądał na pierścień, który sam nigdy otrzymał od Dzierżyńskiego, a potem oddał Weronice, by przy jego pomocy łatwiej uzyskała dostęp do Wieniawy. Jakoś nieswojo mu się zrobiło. Poczul, że ogarnia go złość. Nigdy i nigdzie nic nikomu nie zawdzięczał. A teraz miał zgodzić się na to, by żyć z cudzej łaski? Sam Wieniawa-Długoszowski się go wyrzekał i wręczał go jemu. Bo ja nie mam tego ich honoru – pomyślał kwaśno. Bo mnie wszystko jedno, jak skórę ocalę. Otóż nie wszystko. Potrząsnął głową, by wyrzucić z siebie gniew, który coraz silniej brał go we władanie.

– Swoje bezpieczeństwo zawdzięczam swojej głowie i ręce. Czemu mnie do tego namawiasz, skoro sam się pierścienia wyrzekłeś? On nie ma imienia. Dzierżyński dał go nam obu. Ty go weź i ciesz się bezpieczeństwem. Ja każdą rękę, która zagrozi mnie lub moim bliskim, osobiście odrąbię. Sam zapewnię bezpieczeństwo Weronice.

– Gdy na jedną rękę natrafisz, to zapewne będziesz potrzebował zruszyć trochę ziemi, by grób wykopać. Ale co się stanie, gdy tych rąk będzie dwadzieścia? – spytał Wieniawa oschle. – Co wówczas zrobisz? Sam zginiesz, zabijając lub raniąc wielu. A pozostali będą żywi i będzie ich dość, by wielokrotnie zgwałcić Weronikę. Możesz wprawdzie odebrać jej życie wcześniej, jeśli zdołasz się na to zdobyć. Zarzucasz mi, że nie chcę pierścienia. Myślisz, że nie chcę go z pobudek honorowych, nie chcę żyć z łaski wroga? A ja doprawdy nie wiem, co bym zrobił w takiej sytuacji, tylko ja po prostu nie mam już kogo chronić. Pragnienie życia jest największym z pragnień. Wyłowileś perłę, to jej strzeż za pomocą wszelkich dostępnych metod.

Tu rozmowa im się urwała, bo czołowe szeregi zajechały przed otoczony częstokołem dziedziniec. Na bramie wszczął się ruch. Po chwili zza zbudowanej z ogromnych bierwion bramy zaczęli wychylać się ludzie z latarkami i oświetlać gromady jeźdźców. Do

uszu cierpliwie siedzących na koniach ułanów dochodziło wściekle ujadanie psów, które zapewne szarpały się na łańcuchach. Agata podniosła się i wówczas brama została otwarta. Kawalkada wjechała na okrągły dziedziniec z klombem pośrodku. Sam dwór był już dworem nowego typu – ogromnym, z wieloma pomieszczeniami, których dawniej nie wyodrębniano. Jednak liczba pomieszczeń nie szkodziła foremności budowli, bo nie były to dobudówki, tylko znakomicie przemyślany projekt architektoniczny. Do dworu wchodziło się przez ogromne wejście główne, które wsparto na bielonych słupach. Żołnierze jednak patrzyli z ciekawością przede wszystkim na wysokie małe okna, które osłaniały kolorowe okiennice. Lecz to nie kolor przyciągał wzrok żołnierzy, tylko pewna specyfika owych okien, która dawała możliwość bardzo szybkiego przerobienia ich na stanowiska obronne. Umieszczone tam karabiny mogły długo trzymać w szachu choćby znacznie silniejsze siły napastnicze.

Większość siedzib szlacheckich na kresach taki, a nie inny miała charakter, gdyż łączyły one funkcje mieszkalne z obronnymi. Lecz owo miejsce zdecydowanie bardziej przypominało fortecę niż dom. Agata złowiła spojrzenia żołnierzy i poczuła, jak w jej piersi wzbiera duma. Za jej wolą w fortecę dom zamieniono. Bracia Dąbrowscy służyli jej przy tym radą i pomocą, bo sama się na fortyfikowaniu nie znała. A chciała to miejsce uczynić niezdobytym i bezpiecznym. W końcu było siedzibą jej rodu.

Z pewnym wzruszeniem spoglądała teraz na swoje dzieło, przyglądając się jednocześnie ludziom służebnym, którzy wybiegli z dworu, by konie od oficerów pobrać i oporządzić je należycie. Nie trzymała ich wzorem innych panów w dworskich budynkach, bo nie chciała, by mieszkania fernalistów przylegały do dworu, burząc ład i harmonię. Osadziła ich więc o kilka wiorst od dworu, postawiwszy im wygodne domy. To właśnie w tamtejszym sadzie

zakopała owo zboże, pewna, że nikt go tam szukać nie będzie. Zresztą ludzie zamieszkiwali tam pewni, choć niejednocili pod względem stanu i posiadanego mienia. Rekrutowała ich głównie spośród zubożałej szlachty, której po wojnach nie pozostało nic prócz herbów i dobrych nazwisk. Pośród jej ludzi znajdowali się także chłopci ze wsi okolicznych i tacy, którzy zawędrowali pod jej dach ze świata. Niemal każdemu dawała robotę, bo ludzi potrzebowała zawsze, choć nie wszystkich знаła osobiście. Lecz jak dotąd nie spotkał jej z ich strony żaden zawód.

Miękko wsparła się na ramieniu jednego ze sług i wyskoczyła z wozu. Gdy tylko znalazła się na ziemi, poprawiła futrzaną szuwę, którą była tak szczelnie okryta, że tylko skrawek twarzy było jej widać. Nie lubiła bowiem wczesnej wiosny, gdy zimne wiatry hulały w powietrzu, wysysając jej resztki ciepła z kości. Lecz teraz myśleć o tym nie potrafiła. Myśl jej bowiem błędziła wokół uczy, którą dla tak dostojnych gości wyprawić sobie obiecywała. Wzorem prawdziwych gospodyń, które swoją spiżarnię zawsze mają przed oczami, przeliczała, co w niej ma. Jednocześnie zaś wydawała pierwsze rozkazy ludziom służebnym. Spełniano je szybko i dokładnie i ruch zapanował w całym dworze.

Maria patrzyła na to z nieukrywaną zazdrością. Sama ludźmi kierować nie potrafiła. Młoda była, nie szanowali jej. Rozkazy wprawdzie spełniali, bo inaczej nie mogli, ale niechętnie i stale im patrzeć na ręce musiała. Tu zaś wszystko szło pięknym ładem. Matka ani krzyczeć, ani złościć się nie musiała. Mówiła cicho i tymi słowami wprawiała wszystko w ruch. Córnka bardzo chciała się tego nauczyć i wiele ku temu robiła, ale nadal nie szło jej to składnie. Matki zaś pytać ani radzić się nie chciała. Tak długo bowiem marzyła o wyrwaniu się spod jej kurateli w dorosłe życie, że teraz nie chciała przyznać się, iż nie ze wszystkim sobie radzi. Matka by jej pomogła, tego była pewna. Pomagała zawsze. Ale wraz z upływem czasu irytowało ją to coraz bardziej. Chciała

udowodnić, że naprawdę nie potrzebuje już niczyjej opieki. Dlatego z takim zachwytem myślała o samodzielnym gospodarstwie, które mogłaby poprowadzić tak, jak chciała. Dopiero czas pokazał jej, że prawdziwe życie znacznie odbiega od jej wyobrażeń.

Potrząsnęła główką i zbliżyła się do pułkownika, który półgłosem wydawał ludziom jakieś rozkazy. Przez chwilę stała w stosownej odległości, by nie posądził jej o podsłuchiwanie. Dopiero gdy żołnierz wysłuchał rozkazu i oddalił się pośpiesznie, by go w czyn wprowadzić, ośmieliła się podejść. Wieniawa ją ciekawił, gdyż wiele o nim słyszała i знаła jego reputację, która obiegła kraj wzdłuż i wszerz. Chciała jednak poznać go bliżej, by wyrobić sobie o nim własną opinię. Miała bowiem dość rozumu, by wiedzieć, że w ludzkim gadaniu nigdy całej prawdy szukać nie należy, albowiem człowiek odnajduje zadziwiającą przyjemność w zmyślaniu. Chce, żeby go słuchano, więc sam ubarwia historię, bo im barwniejsza, tym łatwiej słuchaczy znajduje. Wtedy ziarno prawdy szybko ginie, zalane płodami wyobraźni plotkarza, który chce nabrać znaczenia we własnych i cudzych oczach. Przyglądała się więc Wieniawie bez uprzedzeń i niechęci. Sama przed sobą musiała przyznać, że zrobił na niej doskonałe wrażenie. Już wtedy w chacie. Ale dopiero teraz przyjrzała mu się naprawdę starannie.

Gdyby miała wyobrażać sobie idealnego ułana, to widziałaby go właśnie takim. Mundur leżał na pułkowniku tak, jakby ten typ stroju stworzono specjalnie z myślą o nim. Wysoki, barczysty sprawiał wrażenie człowieka, któremu lepiej – bezpieczniej – w drogę nie wchodzić. Maria próbowała dostrzec rysy jego twarzy, ale ze względu na ciemności nie była w stanie tego zrobić. Jednak była niemal pewna, że nie mogą być brzydkie. Po prostu miała dziwne przeczucie, że w tym człowieku wszystko musi być idealne. Rysy jego twarzy musiały być harmonijne i łagodne, podobne do tych, które czasem widywała na marmurowych pomnikach



starożytnych mężów stanu. Nie wyobrażała sobie, by pułkownik mógł mieć krogulczy nos czy jakikolwiek inny defekt.

Długoszowski zdawał sobie sprawę, że właśnie w tej chwili poddawany jest starannej obdukcji. Przyjmował to z obojętnością, bo zdołał już przywyknąć do tego, że wszędzie, gdzie się pojawia, wzbudza nadmierną ciekawość i sensację. Irytowało go to, ale już dawno przestał z tym walczyć, bo miał dość innych wojen, którymi mógł zająć ręce i umysł. No i tamte wojny mógł przynajmniej wygrać. Własnej sławy nie mógł pokonać, choćby starał się przed nią uciec. Przyjmował ją więc jako dopust Boży i nie reagował na jej objawy jakimikolwiek emocjami. Tak samo więc teraz patrzył na zachowanie Marii i pochylił się jej w lekkim ukłonie.

– Co mogę dla panny zrobić?

– Dla pani – poprawiła z uśmiechem – mam męża. To raczej ja powinnam zapytać, co mogę zrobić dla odrodzonego po przeszło wieku Wojska Polskiego. A na razie chciałyśmy z matką gościć pod naszym dachem zaoferować. Chciałabym i Tomasza ugościć, tylko nie wiem, czy zechce.

Cholerni idealisci – pomyślał Wieniawa. Brała go chęć, by odwar knąć coś uszczypliwego, ale gdy w jej twarz popatrzył, zrezygnował z tego zamysłu. Uderzyła go bowiem jej młodość. Kiedyś i ja taki byłem – przeszło mu przez myśl. Tylko że moje myśli nie szły ku rewolucjom i sprawiedliwemu urzędowaniu świata. Wtedy żył i bawił się na całego. Sam przed sobą przyznać musiał, że jego młodość nie była pełna chwalebnych czynów, którymi mógłby się chwalić w szerszym gronie. Wypełniały ją raczej szaleństwa, w których główną rolę odgrywały kobiety, wódka i wino. Jedynie własnym wrodzonym zdolnościom zawdzięczał, że całego życia nie przeżuła. Czy on – właśnie on – miał prawo obdzierać ze złudzeń tych, którzy ten okres swego życia chcieli poświęcać naprawianiu świata?

Uśmiechnął się więc tylko i rzekł ni to poważnie, ni to żartobliwie:

– Ładne dziewczęta nie powinny zadawać tego typu pytań samotnikom, bo mogą być zgoła zaskoczone usłyszaną odpowiedzią. Nie chcieliśmy się naprzykrzać, ale kiedy nas proszą, to siądziemy za stołem. Oficerów jest trochę i wcale kulturalną kompanię można zebrać, która i wieczerzę umilić będzie umiała.

Tu Wieniawa zmieszał się, bo poznał, że powiedział coś, co mogłoby być wzięte przez tę kobietę za próbę nawiązania bliższej znajomości. A on właśnie wcale a wcale sobie tego nie życzył. Nie raz już bowiem gorzko mu przyszło takie rozmowy odpokutowywać. Nie miał złych zamiarów – to tylko tak samo wychodziło. Zawsze z uprzejmością przesadził. Dziś amory wywietrzały mu już z głowy niemal całkiem. Dość miał innych trosk, które zewsząd spadały na jego głowę. Nie miał czasu, by myśleć o tak prozaicznych rzeczach jak żona, dzieci, dom i rodzina. Teraz też myśлами był za murami Wilna. Myśl, że znajdzie tam Łazariewa, opętała go i zagłuszyła wszystkie inne. Chciał go dopaść, zemstą się nasycić, krwią za krew zapłacić, a potem niech się dzieje, co chce.

– Proszę darować – wycofał się lekko, a po chwili dodał: – Różne rzeczy tam o mnie mówią, bo od tego mają języki...

Zrozumiała, nim skończył. I jej bowiem nie było obce jego nazwisko. Ale to, co o nim mówiono, nie odstraszało jej. Wiedziała bowiem, że Długoszowski nigdy żadnej kobiecie krzywdy nie zrobił, złamanych serc nie licząc. Ale ona swego serca była pewna. Zresztą nie miała go ze sobą, bo od dawna nie należało już do niej; było gdzieś tam, hen przy mężu. Osoba pułkownika napełniała ją poza tym jakąś dziwną ufnością, której źródła sama nie umiała określić, a której nie czuła wobec innych, nawet własnej matki. Nawet jej nie powiedziała, co działo się z nią, gdy zdała sobie sprawę, jaki los przeznaczyci jej łotrzykowie. Chciała się bronić, ale

nie mogła. Miała wrażenie, jakby jej mięśnie dotknął nagły paraliż. Nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą. Jakby opętała ją jakaś siła nieczysta. Potem poczuła na sobie ich ciężar, ich cuchnące oddechy, ręce. Czowała, jak szamotali się z jej suknią, jednocześnie blokując ręce i nogi. I wtedy pojawił się on. Widziała jego twarz ledwie przez ułamek sekundy. Te zaciśnięte usta, te oczy pozbawione wyrazu mogły ją przerazić i wzbudzić odrazę. A potem zobaczyła tylko błysk szabli. Poczowała pęd powietrza na twarzy i dwie głowy niedoszłych gwałcicieli spadły wprost między jej nogi. Przymknęła oczy, jakby chcąc przypomnieć sobie rysy ich twarzy, na których zakrzepło śmiertelne przerażenie.

Zachlipała najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, a w końcu zaczęła drżeć w niekontrolowany sposób. Emocje, które tłumiała w sobie całą siłą potężnej woli, ujrzały światło dzienne. Patrzyła na rozszarpany w wielu miejscach materiał sukni, na ciemne sińce, które pokrywały jej ramiona, i ślady zadrapań. Cała scena znów zmaterializowała się przed jej oczami. Usiłowała przysłonić je ręką, jakby to mogło sprawić, że wspomnienie przestanie ją prześladować. Ale było ono jeszcze zbyt świeże i bolesne, by mogło spaść na dno podświadomości i przestać szkodzić nerwom. Maria nie chciała o tym myśleć. Nie chciała pamiętać. Póki była przy niej matka, starała się nad sobą panować i nerwy trzymać na wodzy. Teraz jednak patrzyła dookoła rozszalałym z emocji wzrokiem. Sama nie wiedziała, czego szuka. Brała ją nieprzewyciężona chęć, by biec przed siebie i roztrzaskać sobie głowę, jakby w tym był ratunek i ocalenie przed złem, które się w niej zaległo.

Zrobiła nawet kilka kroków, które zaniosłyby ją zapewne dalej, gdyby w tym momencie nie dostrzegła Tomasza, prowadzącego swoją klacz za uzdę. Zapewne szykował się do opuszczenia oddziału i przed drogą chciał się pożegnać. Patrząc na niego, przez chwilę zapomniała o nurtującym ją gniewie i rozpacz. Serce biło jej jak oszalałe, a klatka piersiowa poruszała się szalonym rytmem.

Oddychała długimi haustami, starając się wyregulować oddech i ciśnienie krwi, która tętniła jej w skroniach. Bała się, że ktoś z nich może zareagować na to, co się z nią teraz działo. Dlatego desperacko pragnęła powrócić do względnej równowagi. Gdy wydawało jej się, że zdołała tego dokonać, tknięta nagłą myślą przyskoczyła do Tomasza i objąwszy go w pole, zaczęła krzyczeć:

– Zabiłeś ich! Zabiłeś! Bodaj by ci się za to ręce świeciły i szczęściło się we wszystkim.

Tomasz stał jak oglupiały, nie wiedząc, co powinien mówić i robić. W czasie wojny widział on niejedno i w piersi biło mu mężne serce, które trwogi nie znało, gdy szło o starcie ze zbrojnym mężem. Natomiast na równi ze wszystkim bał się ludzi, którym wojna pomieszała zmysły. Pełno ich bowiem było podówczas na świecie. Nie bali się niczego. Rozjuszeni atakowali całe oddziały wojskowe, nic sobie nie robiąc ze śmierci, jakby upiorami byli, a nie ludźmi. Wycie ich napełniało nocami lasy i pola, przyprawiając innych o dreszcze. Śmiechy jakieś dziwne i straszne docierały do uszu ludzkich i napełniały ich umysły trwogą. Ludzie owi mamrotali dziwne słowa lub żebrali o łaskę, jakby nieprzyjaciel stał im tuż nad karkiem, choć wokoło było spokojnie.

Maria wczepiła się w mundur Tomasza i wtuliła się w niego, płacząc. On zaś pojęcia nie miał, co ma robić. Odepchnąć jej nie chciał. Polubił ją dosyć, bo czuł w niej szczerą i dobrą osobę, ale pomóc jej nie potrafił. Nie wiedział, co się z nią stało, choć widywał już, jak gwałcone kobiety odbierały sobie życie lub popadały w obłęd. Zadrżał na samą tę myśl i zaczął szukać oczami pomocy u Wieniawy. W nim pokładał całą swoją ufność, bo jeśli on nie poradzi, to nikt nie poradzi. Nie raz przecież widział, co pułkownik potrafi, gdy chce oddać jakiemuś przedsięwzięciu duszę i serce. Przecież kto, jak nie on, ratował go, gdy znalazł się w tragicznym położeniu? Spod stryczka go wyciągnął, choć na początku

wydawało się to niemożliwością. Czemu by teraz nie miał pomóc, gdy o kobietę chodziło?

Bolesław widział, co się dzieje, ale wiedział też, dlaczego tak się dzieje. Oczekiwał tej chwili od dawna, bo rozumiał, że prędzej czy później musi nadejść. Ludzka psychika jest bowiem bardzo delikatnym instrumentem, który ma ograniczoną odporność na okrucieństwo. Medycyna, której tajniki wtlaczano mu do głowy na Uniwersytecie Lwowskim, nie tylko nie nazwała jeszcze tego zjawiska, ale zdawała się negować samo jego istnienie. On jednak za długo walczył na froncie i nazbyt wiele widział, by nie zadawać sobie pytań, dlaczego ludzie nie wytrzymują nerwowo i zachowują się irracjonalnie. Jego zdaniem rzecz musiała być związana z bezustannym psychicznym napięciem, któremu byli poddawani przez dłuższy czas. A Wieniawa, choć nigdy nie był zbyt pilnym uczniem, to nie lekceważył tego, co miał okazję widzieć na własne oczy. A na froncie widywał tak wiele irracjonalnych zachowań, że niemal mimo woli zaczął szukać ich naukowego wyjaśnienia. Zastanawiał się, dlaczego niektórzy ludzie, wcześniej wielokrotnie wykazujący się odwagą, nagle dostają dziwnych napadów szału.

Nie raz i nie dwa widział to na własne oczy u doświadczonych żołnierzy, których front powinien był uodpornić na krwawe krajobrazy, jakimi karmiła ich wojna. Ale gdzie miała się tego nauczyć kobieta, która zapewne nigdy nawet nie patrzyła śmierci w oczy? Toteż jej reakcja nie zaskoczyła go. Zdziwił się wręcz tylko – jak już powiedziano – że tak długo zachowała panowanie nad sobą. Zdawał sobie sprawę, iż musiało ją to bardzo wiele kosztować... Położył palec na ustach, dając Tomaszowi znać, by ten nic nie mówił ani nie robił, po czym ostrożnie ruszył w kierunku dziewczyny.

Zbliżał się do niej ostrożnie, jak do rozhukanego konia, który bije i wierzga kopytami. Krok za krokiem, metr za metrem, ale podchodził do kobiety. Ręce trzymał przy piersiach, by

przypadkiem nie wykonać choćby jednego niepotrzebnego ruchu. Miał wrażenie, jakby zbliżał się do odbezpieczonego granatu lub szedł po polu minowym. Czuł, jak krople potu rosą mu twarz, spływają wzdłuż linii krzyża. Za chwilę wszystko się rozstrzygnie – pomyślał. Byle tylko udało się ją uspokoić. Na szczęście nie ma broni. Ta myśl dodała mu nieco otuchy. Tak, na froncie było gorzej.

Uśmiechnął się łagodnie, zbliżając się do Marii. Ręce trzymał tak, by widziała je dobrze. Stał bokiem do Tomasza. Przez dłuższą chwilę trwał w milczeniu. Zbierał myśli, dobierał odpowiednie słowa. Wiedział, że każde musi być dogłębnie przemyślane. Jedno nierozważne mogło bowiem mieć straszliwe następstwa.

– Niech pani spojrzy na nasze wojska – zaczął. – Każdy, kto tu przyjdzie, będzie musiał zmierzyć się z nami. A ja pani przysięgam, że oni tu nie przyjdą. Nikt więcej nie uczyni z nas ściganego zwierzęcia na własnej ziemi.

Źle – pomyślał. Zbyt patetycznie. Tomasz mi nie pomoże. Dzielny to człowiek, ale prawy chłop. Oni zaś tylko tyle z siebie wytrajkoczą, by mogli z sensem odpowiadać na pytania plebana i dziedzica. Zresztą, dziwić się temu nie można. Nikt mówić nie lubi, gdy wyrażać własnych myśli nie umie. A chłopów nie uczy się książką, tylko batem. Na Tomasza nie mam co liczyć. Boże, jak mam w niej serce poruszyć? Jakimi słowami mówić, by mnie jak święta nie słuchała? Kobiety! Kobiety! Co bym sam poczuł, gdybym się znalazł w takiej sytuacji?

Westchnął, pomodlił się w myśli i rzekł:

– Mario, poproś męża, by nauczył cię walczyć. Mnie nazywają dzielnym. Ale boję się. Boję się, gdy z tobą rozmawiam. Bez mojej szabli, broni jestem równie słaby, jak Samson bez włosów.

Maria uniosła oczy, słuchała go, więc mówił dalej:

– Kiedy poszedłem do legionów, byłem paniczykiem o gładkich, prostych palcach i miękkiej dłoni. Nie miałem zaprawy fizycznej

i szermierczej. Nie odróżniałem cięcia od pchnięcia, ale znałem się na poezji, literaturze. Pewnego dnia zebrałem cięgi od paru osiłków. O dziewczynę poszło. Bolało mnie całe ciało. Ale od tamtego czasu zacząłem uczyć się wojaczki. Dziś z czterema naraz radę sobie dam. Bo nie o to idzie, ile razy przegramy, tylko jaką naukę z tego wyciągniemy. Nie pozwól im, aby cię złamali, bo to będzie ich największe zwycięstwo! Pluń na nich jak na ścierwo! Albo idź się obwieś, bo z beksy nic nikomu nie przyjdzie!

Czuł, że zagrał *va banque*. Ale zdawał sobie sprawę, że nie można było inaczej. To Maria musiała zdecydować, czy chce żyć, czy potrafi. On postawił ją na rozstaju dróg i czekał. Tyle tylko mógł. Dostrzegł, że Maria gwałtownie uniosła głowę. Popchnęła Tomasza. Wprawdzie nie przesunęła go ani o centymetr, bo na to nie miała dość siły, za to wyrwała się z jego objęć i ruszyła wprost na pułkownika. Sunęła na sztywnych nogach, z zaciśniętymi pięściami, pełna wściekłości i z zaciętym wyrazem twarzy. Krwisty rumieniec barwił jej policzki na czerwono, a oczy ciskały błyskawice. Wieniawa, mimo że trwogi nie znał, cofnął się lekko i czekał. Zdało mu się, że wygrał, ale chciał mieć pewność, że zdołał obudzić tkwiący głęboko w tej kobiecie ogień.

Kolejne zdarzenia w pełni potwierdziły to, co przypuszczał. Maria zatrzymała się w pół kroku. Zmierzyła go wzrokiem. Poczul się dziwnie i spuścił oczy, choć przecież często konfrontował się z ludźmi znacznie bogatszymi i silniejszymi od niej – a oni nigdy nie zdołali onieśmielić go w ten sposób. Im potrafił rąbać prawdę między oczy, ani dbając o to, czy jest ona im miła, czy niemiła.

– Nie chcę uczyć się walczyć! Nie walczyć, tylko zabijać! Nikt więcej nie rzuci mnie na ziemię. A jeśli będzie inaczej, to już na niej zostanę. Masz rację. Nie dam im zwyciężyć. Chciałabym, by ich dzieci, jeśli pałętają się po świecie, nie miały ust, nosa, języka, żeby wszystko, co najgorsze, ich nie minęło! – Ostatnie słowa wykrzyczała z siebie całą szerokością gardła i załkała.

Po chwili jednak uniosła głowę i otarła łzy. Jedyne po zarumienionej twarzy i czerwonych obwódkach wokół oczu, które zniknąć nie chciały, można było poznać, ile łez wylała. Otworzyła dłonie i przez chwilę przyglądała się własnym palcom, jakby ich poznać nie mogła. Drżały jej lekko, co nie uszło bystremu oku Wieniawy. Zbliżył się więc szybko do kobiety, chwycił ją za rękę i szepnął tak, by tylko ona dosłyszeć go mogła:

– Gdy naprzeciw siebie stają dwie armie, wprawne oko dostrzeże, jak sumuje się ich strach. Opanuj się. My nie wspomnimy o tym, a ty nie myśl więcej, co stać się mogło, gdyby nie Tomasz. Gdyby twój mąż nie zechciał cię szkolić, przyjdź do mnie.

– Dobrze – odszepnęła i zaraz potem dodała głośniejszym głosem: – Proszę was na chleb i sól. Obu – dodała z naciskiem. – Nie przyjmuję odmowy.

Wieniawa się zasepił. Sam jednak uznał, że nie był to właściwy czas, by tłumaczyć Marii, że Tomasz się na salony nie nadaje. Zresztą nawet gdyby zechciał podjąć się podobnego przedsięwzięcia, to nie miałby szans na powodzenie, gdyż kobieta pośpiesznie ruszyła ku domowi. Przez chwilę spoglądał za jej oddalającą się sylwetką. Następnie zaczął szukać oczami Tomasza. Przeszło mu bowiem przez myśl, że może on próbować ucieczki. Małomówny, mrukliwy, prawy chłop, który tyle liźnął edukacji, ile łaciny z mszy zapamiętał, nie miał bowiem nic do szukania między panami. Nie jemu było zasiadać przy pańskim stole. Chyba że tak jak psy, które się pod stołem trzyma, by sztuczkami umilały państwu czas przy obiedzie. Tomasz zapewne nie inaczej myślał. Ale na babskie fanaberie ani jeden, ani drugi nic poradzić nie mogli. Wieniawa więc wypatrzył Tomasza, który rzeczywiście chyłkiem wymknął się usiłował.

Podszedł więc do niego, by mu to udaremnić, i chwytając go za rękaw, rzekł:



– Nie ma innej rady, tylko iść trzeba. Wiem, że obco ci tam będzie i źle, ale przecież nie do dzikich barbarzyńców idziesz, tylko do ludzi, którzy ci wiele zawdzięczają. Mów jak najmniej, a przy stole patrz na mnie i rób to samo, co i ja. Nie spierać się nam z kobietą, bo to nigdy na dobre nie wychodzi.

Tomasz słuchał wszystkiego obojętnie. Słowa pułkownika docierały do niego jak przez grubą ścianę. Nie słuchał ich, bo nic mu było po nich. Zawsze kto inny kierował jego życiem. Sam los go prowadził, a dokąd – nie wiedział. Do dworów go chciał. Chłopskiego syna, co od pędraaka po lasach i polach się włóczył, krowy ojcowe wypasając. Otumaniony się czuł i bezsilny. Dlatego bez oporów pozwalał na to, by Wieniawa prowadził go do pomieszczeń dworskich. Wstąpili na ganek, po czym weszli do izby przechodniej.

Zdobiły ją trofea myśliwskie. Owoc wieloletnich polowań. Na ścianach pyszniły się poroża jeleni, łosi, a nawet niedźwiedzie łby. Stare to już były trofea, bo obecnie pod Wilnem nie szło już upolować zwierza, który miałby kły i pazury. Człowiek i cywilizacja, którą ten przywłókł ze sobą, zmusiła faunę do odwrotu w odleglejsze komysze, gdzie bezpiecznie się zwierzęta czuć mogły. Nie wszystkie jednak zdołały unieść głowy i te właśnie głowy zdobiły teraz ściany sieni przechodniej. Na jej środku stał ogromny stół, na którym wedle zwyczaju należało pozostawić wierzchnie okrycia. Obaj tak właśnie postąpili. Następnie Tomasz przystanął niepewny, co ma robić dalej. Izba miała bowiem dwoje drzwi, które wiodły w różnych kierunkach.

W ogóle patrzył na wszystko rozszerzonymi ze strachu oczami, niepewny, co ma mówić i robić. To był dla niego zupełnie obcy świat. Świat, z którym się stykał, którego istnienie odczuwał, ale do którego aż dotąd nie miał zupełnie wstępu. Dlatego patrzył na wszystko z ciekawością dziecka. Bał się głośniej oddychać. Czuł się małym wobec tych przestronnych, jasnych pomieszczeń, tak

odmiennych od tych, które znał, a które często musiał dzielić z całymi stadami much, wiszących u pułapu, i zwierzyną, którą chłopci chronili przed zimnem w chałupach. Jak w kościele – pomyślał i nagle strach go zajął. Czuł, że serce bije mu zbyt szybko, a krew burzy się w żyłach. Napiął mięśnie, jakby spodziewał się ataku kogoś, kto zechce go stąd wypędzić. Rzucił wzrokiem do tyłu, na rozpościerający się za nim mrok, i poczuł wzbierającą chęć do ucieczki.

Wieniawa dostrzegł to spojrzenie i szybkim ruchem chwycił go za rękę.

– Spokojnie. Wiem, że się boisz, ale to ten sam strach, z którym mierzymy się na polu bitwy. Dokładnie ten sam – dodał z naciskiem. – Zaufaj mi, poprowadzę cię, bo znam ten świat. Tu trzeba tylko wysoko nosić głowę i udawać, że się ma miliony. – Roześmiał się z cicha.

Obaj minęli drzwi, które wiodły do pomieszczeń gospodarczych, i skierowali się w głąb dworu. Wieniawa-Długoszowski bywał w gościnie w dworach szlacheckich i nieraz jadał w nich gościnny chleb, toteż znał rozkład pomieszczeń, który zawsze był taki sam. Wiódł więc Tomasza pewnie, objaśniając mu jednocześnie przeznaczenie mijanych pomieszczeń. Czasem pokazywał mu portrety, które zdobiły przechodnie korytarze. Większość z nich nie była jednak warta uważnego oglądania, gdyż były dziełem miejscowych rzemieślników, którzy często niezbyt biegle władali pędzlem, a o technikach malarskich mieli dość dyletanckie pojęcie. Nikomu jednak nawet przez myśl nie przeszło zdejmowanie ich i skrycie na strychu, tak wielka była cześć dla przodków, których pamięć kultywowano od wielu pokoleń.

Wieniawa dotrzymał słowa i okazał się wspaniałym przewodnikiem. Przy stole miał on pilne baczenie na Tomasza. Zważał na każdy jego ruch i pilnował, by nie popełniał zbyt wielu gaf. Bardzo ostrożnie brał do ręki odpowiednie sztuce, gdy

kolejne potrawy pojawiały się na stole. Hamując rozbawienie, obserwował, jak jego towarzysz nieporadnie posługuje się sztucami. Ręce, które bardziej przywykły do szabli niż do łyżki i widelca, drżały mu w sposób niekontrolowany. Tomasz to bladł, to czerwieniał i niepewnie spoglądał na wszystkich, jakby nie był pewien, czy go nie wyrzucą. Wszyscy jednak zachowywali się taktownie, udając, że przy stole nie zachodzi nic nadzwyczajnego.

Rozmowa szła gładko. Podtrzymywał ją oczywiście Bolesław Wieniawa-Długoszowski, a robił to z nadzwyczajną lekkością i bez widocznego wysiłku. Był to bowiem człowiek światły, bywający na szerokim świecie. Nieobce mu były niemal wszystkie kraje europejskie, bo wiele czasu spędzał na wojażach i mówić mógł szeroko o stosunkach w nich panujących. Rozmawiano więc o modzie, sztuce, literaturze i filmie. Tylko Tomasz nie brał udziału w rozmowie. Nie miał bowiem nic do powiedzenia. Słuchał, nie rozumiejąc dziwnie brzmiących i obcych mu terminów. Z niepokojem śledził oczami każdą potrawę, którą stojący za plecami słudzy stawiali na stole. Cudaczne były i obce nie tylko jego nosowi, ale i oczom. Niemniej półmiski były duże i pełne. Tylko to miało znaczenie dla tego chłopskiego syna, który aż za dobrze wiedział, czym jest głód, bo był on jego wiernym towarzyszem od wczesnej młodości, aż po wojenną tułaczkę, której teraz zaznawał.

Nagle poczuł, że za jego krzesłem stanął sługa. Wpajany latami odruch sprawił, że odwrócił ku niemu wzrok i wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Poznał bowiem jednego z dawnych towarzyszy broni, którzy wraz z nim brali udział w nieudanym zamachu na Lenina. Otworzył usta. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Oczy tamtego zwężyły się w złe szparki. Zacisnął pięści, lecz nie uderzył, zamiast tego zaczął się wycofywać ku drzwiom. Tomasz chciał się poderwać, lecz jego wzrok przez chwilę zawisł na karafce wypełnionej krwistoczerwonym płynem.

Nagle myśl straszna, paląca jak ogień uderzyła go w czaszkę. A jeśli zatrute?

Błyskawicą uniósł głowę. Maria właśnie kończyła osuszać swój kieliszek. Widział doskonale, jak resztki płynu suną ku brzegowi naczynia, by zniknąć w jej ustach. Poczuł, że czas zwolnił. Dostrzegął, widział, że już otwiera usta, by krzyknąć. Ale wiedział, że dla niej jest już na ratunek za późno. Serce zakłuło go nie gniewem, nie żalem, a tylko smutkiem jakimś, którego nie znał. Nie troszczył się nigdy o nikogo, nie oplakiwał niczyjej śmierci, bo nikt jego przywiązania pozyskać nie umiał. A jednak teraz, gdy pomyślał, że oto za chwilę zgaśnie kobieta, która jemu – człowiekowi, na którego inni patrzą jak na robaka, żyjącego nie wiadomo jakim sposobem – okazała tyle serca. Poczuł więc, jakby serce ścisnęła mu niewidzialna obręcz. Ale za długo żył prawem wilka, by rozpacz stepiła w nim wolę działania. Błyskawicą zanalizował sytuację. Cisnął łyżką w kieliszek Wieniawy, który ten właśnie niósł do ust. Nie trafił, bo łyżka chybiła i przeleciała nieco nad naczyniem.

Ale to wystarczyło, by Wieniawa upuścił kieliszek. W tym samym momencie Maria runęła na stół. Zadrzały kieliszki, talerze i sztućce. Tomasz nie zwrócił nawet uwagi na potworną ciszę, jaka zaległa w jadalni. Wszelkie uczucia ludzkie w nim zgasły. Poderwał się zza stołu i skoczył ku trucieliowi, który był już przy drzwiach. Nagle odwrócił się jednak ku niemu. Tomasz dostrzegł pistolet. Nie miał nawet chwili, by zaznać strachu. Rozszerzył tylko oczy, patrząc w czarny otwór lufy. Po chwili huk wystrzału zaatakował jego uszy. Poczuł energię pocisku, który rzucił go aż na stół. Ból zaatakował jego świadomość. Zwarł szczęki, by nie krzyknąć. Ale nie mógł wytrzymać i usta same rozwarły mu się do krzyku. Widział jeszcze, jak tamten znika, a nic już nie mógł na to poradzić. Ból odbierał mu jasność myślenia, ale nie odebrał

przytomności. Słyszał własne jęki i niemal zwierzęce, kobiece wycie.

Z trudem obrócił głowę w jego kierunku. Dostrzegł widok, który poruszył nawet jego twarde z natury i przywykłe do bólu serce. Oto Agata desperacko próbowała unieść głowę córki do góry. Lecz brakło jej sił, nie mogła tego dokonać. Głowa kobiety leciała jej przez ręce. Piana z jej ust plamiła suknię matczyną, poszarzała twarz i niewidzące już oczy wpatrywały się gdzieś w niebo. Agata nie płakała, tylko wyla. Z jej otwartych na całą szerokość ust wydobywało się zawodzenie podobne do wilczego. Obecni słuchali go w zgrozie, niezdolni do wykonania najmniejszego nawet ruchu. Po twarzy Agaty ciekły łzy. Wodziła wzrokiem po ścianach, zawieszając spojrzenia na twarzach wszystkich, którzy pod nimi stali. Nagle dostrzegła brak jednego sługi i wargi zdrząły jej konwulsyjnie, a twarz stała się podobna do trupiej.

– Niech będzie przekłety dzień, w którym wstąpiłeś w te progi, w którym wprowadziłeś pod ten dach truciznę – zasyczała głosem tak strasznym, że obecnym mróz przeszedł po kościach. – Ona, ten mój gołąbek... Muchy by nie skrzywdziła. – Szloch ją zadławił. – Własnych wrogów nie miała, zabili ją cudzy. Niech będzie przekłety dzień, w którym przyszedłam na świat, w którym ujrzałam śmierć dziecka. – Spojrzała córce w oczy. – Wnucząt po tobie chciałam. Pomścić cię nie zdołam. Stare oczy niedowidzą, a ręce i nogi sił nie mają. Ale jeśli gdzieś jesteś... jeśli coś tam jest, ja ruszam za tobą, byś sama nie była. – Nagle upadła na kolana i zaczęła wściekle kaleczyć sobie twarz i ręce, wyjąc przy tym tak straszliwie, że obecnym włosy powstawały na głowie.

Jeden Wieniawa, który trwogi nie znał, postąpił kilka kroków ku niej. Jak wszyscy bowiem zrozumiał, co słowami zapowiedziała. Lecz ona dostrzegła jego ruch i rzekła:

– Nie ma już nikogo, kto pomściłby zagładę naszego rodu. Nie wiem, czy mąż Marii żyje. Jemu i tobie pomstę zostawiam.

Przysięgnij mi, że nie spocziesz, dopóki ci, którzy odpowiadają za jej śmierć, nie staną przed nami w zaświatach – rzekła z niezwykle powagą, głosem tak dziwnym, jakby już z tamtego świata dochodzącym. – Tam już się nimi zajmę. Pójdę nawet do piekła, by im je cięższym uczynić. Pójdę do raju, by im go obrzydzić.

Zadrzał. Sam był nieraz okrutnym, gdy wymagały tego okoliczności. Jednak strach go zajął na myśl, że ta kobieta nawet w grobie zemsty by nie zaniechała. Czuł, że odmówić mu nie wolno. Może dlatego, że wyczuwał w tym, co się stało, jakąś swoją winę, choć jej nie popełnił. Nie czuł się na siłach, by mówić. Skinął więc tylko głową, jakby w odpowiedzi.

Agata zrozumiała ten ruch. Uśmiechnęła się straszliwie. Obojętnym ruchem sięgnęła po karafkę i nalala wina do kieliszka. Wolno uniosła go pod światło i rzekła głosem powolnym i uroczystym:

– Błogosławiona śmierć, która sprawia, że człowiek nie czuje, nie myśli i nie pamięta. Tego, co na ziemi ból zadaje. Wam, którzyście mi wiernie służyli, skarbnik wypłaci zasługi. Wszystko jest w testamencie. Kiedyś rozkazywałam, teraz prosić muszę... Pochowajcie mnie obok niej.

To powiedziawszy, wypila. Piła wolno, jakby smakowała wyborny trunek. Jednak po chwili jej twarz wykrzywiła się bólem, poszarzała, a w kącikach ust zebrała się piana. Agata zgięła się w pół. Powoli, uroczyście osuwała się na ziemię, jak słońce, które po ciężkiej i długiej pracy osuwa się zwolna w morskie fale. Ona jednak wiedziała, że nie wróci tu nigdy. Wiedzieli to także ci, którzy ten zachód jej życia oglądali. I nie było tam twarzy, której nie zrosiłyby łzy, nie było piersi, którą nie wstrząsnęłoby łkanie i szloch. Agata upadła, a z jej otwartej dłoni wytoczył się kieliszek, rozlewając wokół ostatnie krople zatrutego wina.

Nikommu nie przeszło nawet przez myśl, by wyłamywać się od woli nieboszczki, toteż wypełniono ją w pełni. Odstąpiono tylko od

mszy świętej, bo czas był niespokojny i ani księdza, ani ludzi niełatwo było przekonać do stawiennictwa w miejscu, gdzie wciąż jeszcze rozbrzmiewały z całą mocą spiżowe głosy wojny. Pochówek spoczął więc na barkach miejscowej służby i chłopstwa, które tłumnie stawilo się na ową uroczystość. Wieniawa przywykł do nieco innego charakteru podobnych uroczystości w swoim środowisku, gdzie niemal każdemu wydarzeniu nadawano pompatyczną oprawę. Ludzie jego sfery mieli bowiem tę przywarę, że lubili się popisywać godnością, bogactwem i znaczeniem. Tu rzecz się miała zupełnie inaczej.

Chłopi stali w szyku, niczym tyralierzy rzymscy. Proste, samodziiałowe stroje i kapoty prezentowały się na tych synach ziemi i słońca nie gorzej niż mundury kompanii reprezentacyjnej na wojskach trzech cesarzy. Wieniawa przyglądał się im okiem znawcy i natychmiast odgadł, że gdyby musiał wojsko zbierać, to szukałby właśnie takich ludzi. Wyćwiczonych przez ziemię, na której żyli, która ich żywiła, ale nie darmo. Na wszystko, co dostawali, sami musieli zapracować, wydrzeć swojej matce jej największe skarby pracą, potem i pługiem. To byli jej właściwi obrońcy. To lud wznosił miasta, budował drogi, młyny i robił to bezimiennie. A gdy wojna nawiedzała te strony, nie szukał ucieczki, tylko trwał, przywiązany do ziemi, ową dziwną chłopską lojalnością, która nigdy nie przemija.

Wojna szalała po świecie i teraz. Nawiedzała i te strony, przynosząc ze sobą to, co najgorsze. Lecz myśli tych ludzi, którzy zgromadzili się wokół prostych, drewnianych trumien, dalekie były od wojny. Chłopi stali murem w milczeniu, cisi i spokojni. Tylko ich twarze drgały hamowanym bólem i płaczem. Łzy złościły im twarze. Żegnali starą panią, która surowa była, ale sprawiedliwa. Wspomagała ich rodziny z dobroci serca i dlatego, że korzyść własną w tym widziała. Wznosiła im obory, chlewnie, byle przyciągnąć tu ludzi, których bardzo potrzebowała

wyludniona i zabiedzona przez ciągle postoje wojsk okolica. Była im bliższa niż Bóg i widoczna. Przychodzili do niej z troskami i kłopotami i choć nie zawsze znalazła radę, to rozmowy nikomu nie odmówiła. A teraz ta dobra pani odeszła razem z następczynią. Dlatego na twarzach tych ludzi odbijał się nie tylko żal, ale i niepokój. Jaka będzie przyszłość, która osnuła się teraz mrokiem?

Kilku tęgich chłopów chwyciło trumny na swoje szerokie bary i poniosło je w kierunku przygotowanego już prostokątnego otworu. Delikatnie postawili je na przyrmach z ziemią. Następnie założyli sznury i powoli opuszczali trumny, które opadały w głąb ziemi bardzo powoli, by leżeć na sobie i czekać dnia sądu. Chłopi podchodzili ostrożnie, jakby niepewni, przepełnieni bólem, żalem i niepokojem. Każdy brał po garści ziemi i ciskał ją na trumnę, po czym uciekał do szeregu. Ziemia rzucana chłopskimi dłońmi pokrywała wieko trumny, rozpryskując się na nim i uderzając o nie głucho.

Wieniawa-Długoszowski z Groblem stali nieco z boku i obojętnie czekali na swoją kolej, by dopełnić ceremoniału. Młody pułkownik patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Myślami bowiem był w innym miejscu i przy zupełnie innych sprawach. Na śmierć nic nie mógł poradzić. Nie był wszechmocny. Uciekał od własnego żalu i poczucia winy, które zaczynało go dławić. Myśli kłębiły mu się pod czaszką i przyprawiały go o ból głowy. Próbował zrozumieć sens tego wszystkiego, co właśnie się wydarzyło. Dlaczego? Po co? Nie potrafił sobie tego wyjaśnić, nie potrafił zrozumieć.

Ten człowiek musiał przebywać przy tej rodzinie od dłuższego czasu. O co mu chodziło? Złość, zawiść, poczucie krzywdy? Agata i Maria zrobiły na nim dobre wrażenie, ale przecież mógł się mylić w ich ocenie; w końcu znał je zbyt krótko, by móc za nie ręczyć w każdej sytuacji. Ale jeśli tu był motyw, to czemu celem staliśmy się również ja i Tomasz? Ta właśnie myśl nie dawała mu spokoju.



Nie doszedł jednak do niczego sensownego. Zdawał sobie sprawę, że zbyt był jeszcze pochłonięty wypadkami, które zaszły na jego oczach, by móc na chłodno analizować sytuację. Wciąż miał przed oczami scenę, która tak jeszcze niedawno rozgrywała się w jadalni szlacheckiego dworku. Ciągłe wydawało mu się, że tkwi w środku jakiegoś sennego koszmaru, z którego zaraz się wybudzi. Analizował wszystko, co zrobił. Uznał, że zrobił, co należy. Niczyjej śmierci zapobiec już nie był w stanie. Ale nad sytuacją zapanował wzorowo. W całym dworze przywrócił ład, który zachwiał się pod wpływem wypadków. Jak na zawodowego żołnierza przystało, nie uległ wszechobecnej panice, tylko pomagał tym, którym mógł jeszcze pomóc.

Przesunął wzrok w kierunku Tomasza, zatrzymując go dłużej na opatrunku. Opatrzył mu nogę tak starannie, jak było to możliwe w warunkach polowych. Szczęściem kula przeszła na wylot i nie strzaskała kości, więc nie było większego niebezpieczeństwa. Widać Tomasz miał tę szczyptę szczęścia, która umożliwia przetrwanie pośród wojennej zawieruchy. I tylko grymas bólu, który dostrzegał na jego twarzy, pozwalał mu stwierdzić, że nie wszystko jest w porządku. Tomasz zgodnie z jego zaleceniami nie opierał ciężaru ciała na zdrowej nodze, więc przechylał się nieco w lewo. Pułkownik zrobił kilka kroków w jego stronę, ale po chwili się zatrzymał. Dostrzegł bowiem, że przy trumnie zrobiło się nieco wolnego miejsca, i ruszył w stronę świeżego grobu. Wkrótce stanął nad krawędzią. Czuł, że twarz drży mu hamowanym żalem, nad którym nie umiał zapanować. Drżał i starał się za wszelką cenę nie patrzeć w dół, w zimną, mroczną otchłań grobu.

Bolesław pochylił się błyskawicznie, zagarnął grudkę mokrej, czarnej ziemi i cisnął ją w mroczną czeluść. Ze zdumieniem przekonał się, że odruchowo zamknął przy tym oczy. Następnie szybko oddalił się od grobu. Podeszedł do Tomasza, który stał cichy, spokojny i nieporuszony. Coś widać ważył w sobie, bo wąsy

poruszały mu się niespokojnie, gdy patrzył to na pułkownika, to na grób.

Zastanawiał się, czy ma powiedzieć Wieniawie, że rozpoznał truciciela. Bo to był on. To był na pewno on. Zbyt często widział go w walce, by móc ulec złudzeniu. Tak, to był członek oddziału, z którym wspólnie ruszył na Lenina. Ale przecież on umarł... Strzelał dobrze jak na nieboszczyka – myślał. Trzeba będzie na świecę do kościelnego ołtarza się wykosztować, że kula kości nie strzaskała. Tak. Trzeba o tym Wieniawie koniecznie powiedzieć, bo zdaje się, że nawet w Polsce pilnować się trzeba.

– Ja tego truciciela znam – rzekł ze zmieszaniem.

Dostrzegł, że Wieniawa zeszytniał. Nagle obrócił się i bez żadnego ostrzeżenia chwycił go za poły płaszcza i ciągnąc, wrzeszczał:

– Kto to był?!! – Bolesław nie panował teraz nad sobą. Trząśniętą całą, szarpał płaszczem Tomasza i wypowiadał urywane wyrazy.

Grobel zaś składał mu relację z szybkością karabinu maszynowego, jakby się bał, że za chwilę Długoszowski sięgnie do szabli. Mówił krótkimi zdaniami, ale dało się z nich zrekonstruować całość historii. Wieniawa ukląkł, przyłożył rozpalone czoło do ziemi, jakby chciał schłodzić własną głowę. Na razie nie był bowiem zdolny do myślenia.

Widział, że Tomasz patrzy na niego z niepokojem, ale nie potrafił się uspokoić. Milczał. Dopiero gdy był pewien, że nad sobą panuje, rzekł z cicha smutnym, jakby sennym głosem:

– Krwawy Feliks! Krwawy! W czasie mojego pobytu w Warszawie zebrałem o nim trochę informacji.

– Po co?! – krzyknął Tomasz. – Nie będzie nas ścigał.

Pułkownik parsknął śmiechem i zgrzytnął zębami.

– Ot, widzisz, jak nie będzie. On tu wróci i przywlecze ze sobą miliony takich jak on. A nie doceniać go nie wolno. Car nie doceniał siły tłumu i drogo za to zapłacił.

– To nie moja rzecz – odparł Tomasz sucho.

– Zgoda, nie twoja – warknął ze zniecierpliwieniem Bolesław. – Ale moja tak. Ja będę musiał się z nim zmierzyć, bo on będzie zabijał takich jak ja. Poznałem go. Jedni ludzie rodzą się potworami, a inni się nimi stają. Uciekł z Sybiru, potem przejął metody własnych prześladowców. Przejął i udoskonalił. Jest opętany własną wizją świata, którą za wszelką cenę chce urzeczywistnić. Nasz wywiad uważa, że wyprowadził go w pole. A co, jeśli nie?

– O czym ty mówisz? – spytał Grobel, patrząc na Wieniawę z coraz większym przestraszaniem. – Skąd w tobie takie myśli? Nie rozumiem.

Wieniawa machnął ręką.

– Nasi oficerowie, którzy zwykle kursują między burdelem a kasynem, mają się za lepszych od niego. A to nieprawda. Olga, która przesłuchiwała go wiele lat temu, twierdzi, że to geniusz. Co zrobił? Jak postąpił?

– Kim jest Olga?

Wieniawa nie odpowiedział. Nie miał zamiaru wyjaśniać Tomaszowi, że Olga jest szefową berlińskiej placówki wywiadu. Jego myśli błądziły teraz wokół osoby Feliksa. Próbował postawić się na jego miejscu. Wojna z Polską jest nieunikniona. Polska ma dwa wyjścia. Może się bronić albo atakować. Pierwsza strategia jest defensywna i daje czas na przygotowania. Druga jest bardzo ryzykowna, ale pozwala nie niszczyć własnego kraju i daje szansę na rozstrzygające zwycięstwo. Obie mogą być wybrane. Co bym zrobił? Znał odpowiedź – zacząłbym zwalczać obie możliwości, bez względu na donosy agentury, której nigdy zbyt mało ufać nie należy.

– Tak – mruknął. – Polski wywiad nie nabrał Dzierżyńskiego, bo ten wiedział, że mamy tylko dwa wyjścia, i na oba się przygotował. Niech cię diabli!

Podniósł się i uśmiechnął, spojrzawszy na Tomasza.

– Wskakuj na konia. Rozsiodłasz go dopiero u mnie w Bobolewie. Wolę sam cię dostarczyć Weronice.

Tomasz popatrzył na niego zdziwionymi oczami.

– Wolę się upewnić, że mi to wesele i chrzciny nie przepadną.

Pół godziny później obaj pędzili do kraju. A tymczasem bitwa o Wilno właśnie się rozpoczynała.

## Rozdział VIII

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie, z jakim Lena Newska przywitała swoją córkę, o której od wielu miesięcy nie miała żadnej wieści. Ale brak wiadomości był w tym przypadku czymś korzystnym. Dawał jej bowiem nadzieję. Nadzieję na to, że jej córka zdołała wymknąć się szczęśliwie do Francji. Często wyobrażała ją sobie, gdy tkwiła w łągrze. Przymykała oczy i widziała ją, jak spaceruje pod tą ich wieżą. Szczęśliwa, bogata i przede wszystkim bezpieczna. Nieobciążona losem, który stał się udziałem jej samej. Jej córka nie oglądała własnymi oczami krwawych narodzin nowego ustroju. Hord zbuntowanych, obdartych i rozgoryczonych żołnierzy, którzy mordowali każdego, kto nawinął im się pod rękę. Kraj stanął w ogniu. Płonęły wsie, dwory i miasta. Rzeka krwi wsiąkała w ziemię. A Lenę radowała tylko nadzieja, że jej córka dotarła do Paryża.

Nic więc dziwnego, że twarz Leny, gdy patrzyła teraz na skrajnie wyczerpaną facjatę córki, uginającej się pod ciężarem jednego z jej uczniów, gorzała sprzecznymi uczuciami. Patrzyła na to ze zdumieniem, zmieszonym z radością i gniewem. Była szczęśliwa, bo widziała ją żywą i zdrową. Błyskawicą objęła wzrokiem całą jej sylwetkę i nie dostrzegła nawet najmniejszej rany. Poczula, jak wilgoć wzbiera jej pod powiekami. Widziała twarz Anny jak przez mgłę, a pierś dławiała jej się urywanym oddechem. Podeszła do córki. Delikatnym ruchem objęła jej twarz,

badala każdy jej rys, każde wgłębienie, jakby potrzebowała się upewnić. Wreszcie przycisnęła ją do siebie, szepcząc tkliwie:

– Córeczko... to ty... to naprawdę ty. Bóg ze mnie nie drwi? Nie zdołałaś dotrzeć do Paryża?

Chciała jeszcze mówić. Tysiące pytań cisnęło jej się na usta. Tysiące myśli kotłowało jej się w głowie. Była ciekawa każdego dnia, każdej godziny, kiedy nie było jej przy dziecku. Znowu miała ją przy sobie. Myśl ta napawała ją radością i strachem jednocześnie. Znowu będą musiała ją chronić – myślała. Ale jak? Sama jestem tylko igraszką w rękach człowieka, który nie zna litości. Gdyby tylko szepnął, zakończyłby moje życie. Ja miałabym osłonić dziecko?

Anna odsunęła się od niej. Matka spojrziała na nią ze zdumieniem i urazą. Przecież o nic nie pytała. Nie pytała, dlaczego spadła tu niczym meteoryt. Nie pytała, dlaczego suknia jej córki jest cała mokra ani dlaczego przywlekleła tu nieprzytomnego chłopca. Ale chyba miała prawo do odrobiny czułości?

– Potem, potem! – krzyknęła Anna niecierpliwie. – To jemu musimy teraz pomóc. Ocalił mi życie. Ryzykując własne.

Informacje, które usłyszała, sprawiły, że błyskawicą zapomniała o urazie. Zbyt długo już balansowała na krawędzi życia, by nie wiedzieć, że w chwili krytycznej trzeba zachować jasność myślenia. Skupiła się więc na zapanowaniu nad własnymi emocjami. Potem zabrała się za ratowanie ucznia. Dość jej było na niego spojrzeć, by wiedzieć, że uległ wychłodzeniu. A to było prostą drogą do obustronnego zapalenia płuc. Do tego zaś nie można było żadną miarą dopuścić. Powściągnęła więc własną ciekawość i zajęła się ratowaniem chłopca. Najpierw pomogła córce dźwigać go w kierunku łóżka, po czym ułożyły go na nim i pozbawiły przemoczonych ubrań. Anna z uwagą przyglądała się matce, która ze spokojem i znanstwem pracowała nad ratowaniem Szaskina. Okryła go najszczelniej, jak się dało,

i rozgrzewała gorącymi okładami. Masowała go, by pobudzić krążenie. Anna patrzyła na wszystkie te fachowe i błyskawiczne zabiegi z wzrastającym zdumieniem. Skąd jej matka tyle wiedziała o leczeniu!? Ona! Arystokratka, której życie upływało w zamkniętych ścianach dworu i w kręgu francuskiej literatury dworskiej! Pamiętała ją jako wspaniałą, czułą i troskliwą matkę, która pokazywała jej świat i uczyła go rozumieć. A teraz? Ledwie ją poznawała. Ruchy jej rąk były zdecydowane, szybkie i pewne. Na jej twarzy nie widziała nawet najmniejszego śladu wahania. Poczula, że jest tutaj zupełnie zbędna, niepotrzebna, więc cichcem wysunęła się z pokoju i przeszła do kuchni.

Tam zajęła się przygotowaniem posiłku. Z prawdziwą pasją oddała się pracy, która pozwoliła jej nie myśleć wreszcie o niczym. Mogła wyobrażać sobie, że nadal ma bezpieczny dom i kompletną rodzinę. Myszkowała więc po kuchni jak za dawnych lat, choć nie było tu wiernej służby ani kucharki, która wiecznie załamywała ręce nad jej chudością i podsuwała najwymyślniejsze smakołyki. Uśmiechnęła się do wspomnień, lecz jej uśmiech zgasł równie szybko, jak się był pojawił. Przypomniała sobie bowiem, że nie wie, co się stało ze starą, dobroduszną Tatianą. Nie znała jej losu, podobnie jak wielu przyjaciół, pośród których upłynęło jej dzieciństwo i młodość. Mimo nagłego smutku, jaki ją ogarnął, nie przerwała pracy i wkrótce skromny posiłek trafił na stół.

Ona sama z ulgą opadła na krzesło, wsparła głowę na rękach i się zamyśliła. Jej położenie nie przedstawiało się zbyt różowo. Wprawdzie zdołała dotrzeć aż tutaj i nawet odnaleźć matkę, ale zdawała sobie sprawę, że to jeszcze nic nie znaczyło. Owszem, mogło to nawet obrócić się dla matki na niekorzyść. Gdyby ją tu znaleźli, nie oszczędzą nikogo. A może wcale nie zaczną jej szukać? Może będą pewni, że nie żyje? Może nie sprawdzą dna? Pokręciła głową, jakby chciała zaprzeczyć sobie samej.

Na taką kumulację szczęścia nie mogę liczyć. Ścigają mnie i będą ścigać. A ja? Co mam robić? Uciekać?

Jak? Dokąd? Gdzie? Z organizacją nie ma już kontaktu, więc nikt nie zaplanuje przerzutu, który rokowałby powodzenie.

Zwątpienie zaatakowało ją ze wszystkich stron. Żadne dotychczasowe doświadczenia nie przygotowały jej na to, co tu zobaczyła. Po raz pierwszy spojrzała na siebie jak na liść, którym bezlitośnie smaga wiatr. Tkwiła w kraju, który wrzał, kipiał i dyszał. W kraju, gdzie szlacheckie pochodzenie przestało być przywilejem otwierającym wszystkie drzwi, a stało się obciążeniem. Kto ją ukryje? Kto narazi się na zemstę wszechmocnej w kraju bolszewickiej władzy? Nawet Saszkin, który – mimo opryskliwego zachowania – zdawał się być jej życzliwy, zawahał się. Nie mogła mieć o to do niego pretensji. Zawdzięczała mu przecież tak wiele. A poza tym rozumiała jego strach. Zaznała go bowiem na własnej skórze. To on właśnie pętał ludzką życzliwość niewidzialnymi łańcuchami. To on sprawiał, że ludzie zaczęli bać się siebie wzajemnie. To przez niego nie mogła liczyć na niczyją pomoc.

Razem z milionami innych zaczynała uczyć się złowrogiej logiki bolszewickiego terroru. Dopiero tu, w środku nowej Rosji, zrozumiała, jak bardzo była naiwna. Ludzie, którym oddała swe usługi, użyli jej po prostu jak pionka na szachownicy, a szkolenie, jakiemu ją poddali, było nic niewarte. Zrozumiała to dopiero teraz, gdy odkryła, jak bardzo zmienił się kraj, który niegdyś znała i uważała za własny. Kraj Tołstoja, Puszkina i Lermontowa stał się gigantycznym więzieniem, gdzie w każdej chwili groziła jej śmierć. Przymknęła oczy, by choć na chwilę wrócić do czasów beztrudnego dzieciństwa, kiedy jeszcze ludzie nie polowali na ludzi, a świat jawił się jako cud.

W takiej pozycji zastała ją Lena, która wsunęła się cichutko do pomieszczenia. Spojrzała na Annę, która zasypiała z głową



wspartą na rękę, i poczuła, jak ogarnia ją dziwna tkliwość. Szła tu z zamiarem wyściskania jej i zbesztania jednocześnie za to, że tu wróciła. Zamieniła bezpieczne miejsce na pogrążoną w odmetach szaleństwa Moskwę. Ale teraz nie śmiała się odezwać. Jej dziecko spało. Chłonoła ten widok w milczeniu, walcząc z pokusą, żeby jej dotknąć, odgarnąć kosmyk włosów z czoła. Tak jak robiła to dawniej, gdy jej mała córka zasypywała ją tysiącem pytań, biegała za motylkiem, przynosiła kwiatki. Wtedy ona mogła zapewnić jej wszystko. Wspaniały dom, skąpany w słońcu rodzicielskiej miłości, najlepszych nauczycieli i wszystko, czego dusza zapagnie. A dziś nie mogła zapewnić jej nawet bezpieczeństwa. Ba, nie mogła go zapewnić także i sobie. Jej ocalenie z rzezi zakrawało na cud. Nie, nie bała się śmierci. Wiedziała bowiem, że przed nią nie da się uciec. Poza tym przeżyła już swoje szczęśliwe dni, które wciąż tkwiły w jej pamięci. Ale na myśl o tym, że miałyby ujrzeć własne dziecko na mękach, truchlało w niej serce. Widziała przecież, co działo się z tymi, którzy mieli nieszczęście dostać się w bolszewickie ręce.

Anna wyczuła, że jest obserwowana, i powoli uchyliła powieki. Spojrzała w matczyne oczy i ze zdumieniem dostrzegła w nich hamowany gniew. Rozpoznawała go nieomylnie, bo zawsze potrafiła wyczuć zmiany nastroju matki. Pamiętała, że patrzyła na nią tak, gdy cokolwiek przeszkrobała. Odruchowo pochyliła ramiona i głowę.

– Ściągają jego, ciebie czy was?! – krzyknęła Lena. – Po co tu wróciłaś? Czy ty wiesz, co tu się teraz dzieje?! Jak mogłaś mi to zrobić?! Jak mogłaś tu wrócić?!

Anna patrzyła na matkę szeroko otwartymi oczami. Jej gniew ją zaskoczył. Spodziewała się dalszych uścisków, łez i czułych powitań. A tymczasem zobaczyła kobietę, która chętnie rozerwałaby ją na strzępy. Patrzyła na to ze zdumieniem, które powoli zmieniało się w złość i oburzenie. Przecież przybyła tu dla

niej, by ją ratować. Czy nie należało jej się za to choć jedno miłe słowo? W jej sercu wzbierał bunt przeciw niezasadnemu atakowi, ale nie ośmieliła się odezwać, gdyż tak ją wychowano.

Dopiero gdy zorientowała się, że matka oczekuje od niej odpowiedzi, zebrała się w sobie i zaczęła mówić cicho i ze smutkiem w głosie:

– Wróciłam po ciebie, mamo. Sądziłam, że przyjmiesz mnie szczerym sercem i radością. A ty mnie odpychasz. Nie mogłam zostać w Paryżu. Nie mogłam brylować tam pośród emigrantów rosyjskich, gdy może ty tutaj... – Urwała na chwilę, bo targnęła nią szloch. – Miałabym zostawić rodzinę w piekle, a sama żyć sobie beztrzesko pośród Francuzów? Nie mogłam.

Lena nie wytrzymała. Otworzyła szeroko ramiona i pozwoliła wpaść w nie córce. Tulila ją, gładziła po włosach i uspokajała czułymi słowami:

– Jesteś wspaniała w tej swojej naiwności. Ale co uczynisz? Jak mnie im wyrwiesz? Masz tylko jedną głowę i dwie ręce, a oni mają ich wiele. Ja ich poznałam. Byłam w łagrze. To jest potęga, córciu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ja byłam szczęśliwa, że cię tu nie ma. Że nie muszę się o ciebie martwić. Cóż mogli mi zrobić? Zabić? – Roześmiała się z cicha. – Ale teraz boję się o ciebie. Boję się, bo obie jesteście tu bezbronne. Woda nas poniesie i roztrzaska o skały.

– Przyjechałam tu jako emisariuszka Denikina. Miałam nawiązać kontakt z antybolszewickimi organizacjami i uzgodnić współdziałanie z nimi. Kazano mi też ustalić, czy w micie o Anastazji jest choć trochę prawdy.

Anna poczuła, jak drobne palce matki zaciskają się na jej rękach. Lena trzęsła nią jak gruszką, krzycząc jednocześnie.

– Zwariowałaś! Jak mogłaś się wdać w takie sprawy?! I to dla kogo? Dla Antona?! Generał z Bożej łaski! – prychnęła jadownicie. – Pcha się pod pusty tron, ale tłoczno tam teraz, a on nie z tych, co

na tle wielu błyszczał będmie. Nawet bolszewików nie pokonał. On jest z tych, co zawsze stoją w cieniu innych i czekają, aż upolowana przez nich zwierzyna sama wpadnie im w usta. Dlatego próbuje wepchnąć w naszą wojnę Zachód, ale i tam już zmądrzeli. Jeśli Rosja chce, to niech się kąpie we własnej krwi. Cóż prostszego pozostawić ją własnemu losowi. Tak już jest. A ty chciałabyś nie tylko im uciec, ale mnie ratować. To ciebie trzeba za uszy wyciągać. Opowiadaj, co się z tobą działo.

Anna wysunęła się delikatnie z jej objęć, po czym zaczęła opowiadać. Mówiła długo, nie stroniąc od szczegółów. Opowiadała o rosyjskiej emigracji, o stosunkach panujących w jej łonie. O sporach, które rozgrzewały koła emigracyjne. Potem przeszła do szkolenia i do tego, co działo się z nią, gdy trafiła do Rosji. Tu tempo opowiadania nieco spadło, gdyż mówienie o tym, co się zdarzyło w więzieniu, przychodziło jej z trudem. Wstydziła się przyznać, że bała się, choć jej nie bito. Skończyła opisem zdarzeń, które zaszły nad rzeką Moskwą. Lena słuchała w ciszy, ukradkiem ocierając łzy, a gdy opowieść się skończyła, wtrąciła:

– Nie wiń się. I ja znam strach. Byłam w łągrze. Gnali nas kilkadziesiąt kilometrów po śniegu. Ręce czerwieniały od mrozu, przeguby dłoni krwawiły od okowów. Nogi zapadały się w śniegu, a mróz sprawiał, że drzewa pękały. Kto osłabł, tego dobijano na miejscu lub odsyłano do trupiarni. Szlachetni więźniowie wysługiwali się kryminalistom, by uzyskać ochronę. A kobiety... sama wiesz. Bałam się zasnąć, by nie zostać zgwałconą przez dwudziestu urków<sup>2</sup>.

– Mamo, czy ty...? – zaczęła i przerwała, jakby bojąc się odpowiedzi.

– Nie – odparła szybko Lena. – Na mnie ochotę mieli strażnicy. Ale nie zdążyli, bo już mnie stamtąd zabrali. Ale tak, sprzedałabym im się za lepsze racje, za życie.

– Nie mnie cię osądzać. Ja myślałam, że nigdy cię już nie zobaczę, że cię nie uściskam. A oto jesteś przy mnie żywa, cała i zdrowa. Nie chcę, byś rozpamiętywała to, co się tam działo. Liczy się tylko to, że żyjemy.

– Tak, jeszcze żyjemy – odparła Lena ironicznie. – Ale tu nie możemy zostać. Moja sąsiadka pierwsza na nas doniesie. Żmija! Chętnie bym jej... – Zaciśnęła usta. – Ale co zrobimy z Saszkinem?

– Właśnie, co z nim?

Anna poderwała się i chciała biec do Saszki, ale Lena wstrzymała ją i rzekła:

– Majaczy. Wzywa matki. Tłumaczy się z czegoś. Niewiele zdołałam zrozumieć. Ale w nim jest jakaś tajemnica. No ale to nie nasza rzecz. Młody jest, wylize się – dodała córce na pociechę. – Gorączka zaraz powinna spaść.

Anna uśmiechnęła się. Była szczęśliwa, że chłopcu nic nie będzie, bo uprzednio przygniatał ją ciężki niepokój o niego. Nie chciała, by za odruch serca śmiercią zapłacił. Zaintrygowały ją słowa matki o tajemnicy, bo pokrywały się z jej własnymi przypuszczeniami. W Saszkinie było coś tajemniczego. Pobudzało to jej ciekawość. Wzywał matki, która wedle jego własnych słów rozstała się już z tym światem. Dziwne. Postanowiła wypytać matkę o Saszki i napędzana tą myślą, zaczęła mówić:

– Skąd przypuszczenie, że w nim jest coś tajemniczego? Jaki on jest? Uczysz go, więc wiesz zapewne, jaki jest. W ogóle to jak to się stało, że trafiłaś do szkoły, a nie pod mur?

Lena roześmiała się, słysząc ten nawał pytań. Skupiona na formułowaniu odpowiedzi nie zwróciła uwagi na lekki szmer za drzwiami.

– Powoli, powoli – mruknęła. – Strażnicy w łagrze zapytali wszystkie kobiety, kto rządzi Rosją. Byłam wtedy na skraju wyczerpania. Chwiałam się na nogach i nie miałam siły stać. Chciałam, by mnie zabili, więc powiedziałam, że Dzierżyński.

Myślałam, że zabiją mnie od razu. Ale tak się nie stało. Następnego dnia przewieziono mnie do domku w lesie, gdzie zostałam umyta i odkarmiona. Zaraz potem trafiłam tutaj. W tym domu znalazłam list od Dzierżyńskiego. Pisał, że żyję, bo spodobało mu się to, co powiedziałam, i będzie o mnie dbał. Do dziś nie wiem, kto natchnął mnie wtedy tymi słowami. Ale nie żałuję.

Anna zamyśliła się głęboko. Na jej czole pojawiła się głęboka bruzda. Dzierżyński był zbrodniarzem, to prawda niezaprzeczalna, lecz nie zbrodniarzem tępym, który rozlewa krew bez namysłu. Zwyczajny socjopata nie zdobyłby się na taki gest. Czemu miał on służyć? Nie było to pierwsze pytanie, jakie zadawała sobie w związku z osobą Feliksa. Dlaczego jej nie torturował? Dlaczego ocalił jej matkę? Nie mogła znaleźć w tym sensu. W dodatku wydawało jej się, że za chwilę od nadmiaru myśli pęknie jej czaszka. Dlatego z ulgą zaczęła w skupieniu słuchać matki, która opowiadała jej o Saszkinie.

– Nie wiem nic pewnego o jego przeszłości – mówiła. – Ale musi pochodzić z któregoś z niższych stanów; miał straszne zapóźnienia w stosunku do reszty szkoły. Gdy go poznałam, miał wygląd półtrupia. Ale od początku była w nim jakaś siła wewnętrzna, która nie pozwalała mu ugiąć się pod ciężarem szyderstw i kpin innych uczniów. A ja cenię takich ludzi; twardych, którzy potrafią wziąć się z życiem za bary. Gdybyś mogła go widzieć, jak pilnie się uczył! Z jakim stoickim spokojem znosił połajanki nauczycieli.

W głosie Leny, gdy to mówiła, czuć było autentyczną dumę. Dumę nauczycielki, która widzi, że jej praca przynosi efekty. Czula się niczym ogrodnik, który starannie dba o kwiat, by ten rozkwitł i rozpoczął w pełni świadome życie. Takim kwiatem był dla niej Iwan Saszkin. Opiekowała się nim, choć robiła to bardzo dyskretnie, nie traktując inaczej niż innych. Podziwiała pracowitość i upór tego chłopca, który sprawiał, że mimo

przeciwności piął się on do góry. Pomagała mu w tym, jak tylko mogła, dostarczając podręczniki i ciesząc się jego sukcesami.

Anna wyczuwała to w głosie matki. Ten podziw. A znając ją dobrze, wiedziała, jak trudno było w niej go wzbudzić. Sama często nie dawała rady spełniać jej oczekiwań. Matka starała się ukrywać przed nią swoje rozczarowanie. Ona jednak znakomicie odczytywała z jej zachowania pochwałę lub nagane. Fakt, że Iwan zdołał matce zaimponować, sprawiał, że i w jej oczach urósł on znacznie. Jednak to nie jego osiągnięcia szkolne interesowały ją najbardziej.

– Mamo, w nim jest coś dziwnego – zaczęła, rumieniąc się przy tym, ale ciekawości pohamować nie umiała. – Nie wiem, co to jest. Nie mówi ani jak szlachcic, ani jak rosyjski wieśniak. Jego ubranie to zespół dziur zasklepionych łątami. A jednocześnie nosi porządny płaszcz wojskowy i także same buty. Skąd je ma?

Lena pokręciła głową. Jej córka dorosła. Przestała już zadawać dziecinne pytania, które niegdyś przyprawiły ją o zakłopotanie. Mamo, mamo, a czemu chmury płaczą? – rzucała dziewczynka, a ona kłopotowała się nad odpowiedzią. Dziś jednak bardzo wiele się zmieniło. W tych czasach niczemu nie należało się dziwić i zadawać żadnych pytań. Nadmiar wiedzy bowiem zabijał. Anna była zbyt krótko na terenie bolszewickiego państwa, by znać tę podstawową prawdę, którą przyswajał sobie każdy, kto zetknął się ze złowrogą logiką czerwonego terroru. Przypatrywała się córce i dostrzegła niecierpliwość w jej oczach.

Westchnęła więc tylko, pochyliła się jeszcze niżej i ściszyła głos.

– Są sprawy, do których lepiej się nie mieszać. W imię świętego spokoju. Rozumiesz...? Nic nie rozumiesz. Gdybyś rozumiała, nie siedziałybyśmy obie po uszy w bagnie. Szkoła, w której pracuję, jest elitarna. Nie ma w niej nikogo, kto nie miałby w aparacie bolszewickim świetnie usytuowanych krewnych. Tak, tak. Nie wytrzeszczaj oczu. Każdą zmianą ktoś kieruje i w ramach nagrody

bierze władzę dla siebie. Ale to my wykuwamy im kadry, bo motłoch może obalać władzę, a nie ją sprawować.

Anna zgrzytnęła zębami. Jeśli czegoś w swojej matce nie znosiła, to jej poglądów. Jej lojalność związana była od zawsze z arystokracją. I to nie tylko rosyjską. Więź łącząca ją ze sferą, z której się wywodziła, była ponadnarodowa. Matka miała kuzynów w Anglii i w Niemczech. Wielką Wojnę uważała za samobójstwo Europy. Ludem nie gardziła, ale odmawiała mu prawa do samostanowienia, gdyż obecny porządek usankcjonował sam Bóg.

– Musisz to robić? – odparła oburzona. – Musisz negocjować prawo tych ludzi do słusznego gniewu? To my wmanewrowaliśmy ich w tę wojnę. To naszemu przywództwu „zawdzięczają” spalone domy, wymordowane rodziny, przegrane bitwy. Chcesz uciec przed odpowiedzialnością. Otoczyć się murem zbudowanym na pogardzie i nieuzasadnionym poczuciu wyższości. Bolszewizm zrodził się z desperacji głodnych i wynędzniałych mas ludowych. Mas, o które sama się troszczyłaś. – Anna mówiła szybko, impulsywnie, a jej oczy jaśniały z podniecenia.

– Tak, tak. Arystokracja odpowiada za wszystko. To były decyzje carskiej rodziny. Nikt ich z naszą sferą nie konsultował. Nie raz przecież byłaś w gościnie u naszych kuzynów w Anglii i w Niemczech. Błyszczałaś na tamtejszych dworach. I teraz występujesz przeciwko własnej sferze? – Lena wyduła usta nieco pogardliwie. – Tej samej sferze, która dała ci wykształcenie i uprzywilejowaną w stosunku do mas pozycję? To Mikołaj sprowadził na świętą Ruś zagładę. Dlatego zasłużył na swój los. Bolszewicy nas tylko wyręczyli. Sami byśmy go zgładzili, jak nieraz już zresztą bywało. Opiekowałam się naszymi chłopami, tak jak rodzice opiekują się dziećmi. Ale dzieci nie podnoszą rąk na rodziców, nie próbują rządzić. A nawet jeśli, to nie zmieniają porządku ustalonego od wieków. Przekonasz się jeszcze, że

bolszewicy będą dla was jeszcze bardziej okrutni niż my. Na razie hamują swoje zapędy. Ale już wkrótce ci, którzy dziś nas mordują, zatęsknią za nami. A ty wychwalasz powódź, bo wszystkich umyje.

Anna poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła z wściekłości. Nie mogła znieść tego protekcjonalnego tonu. Kilka lat temu nie zwróciłaby na niego większej uwagi i zapewne przyjęła krytykę. Ale nie dziś. Dziś była dorosła. Zebrała wiele doświadczeń. Miała własne ambicje, cele i przemyślenia. Nikomu nie pozwoli ich tłamsić. Nawet własnej matce. Bo dokąd ich ta wyższość zawiodła? – myślała. Kryją się jak zwierzęta w kraju, którym niegdyś potrafili potrząsnąć jednym słowem. Dziś boją się sąsiadek, które mogą na nich donieść do Czeka. Oni jeszcze nie wiedzą, że ich świat umiera. Na tym właśnie polegała tragedia jej matki.

Nie potrafiła wyrzucić jej tego w twarz, odrzec jej ze złudzeń. Powiedzieć, że ona, dziedziczka i dama dworu cesarzowej, boi się dziś sąsiadki z naprzeciwka. Powściągnęła uśmiech i zaczęła ponownie wypytywać o Saszkina, nakierowując Lenę na przerwany wątek.

– Saszkin był człowiekiem znikąd. Nikt go nie znał. Nikt nie wiedział, kim byli jego rodzice. Od początku więc stał się dobrym obiektem kpin dla uczniów i wyżywania dla nauczycieli. Na niego można było warczeć bez obawy wyjazdu do łagru, który mogli bez problemu załatwić rodzice innych uczniów. Ale do czasu. – Zawiesiła głos.

– Mów prędzej, bo płonę z ciekawości.

Lena uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Uczyłam Saszkina, jak poprawnie mówić po rosyjsku; bez naleciałości ulicznych i gwarowych. Szkoliłam jego i innych we wszystkim, co mogłoby się przydać młodemu arystokracji.

– Po co?! – Zdumienie wyrwało się z piersi Anny.



Lena rozejrzała się dookoła z niepokojem. Spojrzała na okna, drzwi.

– Nie podnoś głosu – upomniała córkę z gniewnym błyskiem w oku. – Tu słowo może zapewnić bolesną śmierć. Kiedy ich uczyłam, rzuciło mi się w oczy, że niektórzy moi uczniowie znikają co pewien czas na kilka tygodni. Dyrekcja przymykała na to oczy, gdy chodziło o uczniów, których rodziny były odpowiednio ustosunkowane wśród elit nowej władzy. Saszkina to jednak nie dotyczyło. Na nim dyrektor miał szansę pokazać, jaki jest ważny. Postanowił wyrzucić Iwana ze szkoły. Próbowałam mu pomóc, ale moje słowo nic nie znaczyło. Sama przecież ledwie trzymałam się na powierzchni. Moje słowo wyszło mu nawet na niekorzyść, gdyż wywodziłam się z kół arystokratycznych. Gdy wydawało się, że sprawa jest zupełnie przegrana i Saszkina relegują ze szkoły, nagle na radę wszedł człowiek i przekazał dyrektorowi list. Gdybyś widziała jego twarz, gdy go czytał. Sprawę natychmiast zdjęto z programu obrad, a dyrektor wyszedł z sali jak bomba.

– Czyli jednak ktoś za nim stoi – zauważyła Anna.

W oczach Leny zagościł niepokój. Jej córka zachowywała się bardzo nierozsądnie. Jak ćma, która – nie wiedzieć czemu – lgnie do światła. A przecież grozi jej przy nim śmierć. Ona także wyczuwała, że wokół jej ucznia i szkoły gromadzą się ciemne chmury. Ale nie zamierzała drążyć tematu. Miała dość własnych problemów, musiała skupić się na przetrwaniu. Wolała więc, by bolszewicy zapomnieli, że w ogóle żyje na świecie. Miała jednak pewność, że tak się nie stanie. Dostatecznie bowiem długo przebywała między bolszewikami, by pojąć, że czerwoni zapominają o przyjaciółach, ale o wrogach nigdy. Ona żyła na kredyt i miała pełną świadomość, że pewnego dnia każą jej go spłacić i to z procentami. Chwila, gdy przestanie być im potrzebna, po prostu musiała nadejść. Przyjazd Anny tylko przyspieszył nieuniknione.

– To jest jego sprawa. My mamy własne problemy – zaczęła przekonywać córkę. – Jesteśmy wrogami ludu! Ty i ja. Każdy może nas zabić. Żyję, bo jestem im z jakichś powodów potrzebna, ale to piętno nie zniknie. Wcześniej nie widziałam potrzeby, aby planować ucieczkę. Nie chciałam ryzykować. Teraz muszę. Dla ciebie. Uciekamy do Paryża.

Iwan słuchał tej rozmowy w ogromnym napięciu, z uchem przytulonym do drzwi. Starał się zapanować nad palącym bólem głowy i gorączką, która sprawiała, że przed oczami jawił mu się mrok. Miał wrażenie, jakby całe ciało płonęło żywym ogniem. Chłodzące okłady niewiele pomagały, a gwałtowne bóle mięśniowe prawie odbierały mu przytomność. Nogi uginały się pod nim, a oczy stawały się mętne. A jednak nie tracił przytomności. Walczył o to z desperacją. Przyłgął do chroniącej drzwi polityry.

Poczuł cudowne zimno na rozpalonym policzku. Na twarzy odbił mu się wyraz błęgiego zadowolenia. Jednak w miarę jak słuchał rozmowy matki z córką, zastępował go niepokój. Rozmowa docierała do niego w postaci urywanych wyrazów. Obie kobiety szeptały tak cicho, że zaledwie można je było dosłyszeć. On jednak wolałby, by mówiły jeszcze ciszej, by nie słyszał ich głosów, by się nie zaciekawiał. Wnioski, które pozwalała wysnuć ta rozmowa, przerażały go. Szok sprawił, że omal się nie zdradził. Ten szmer mógł go zgubić! Anna była emisariuszką Denikina. Dlaczego więc jej nie przesłuchano? Nie wyduszono wszystkiego, co wie? Przecież oni potrafili to robić. Sam widział, jak pracują przesłuchujący.

Może nasi nie wiedzieli, kogo mają? A jeśli wiedzieli? Myśl ta go przerażała. Instynkt, który wyrobiła w nim ulica, podpowiadał mu, że gdzieś czai się zagrożenie. Nie znał jego natury i to sprawiło, że zaczynał się bać. Przed nieznanym zagrożeniem nie można się bronić.

Cofnął się od drzwi. Przemieszczał się z trudem, z wysuniętymi rękoma. Nie był w stanie unieść nóg, więc tylko nimi posuwał. Nagle zachwiał się i gdyby nie zaparł się o kant łóżka, byłby upadł. Zwalił się na nie całym ciężarem i klęknął. Spojrzał na wiszący na ścianie obraz. Odruchowo złożył ręce jak do modlitwy.

– Mamo, przyjdź do mnie – szeptał spierzchłymi wargami. – Co mam robić? Jeśli nie doniosę, a oni mają wiedzę, to wydam wyrok na Tanię. A jeśli doniosę... – wzdrygnął się – udowodnię swoją lojalność. Będę mógł awansować i dostanę środki, by zapewnić siostrze wszystko to, czego sam nie mógłbym jej dać. Pomóż mi. Dziś trzeba ratować tylko siebie, tylko...

Iwan zemdłał. Obraz wisiał spokojnie na ścianie; cichy i milczący. Saszkini nie wiedział, że rozmowy słuchał ktoś jeszcze. Jego opiekun, tworzący właśnie raport, który trafi na biurko Dzierżyńskiego. Wybór był już nieunikniony.

---

2 Urkowie – więźniowie kryminalni.

## Rozdział IX

Rozmowy wersalskie zbliżały się do definitywnego zakończenia. Nikt chyba nie cieszył się z tego bardziej niż przedstawiciele wielkich mocarstw, które zostały wręcz przytłoczone mnogością nowych państweczek, zewsząd zabiegających o ich uwagę. Zignorować tych próśb nie było można, bo wszyscy pragnęli zachować pozory samostanowienia narodów i ich równości. Skutkowało to obstrukcją prac. Wielka rada dziesięciu okazała się bowiem ciałem zbyt rozlazłym, co niemal zawsze uniemożliwiało zajęcie wspólnego stanowiska w jakiegokolwiek sprawie. Ponadto tematy, którymi zajmowała się rada, często były zupełnie nieznanne europejskim dyplomatom, którzy sprawom małych państweczek nie zwykli poświęcać zbyt wiele uwagi. Łatwo więc zrozumieć ulgę, jaką powszechnie odczuli przemęczeni dyplomaci, gdy uzgodniono stanowiska w najbardziej spornych i palących kwestiach.

Jedną z takich kwestii była sprawa polska. To polscy delegaci wyczekiwali we francuskich, brytyjskich i amerykańskich przedpokojach. Byli wszędzie tam, gdzie rozstrzygały się sprawy ich ojczyzny. To oni, pod przewodnictwem Paderewskiego i Dmowskiego, zasypywali premierów rządów alianckich masą dokumentów, które miały niezbicie potwierdzać polskie prawa do żądanych terenów. Wszyscy oni działali zuchwale, lecz nie lekkomyślnie. Żądali, lecz swoje żądania opierali na twardych przesłankach. I oto dziś, po wielu miesiącach ciężkiej i zmudnej

pracy, która owocowała zarówno sukcesami, jak i porażkami, dopływali do brzegu.

O tym właśnie myślał Paderewski, siedząc przy suto zastawionym stole w ogromnej sali, gdzie polska delegacja organizowała przyjęcie dla wszystkich zagranicznych dyplomatów. Jego oczy z obojętnością ślizgały się po srebrnej zastawie. Myśłami był bowiem daleko, przy zupełnie innych sprawach i miejscach. Konferencja pokojowa zbliżała się już do przeszłości, a jego uczono, że myśleć trzeba tylko o przyszłości. Dlatego właśnie teraz, gdy inni się bawili, on myślał o plebiscytach na Warmii, Mazurach, o możliwej walce na Śląsku. Zastanawiał się, czy wynik konferencji to sukces czy porażka. Przybył tu z ogromnymi nadziejami na nowy, sprawiedliwy świat, a tymczasem zobaczył bandę cynicznych graczy, dla których jedynym czynnikiem rozstrzygającym była siła. Oni zaś jej nie mieli. Nie mieli ani złota, ani armii dość licznej, by rzucić ją na szalę w kluczowych momentach. Czy w tych warunkach mogli osiągnąć to, z czym ich tu przysłano? Czy osiągnęli dość? Nie wiedział.

Natomiast jednego był pewien: traktat będzie przyjęty w kraju z oporami i mieszanymi uczuciami. Lecz które z nich ostatecznie przeważą w sercach ludzkich? W jakim kierunku pójdą słowa, myśli i czyny posłów? Czy stanowisko, które zamierzał przedstawić z mównicy i które od niejakiego czasu starannie przygotowywał, zostanie przyjęte? Czy też górę weźmie kilku lub kilkudziesięciu krzykaczy, którzy zapewne nazwą go nieudolnym rzecznikiem sprawy narodowej, odsądzą od czci i wiary i odrzucą to, co delegacja zdołała wynegocjować? Ha, trudno. Niech więc wówczas sami piją piwo, którego nawarzą. Ja sumienie mam czyste. Z ochotą przyjmę te kamienie, które miotać będą ludzie niemający pojęcia o międzynarodowych uwarunkowaniach. Jeśli zechcą, usunę się do swojego fortepianu i z dala będę przypatrywał się rozwojowi wypadków.

Ta myśl sprawiła, że w duszy odetchnął swobodniej. Ludziom pokazywał wesołą twarz. Roztaczał swój czar, wdzięk i elegancję, którym nawet wytworni dyplomaci oprzeć się nie potrafili. Obaj z Dmowskim rozumieli, że to była jego właściwa rola. Przygotowywanie gruntu pod rozmowy, nawiązywanie stosunków, co przychodziło mu łatwo, gdyż otaczała go sława wielkiego pianisty. Kiedy sam musiał prowadzić rozmowy, to zawsze dbał o to, aby przedtem omówić ich przedmiot z Dmowskim, u którego chętnie zasięgał rady. Tamten zaś radził się go, gdy chodziło o dotarcie do konkretnych ludzi. Pytał, jak rozmawiać z tym albo z tamtym.

Paderewski uśmiechnął się dumnie, nie przestając słuchać krygowania się żony francuskiego ambasadora, która siedziała po jego prawej ręce. Dmowski nie radził sobie z ludźmi. Nie potrafił być jowialny i wylewny. Nie był człowiekiem, który mógłby wzbudzić w kimkolwiek zaufanie. To był typowy polityk gabinetowy. Mistrz układów, zakulisowych intryg i oszustw. Ignacy Jan uwielbiał obserwować go przy pracy. Jak panował nad każdym gestem i słowem. Ten czas negocjacji to był jego czas i jego miejsce. Paderewski wiedział to i nie myślał się nasadzać.

– Polska musi być cudownym krajem. Mój mąż skarży się często, że nikt nie przysparza naszej polityce tylu problemów co wy, Polacy. Czyż nie sądzi pan, że wasze żądania są zdecydowanie zbyt daleko idące?

Paderewski spostrzegł nieznaczące mrugnięcie okiem Dmowskiego, który widocznie wyczuł sposobną chwilę do tego, by mógł zabrać głos. Zwrócił się jednak bezpośrednio do ambasadora:

– Nasze żądania są słuszne. Zresztą nie tylko nasze. Do Wersalu przyjeżdżają przedstawiciele ziem spornych. Mówią nam: jesteście Polakami, chcemy do Polski. Francja nie może od nas oczekiwać, że nie będziemy reprezentować woli tych ludzi. Gdy pytacie, gdzie są granice Polski, na nich wam wskazuję. Na ogromne

demonstracje w Katowicach, Gdańsku i na wszystkich terenach spornych. Niemcy mówią, że nie ma tam Polski. A oni jej nie widzą? Nie słyszą? Nie walczą z nią? To lud tych ziem mówi. Gdzie jest Polska? Polska jest u nas.

– Te sprawy zostały już rozstrzygnięte – odparł ambasador słodkim tonem, jednocześnie patrząc na żonę z gniewem. – Nie możecie oznaczyć na mapie połowy świata i żądać od nas, byśmy ją wam przyznali. Dostaniecie ziemie bezspornie polskie. Tym powinniście się kontentować i nie mącić więcej. – Francuz uśmiechnął się złośliwie i kontynuował: – Pan, panie Dmowski, jest antysemitą. Na terenie Polski dochodzi do pogromów ludności żydowskiej. Vide: sprawa z Białegostoku. Nie jesteście państwem, które można by nazwać prawnym. Nikt nie wie, jaka jest wasza polityka, bo na zachodzie kreuje ją Paderewski i pan. Na wschodzie zaś wasz naczelnik robi, co chce. Kto odpowiada za Polskę? Dlaczego Polacy fatalnie traktują Żydów?

– Fatalnie? – Dmowski udał zdziwienie. – Gdzież jest najwięcej Żydów? We Francji czy u nas? Czyż człowiek mądry mieszkałby tam, gdzie by go źle traktowano? O Żydach zaś można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są głupi. A ja – przerwał, by zwilżyć wargi – bardzo cenię Żydów. Bardzo bym chciał, by Polacy mieli taką cierpliwość do prac handlowych i żyłkę do interesu. Ale nikt, kto mieszka na polskiej ziemi, nie może kwestionować prawa do istnienia Polski. Nikt nie może negować naszego państwa. Cóż by pan uczynił, gdyby przez Paryż szli ludzie i krzyczeli: „Precz z Francją!”? A tak właśnie zachowywali się Żydzi. Trudno, by miłujący ojczyznę człowiek słuchał tego ze spokojem. Co by pan uczynił? Czy zaakceptowałby pan coś takiego na własnej ziemi?

Dmowski obrócił się nieznacznie w stronę Francuza, tak by mieć jego twarz w polu widzenia. Bez trudu dostrzegł przebiegający po niej cień. Przez jedno mgnienie oka zaczynał żałować śmiałych słów. Bał się, że przeliczył. Miał jednak

świadomość, że nie przystąpić do gry, to przegrać. Musiał rozbroić kartę antysemityzmu, nim przejdzie do spraw właściwych. Wpatrywał się we Francuza, jakby mu chciał do dna duszy zajrzeć.

Francuzowi źle było pod tym spojrzeniem. Sam był wytrawnym dyplomatą i nie byle kto mógł zapędzić go w kozi róg. Ale ten Polak był i orłem, i wężem. Wszystko, co robił, robił doskonale. Do dziś był pełen skrytego podziwu dla jego przemówienia przed Radą Dziesięciu, kiedy to zapoznawał zgromadzonych z ogólną sytuacją Polski. Mowa ta wywołała spontaniczne oklaski. On sam klaskał długo i zapamiętał.

Ograł mnie – pomyślał.

Poczuł na swojej twarzy setki oczu. Nie mógł się wycofać. Musiał zachować twarz Francji.

– Tak samo. Zachowałbym się tak samo – odparł zdecydowanie. – Niemniej jednak wasza ofensywa na Wilno wzbudziła tutaj spore kontrowersje i protesty amerykańskie.

– Wzbudziła także ogromną radość w samym Wilnie. – Dmowski nie pozostał mu dłużny. – Temu nie przeczą nawet obecni tu przedstawiciele państwa litewskiego. Co tyczy się zaś zarzutu o nieład i spory wewnątrz, które mają miejsce w naszym kraju, to pragnąłbym zauważyć, że są to nasze sprawy. Czyż nie widzi pan, że naszym jedynym celem jest zjednoczenie wszystkich polskich ziem? A jakież kryteria o tym decydują? Tam, gdzie są ludzie, którzy przyznają się do polskości, tam jest Polska.

Paderewski, który uważnie obserwował Dmowskiego, nie roniąc ani słówka z toczącej się przy stole rozmowy, dostrzegł, że dysputa przybiera niepożądany kierunek. Polska polityka wschodnia budziła w Paryżu wiele kontrowersji. Doskonale pamiętał, ile trudu kosztowało go łagodzenie skutków burzy, jaka się rozpętała, gdy świat obiegiła wieść o przejściu przez Polskę kontroli nad Wilnem. Wtedy właśnie zaczęły się dla niego nieprzespane noce, podczas których redagował wazeliniarsko



uprzejme odpowiedzi na noty protestacyjne przedkładane mu przez amerykański i francuski rząd. Płaszczyl się przed nimi, ale cel osiągnął... Nie mógł dopuścić, by sprawa wróciła.

– Panowie – zaczął spokojnie Ignacy. – Spędziliśmy tu kilka bardzo długich miesięcy. Był to trudny czas, gdy wszyscy graliśmy sobie na nerwach. Ufamy głęboko, że czas tu spędzony zapewni naszemu kontynentowi długie lata pokoju. Zasługa ta spadnie na największych, ale i na małych, bo potrafilismy dążyć do kompromisu. Obecnie z warunkami traktatu zapoznaje się strona niemiecka i jeśli wszystko pójdzie dobrze, to do jutra podpiszemy traktat. – Rozłożył ręce. – Panowie, to, że nikt nie wyjeżdża stąd zadowolony, jest zaletą tego paktu, nie zaś wadą. Czy słyszeliście o takim kompromisie, z którego wszyscy byliby zadowoleni? Zmieniście pierwotne ustalenia traktatu na naszą niekorzyść. Dobrze. Ale potwierdziliście rzecz dla nas Polaków najważniejszą: samo istnienie naszego państwa, które odtąd przez nikogo już negowane nie będzie. A teraz bawcie się na nasz koszt.

Roześmiał się i nieznacznie mrugnął na Dmowskiego. Ten najwidoczniej zrozumiał gest, bo zaczął zbierać się do wyjścia. Ignacy nie potrafił zrozumieć, jakim cudem udało mu się tak dobrze zgrać z człowiekiem, od którego był tak skrajnie różny. Zawsze wydawało mu się, że nic go z nim nie łączy. Sam był bowiem typem wrażliwego artysty, który serce miał na dłoni. Dmowski zaś był typem cwanego cynicznego gracza, który nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć zamierzony cel. Ludzi traktował instrumentalnie i zawsze zastanawiał się, co z kogo może mieć. Przyjrzał mu się spod przymkniętych lekko powiek.

Czy i mnie on tak postrzega? – pomyślał. No nie mogę rzec, użyteczny jestem. Otwieram mu wszystkie drzwi i zaznajamiam, z kim trzeba. Wszyscy go tu szanują i liczą się z nim, a mnie traktują jako wybitnego artystę, któremu trzeba rękę ucisnąć, by potem chwalić się dzieciom i wnukom. Ciekawe, co by o mnie

powiedzieli, gdyby wiedzieli, że dla mnie ich hołdy nic nie znaczą. Ja mogę grać dla drzew, nieba i wody, bo dla mnie liczy się tylko muzyka. Nie interesuje mnie, czy gram w Metropolitan Opera, przed wielkimi tego świata, którzy na moim koncercie chcą się jedynie pokazać, czy przed maluczkimi, którzy przeżywają i chłoną moją muzykę całym sobą. Gdy gram, nie istnieje dla mnie nic i nikt. A że dzięki tej iskierce Bożej mogę przydać się mojemu narodowi, to cóż stąd?

Tak rozmyślając, obserwował Dmowskiego, który szedł ku niemu. Nie chwiał się, bo z lekka się tylko zakropił, ale twarz pokrywała mu się lekkim rumieńcem, a oczy błyszcząły intensywnym blaskiem. Krok miał jednak po dawnemu sprężysty i w kilku ruchach znalazł się przy nim. Pozostało im już tylko pożegnać się ze wszystkimi, co też uczynili, i po chwili znaleźli się w dość wąskim korytarzu, gdzie ledwie mogli iść obok siebie. Paderewski przyglądał się niewartemu uwagi wystrojowi korytarza i mruknął:

– Uff, jutro nareszcie opuścimy to miejsce. Spędziłem tu mnóstwo czasu, ale nie wydaje mi się, żebym zostawił tu część siebie.

– W twoim głosie słyszeć taką ulgę, jakby najtrudniejsza część naszej pracy była już za nami wszystkimi. A tu przecież nie szło o granice.

Paderewski aż przystanął, gdyż zdumienie odebrało mu na chwilę mowę.

– Nie szło o granice? Więc o co? Po co były te fortele, wybiegi, potrzaski? Po co z ogromnym trudem podsycaliśmy demonstracje propolskie na terenach spornych, jeśli nie o to chodziło?

Dmowski zatrzymał się również. Zdawał się nad czymś namyślać, coś głęboko rozważać. Jakaś myśl, która tkwiła w nim, właśnie się materializowała. Zdawał się jednak nie być do końca pewnym, czy warto ją kończyć. Ale gdy spojrzął w twarz

Paderewskiego i dostrzegł rysujący się na niej gniew i oburzenie, zrozumiał, że musi wszystko wyjaśnić.

– Widzisz – zaczął łagodnie – człowiek może mieszkać wszędzie. Takim już jesteśmy gatunkiem, że możemy dostosować się do każdych warunków. Możemy także przebywać samotnie. Byle było gdzie spać i poletko założyć, to więcej człowiekowi do szczęścia nie potrzeba. Spójrz jednak na wieś. Tam siedzą ludzie, którzy bardzo często wadzą się między sobą. O łąki, pastwiska, pola. Jeden drugiego za zaoraną skibkę w łyżce wody by utopił. A jednak żyją razem, bo to korzystne. Choćby nie znosił sąsiada, to przecież pobiegnę gasić, gdy mu się chałupa zajmie ogniem, bo jeszcze na moją iskra padnie.

Paderewski uśmiechnął się i słuchał Dmowskiego z coraz żywszym zaciekawieniem.

– My to właśnie musimy zrobić. Zbudować prawdziwy, świadomy naród. Nie oddzielne żywioły, które nie potrafią się zgrać. Szlachta sobie, mieszczenie sobie, a chłopci sobie. Tylko dobrze zorganizowany naród jest potęgą, której nic nie zdoła się oprzeć. Szlachta musi popierać poprawę bytu i kształcenia chłopów. Musi widzieć w tym swój zysk, nie stratę. Rozumiesz? A chłopci muszą współpracować z mieszczanami i wspólnie z nimi obrastać w bogactwa. Tylko tak wygramy ekonomiczną konkurencję z Żydami. Wyprzemy ich z małego i wielkiego handlu. Nie ludzę się, byśmy byli tego bliscy, bo dla kilku pokoleń to praca, ale podjąć ją będziemy zmuszeni, bo innej drogi nie ma. Albo Polska będzie wielką siłą swoich obywateli, albo nie będzie jej wcale. Bo dla słabych nie ma tu miejsca.

– Zejdź na ziemię! Po co dziedzice mieliby uświadamiać chłopów? Jeszcze by zaczęli buntować się przeciwko pańszczyźnie i wyzyskowi. Jeszcze by zaczęło im przeszkadzać, że w czworakach są brud i wszy. No i niełatwo by było podkasać wykształconym chłopkom spódnice. – Paderewski zaśmiał się. – Mógłbym ci kadzić,

ale nie chcę. Bo nie tego należy słuchać, kto pięknie mówi, tylko tego, kto wie, co robi. Ty chcesz zatrzeć narosłe przez stulecia różnice stanowe i majątkowe. Różnice wynikające z dojrzewania w innych systemach politycznych i społecznych. Wielkopolanie pytają się tych z Kongresówki, czy już chodzą na dwóch nogach, czy jeszcze na czterech. A ty chciałbyś, by oni nauczyli się dążyć wspólnie do jednego celu. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie masz racji, Ignacy. Gdyby cztery lata temu ktokolwiek powiedział ci, że będziesz miał zaszczyt reprezentować Polskę na konferencji pokojowej, nie uwierzyłbyś. Tak samo jak nie wierzysz mi teraz. Ja wiem, że jest Polska pruska, ruska i austriacka. Wiem, że Polak do Polaka mówi „u nas, u was”, ale to się zmieni. Mnie z Piłsudskim dzieli wszystko prócz jednego. Obaj chcemy Polski. Zapagniemy jej wszyscy. Weźmy się za to wszyscy, a ona będzie. Będzie jedna. A synowie, wnuki spojrzą na nas z podziwem. Jak na ludzi, którzy dokonali niemożliwego.

Paderewski drobił kroki. Nie chciał bowiem zbyt szybko dojść do kwatery. Słuchając Dmowskiego, powoli i systematycznie spuszczał głowę. Gniotła go własna niepewność, ciężar odpowiedzialności, jaką w poczuciu obowiązku za dalsze losy ojczyzny wziął na swoje barki. Teraz zaś, gdy dzieło zdawało się być ukończone, na nowo dopadły go czarne kruki zwątpienia i zniechęcenia. Czy Dmowski go zrozumie? Czy ten szczwany polityczny lis nie wyśmieje dręczących go obaw? O sejm, o ratyfikację traktatu. Prawda, mieli argumenty na swoją obronę, bo mimo niesprzyjających okoliczności wiele spraw udało się zwieńczyć powodzeniem.

Westchnął jak miech, aż zwróciło to uwagę Dmowskiego.

– Myślisz o traktacie?

Ignacy skinął głową.

– To mów – zachęcił Dmowski. – Zawsze dobrze jest się wygadać. Kobiety to rozumieją, dlatego żyją dłużej od nas.

– O nim właśnie myślę – przyznał Paderewski, uśmiechając się przy tym kwaśno. – Pięknie mówiłeś o tych dzieciach i wnukach. A ja właśnie myślę o tym, jak one ocenią naszą pracę tutaj. Czy ten traktat to nasz sukces czy porażka?

Dmowski dłużej się namyślał, jednocześnie stawiając kolejne kroki, nim zdobył się na odpowiedź.

– Nie jest to na pewno pokój przez duże P. Traktat pozostawił w zawieszeniu wiele spraw. Nierozstrzygnięta jest kwestia istnienia Rosji, Ukrainy i Białorusi. Na wschodzie wytyczono nam wielce niespokojną granicę, której latami trzeba będzie strzec. – Przeglądał grzywkę, bo to pomagało mu zebrać myśli. – Co do zachodu zaś: tu sytuacja wygląda niewiele lepiej. Niemcy za pomocą zakulisowych nacisków i intryg stąpili ostrze gniewu sprzymierzonych. Już teraz wycofano się z wielu wcześniejszych zapisów, które były dla nas korzystne. Osobiście nie wierzę w to, by plebiscyty na Śląsku mogły jedynie opóźnić przyłączenie tych terenów do Polski. Anglicy nas tym mamią, by osłodzić nam własne wiarołomstwo. Nie wygramy plebiscytu przy tej przewadze ekonomicznej, jaką Niemcy zbudowały na Śląsku. Słuszność racji zawsze przegra z pieniądzem. No i Niemcy wiedzą, o jaką stawkę toczy się ta gra. Dlatego niczego nie zaniedbają, by zwyciężyć. O to pretensji mieć zresztą nie można. – Uśmiechnął się i zatarł ręce.

Uwielbiał tę grę. Kochał politykę każdą cząstką swojej duszy. Pasjonowała go potyczka z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem. Myśl, że maleńka Polska potrafi dzięki niemu stać się punktem odniesienia dla największych mocarstw tych czasów, napawała go uzasadnioną dumą. Bo wszyscy chcą tu ją widzieć jako żebraczkę. A on ją przystroił najpiękniej, jak potrafił. Z natury skąpy i do rozrzutności niezdolny, tu sypał groszem na lewo i prawo. Wydawał bale, przyjęcia okolicznościowe. Wszystko po to, by podnieść rangę delegacji. Bez skrępowania korzystał z zasobów Paderewskiego, wspomagając nimi publiczną szkatułę. I teraz

właśnie myślał nad tym, jak wlać w serce tego niedoświadczonego sternika nawy państwowej trochę otuchy.

Zabrał się za to, gdy obaj stanęli wreszcie pod drzwiami kwatery Paderewskiego.

– Sejm ratyfikuje traktat. Za to ręczę. Nie obędzie się to zresztą bez sprzeciwów, bo gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania. Wszystkim on nie dogodzi. Zresztą traktat nie unormuje sytuacji w Europie. Górny Śląsk niedługo zapłonie. Polityka wschodnia pochłonie umysły. Piłsudski jeszcze ode mnie o tamtej sprawie usłyszy. Zaczął wojnę, gdy nam tu siły potrzebne.

– Zdobycie Wilna to sukces niezaprzeczalny, podobnie jak stworzenie Ligi Narodów.

– Tak, sukces – odparł drwiąco Dmowski. – Piłsudski nadepnął psu na ogon, ale nie wybił mu zębów. A Liga? My Polacy mamy dziwną tendencję do tego, by wierzyć, że jakaś wielka międzynarodowa organizacja zdejmie z nas odpowiedzialność za państwo i rozwiąże wszystkie jego problemy. Nie rozwiąże, bo zasiadające w niej państwa mają sprzeczne interesy. Dużi nie mają tych samych interesów co mali, ale to oni zawsze narzucają małym swą wolę. Liga nie ma poza tym żadnej mocy sprawczej. Nie dano jej wojsk, których mogłaby użyć. Jakąż to karą jest wykluczenie? A noty protestacyjne to jeden śmiech.

Tu sam się roześmiał i patrząc na Paderewskiego lekko przekrwionymi oczami, dorzucił wesoło:

– Wprosiłbym się do ciebie na kusztyczek do poduszki, ale późno już i jutro czeka nas wielki dzień.

• • •

Owym wielkim dniem był dwudziesty ósmy czerwca. Cały Paryż od samego rana pełen był niezdrowego podniecenia. Dzień ów miał być przecież ogromnym triumfem Francji, więc musiał mieć

odpowiednią oprawę. Miasto sposobilo się na triumf, nie szczedząc kosztów i starań. Przystrajano domy i balkony. W oknach pojawialy się portrety wodzów francuskich, sllynych z ostatniej wojny. Służby miejskie upiększały miasto, uprzatając zaułki, skwery i place. Przepędzano żebraków, którzy musieli umykać ze swych miejsc pod kościołami. W kościołach biły dzwony i odprawiano nabożeństwa dziękczynne za pokój światowy. Świątynie napełniały się wówczas ludem paryskim, który, co łatwo odgadnąć, o pracy nie myślał. Dziś było wolne. Zapełniał więc place, skwery i parki uliczne.

Odgłosów miasta nie mącił tego dnia świst i huk pracujących fabryk, których dźwięk napełniał zwykle dzielnice robotnicze. Ich mieszkańcy nie ciągnęli długimi sznurami w stronę swoich zakładów pracy. I oni to chyba najbardziej zasługiwali na spoczynek od katorżniczej pracy. Ich niewiele obchodziła polityka, traktaty, sojusze i polityczne kalkulacje. Echa wielkich wojen docierały tu w postaci: trumien z poległymi, rannych i kalek. To była cena pokoju. Dni wolne masy robotnicze spędzały w domach z rodziną, odzyskując siły, które były konieczne, by mogli oni dalej wieść takie życie. Zgoła inaczej na uroczystość patrzyli ludzie średnio i bardzo zamożni. Dla nich także był to odpoczynek od pracy, ale i czas rozrywki. Oni to właśnie zapełniali ulice, komentując bieżące wydarzenia, które szeroko opisywała prasa. Bo choć niejeden na polityce się nie znał, to przecież rad był wiedzieć, komentować i słuchać.

Taki to właśnie tłum gapiów zapełniał niemal całą drogę z Paryża do siedziby królów francuskich w Wersalu. Nikomu spośród obozujących wzdłuż drogi tłumów nie było tajne, czemu podpisanie traktatu ma się odbyć właśnie tam. Ten tłum albo pamiętał, albo wiedział z opowiadań, jak przed laty Niemcy w tych samych murach powoływały cesarstwo. Dziś ci ludzie, którzy zajmowali pobocza, rozkładali koce, wspominali tamtą chwilę.

Przyglądali się sznurowi aut, próbując odgadnąć, kto w nich jedzie. Wiwatowano na cześć przejeżdżających polityków. Przy czym największy entuzjazm wzbudzali oczywiście przedstawiciele Francji. To dla nich zgromadził się ten różnoraki tłum, który wznosił okrzyki, wyrzucał w górę czapki, a nawet strzelał.

Wszystko było z dawna rozplanowane, przygotowane i przewidziane. Setki dyplomatów dniami i tygodniami spierało się o każdy szczegół. Z góry wiadomo było, gdzie kto będzie stał i w jakiej kolejności będzie podpisywał traktat. Tak samo zadbano o kolejność, w jakiej jechały auta poszczególnych delegacji. I tak – przodem jechał premier francuski i ci, którzy wraz z nim grzali się w chwale francuskiego oręża. Clemenceau leniwie machał nieprzebranym tłumom i rozdawał uśmiechy. Na twarzy tego przytłoczonego ciężarem przebytych lat polityka znać było ogromne zmęczenie, ale i radość. Oto dziś bowiem triumfował. Dziś zmywał hańbę wojny francusko-pruskiej, która przed blisko pięćdziesięciu laty upokorzyła jego ojczyznę. Co chwila sięgał do ogromnych siwych wąsów i spoglądał na rozradowane tłumy swych wyborców. Myśli jego uciekały już ku problemom wewnętrznym i przyszłej kadencji.

Tuż za nim sunęli pozostali przedstawiciele wielkiej czwórki, a do nich przyczepiła się cała masa państwów, które miały potwierdzić to, co wielcy uchwalili. Traktowano tu tych nieproszonych i niechętnie widzianych gości jak przekupki na targu. Ich prośby i propozycje ignorowano tak właśnie, jak zwykle ignoruje się nachalne nawoływania owych straganiarek. Ale wypędzić ich nie było sposobu. Musieli złożyć swoje podpisy. Między ową rasową i kulturową mieszaniną byli i polscy delegaci. Ich samochody sunęły niemal na końcu kolumny.

Lecz Polacy nie brali tego do siebie. Dość w końcu nadręczyli Francuzów i ci zapewne nie mieli najmniejszej ochoty, by ich w czymkolwiek wyróżniać. Polskim delegatom starczało, że swoją



pracą dali swemu krajowi miejsce na mapie i pełne międzynarodowe uznanie. To właśnie napełniało ich serca radością. Od grających pierwsze skrzypce oficjalnych członków delegacji, poprzez zaplecze ekspertów, aż po szeregowych pracowników. Owemu uczuciu wszechogarniającej radości nie umiał się oprzeć nawet Dmowski, na którego wargach, gdy przyglądał się widocznym za oknem tłumom, błąkał się delikatny uśmiezek.

Usiłował wydobyć z tego pulsującego życiem i falującego jak wezbrane morze kłębowiska ludzkiego pojedyncze twarze. Patrząc na nich, wspominał czasy, gdy sam był ziarenkiem piasku w podobnym tłumie. Tylko nie w Paryżu, a na rodzinnym Targówku. Gdy uświadamiał sobie, jak długą drogę zdołał przebyć od tamtego czasu, to czuł, jak w jego piersi wzbiera duma. Dziś od tych tłumów oddzielał go nie tylko gigantyczny kordon policyjny, ale i przepaść intelektualna. Intelkt był jego bronią, odkąd pamiętał. Sam tę broń wyostrzył. Ukończył przecież tylko biologię na Uniwersytecie Warszawskim. Angielskiego, francuskiego i niemieckiego uczył się nocami – z książek, których zdobycie kosztowało go zawsze niemało wysiłku.

No, opłaciło się – myślał. Ładnie bym tu wyglądał bez kilku języków w ustach. Najpierw przyjmowali mnie tu jak suplikanta, który może liczyć tylko na łaskawość wielkich tego świata. Całymi godzinami wystawałem we francuskich i brytyjskich gabinetach, uzbrojony w memoranda, dokumenty i statystyki. Patrzyłem, jak z wolna przebijam się z naszą sprawą. A dziś ją wieńczę. Ja kreowałem politykę Zachodu w Europie Środkowej, bo oni się na tamtych sprawach nic a nic nie rozumieją. Nawet politycy, a cóż dopiero mówić o tym tłumie.

– O czym myślisz? – zapytał rozradowany Paderewski, którego twarz gorzała jak słońce. – Ależ ci ludzie się radują. Wreszcie zrobimy koniec z wojnami w Europie. Pokój będzie. Czuję się tak,

jakby stukilowy głaz spadł mi z piersi. Nawet Niemcy podpiszą traktat bez oporu. A my wrócimy do domu, by budować kraj od podstaw.

– Nie myśl jak dziecko. Nastroje tłumu są zmienne. Francuzi jeszcze nie wiedzą, ile kosztowało ich to zwycięstwo. Są zadłużeni po uszy. Wkrótce rząd będzie musiał stawić czoło ekonomicznym skutkom wojny i oby sobie poradził. Bo inaczej ci, co dziś krzyczą z radości, jutro będą wznosić okrzyki pełne gniewu. Jedne od drugich zbyttno się nie różnią. – Spojrzał na Paderewskiego z błyskiem w oku. – A dla nas prawdziwa praca dopiero się zacznie. Doczekaliśmy się! Mamy niepodległą! – Chwycił Ignacego za rękę i potrząsnął nimi. – Myślałem o moich szczeniackich latach na Targówku. Nie ma tam wody ani toalet, o gazie nie wspomnę. Tak słabe jeszcze to nasze państwo, ale będziemy dla niego pracować i pięknym uczynimy. Tak, tak. A zaczniemy od przyłączenia Górnego Śląska. Ja chcę, żeby Polska była wielka, pracuję, by taka była, i taką będzie. Nie federacyjnym zlepkim, który marzy się Piłsudskiemu i jego akolitom, ale silnym narodowym państwem Polaków. Ziemie kresowe, gdzie hulają obce i budzące się do życia narody, oddaliśmy. Niech się o nie bije, kto tam chce. My musimy patrzeć na zachód, ku morzu. Gdyby jeszcze Gdańsk uchwycić...

– Opamiętaj się! – skarcił go Paderewski, ale nie umiał powstrzymać się od uśmiechu. Dziś był gotów uśmiechać się do wszystkich i wszystkiego. – Gdańsk, Mazury i Madagaskar. Nie udław się. Trudno będzie przegryźć, przetrawić i utrzymać to, co mamy. Mamy ogromne mniejszości narodowe. Trzeba będzie pomyśleć, jak zespolić je z państwem, by zachować jego siłę. Ale dziś mi się myśleć nie chce. Dziś odpoczywam, gdyż jest po czym. Po ratyfikacji traktatu ruszam na tournée po Stanach. A ty?

Dmowski zasępił się nieco. Owe proste słowa przypomniały mu, że właściwie nie miał życia prywatnego. Domu, dzieci, żony. Nie

było takiego miejsca, gdzie mógłby spędzać czas wolny od trosk. Kiedyś myślał, że Maria będzie tym dla niego. Ale ona wybrała tamtego. Jemu został smutek, żal i gniew. Gniew z czasem wyparował, ale żal pozostał i mimo iż nie szczędził starań, by się go pozbyć, to powracał w najmniej spodziewanym momencie, dokładnie tak jak teraz. Głuszył go zawsze pracą publicystyczną i polityką. Ale młodszy się nie robił. Sił zaczynało ubywać. Jest wprawdzie posłem na sejm ustawodawczy, ale czy dadzą mu którąś z rządowych tek, by mógł nie myśleć o pełzającej starości?

– Kupuję wygodny dworek pod Poznaniem. O ile nie wzgardzisz kawalerskim domem, to cię zaproszę – odpowiedział Ignacemu.

– Chętnie.

Tu rozmowa się urwała, bo ich oczom ukazała się pompatyczna rezydencja Ludwika XIV. Gmach, który wzniosła jego pycha i ambicja, mógł zadziwiać swoją wspaniałością i ogromem. Ale wszystkim delegatom opatrzył się już i obrzydł. Toteż mało kto zawiesił na dłużej oko na pompatycznej budowli. Natomiast wszyscy z żywym zajęciem przypatrywali się żołnierzom w kolorowych paradnych mundurach, którzy swoją obecnością mieli uświetnić podpisanie traktatu. Wszyscy prezentowali się znakomicie, stojąc przy kilkudziesięciu działach, których salwa miała wzbogacić ceremonię składania podpisów. Zresztą sami żołnierze mogli budzić podziw. Był to bowiem kwiat francuskiej młodzieży.

– Niemcy nie mogą nawet pomyśleć o oporze, gdy tyle dział tu zgromadzono – zauważył kwaśno Dmowski, gdy sznur aut wjeżdżał przez okute wrota na dziedziniec wersalski.

Paderewski nie odpowiedział, bo nie było już czasu. Zaraz bowiem wysiedli, a do wysiadających podbiegł tłum reporterów z ogromnymi pudłami na statywach. Były zdjęcia, kłęby dymu, a potem wszystkich poprowadzono do ogromnej sali lustrzanej. W wielkich, podłużnych lustrach odbijały się wydłużone sylwetki

delegatów, którzy z wolna zasiadali przy ogromnym, odkrytym zielonym suknie stole. Na środku sali stał jednak jeszcze jeden mały stolik, na którym leżał rozpostarty traktat, i to tam biegły oczy wszystkich.

Nagle drzwi sali lustrzanej rozwarły się z łoskotem i do środka sprężystym krokiem wmaszerował przedstawiciel delegacji niemieckiej. Szedł szybko, nie patrząc na nikogo, jakby chciał mieć tę chwilę już za sobą. Pod pachą niósł kilka kartek. Wszyscy śledzili go wzrokiem z jakimś dziwnym niepokojem w duszach. W niemym strachu oczekiwano tego, co się stanie. Niemiecki minister zatrzymał się – obojętnie potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Kartki nieco drżały mu w dłoniach, gdy spokojnym, melodyjnym głosem zaczął czytać:

– Głęboko jesteście przejęci wzniosłym celem, który nas tu zgromadził. Tym celem jest trwały pokój dla świata. Nie mamy żadnych złudzeń co do rozmiarów naszej klęski, co do stopnia naszej dzisiejszej niemocy. Nasz oręż został złamany. Ale nasze oczy widzą tu gniew i namiętności. Znamy już bezwzględne żądania zwycięzców. Mamy nie tylko ponieść zapłatę jako pokonani, ale także karę jako winni. Mamy przyznać się do wyłącznej winy za wybuch tej wojny. Ale, szanowni panowie – minister uniósł oczy i potoczył nim po twarzach obecnych – takie słowa byłyby w moich ustach kłamstwem. Naród niemiecki pragnie szczerze pokoju. Ale pokój, który ma być tu zawarty, jest sprzeczny z zasadami sprawiedliwości i spotka się tylko ze sprzeciwem.

Przez chwilę w sali lustrzanej zapanowała konsternacja. Nikt nie wiedział, co robić ani co mówić. Oświadczenie strony niemieckiej zaskoczyło wszystkich. Zakłócało ono bowiem ceremoniał i stawiało pod znakiem zapytania cały traktat. Pierwszy ochłonął Paderewski. Podniósł się, jak zwykle spokojny i opanowany, swobodnym ruchem poprawił muszkę i spojrzął

w oczy przywódców ludzkości. Wiedział, że tylko do nich warto mówić.

– Moi panowie, obecna tu strona niemiecka miała piętnaście dni na ustosunkowanie się do przedłożonych jej warunków zawarcia pokoju. Zrobiła to! Co więcej! Traktat zmieniono pod wpływem jej zastrzeżeń! Zmieniono na niekorzyść mojego kraju! – Głos Paderewskiego potężniał. – Panowie! Jeżeli jeszcze dziś odbierzecie mojemu narodowi cokolwiek z tego, co już ma i z czego się cieszy, to będzie to koniec mojego rządu! Nie ręczę wówczas za słuszny gniew mych rodaków! Stracą oni bowiem zaufanie nie tylko do mnie, ale i do was, przywódców mocarstw! Skutkiem tego może być jedynie rewolucja!

Dmowski uśmiechnął się w duchu, patrząc na przywódców wielkiej czwórki. Paderewski nie mógłby znaleźć lepszego argumentu dla obrony przed Niemcami niż to maleńkie słówko na r. Rewolucja. To słowo odmieniano tu przez wszystkie przypadki w kontekście Rosji, Niemiec, a nawet stabilnej przecież Wielkiej Brytanii. Wzbudzało ono paniczny lęk pośród tych ludzi. Godziło bowiem w podstawy ich politycznego i materialnego bytu. Z trudem powstrzymywał się, by nie zdradzać oznak wesołości.

– Dosyć! – warknął francuski premier. – Strona niemiecka uzyskała od nas już wszelkie możliwe ustępstwa. Dalszych dyskusji nie będzie. Dziś podpisujemy traktat.

To rzekłszy, wstał i zamasztył krokiem podszedł do stolika. Przez chwilę ważył w ręku złote pióro, po czym złożył podpis pod dokumentem.

Clemenceau stał przez chwilę zdumiony, nie rozległ się bowiem zaplanowany huk armat. Ale szybko pokrył początkowe zmieszanie i zniknął w tłumie. Kolejni delegaci składali podpisy. Tymczasem Dmowski, który cierpliwie wraz z Paderewskim czekał na swoją kolej, czuł, jak ogarnia go wzruszenie. Oto on, chłopak z Targówka, miał za chwilę, po stu latach, złożyć podpis pod

traktatem sankcjonującym wolność jego narodu. Odbierający Niemcom wszystko to, czego nie zdołali zniemczyć. Po tylu latach!

– Gotów? – szepnął pełnym podniecenia głosem Paderewski.

– Gotów – odparł pewnie.

Obaj podeszli szybko. Pochylili się nad tekstem, by złożyć podpisy, gdy zaplanowany uprzednio huk armat targnął powietrzem. Szyby zadrżały w oprawach, tak że każdemu strzałowi odpowiadało głucho jęknięcie. Ten huk obwieszczał światu nie tylko zakończenie czteroletniego krwawego konfliktu, ale i odrodzenie państwa polskiego. Naród Polski znowu był wolny!

## Postowie

Jest to pierwsza powieść monumentalna, jaka wyszła spod mojego pióra. Dlatego chcę zacząć nie od podziękowań, a od wyjaśnień. Ogromna liczba wprowadzonych postaci może być problemem – wiem, że łatwo się w tym wszystkim pogubić. Nie mogłem jednak działać inaczej. Jest to zresztą chyba wspólną cechą wszystkich sag powieściowych. I moja pod tym względem nie jest inna. A jednak przyświecał jej inny cel.

Cykl ten nie jest bowiem typową sagą rodzinną, w ramach której historia stanowi tylko tło dla zajmujących losów bohaterów. Moi bohaterowie są tylko pionkami w rękach wielkiej historii, rozgrywanej się na ich oczach; zmusza ona do dostosowywania się do rzeczywistości. Chciałem, by to wydarzenia historyczne napędzały tę powieść. Więc zabieram was w prawdziwe miejsca. Do gabinetów przywódców, na międzynarodową konferencję w trudzie ustalającą powojenny ład.

Niekiedy patrzemy na świat z perspektywy Piłsudskiego, a innym razem Hindenburga i Lenina.

Starałem się ukazać tło polityczne i uwarunkowania międzynarodowe, w jakich po przeszło stuleciu państwowego niebytu odradza się Rzeczypospolita. Karty tej powieści są więc przepełnione wydarzeniami znanymi nam z historii.

Ale powieść to nie podręcznik akademicki. Dlatego przewija się w niej cała masa postaci fikcyjnych. Starałem się ukazać ich los

historyczny i dzień powszedni. Wszystkie małe, drobne sprawy, które składają się także i na nasze życie.

Dlatego książka, która w pierwotnym zamyśle miała być jedynie niewielkim dziełkiem sensacyjnym, rozrosła mi się niebywale. Chciałem dać wam pełny, a co ważniejsze prawdziwy obraz minionego świata. Pragnąłem ożywić blaski, ale i cienie tamtej epoki. Przypomnieć tych, którzy tę Polskę budowali, czyniąc to w warunkach skrajnie trudnych i wyjątkowych. W położeniu nakazującym wyrozumiałość i tolerancję dla błędów. A jednak nie wszystko się udało. Trzeba tu wspomnieć o wszechobecnej nędzy wsi polskiej, dekadencji części elit i waśniach na tle narodowościowym. Wersal bowiem niczego nie kończył, on wszystko rozpoczynał.

Traktat wersalski gwarantował wprawdzie Polsce uznanie ze strony mocarstw, ale był to dość liche fundament, by można było opierać na nim bezpieczeństwo państwa. Dopiero wojna polsko-bolszewicka miała rozstrzygnąć o jego przetrwaniu. Kolejne części będą obejmować lata 1921–1926. Osią historyczną akcji będzie między innymi III powstanie śląskie, wielkie powstanie chłopskie w Rosji i bunty w Armii Czerwonej. Nie wiem, czy uda mi się zrealizować te śmiałe plany. Dokończyć historie Saszki, Wolfa i Wiktora. Wszystko zależy od Waszych opinii.

Chciałbym jeszcze podziękować wszystkim mieszkańcom moich stron rodzinnych. Ludziom, dzięki którym czułem, że moja praca ma sens. Dziękuję mieszkańcom: Pogonowa, Baranowa, Puław, Żelechowa, Ryk. Dedykuję tę pracę przede wszystkim Wam. Za wszystkie nieścisłości, jakie mogły się wkraść, przepraszam.

KG



# Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Posłowie

Karta redakcyjna

*W tajnej służbie II Rzeczypospolitej. Tom IV. Fortel*

ISBN: 978-83-8219-658-0

© Krzysztof Goluch i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt  
jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego  
przekazu  
wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Paweł Pomianek

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Paulina Radomska-Skierkowska



zacytani | AMARE | NOVAE RES

**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej  
Zacytani.**

Zacytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zacytani.pl](http://zacytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek